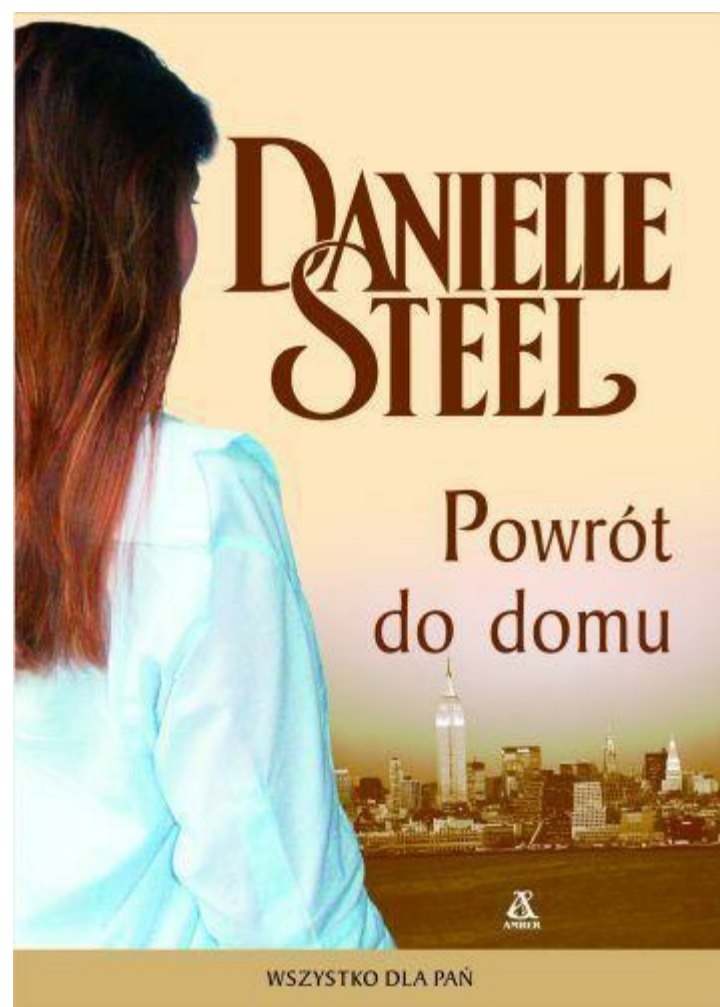


DANIELLE STEEL

Powrót
do domu





Steel Danielle

Powrót do domu

Gillian Forrester, kobieta w pełni samodzielna, pracuje jako scenograf i stylistka. Sukcesy zawodowe rekompensują jej niepowodzenia w życiu osobistym. Do czasu jednak, ponieważ rozwód zmusi ją do opuszczenia Nowego Jorku. Razem z córeczką wyjeżdża w rodzinne strony. Odnajduje tam młodzieńczą miłość, choć bolesne doświadczenia nie pozwalają jej zapomnieć o przeszłości. Powróci więc do Nowego Jorku, miasta, które daje jej szanse na karierę. Rzuca się w wir nowej pasji po to tylko, by los przyniósł nowy wstrząs. Gillian znowu musi szukać właściwej drogi do prawdziwego domu.

Rozdział pierwszy

Dzień był wspaniale słoneczny, a piętnaście po dziewiątej zadzwonił z Carson Advertising. Ich dekoratorka była chora i potrzebowali kogoś do pomocy przy zdjęciach na wybrzeżu. Czy jestem wolna? Czy nie zgodziłabym się? A ile płacą? Byłam wolna, zgodziłabym się, a suma była w porządku. Sto dwadzieścia dolarów za dzień plus koszty. Z moim nowojorskim doświadczeniem miałam w Kalifornii dużo szczęścia.

Wywierało to na nich wrażenie i dobrze płacili. Potrzebowałam tylko ze dwóch zamówień na tydzień, żeby dołożyć do alimentów i obie z Samantha mogłyśmy wygodnie żyć. Czasami przez kilka tygodni nic się nie trafiało, ale i tak radziłyśmy sobie i byłyśmy szczęśliwe.

Zostawiłyśmy Nowy Jork w szary, deszczowy dzień i niczym pionierzy ruszyłyśmy w świat. Ja miałam dwadzieścia osiem lat, ona prawie pięć i myślę, że obie się tej wyprawy bałyśmy. Wspaniały Nowy Świat.

Wyruszyłyśmy. Do San Francisco, gdzie nikogo nie znałyśmy, ale miasto podobało nam się i warto było spróbować. No więc próbowałyśmy.

Tego dnia, kiedy zadzwonili do mnie z Carson w sprawie pracy na wybrzeżu, mieszkaliśmy tam już prawie trzy miesiące. Miałyśmy maleńkie mieszkanie w Marina, z łagodnym widokiem na zatokę i Sausalito w oddali. Mogłyśmy wyglądać z okna i patrzeć na maszty żaglówek, które kołysały się przycumowane do nabrzeża Yacht Clubu. A w słoneczne popołudnia, kiedy nie musiałam pracować, mogłam zabierać Sam na mały kawałek plaży, gdzie kładłam się, a ona biegała tam i z powrotem po piasku i w górę po stopniach, na trawnik. W Nowym Jorku wciąż jeszcze padał śnieg, podczas kiedy my w San Francisco wylegiwałyśmy się na plaży. Postąpiłyśmy słusznie, bo tu gdzie byłyśmy, było cudownie. Stawałyśmy się szczęśliwe. Same i wciąż jeszcze zupełnie zielone jako pionierki, ale wszystko szło jak należy.

Spoglądałam na moją córkę — brązową i zdrową; co rano patrzyłam na własne odbicie w lustrze i wiedziałam, że miałyśmy rację. Wyglądałam o dziesięć lat młodziej i wreszcie czułam, że żyję. Gillian Forrester narodziła się powtórnie w wieku lat dwudziestu ośmiu, w mieście, które rozpostarło się na wzgórzach rozciągniętych u stóp gór, na wyciągnięcie ręki od morza. San Francisco.

Tego ranka wyjrzałam przez okno na Mount Tamalpais widoczny w oddali, a potem spojrzałam na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści, a ciężarówka z Carson miała podjechać o dziesiątej. Cała ekipa jechała tam razem, z wyjątkiem ludzi z wytwórni filmowej, którzy mieli nakręcać tę reklamę. Oni mieli swój własny wóz. I na pewno swoje własne pomysły.

Zastanawiałam się przez chwilę, co powiedzą na to, że miałam im

„pomagać”. Pewnie niewiele. Agencje reklamowe zawsze lubiły mieć kogoś ekstra, ale kamerzyści i im podobni nigdy za tym nie przepadali.

Do tej pory odbywało się to zazwyczaj tak: „Kto to jest?... Co?...”

Dekoratorka?... Żartujesz chyba, stary... Z Nowego Jorku?... O Jezu...”

Taaak, no i co z tego, do diabła. Płacono mi za moją pracę, a oni nie musieli mnie lubić. Najważniejsze, że agencjom podobało się to, co robiłam i nadal miałam wzięcie.

Szkolny autobus zabrał już Sam i zostało mi dokładnie tyle czasu, by wziąć prysznic i wskoczyć w parę starych dzinsów, koszulę i żakiet safari.

Trudno przewidzieć pogodę. Był wczesny kwiecień i gdyby zdjęcia przeciągnęły się do późna, mogłoby zrobić się zimno. A poza tym wcześniej czy później opadnie mgła. Wsunęłam stopy w parę zniszczonych butów do konnej jazdy

i upięłam włosy w węzeł na czubku głowy. Jeszcze szybki telefon do sąsiadki, która miała w południe odebrać Sam z autobusu i zająć się nią dopóki nie wrócę, i już byłam gotowa na Carson Advertising. Mieliśmy kręcić reklamę papierosów na jakichś skałach nad morzem, na północ od Bolinas. Koniecznych było czworo aktorów, kilka koni i cała masa rekwizytów. Powinna to być jedna z tych sprawnie zrealizowanych reklam w zwodniczym nastroju nonszalancji i świeżości. Dlatego byłam im potrzebna. Miałam spędzić cały dzień na przygotowywaniu pikniku i pilnowaniu, żeby aktorzy wyglądali jak trzeba, aktorki nie siedziały na koniach w odwrotnym kierunku i żeby nikt nie spadł ze skały. Zupełnie łatwa praca za sto dwadzieścia dolarów, a do tego mogło być zabawnie.

Dokładnie o dziesiątej na dworze rozległ się klakson. Wybiegłam z moją

„magiczną torbą” na ramieniu. Plastry, aspiryna, proszki na uspokojenie, lakier do włosów, najróżniejsze kosmetyki, notes, kolekcja piór i ołówków, agrafki, spinacze do bielizny i książka. Był to zbiór opowiadań, których nigdy nie udało mi się przeczytać w czasie zdjęć. Ale dawała mi miłe złudzenie, że „któregoś dnia...”

Zeskoczyłam z trzech schodów prowadzących do naszego mieszkania, zobaczyłam ciemnozieloną półciężarówkę i jeepa o wojskowym wyglądzie, które stały przed wejściem. Ciężarówka załadowana była po brzegi sprzętem i rekwizytami, siedziały tam też dwie dziewczyny o sennym wyglądzie, w swetrach naciągniętych aż pod brodę i chustkach na głowach. Wyglądały jak Bobbsey Twins. Nasze modelki. Z przodu siedzieli dwaj faceci o przeraźliwie męskim wyglądzie, też w golfach, ze starannie utrzymanymi włosami, przystrzyżonymi do pół ucha, i mocno zarysowanymi szczękami. Ich wygląd mówił mi jasno, że byli pederastami i domyśliłam się, że stanowili oni męską część naszych dzisiejszych aktorów. Przestałam się już przejmować takimi rzeczami. To nie Nowy Jork. Nie ma sensu zbyt wiele oczekiwać. Królowa męskiej piękności siedząca przy oknie pomachała mi ręką, a mężczyzna na miejscu kierowcy wysunął się z samochodu i podszedł do mnie z uśmiechem. Był niski i krępy, z kruczoczarnymi włosami i krzaczastymi brwiami, spotkałam go już przy innych zdjęciach dla Carson Advertising.

Był głównym kierownikiem artystycznym i bardzo miłym facetem.

Nazywał się Joe Tramino.

— Cześć, Gillian. Jak się masz? Cieszę się, że się zgodziłaś.

— Ja też. Zapowiada się ładny dzień na zdjęcia. Czy ci faceci w jeepie też są z tobą? — Staliśmy na chodniku, a Joe przewrócił oczyma w niby-neapolitańskim stylu.

— Możesz się o to założyć. To faceci od obsługi rachunku. Ta reklama jest dla naszego największego klienta. Przedstawię cię. — Odszedł na swoich krótkich nogach, a jeden z mężczyzn w jeepie opuścił szybę. — To nasz scenograf, Gillian Forrester. Gili... John Ackley, Hank Todd, Mike Willis.

Wszyscy trzej skinęli głowami, uśmiechnęli się i podali mi ręce bez specjalnego zainteresowania. Mieli zrobić reklamę za pięćdziesiąt tysięcy dla ważnego klienta. I tylko to ich obchodziło. Nie w głowie im było prawienie grzeczności dekoratorce.

— Jedziesz z nimi czy z nami? Tak czy owak będzie ciasno.

Joe wzruszył ramionami i przyglądał mi się przez chwilę, zastanawiając się, co zrobię. Widziałam wyraźnie, że mnie lubi i uważa, że jestem

„niezłą sztuką”. Był trochę wyższy ode mnie, a jego skóra była równie ciemna jak moja jasna. To go prawdopodobnie fascynowało. Moje brązowe włosy i niebieskie oczy nigdy nie wydawały mi się czymś szczególnym, ale jego to połączenie zdawało się pociągać, a widać było, że i mój tyłek mu się podoba.

— Pojadę z ekipą, Joe, Nie ma sprawy. ...Miło mi było poznać.

Zobaczymy się na miejscu. — Kiedy odchodziliśmy od jeepa, rzuciłam okiem na Joego i wybuchnęłam śmiechem. — Dziwi cię to? Za kogo mnie uważasz? Za snobkę?

Szturchnęłam go po przyjacielsku i wskoczyłam na tylne siedzenie w furgonetce, obok drzemiących dziewczyn; chłopcy z przodu rozmawiali o

„sprawach zawodowych”. Ich zdaniem moda dla mężczyzn schodziła na psy. Joe przewrócił oczyma i wykrzywił do mnie twarz w lusterku.

Wrzucił bieg, zwolnił hamulec, nacisnął pedał gazu i omijając jeepa ruszyliśmy w stronę Lombard Street wiodącego do mostu Golden Gate.

— Chryste, Joe, prowadzisz cholernie po włosku. — Wisiałam przyczepiona do przedniego siedzenia, żeby nie zgnieść śpiących obok mnie dziewczyn.

— Kocham się też po włosku.

— Założę się.

— Po co masz się zakładać? Sprawdź kiedyś sama... Spróbuj... spodoba ci się.

— Tak, na pewno. — Uśmiechnęłam się.

Zbliżaliśmy się do mostu Golden Gate, który zawsze wywierał na mnie wrażenie. Ogarnęło mnie uczucie wszechobejmującej mocy i piękna, podniosłam niczym dziecko wzrok ku zawrotnym wysokościach i poczułam się bardzo szczęśliwa. Ciemnopomarańczowe iglice odcinały się na tle błękitnego nieba, a długie linie przypominały mi wstęgi latawca.

— Na co tak patrzysz, na Nowy Jork? — Joe zauważył spokojny uśmiech na mojej twarzy, wychylił się przez okno i podniósł wzrok.

— Patrzę na twój most, Joe, zupełnie jak gówniarz.

— Chodź, stąd będziesz miała lepszy widok.

Odchylił się do tyłu, przekręcił uchwyt w dachu samochodu i odsunął

okno. Widok poprawił się znacznie. Most Golden Gate stał w słońcu ponad naszymi głowami, a świeże powietrze północnej Kalifornii owiewało nam twarze.

— Ooch... jak cudownie. Czy mogę tu stanąć? — Otwór wydawał się dostatecznie duży.

— Jasne. Tylko nie podepcz dziewczyn. I uważaj na gliniarzy. Dadzą mi mandat.

Zauważyłam, że znowu przyglądał się mojemu siedzeniu, kiedy delikatnie stawiając stopy pomiędzy śpiącymi dziewczynami, zniknęłam na dachu. Co za Włoch! I co za most! Stojąc bez osłony na wietrze trudno było złapać oddech, a włosy zaczęły mi się owijać wokół głowy. A nade mną był... on. Mój most. I moje góry, i moje morze. A tam daleko za nami miasto. Moja Kalifornia. Było wspaniale.

Kiedy zbliżaliśmy się do końca mostu, poczułam, że Joe pociągnął mnie za zakiet, więc wsunęłam się z powrotem do samochodu i usiadłam.

— Zadowolona?

— Jeszcze jak.

— Wy wszyscy ze wschodniego wybrzeża jesteście pomyleni. — Ale widać było, że podobało mi się to, co robiłam.

Czułam się swobodnie — jechaliśmy do pracy, a nikt nie czuł

się poganiany. Zupełnie co innego niż to przez co przeszedł Nowym Jorku, najpierw w agencji reklamowej, a potem w piśmie dekoratorskim.

W Kalifornii wszystko było inaczej.

— Kto kręci tę reklamę? Shazzam czy Barclay? Zorientowałam się już, że Shazzam to był najmodniejszy zespół

filmowy, który robił większość najbardziej chodliwych zdjęć w mieście, a Barclay z kolei był najsolidniejszym zespołem w okolicy.

— Ani jedni, ani drudzy. To dlatego ci faceci od rachunku tu zjechali.

Rwą sobie włosy z głowy. Wziąłem do tego zupełnie nową grupę. Są młodzi, ale bardzo dobrzy. Nawet nie mają jeszcze firmy, to po prostu luźny zespół. Zwariowany młody facet i jego ekipa. Wyglądają jak banda leniwych pomyleńców, którzy się do niczego nie nadają, ale naprawdę wiedzą, o co chodzi. I ich oferta była fantastyczna. Myślę, że ci się spodobają, łatwo się z nimi pracuje.

Przytaknęłam, zastanawiając się, czy i ja im się spodobam. „Pomyleńcy”

nie przepadają zazwyczaj za scenografiami z Nowego Jorku.

Byliśmy już za Sausalito i Milly Valley, na krętej górskiej drodze do Stinson Beach. Rosły wzdłuż niej ogromne drzewa i wszędzie pachniało eukaliptusem. Zaczynałam się czuć bardziej jak na wycieczce na wieś niż w pracy. Modelki właśnie się obudziły i wszyscy byliśmy w bardzo dobrych humorach. Zaczęliśmy zjeżdżać z drugiej strony góry i wokół

rozpościerał się widok zapierający dech w piersi. Wspaniała panorama.

Góry opadały niespodziewanymi urwiskami, a morze szumiało im na powitanie rozpryskującymi się falami. Wszystko było soczyście zielone, łagodnie brązowe i jasnobłękitne. Ziemia samego Boga.

Zjechaliśmy ze zbocza wyśpiewując i, przejechawszy przez Bolinas, dotarliśmy do wybrzeża w miejscu, którego nie znałam. Góry tłocząc się schodziły wprost do morza, którego była nieskończoność. Wspaniale.

Cieszyłam się, że tu przyjechałam.

— Gili, wyglądasz jak dzieciak na urodzinowym przyjęciu.

— Och, zamknij się, ty zblazowany cyniku. Tak właśnie się tu czuję.

— No, to na pewno nie jest Nowy Jork.

— I Bogu dzięki.

— Ach, więc to tak? — Wyszczrzył się do mnie znowu i skręcił w pełną drogę, która prowadziła poprzez jakieś wzgórza, wysoko ponad linią wybrzeża.

— Gdzież, u diabła, jest to miejsce? — Modelki wyciągały szyje, ale nie widziały dla siebie nic interesującego. Byliśmy o mile od cywilizacji. 1

wciąż ani śladu oczekującej nas ekipy filmowej.

— Zaraz zobaczycie. Kamerzystom znalezienie tego miejsca zabrało trzy tygodnie. Jest fantastyczne. Należy do jakiejś staruszki, która mieszka na Hawajach i nie była tu od lat. Wynajęła je nam na cały dzień.

Skręciliśmy, a następnie zjechaliśmy w dół drogą na równinę położoną pomiędzy wzgórzami i urwiskiem. Dojechaliśmy na miejsce. W dole morze burzyło się z jeszcze większą siłą niż widziałam to w Big Sur, a drzewa sterczały z urwiska niczym gigantyczne flagi. Fale rozpryskiwały się o tkwiące w wodzie ogromne głazy tak wysoko, że zdawało się, iż mogły podlewać drzewa. 1 może mogły.

Zobaczyłam jeepa i zaczęłam się zastanawiać, jak mogli tam dotrzeć przed nami, zwłaszcza biorąc pod uwagę sposób, w jaki Joe prowadził, ale byli tam i zaparkowali koło przyczepy z końmi, starego samochodu i rozwalonej ciężarówki, po której łąziło pełno hippisów. Wyskoczyliśmy z furgonetki,

poszczególne grupy złączyły się w jedną i każdy zabrał się do swojej pracy. Przygotowywaliśmy się do zdjęć.

Ludzie od Carsona zajmujący się rachunkiem stanęli trochę z boku w małej nerwowej grupce i zaczęli przeglądać swoje notatki. Modelki wskoczyły z powrotem do furgonetki i zaczęły robić sobie twarze i włosy.

Zostawiły mnie z Joem i grupą oberwanych chłopaków, którzy wyglądali tak, jakby wczoraj uciekli z domu.

Obserwowałam, jak wyładowywali swój ciężki sprzęt, zupełnie jakby nic nie ważył i przyglądałam się Joemu. Obok niego, przy szoferce ciężarówki, stał wysoki jasnowłosy chłopiec. Miał mocne, muskularne ciało, potarganą bujną czuprynę, dziwnie szeroko rozstawione oczy i niebywały uśmiech, który znaczył policzki dwoma głębokimi dołkami.

Zauważyłam, że patrzył na mnie.

— Gili, podejdź tu na chwilę! — zawołał Joe machając do mnie. Poszłam w ich stronę zastanawiając się, czym zajmował się w zespole ten chłopak.

Wyglądał na młodszego od pozostałych i wydawał się mieć mniej pracy.

— Chris Matthews, Gillian Forrester. On kieruje tym domem wariatów.

— Cześć.

Uśmiechnął się szerzej i zauważyłam, że miał piękne zęby. A jego oczy były łagodnie zielone. Nie podał mi dłoni ani nie wydawał się specjalnie zainteresowany, kim byłam. Stał tam po prostu, skinął mi głową, przyglądał się temu, co robili jego ludzie i dalej rozmawiał z Joem.

Sprawiło to, że poczułam się trochę nie na miejscu.

— Hej, dokąd idziesz? — zapytał Chris. Postanowiłam sprawdzić, co robiły moje modelki.

— Sądziłam, że jesteście zajęci. Zaraz wrócę.

— Poczekaj, pójdę z tobą. Chcę zobaczyć, kogo będę kręcił. — Zostawił

Joego i poszedł ze mną wzdłuż wzgórza, kopiąc po drodze w chwasty i spoglądając w górę na niebo. Zachowywał się zupełnie jak młody chłopak.

Modelki przedstawiły się i z zadowoleniem stwierdziłam, że wyglądają mniej więcej w porządku. Obie robiły to zawodowo i przyjemnie było nie musieć zaczynać z nimi wszystkiego od zera. Tydzień wcześniej byłam na zdjęciach z gromadą dzieciaków, które nie bardzo wiedziały, jak się uczesać. Chris stanął z boku i pokręcił głową.

— Joe!

Jego okrzyk zadzwonił wśród wzgórz i natychmiast zwrócił uwagę Joego.

Niezły głos miał ten chłopak. Skinął na Joego i domyśliłam się, że był jakiś problem, ale nie chciałam się wtrącać. To było pomiędzy nim a Joem.

— W porządku. O co chodzi?

Mały Wioch zasapał się wchodząc pod górę i wcale nie wyglądał na zadowolonego. Wyczuł, że coś było nie w porządku, a tylko tego mu brakowało z tymi facetami od rachunku, którzy sterczeli mu nad głową.

— Jest kłopot. I to zmienia wszystkie koszty. Masz pięcioro aktorów.

Potrzebowaliśmy tylko czwórki. — Chris wyglądał na niezadowolonego z tej superaty, a Joe nic nie rozumiał.

— Mamy pięcioro? — Rzucił okiem do wnętrza furgonetki i potrząsnął

głową. — Nie, nie mamy, ty złamańcu. O co ci chodzi? Nie umiesz liczyć? Raz, dwa, trzy, cztery — pokazał ich jedno po drugim i miał rację.

Czworo.

— Pięcioro.

Chris potrząsnął głową i przeliczył. Wtedy oboje z Joem wybuchnęliśmy śmiechem. Pokazywał na mnie.

— Czworo. Uspokój się. Ja jestem scenografem. Myślałam, że wiesz.

Joe klepnął go po przyjacielsku. Chris też się roześmiał robiąc dołeczki.

A potem pokręcił głową.

— Chryste, trzeba mi było powiedzieć. Skąd, u diabła, miałem się domyślić? Jedyne co potrafię, to robić ładne zdjęcia. Chętnie i tobie zrobiłbym kiedyś kilka. — Obrzucił mnie długim taksującym spojrzeniem.

— Pochlebstwa nie zaprowadzą pana donikąd, panie Matthews.

— Nie. Ale zapewnię mi zyczliwego scenografa. Zbieraj dupę w troki, moja damo. Za pięć minut zaczynam zdjęcia. A jeśli twoje modelki nie będą gotowe, to wiesz, co się stanie? — Popatrzył na mnie groźnie i nieprzyjaźnie, i nagle uświadomiłam sobie, że nie byłam tak znowu daleko od Nowego Jorku. Wszyscy są tacy sami. Pokręciłam głową w odpowiedzi na jego pytanie i oczekiwałam, że zagrozi, że mnie zwolni. —

Jeśli nie będą gotowe, to bardzo proste. Zostawimy to wszystko i pójdziemy się opalać. Myślisz, że zależy mi na tym, żeby tu zasuwac przez cały dzień do usranej śmierci? Nie ma mowy. — Pokręcił głową i rozłożył ręce z pogodnym wyrazem twarzy, a my znów wybuchnęliśmy śmiechem, po czym Joe spróbował się opanować. Widział, że obserwowali nas mężczyźni z jeepa.

— Słuchaj, ty leniwy draniu, przestań straszyć moją elegancką dekoratorkę. I rusz dupę. No już, jazda! — Wydał z siebie wojskowy wrzask i Chris zbiegł z powrotem ze wzgórza. Mogliśmy w końcu zacząć.

Podprowadzono nam konie, aktorzy byli w pełnej gali, sprzęt do zdjęć przygotowany. Paru ludzi Chrisa rozpałiło wielkie ognisko i poszło sprawdzić, czy przyszykowane jedzenie jest odpowiednie na „piknik”, który mieliśmy nakręcać. Uważałam, że było. Solidnie poprzyklejane i grubo polakierowane dla lepszego wyglądu. Ułożyłam wszystko na ziemi, rozluźniłam chustkę na szyi jednego z chłopców, przyklepałam włosy modelce, uróżowałam trochę drugiego aktora i wycofałam się. Będę miała więcej pracy później, w czasie zdjęć, kiedy wszystko się pogniecie.

Zastartowaliśmy, a ja zaczęłam z rozbawieniem obserwować Chrisa.

Żartował ze wszystkimi, robił zdjęcia z tysiąca różnych pozycji i zamęczał aktorów. W pół godziny doprowadził wszystkich do hysterii, a ludzie od rachunku wpadali na zmianę w gniew i panikę. W pewnej chwili zniknął za urwiskiem i poczułam w żołądku skurecz strachu na myśl, że straciliśmy operatora. Oboje z Joem podbiegliśmy do skarpy z przerażeniem w oku. Kiedy się wychyliliśmy, Joe wykrzyknął imię Chrisa gdzieś tam w kierunku wody, ale nikt się nie odezwał. Zniknął... O

mój Boże...

— Chris...!

Joe spróbował jeszcze raz z echem, które brzmiało bez końca i właśnie wtedy dostrzegłam Chrisa.

— Pssst... Chcesz, żebym się zesrał ze strachu? Chciałem sobie zapalić.

Zapraszam na dół.

Ukrył się na skalnym występie, jakieś sześć stóp poniżej szczytu i siedząc okrakiem na solidnym krzku palił skręta.

— Ty zwariowany skurwielu, co ty, do cholery...

Joe był wściekły, ale najwyraźniej uspokojony. A ja wybuchnęłam nerwowym śmiechem. Facet był w oczywisty sposób pomyłony, ale robił

to w sposób tak naturalny, że łatwo było wybaczyć mu okropieństwa, które wyprawiał ze wszystkimi dookoła. Przez chwilę byłam zupełnie pewna, że zginął. — Czy to nasza przerwa w pracy? — Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał obojętnie.

— Jasne. Palisz?

Skinęłam głową, a potem pokręciłam nią.

— Tak, ale nie w pracy.

— I ty też nie powinienes, pieprzony idioto. Wyłaż stąd i wracaj do roboty. Co ja mam powiedzieć facetom od rachunku? — Joe naprawdę się zdenerwował.

— Naprawdę muszę ci mówić, co masz im powiedzieć? — Chrisowi wyraźnie spodobał się ten pomysł. — Powiedz im, że mogą...

Joe przerwał mu i spojrzał na mnie przeprasząco.

— Chris, chodź już, proszę cię...

Znów dostałam ataku śmiechu. Cała ta scena była zupełnie absurdalna.

Oboje z Joem leżeliśmy przechyleni na dół, rozmawiając z niewidocznym krzakiem na zboczu urwiska, a nasz geniusz kinematografii spokojnie napawał się paloną trawką. Pomachaliśmy już reszcie ekipy, żeby dać im znać, że wszystko jest w porządku, ale i tak musiało to komicznie wyglądać.

— Dobrze, dobrze, mój mały Joe. Już idę. Raz, dwa i do góry. Długie, chude, muskularne ciało Christophera Matthews'a pozęgłowało obok nas i znalazło się na górze. Wyjął coś z kieszeni i zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć, w powietrzu rozległ się przeraźliwy gwizd. Dmuchał w mały zabawkowy gwizdek i jednocześnie wyciągnął z kieszeni pistolet na wodę.

— Jazda, chłopaki, zaczynamy. — Po czym zaczął polewać wszystkich, których miał w zasięgu, łącznie z facetami od Carsona i wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie. Świetnie się bawił. — Na miejsca...

akcja...

Z innej kieszeni wydobyl okulary przeciwsłoneczne i przeistoczył się w reżysera, podczas gdy ja wróciłam do ustawiania pikniku.

Doprowadzenie wszystkiego do porządku zajęło mi dziesięć minut, po czym usiadłam z tyłu ciężarówki Chrisa i przyglądałam się, jak kręcą, z poczuciem bezużyteczności, ale i rozbawienia. To były najlepsze zdjęcia, w jakich zdarzyło mi się uczestniczyć.

— No i co o tym myślisz, Gili? — Joe opadł obok mnie i zapalił

papierosa. — Trudno powiedzieć. Albo jest świetny, albo koszmarny.

Wydam orzeczenie, kiedy zobaczę gotowy film. Ale miło się z nim pracuje. Ile on ma lat? — Przypuszczałam, że miał mniej więcej dwadzieścia dwa i dopiero co skończył jakąś awangardową szkołę filmową. — Nie jestem pewien. Po trzydziestce, ale nikt mu o tym jeszcze nie powiedział. Zachowuje się, jakby miał dwanaście. I mam nadzieję, że nakręci dziś dla mnie coś cholernie

dobrego, bo w przeciwnym razie mogę się od razu pożegnać z robotą.

Miał rację, po przedstawieniu, które urządził Chris, jego praca musiała być teraz fantastyczna, jeżeli chciał usprawiedliwić wszystkie te wygłupy. Przyglądałam się z łagodnym zdziwieniem, jak sprawnie pracuje. Jego ludzie robili dokładnie to, czego chciał, aktorzy byli cudownie swobodni i naturalni, i wszystko toczyło się bez najmniejszych problemów. Trudno było stwierdzić, co akurat robili, ale wyglądało na to, że zdjęcia dobiegały już końca. I nagle zobaczyłam, że niezależnie od tego, które z kolei ujęcie realizowano, na dziś był to koniec, Chris zatrzymał się nagle na chwilę, nie widzący wzrok skierował na swoją ekipę i zatoczył się łapiąc za serce. Byłam pewna, że tym razem nie udawał, naprawdę coś mu się stało. Przemknęło mi przez głowę, że mógł

to być rezultat przedawkowania czegoś, a on tymczasem osunął się na ziemię.

Oboje z Joem podbiegliśmy do niego w tej samej chwili. Leżał twarzą do ziemi. Joe delikatnie starał się przewrócić go na plecy, a ja sięgnęłam, by zbadać mu puls, i wtedy na jego twarz wypłynął szeroki, chłopiący uśmiech. Zachichotał.

— Ale was nabrałem, co?

Był zachwycony. Ale nie na długo. Joe przydusił go do ziemi i patrząc prosto na mnie wskazał na coś, co stało za jego plecami. Wiedziałam, o co mu chodziło. Wiadro z wodą dla koni. Pobiełam po nie, odlałam trochę, żeby móc je podnieść i wróciłam biegiem. Wylałam je na Chrisa. Całe.

Ale on tylko śmiał się jeszcze bardziej i teraz ja znalazłam się na ziemi, a on ciągnął mnie za włosy, które zupełnie się rozsypały. W tym momencie podbiegli faceci z agencji, żeby zobaczyć, co się dzieje, a ludzie Chrisa i aktorzy przyłączyli się do zabawy. Zrobił się zupełny bałagan.

Usłyszałam, jak Joe wrzeszczy w tym hałasie, żeby się nie przejmować, bo skończyliśmy już zdjęcia i dalej mocowałam się z Chrisem Matthewsem, dopóki nie poczułam, że przystawił mi do pleców jakiś dziwny, sterczący przedmiot. Próbowałam zobaczyć, co to było.

— Nie ruszać się, Forrestal. Wstawaj i idź przed siebie. — Wyraz jego twarzy i słowa były jak wyjęte z drugorzędnego westernu.

— Po pierwsze, nazywam się Forrester, a po drugie, co ty właściwie wyprawiasz? — Starłam się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i groźnie, ale nie bardzo mi się udało.

— Pojedziemy na małą konną przejażdżkę, malutka. Ruszaj się żwawo...

spokojniutko... — Zrozumiałam, że facet jest pomyłony, kiedy zdałam sobie sprawę, że przystawia mi do pleców rewolwer. W co mnie ten Joe wpakował za sto dwadzieścia na dzień? Nie pracowałam dla niego po to, żeby zarobić kulkę w plecy... a co z Samantha?

— Ruszaj się... o tak...

Ostrożnie szedł obok mnie, a moje oczy dziko wypatrywały Joego pośród płataniny rąk, nóg i wody u moich stóp. Wszyscy dalej się kotłowali.

Zauważyłam, że Chris prowadził mnie w stronę koni i przyglądałam się, jak zrecznie odwiązał jednego z nich od tyłu przyczepy, jedną ręką wciąż trzymając przy moich plecach rewolwer, którego nie mogłam dostrzec.

— Przestań się wygłupiać. Żarty się skończyły. — Przynajmniej co do mnie była to prawda.

— Wcale nie. Dopiero się zaczęły.

Zauważył megafon, który leżał koło przyczepy, przysunął go sobie nogą, po czym kopnął tak, żeby złapać go nie wypuszczając z rąk wodzy ani rewolweru. Wydawał się doskonale wiedzieć, co robi i podkreślał każde ze swoich działań oszałamiającym uśmiechem. Do diabła z jego uśmiechem. Miałam już tego dość.

— Bruno! — Jego głos zabrzmiał przez megafon. — Zabierz mnie od Watsona w Bolinas o ósmej.

Zobaczyłam, jak jedna z rąk pomachała z tłumu i poczułam, że broń jeszcze mocniej wbija się w moje ciało. Kto to był Watson? Dlaczego o ósmej? Było dopiero parę minut po pierwszej, u diabła, co miał zamiar ze mną zrobić?

— Wskakuj. Umiesz chyba jeździć konno? — Chwilowy niepokój przemknął mu po twarzy, jak u chłopca, który dostał w prezencie korkowiec bez korków.

— Tak, umiem jeździć konno. Ale wcale nie uważam tego za zabawne.

Mam małą córeczkę i jeśli mnie zastrzelisz, to zniszczysz życie wielu osobom. — Brzmiało to obrzydliwie me lo dramatycznie, ale była to jedyna rzecz, o której mogłam w tych okolicznościach myśleć.

— Wezmę to pod uwagę.

Zupełnie nie wyglądał na wzruszonego moim przemówieniem, więc wskoczyłam na siodło zadowolona, że miałam odpowiednie obuwie i zastanawiając się, co będzie dalej. Wskoczył zaraz za mną, poczułam rewolwer w tym samym miejscu i ogarnęła mnie fala nowego niepokoju, a on tymczasem popędził konia szybkim truchtem, a potem wolnym galopem. A co jeśli rewolwer wystrzeli przypadkiem? Co się wtedy stanie? Góry to trudny teren do konnej jazdy, koń może się potknąć, a wtedy...

W niecałą minutę straciliśmy z oczu równinę, na której kręciliśmy zdjęcia, i wyjechaliśmy na wspaniałe pasmo gór, które podziwiałam przedtem po drodze. Ale jazda konno po tych górach to była zupełnie inna sprawa i wcale mnie nie obchodziło, czy były piękne, miałam dość. Nagle ogarnęła mnie fala wściekłości na tego pomyłonego chłopca —

mężczyznę, który igrał z moim życiem. Zasmarkany, nadęty, głupi hippis, któremu wydaje się, że wszystko mu wolno, począwszy od naćpania się podczas pracy, aż po udawanie, że mdleje czy umiera i grożenie mi rewolwerem... Otóż myli się. W każdym razie nie uda mu się mnie zastrzelić. Moje ciało naprężyło się jak stal i odchyliłam się do tyłu, mając zamiar zrzucić go z konia. Ale kiedy się odwróciłam, mój atak został

natychmiast powstrzymany strumieniem zimnej wody wymierzonym prosto w moją twarz. Pistolet na wodę... to była broń, którą przez cały czas przystawiał mi do pleców.

— Ty beznadziejny, rozwydrzony... — Prychałam o dwa cale od jego twarzy, starając się otrzeć wodę z oczu i pragnąc go zamordować. — Ty duży gówniarzu... ty... a ja myślałam...

— Cicho.

Tym razem strzelił z pistoletu prosto w moje usta i zachłysnęłam się wybuchając śmiechem. Christopher Matthews to był doprawdy ktoś.

Podczas kiedy wymierzał we mnie ten wodny atak, koń zatrzymał się, ale ja nie zauważyłam tego, dopóki nie otarłam z oczu wody i nie zobaczyłam, że byliśmy znów na urwisku. Pacyfik rozciągał się jak daleko można było sięgnąć wzrokiem.

— Ładnie, prawda?

Jego twarz odprężyla się i wyglądał jak odpoczywający kowboj. Psotne dziecko zniknęło w jednej chwili. Potaknęłam i spojrzałam na morze, znowu pełna tego obezwładniającego uczucia, że znalazłam swoją drogę do miejsca, w którym powinnam spędzić całe moje życie. Histeria, w jaką popadłam jadąc po górach trzymana na

muszce rewolweru, zniknęła. Przyglądałam się ptakowi, który szybował

powoli ku wodzie. Chris odwrócił ku sobie moją twarz i pocałował mnie.

Był to długi, czuły, delikatny pocałunek. Nie pocałunek pomyłonego chłopaka. Pocałunek mężczyzny.

Kiedy odsunęliśmy się od siebie i otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak uśmiecha się z zadowoloną miną.

— Podobasz mi się, moja damo. To jak mówiłaś, że się nazywasz?

— Idź do diabła!

Wyrwałam mu wodze, zawołałam, żeby się trzymał i przejęłam władzę nad koniem. To umiałam robić naprawdę dobrze. Pierwszy raz wsiadłam na konia w wieku pięciu lat, a uczucie, jakie dawał pęd przez góry, gdzie nie było śladów domów i ludzi, a tylko wspaniałe rączy koń i piękny mężczyzna za mną w siodle, było wspaniałe i uderzało do głowy, niezależnie od tego, jak zwariowany był ten mężczyzna.

— No dobrze, mądralo. Umiesz jeździć konno. Ale czy wiesz, dokąd jedziesz?

Musiałam zachichotać w duchu, bo oczywiście nie wiedziałam i pokręciłam głową na wietrze tak, że moje włosy uderzyły go w twarz, ale nie sądziłam, żeby mu to przeszkadzało. Jego włosy były równie długie jak moje.

— A dokąd chcesz jechać? — zapytałam, tak jakbym wiedziała, jak się stąd wydostać. Znajdowaliśmy się w jego świetle, a ja byłam turystką.

Ale szczęśliwą turystką.

— Do Bolinas. Zawróć do tamtej drogi, skręć w pierwszą w prawo, tylko proszę, nie wpadnij do wody. Nie umiem pływać.

— Brednie. — Ale postąpiłam zgodnie z jego instrukcjami, sprowadzając konia po zboczach, a potem cwałując wzdłuż drogi, dopóki nie zobaczyłam innej, skręcającej w prawo.

— To tu. — Wyręczył mnie w popędzeniu konia i chciałam go żartobliwie klepnąć, ale pistolet na wodę został nagle znów wymierzony w moje ucho. — Wie pan, kim pan jest, panie Matthews? — zawołałam poprzez wiatr. — Meczającym gówniarzem. I damskim bokserem.

— Mówiono mi już o tym. Hej, skręć tu w pierwszą w prawo, a potem w lewo.

Drogą jechały jedynie dwa samochody, więc skierowałam tam konia, po czym zrobiłam odpowiednie zakręty. Miło było znów jeździć konno i zaczynałam lubić tego wariata z potarganymi włosami i pistoletem na wodę. Bardzo przyjemnie trzymał mnie w pasie, a jego uda przywierały do moich.

— Czy to tu? — Byliśmy w jakimś bliżej nie określonym miejscu, gdzieś na poziomie morza, ale przez drzewa niewiele było widać.

— Przejeźdź tam przez te drzewa... zaraz zobaczysz.

I zobaczyłam. Długi wąski pas plaży, morze i małą zatoczkę. A po jej drugiej stronie jeszcze piękniejszą plażę, która ciągnęła się na dwie mile, kończąc się u stóp gór, opadających na spotkanie morzu. Widok był

wspaniały.

— Och!

— To jest Bolinas, a tam Stinson Beach. Umiesz pływać? Wydawał się zadowolony z miny, jaką zrobiłam, zeskoczył

z konia i wyciągnął ramiona, żeby mnie złapać. Kiedy znalazłam się obok niego na ziemi, zdałam sobie sprawę z tego, jaki jest wysoki. Sama mam pięć stóp i siedem cali, a on musiał mieć ze sześć i trzy.

— Oczywiście, że umiem pływać, ale ty nie umiesz. Zapomniałeś?

— No cóż, nauczę się.

Z nagłym zdziwieniem przyglądałam się temu, co robił i zastanawiałam się, co właściwie zamierzał. Zdjął kurtkę i buty, i zaczynał zdejmować podkoszulkę. Co dalej? Dżinsy? Nie bardzo wiedziałam,

co to miało znaczyć.

— Czemu się tak przyglądasz?

— Może byś mi tak najpierw powiedział, co robisz? Wyprostował się i popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

— Pomyślałem, że moglibyśmy przepłynąć z koniem tam, do tamtego skraju plaży — to niedaleko — potem pojeździć konno. I popływać, i tak dalej. Rozbierz się, przywiążę twoje rzeczy do siodła.

Tak... no pewnie... popływać i tak dalej. I tak dalej, aha... No cóż.

Upięłam znów włosy na głowie, a potem ściągnęłam kurtkę i buty... a potem koszulę, džinsy i majtki. Poza nami na plaży nie było nikogo. Tego roku w kwietniu było już ciepło, a jednak po tej stronie zatoki, w to wtorkowe popołudnie, na plaży w Bolinas nie było nikogo oprócz nas.

Christopher Matthews i ja staliśmy

naprzeciw siebie u stóp gór, zupełnie nadzy i uśmiechaliśmy się spokojnie, podczas gdy koń zdawał się zastanawiać, co będzie dalej. I ja też. Myślałam o tym, czy Chris ma zamiar rzucić się na mnie i zgwałcić albo może znowu polać wodą ze swojego pistoletu, albo jeszcze coś innego. Jego zachowanie było trudne do przewidzenia. Ale on tymczasem bardzo rzeczowo przymocował moje ubranie do siodła i poprowadził

konia do wody. Weszliśmy do niej wszyscy troje, Chris nie zareagował

nawet na jej chłód, ale oglądał się przez ramię sprawdzając, czy daję sobie radę. I owszem, dawałam, ale tyłek zamarzał mi na kość, a nie chciałam dać tego po sobie poznać. Zanurkowałam pod wodę w nadziei, że tak będzie nieco cieplej i popłynęłam obok niego w stronę przeciwległego brzegu. Było to bajeczne uczucie, więc uśmiechnęłam się do siebie wypływając i oglądając się przez ramię na Chrisa. Oto byłam w Kalifornii i przepływałam z jednej plaży na drugą, z koniem i zwariowanym filmowcem. Nieźle, pani Forrester, całkiem nieźle.

Powoli weszliśmy na plażę i Chris przywiązał konia do długiego kawałka drzewa wyrzuconego na brzeg. I znów na plaży nie było oprócz nas nikogo. Czułam się, jakbym grała w filmie albo śniła. Wyciągnął się na słońcu i zamknął oczy, nie wykonując w moją stronę najmniejszego ruchu. Robił to, na co miał ochotę i ja mogłam robić tak samo.

— Zawsze pracujesz w taki sposób, Chris? — Położyłam się na piasku w przyzwoitej odległości od niego, podniosłam głowę i przyglądałam się morzu.

— Nie zawsze. Ale zazwyczaj. Praca nie ma sensu, kiedy jest nudno. —

Najwyraźniej naprawdę w to wierzył.

— Joe mówi, że jesteś dobry.

— Joe nie odróżnia dupy od głowy, ale to miły facet. Załatwia mi bardzo dużo pracy.

— Mnie też. A jest mi potrzebna. I dobrze się z nim pracuje.

Porozmawialiśmy zupełnie obojętnie i to, że gawędzimy ot tak sobie o pracy leżąc nadzy w słońcu, sprawiało na mnie zabawne wrażenie.

— Skąd jesteś, Gili? Ze wschodniego wybrzeża?

— Tak, z Nowego Jorku i bardzo niechętnie się do tego przyznaję.

— To paskudne miejsce. Szkodzi na głowę. Nie zbliżyłbym się do niego nawet na wysokości czterdziestu tysięcy stóp nad ziemią. ^ — Pewnie masz rację. Jestem tu od trzech miesięcy i podobnie zaczynam myśleć.

— Masz męża? — Chyba trochę zbyt późno zadał to pytanie, ale taki był widać jego styl.

— Nie, rozwiodłam się. A ty?

— Nie. Wolny jak ten ptak ponad wodą. — Wskazał na mewę, która szybowiała powoli leniwym łukiem. — To bardzo przyjemne życie.

— Ale czasem samotne. A może nie dla ciebie? — Nie wyglądał na kogoś, kto bardzo cierpi z powodu samotności. W jego oczach nie było tego ostrego spojrzenia, które nadaje walka o przeżycie.

— Pewnie czasem jest trochę samotnie, ale... dużo pracuję. I chyba nie myślę wiele o samotności. — Zazdrościłam mu i zastanawiałam się przez chwilę, czy mieszkał z jakąś dziewczyną, ale nie chciałam go o to pytać.

Nie chciałam wiedzieć. Był pierwszym od dłuższego czasu poznanym przeze mnie mężczyzną, który miał charakter, styl i poczucie humoru. —

Wyglądasz na myślicielkę. Dużo myślisz? — Przekręcił się na brzuch i przyglądał mi się z wyrazem rozbawienia na twarzy.

— Myślicielkę? — Zastanowiłam się... tak... dużo myślę... i co w tym złego? — Tak, dużo myślę.

— I dużo czytasz. — Potaknęłam. — I jesteś straszliwie samotna. —

Znów potaknęłam, ale to, co mówił, zaczynało mnie złościć. Zupełnie jakby żył na szczycie Olimpu i spoglądał łaskawie w dół.

— A ty za dużo mówisz.

Wstałam i popatrzyłam na niego przez chwilę, a potem poszłam do wody i wślizgnęłam się między

fale. Lubiłam go, ale chciałam być przez chwilę sama. Zdawał się stać bardzo blisko i dużo zauważać. I podejrzewałam, że mógłby mnie obchodzić. Bardzo. To kim był i o czym myślał.

Podobało mi się nawet to, jak wyglądał... Chris Matthews był tym, na kogo czekałam, ale teraz kiedy się pojawił, bałam się.

Zaskoczył mnie nagły plusk wody tuż obok i obejrzałam się szybko, by sprawdzić, czy nie zaatakował mnie miejscowy morski potwór. Ale to tylko Chris przepłynął obok, a potem zawrócił

i podpłynął w moją stronę. Naprawdę był jak ogromne dziecko.

Spodziewałam się, że zaraz zanurkuje pode mną albo będzie próbował

mnie przytopić, ale on tylko podpłynął do mnie i poca* łował poprzez fale.

— Wracajmy.

Kiedy to mówił, na jego twarzy malował się spokój i ucieszyłam się.

Zmęczyła mnie już ta zabawa. Ramię w ramię dopłynęliśmy do brzegu i zaczęłam iść wolno w stronę miejsca, gdzie leżeliśmy poprzednio, ale on wziął mnie za rękę i popatrzył na mnie przez chwilę.

— Tam dalej jest piękna jaskinia. Pokażę ci.

Trzymając moją dłoń w swojej poprowadził mnie powoli do maleńkiej groty umieszczonej pośród wysokich morskich traw niczym tajemniczy ogród. I nagle uświadomiłam sobie, że już od lat nie czułam się tak silna i godna pożądanego. Pragnęłam go i on o tym wiedział, a ja wiedziałam, że on mnie pragnął... Ale było jeszcze za wcześnie, ledwie go znałam... to nie mogło się udać... to... Bałam się.

— Chris... ja...

— Szszsz... wszystko będzie dobrze.

Otoczył mnie ramionami i staliśmy tak pośród wysokiej trawy, stopy grzęzły nam w piasku, a potem poczułam, jak moje ciało osuwa się pod nim, aż wreszcie leżeliśmy na piasku i byłam jego.

Rozdział drugi

Czy często to robisz, Chris? Słońce nadal jasno świeciło na niebie, a my wciąż jeszcze leżeliśmy w jego tajemnej jaskini. — Czy często się pieprzę?... Taak... Bardzo często. — Nie, ty pieprzony cwaniaku. Miałam na myśli to, czy tak jak teraz. Tu, w tej jaskini. Z kimś kogo prawie nie znasz. — Mówiłam poważnie. Wszystko to wyglądało na nieźle zaaranżowane, ta jego tajemnicza jaskinia i cała reszta.

— Co masz na myśli? Ale ja cię przecież znam. Nazywasz się... och...

poczekaj, zaraz sobie przypomnę... nazywasz się... — Drapał się po głowie z idiotycznym wyrazem twarzy i miałam ochotę go uderzyć, ale zamiast tego roześmiałam się.

— Dobra, zrozumiałam. Mam pilnować własnych interesów, tak?

— Może. Dam ci znać, kiedy będę miał dość. Ci z Nowego Jorku lubią zadawać dużo pytań.

— Ach tak?

Udawałam, że się obraziłam, ale wiedziałam, że miał rację. Z jakiegoś powodu nowojorczyki są bardziej wścibscy niż ludzie w Kalifornii, być może dlatego, że muszą żyć gęsto ściśnięci w świecie przerażającej anonimowości, więc kiedy już wypytując kogoś wezmą go na ząb, gryzą aż do kości.

— Chcesz się przejechać, Grill?

— Po plaży? — Potaknął szperając w piasku w poszukiwaniu muszelek.

— Bardzo chętnie, ale tym razem ja będę jechała z tyłu.

— Może być bez siodła?

— Wspaniale.

— I ty też jesteś wspaniała, Nowy Jorku. — Pochylił się i pocałował mnie pomagając mi wstać, a jego słowa były zaledwie westchnieniem. We wszystkim, co robił, była jakaś zmysłowość, zupełnie jakby w pełni cieszył się życiem, a jednak najbardziej lubił się kochać. — Masz, to dla ciebie w prezencie. — Szliśmy już w stronę konia, a on wcisnął mi coś w rękę, więc pochyliłam się, żeby zobaczyć, co to jest. Z jego poczuciem humoru powinnam uważać się za szczęśliwą, jeśli nie byłaby to znaleziona na plaży meduza. Ale nie. Była to rozgwiazda. Dziwaczna skorupka z odciskami kwiatów po obu stronach. Taka delikatna, że niemal przezroczysta i bardzo ładna.

— Och... to piękne, Chris, dziękuję.

Podniosłam twarz, pocałowałam go w kark i głęboko w sobie znów poczułam zamęt. Od przyjazdu do Kalifornii, a nawet trochę dłużej nie miałam żadnego mężczyzny, a Chris był nie lada mężczyzną.

— Przestań mnie całować, bo natychmiast zacznę się z tobą kochać, tu na tej otwartej plaży.

— Obiecanki cacanki.

Prowokowałam go i on o tym wiedział, ale złapał mnie za ramię, odwrócił

do siebie i zanim zdołałam się zorientować, leżeliśmy już na piasku i kochaliśmy się. A kiedy przestaliśmy, oboje wybuchnęliśmy radosnym śmiechem.

— Jesteś pomyłony. Wie pan o tym, panie Matthews?

— Ty mnie do tego zmusiłaś, więc teraz nie zwalaj na mnie.

— Gówny prawda. A jeśli starasz się obudzić we mnie poczucie winy, to lepiej zapomnij o tym. Jestem bardzo zadowolona.

— Ja też. A teraz... jak już powiedziałem, jedziemy na przejażdżkę. —

Odpiął siodło i położył je na piasku, ręką znawcy głaszcząc szyję i bok konia, a potem wskoczył z wdziękiem na grzbiet klaczy i wyciągnął do mnie rękę. — Na co czekasz, Gili? Strach cię obleciał?

— Nie, zupełnie co innego. Szczęście. Przyjemnie się na ciebie patrzy.

Siedział wysoki i dumny na końskim grzbiecie koloru piasku, a jego opalone ciało kontrastowało z bladą maścią sierści. Wdźwięk ich ciała

sprawił, że przypomniały mi się wiersze, które czytałam jako dziewczynka. Chris był taki piękny.

— Na ciebie też przyjemnie się patrzy, ale teraz już hop, do góry. Podał

mi dłoń, więc usiadłam za nim, objęłam go w pasie, przywarłam do niego i pożeglowaliśmy pod wiatr. Było to naj-cudowniejsze uczucie, jakie kiedykolwiek przeżywałam. Jazda wzdłuż wybrzeża na złotej klaczy z mężczyzną, którego kochałam. Kochałam...

kochałam?... Chrisa?... Ledwie go znałam, ale to nie miało znaczenia, byłam w nim już zakochana. Od tego pierwszego dnia.

Galopowaliśmy po plaży aż do zmierzchu, a potem wykąпалиśmy się po raz ostatni i dość niechętnie zaczęliśmy się zbierać do odjazdu.

— Czy chcesz przepłynąć z klaczą z powrotem na tamten brzeg? —

zapytałam.

Trochę się zaniepokoiłam, bo zaczynał się przypływ, ale i on to zauważył.

— Nie, teraz pojedziemy raczej drogą. To mniej zabawne, ale rozsądniejsze.

— Ach tak? Zaczynam się zastanawiać, czy nie przepłynęliśmy tu tylko po to, żebym musiała się rozebrać. Wtedy nawet mi to nie przyszło do głowy.

— Naprawdę tak myślisz? — Wyglądał na urażonego i przykro mi było, że to powiedziałam. — Tym razem masz rację.

Zaśmiał się zadowolony z siebie, a ja przystanęłam przyglądając mu się.

Ogromne dziecko, które zdobyło moje serce grożąc mi pistoletem na wodę. No, nieźle.

— Jaki jest następny punkt programu, Zarozumialito Bandito? Zostawisz mnie do rana przywiązaną nago do słupa telegraficznego? — Był do tego całkowicie zdolny.

— Nie. Nakarmię cię. Może być?

— Dożylnie czy normalnie?

— Budzisz we mnie niesmak, Gillian. Oczywiście, że normalnie. W

„Watson House” — najlepsze miejsce w Bolinas. Byłaś tam kiedyś?

— Nie.

— Sama zobaczysz.

Wsiedliśmy znów na konia i pojechaliśmy powoli ku tej części plaży, która była własnością stanową, a potem przeprowadziliśmy konia przez pusty parking na drogę. Do Bolinas dotarliśmy po piętnastu minutach i byliśmy tam dokładnie o zachodzie słońca; wydawało się, że cały świat rozpałił się złotem i czerwienią.

Zatrzymaliśmy się przed małym zniszczonym domem w wiktoriańskim stylu i Chris przywiązał konia, a ja rozglądałam się dokoła. Kilku hippisów wchodziło i wychodziło z budynku, dyskretny szyld głosił

„Watson House”, ale poza tym nie było żadnej informacji o tym, co się tam znajdowało. — Co to za miejsce?

— Restauracja, głupolu. A co myślałaś?

— Skąd miałam wiedzieć? Oj... przy okazji powinnam zadzwonić do sąsiadki i powiedzieć jej, że się spóźnię. Zajmuje się moją małą.

— W porządku. W środku jest telefon.

Wszedł powoli po schodach i bez pukania otworzył zewnętrzne drzwi.

Budynek wyglądał zupełnie jak prywatny dom należący do licznej rodziny. Na sznurach wisały znaczne ilości prania, na zewnątrz stał

dziwny zestaw rowerów i motocykli, a dwa koty bawiły się na trawie z psem. W środku panowała przyjazna domowa atmosfera, która bardzo mi się spodobała i która zdawała się dobrze pasować do Chrisa Matthews.

— Cześć. Co się gotuje?

Chris wszedł prosto do kuchni i zajrzał do garnka stojącego na lśniącym od czystości piecu, który wyglądał jak muzealny obiekt. W kuchni pracowały trzy dziewczyny i mężczyzna. Mężczyzna miał

włosy do pasa, porządnie związane z tyłu skórzanym rzemykiem. Ubrany był w dżinsy oraz coś, co wyglądało jak góra od piżamy i prawdopodobnie nią było, ale najbardziej uderzyły mnie jego bystre, łagodne oczy, które błyszczały sponad brody. Na jego twarzy nie drgnął ani mięsień, a oczy mimo to zdawały się uśmiechać i mówić na powitanie tysiąc miłych rzeczy.

Wszystkie dziewczyny były młode, ładne i skromnie ubrane.

— Gillian, to jest Bruce... Anna, Penny i Beth. Mieszkają tu. — Bruce i dziewczyny powiedzieli „cześć”, a Chris poprowadził mnie do małego pokoju, ozdobionego wesołymi wiktoriańskimi drobiazgami i lampami od Tiffany'ego.

— Co to jest, Chris? Bardzo tu miło.

— Prawda? W zasadzie to komuna hippisów, ale żeby sobie dorobić, prowadzą restauracje i mają tu najlepsze żarcie po tej stronie zatoki.

Musisz spróbować ich ślimaków, są rewelacyjne.

— Spróbuję.

Spróbowałam i były rewelacyjne. Podobnie jak coq au vin, domowy chleb, sałata, mousse au chocolat i tarte aux fraises. Była to królewska uczta. Chris miał rację, jedzenie podawano znakomite. Ale chodziło o coś znacznie ważniejszego. To miejsce było w rozczulający sposób przyjazne. Moje wrażenie, że to dom pełen licznych dzieci, było trafne.

Mieszkało tam jednocześnie dwadzieścia siedem osób i każdy robił coś dla restauracji. Kręcili się bezustannie, a my siedzieliśmy w blasku świec przy jednym z ośmiu małych stolików. Wszyscy wydawali się znać Chrisa, a niektórzy zatrzymywali się i przysiadali do naszego stolika, zanim odeszli do kuchni albo poszli na górę.

— Często tu przychodzisz?

— Tak. Zwłaszcza w lecie. Wynajmuję mały domek w Bolinas i czasami wpadam tu, by po prostu powyglupiać się z całą bandą. Czasami przychodzę tu jeść. Ale tylko przy specjalnych okazjach.

Prowokował mnie delikatnie, lecz Tobił to w miły sposób. Uśmiech rozświecał przy tym jego twarz, a oczy mówiły, że nie chciał mnie zranić.

Był łagodnym mężczyzną. — Ile lat ma twoja mała? — Wydawał się tylko z lekka tym zainteresowany, ale miło z jego strony, że zapytał.

— W przyszłym miesiącu skończy pięć lat. I strasznie rozrabia. Jej główną życiową ambicją jest zostać kowbojem. Gdyby wiedziała, że spędziliśmy cały dzień jeżdżąc konno bez niej, nie odezwałaby się do mnie przez tydzień. Myślę, że przypuszcza, że przyjechałyśmy tutaj zostać kowbojami. — Może moglibyśmy zabierać ją czasem ze sobą. Jest odważna? — Dostatecznie. Bardzo by jej się to podobało. Byłam w jej wieku, kiedy zaczęłam jeździć konno.

— Domyśliłem się, ale na siodle zachodniego typu nie odróżniasz własnej dupy od dziury w ziemi. To też zauważyłem.

Zarumieniłam się lekko i miałam powiedzieć mu coś obraźliwego, ale w końcu roześmiałam się i podniosłam ręce pokonana.

— Masz rację.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakąś godzinę właściwie o niczym, głównie o Kalifornii i o pracy, i dlatego oboje woleliśmy proste życie, kiedy weszła grupa ludzi, którzy wydali mi się znajomi.

— Na co tak patrzysz? — Chris zauważył, że im się przyglądam.

— Na nic. Myślałam, że znam tych ludzi, ale chyba się pomyliłam. —

Było to trzech hippisów, podobnych do Chrisa i mieszkańców tego domu.

Pomyślałam, że po prostu uderzyło mnie ich wzajemne podobieństwo.

— Znasz ich? — Wyglądał na zaskoczonego.

— Nie. Wydawało mi się tylko.

— Zaraz zobaczymy. To naprawdę zabawne. — Pomachał do nich, by podeszli i zaczęłam żałować, że nie mogę zaraz paść trupem.

— Chris... naprawdę... nie... posłuchaj, ja... — ale w tym momencie przypomniałam sobie, gdzie ich przedtem widziałam. Była to ekipa Chrisa. Zauważył, że ich rozpoznałam i wszyscy zaczęli się śmiać.

Słyszeli naszą krótką wymianę zdań i wiedzieli, że Chris miał zamiar odstawić jeden ze swoich numerów.

— Och, Chris Matthews, ty beznadziejny, wielki draniu!...

— Cześć, chłopcy. Miło znów was zobaczyć. Jak się skończyła bitwa?

Czy komuś udało się utopić tych facetów od Carsona?

— Nie, odjechali swoim jeepem prawie zaraz potem, jak się ulotniliście, a my spędziliśmy resztę dnia pijąc wino z Joem i aktorami. Oni też byli opłaceni na cały dzień, więc uznaliśmy, że nie ma sprawy. A wy co robiliście? Zdawali się zwracać bardziej do Chrisa niż do mnie, więc pozwoliłam mu, żeby się tym zajął. Poza tym chciał się dowiedzieć, co sądzili o zdjęciach i co mieli nadzieję znaleźć na taśmie. Wszyscy uważali, że poszło świetnie, więc poczułam ulgę w imieniu Joego Tramino. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby miał cierpieć z powodu naszych szaleństw. Naszych?... No cóż, odjechałam przecież z Chrisem, a to już było dostatecznie szalone. Nie spodziewali się tego po „scenografie z Nowego Jorku”, właściwie ja też nie. Zapłaciliśmy rachunek w „Watson House” i

cała nasza piątka wyszła na dwór, gdzie ciężarówka Chrisa, a także samochód i przyczepa z końmi stały obok naszej klaczy. Miło było znowu ją zobaczyć. Jej widok przypominał mi o tym, co stało się na plaży. — Zabieram samochód. Dziękuję, że go podrzuciliście.

Powiedzieli dobranoc i zajęli się koniem, a my wskoczyliśmy do nieco podejrzanego pojazdu Chrisa. Kiedy Chris szarpał zapłon, zaczęłam się zastanawiać, czy powrotna podróż w czymś takim po krętej, górskiej szosie będzie bezpieczna, ale może z Chrisem tak.

Okazało się, że była to bardzo łatwa jazda. Tej nocy nie było mgły, a księżyc oświetlał drogę wspaniałym srebrnym blaskiem. Śpiewałam stare ballady, które pamiętałam z dzieciństwa, a Chris przyłączał się do mnie od czasu do czasu. Spoglądaliśmy na siebie w świetle księżyca, całowaliśmy się czasem i bardzo niewiele mówiliśmy. Nie musieliśmy.

Tak dobrze było po prostu tam być.

Ogarnął mnie żal, gdy zobaczyłam wjazd na autostradę i zamarzyłam o tym, by droga do domu była dłuższa. Nie chciałam wracać do ludzi i samochodów. Tak bardzo podobała mi się nasza samotna droga wśród gór... i opuszczona plaża.

— Gdzie mieszkasz, Gili?

Przejeżdżaliśmy już przez most i w oddali ładnie migotały światła Sausalito, Tiburon i Belvedere po jednej stronie zatoki, a San Francisco po drugiej. Był to bardzo rzadki widok, gdyż zazwyczaj o zachodzie słońca opadała mgła.

— Mieszkam w Marina. Nad zatoką.

— Świetnie.

Zjechał od razu z autostrady, podałam mu adres i po kilku minutach byliśmy pod domem. — Zatrzymaj się tu, Chris. Muszę wpaść do sąsiadki, bo Sam jest u niej. — Sam? — Podniósł brwi, wyglądał na zdziwionego. — Moja córeczka. — Skinął głową, a mnie ucieszyła myśl, że mógł być zazdrosny. — Mam poczekać, czy zepsuje ci to scenę powitania? — Wcale nie. To miło z twojej strony. Zaraz wrócę.

Zadzwoniłam do sąsiadki i weszłam, żeby wyłuskać moje na wpół

śpiące dziecko z kanapy. Zaskoczona zauważyłam, że była dopiero dziewiąta. Podziękowałam sąsiadce i wyszłam odkrywając, że Chris czekał już na naszych schodach. Przyłożyłam palec do ust i podałam mu klucz, nie chcąc rozbudzić Sam. Popatrzył na nią przez chwilę, a potem skinął głową z aprobatą i odwrócił się, by otworzyć drzwi, a wtedy wśród nocy rozległ się zaspany, prawie pięcioletni głos Sam:

— Kim on jest, mamo?

Uśmiechnęłam się, a Chris wybuchnął śmiechem. Otworzył drzwi i wniosłam ją do środka.

— To jest Chris Matthews, Sam. Chris, to jest Samantha... a teraz pora spać, młoda damo. Przyniosę ci piżamę, potem możesz dostać szklankę mleka, jeśli masz ochotę.

— Okay. — Usiadła na krześle i zaspanym wzrokiem przyglądała się Chrisowi, który rozłożył się na sofie wyciągając przed siebie swoje długie nogi, a włosy, po naszym dniu na plaży, miał jeszcze bardziej potargane niż przedtem. Przyniosłam piżamę dla Sam i wracałam właśnie do kuchni, kiedy usłyszałam, jak pyta Chrisa ochryplym szeptem:

— Naprawdę jesteś prawdziwym kowbojem? — w jej głosie brzmiała nadzieja i zastanawiałam się, co Chris jej odpowie.

— Owszem, jestem. Bardzo to ci przeszkadza?

— Przeszkadza? Nie... nie... Ja też chcę być kowbojem! — odparła bardzo konspiracyjnym tonem.

— Naprawdę? To wspaniale. Może moglibyśmy czasem pojeździć razem konno. Ale wiesz, co musisz najpierw zrobić? — Nie widziałam jej twarzy, ale mogłam sobie wyobrazić szeroko otwarte oczy, wyczekujące, co też on jej powie: — Musisz pić dużo mleka i chodzić spać wtedy, kiedy mama ci każe. Wtedy będziesz duża i silna, i zostaniesz naprawdę superwspaniałym kowbojem.

— Naprawdę muszę robić wszystkie te okropne rzeczy? — w głosie Sam brzmiał niesmak.

— Oczywiście, że nie. Tylko jeśli chcesz być kowbojem, głuptasie.

— Och... no dobrze... okay...

Weszłam do pokoju ze szklanką mleka wdzięczna Chrisowi za jego słowa. Po raz pierwszy Sam wypila wszystko prawie jednym haustem i niczym strzała pomknęła do łóżka, machając mu na pożegnanie i mruczając:

— Dobranoc panie... panie Crits... do zobaczenia któregoś dnia na rodeo.

Ułożyłam ją do snu, pocałowałam na dobranoc i wróciłam, by zastać Chrisa bardzo z siebie zadowolonego.

— Dziękuję. Ułatwiłeś mi zadanie.

— Jest bardzo słodka. Podoba mi się. Wygląda na miłe dziecko.

— Poczekaj, nie widziałeś jeszcze, co potrafi. Była na wpół śpiąca.

Następnym razem może na tobie wypróbować swoją nową sztuczkę z lassem i będziesz cały poobcierany od sznura. Niezły z niej numer. — Ale ucieszyło mnie, że mu się spodobała.

— Ty też jesteś niezły numer. I nie jestem pewien, czy zgodziłbym się na jakieś sztuczki ze sznurem w twoim wykonaniu. Mogłabyś spróbować mnie udusić. Naprawdę myślę, że próbowałaś zrzucić mnie dziś z tego konia, kiedy sądziłaś, że miałem cię pod pistoletem. Ale ja cię rozszyfrowałem. —

To wspomnienie wyraźnie go rozbawiło.

— Tym lepiej dla ciebie. Miałam zamiar naprawdę cię rozłożyć.

— Chcesz spróbować jeszcze raz?

Wyciągnął do mnie ramiona przez pokój, a ja poszłam ku niemu z uczuciem, jakbym rodziła się na nowo. Już tak dawno nikomu na mnie nie zależało ani nikt nie pragnął mnie jako kobiety. A teraz miałam kogoś, kto mnie pragnął. A czy mu na mnie zależało — o tym przekonam się z czasem.

Rozdział trzeci

Telefon zadzwonił w środę piętnaście po dziewiątej, a ja podnosząc słuchawkę miotałam się między nadzieją, że to Chris, a pragnieniem, żeby to była nowa praca. Potrzebowałam pieniędzy.

— Halo?

— Gillian? Tu Joe.

— Och, cześć. No, te wczorajsze zdjęcia to dopiero było coś.

— Taaak. Pomyślałem, że zadzwonię i sprawdzę, czy nie jesteś na mnie wściekła za sprowadzenie cię do tego domu wariatów. I chciałem się upewnić, że on cię nie zrzucił z jakiegoś urwiska czy coś w tym rodzaju.

— „Wściekła? A to dopiero!”

— Nic podobnego. Świetnie się bawiłam. To było najłatwiejsze sto dwadzieścia dolarów, jakie kiedykolwiek zarobiłam. Chociaż trochę mnie nastraszył tym wodnym pistoletem.

— Naprawdę? Myślałem, że wiedziałaś.

— Nie, nie wiedziałam. I o mało nie zrzuciłam go za to z konia, ale w końcu wszystko dobrze się ułożyło. — „Tak, owszem”.

— Ciesz mi to. Posłuchaj, chciałem cię o coś zapytać, czy jesteś wolna w piątek wieczorem? — „Ha, w piątek wieczorem? Cholera, to nie praca. Randka. A ja chciałam umówić się z Chrisem, a nie z Joem”. — To doroczny Bal Scenografów i trochę tam zawsze bałaganu, ale pomyślałem, że może chciałabyś pójść.

— Oczywiście, Joe. Z przyjemnością. — „A co będzie, jak Chris zadzwoni? Co jeśli?...”

— Świetnie. Włóż, co chcesz. Coś ekstrawaganckiego, żadnych formalności. Robimy to w magazynach, w mieście. Brzmi to trochę wariacko, ale może być dobra zabawa.

— Brzmi wspaniale, Joe. Dziękuję za zaproszenie.

— Pręgo, pręgo signorina. Cieszę się, że masz czas. Podjadę po ciebie o ósmej. Do zobaczenia. Cześć, Gili.

— Cześć.

Odłożyliśmy oboje słuchawki i zaczęłam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłam. Joe nigdy przedtem nigdzie mnie nie zapraszał, a ja nie chciałam pakować się w poważną historię z kimś, kto załatwiał mi pracę.

To bardzo zła polityka. A poza tym Joe nie był w moim typie... i co jeśli Chris będzie chciał... och, cholera. Pomyślałam, że na pewno by zrozumiał, a poza tym już się zgodziłam, więc po co się tym zadręczać.

Mogłabym to omówić z Chrisem... to znaczy mogłabym, gdyby zadzwonił. Okazało się, że tydzień skończył się bez telefonu od Chrisa.

Byliśmy z Sam na plaży, pomalowałam podłogę w kuchni w czerwone, białe i niebieskie pasy, a sufit w gwiazdy, dostałam zlecenie od Freeman

& Barton Advertising, które zajęło mi całe dwie godziny w piątek po południu i wciąż ani znaku od Chrisa. Mogłabym sama do niego zadzwonić, ale nie chciałam. Wszedł w środę rano o pierwszym brzasku dnia i powiedział, że zadzwoni. Ale nie powiedział kiedy... może w przyszłym roku? A może robił to specjalnie, tylko że to do niego nie pasowało. Może był zajęty... robieniem filmów... ale tylko praca i żadnej zabawy, to też nie było w stylu Chrisa i kiedy w piątek wieczorem przygotowywałam Sam kolację, byłam już tym wszystkim wykończona.

— Dlaczego wychodzisz dziś wieczorem, mamusiu?

— Bo myślałam, że może być dobra zabawa i że ty będziesz spała, więc wcale nie będziesz za mną tęskniła. — Staralam się ze względu na Sam, żeby to zabrzmiało pogodnie, ale czułam się kiepsko.

— Owszem, będę. Czy ktoś ze mną zostanie? — Potaknęłam i pokazałam jej kolację, której nie mogła skończyć. — Może przywiążę tę dziewczynę do krzesła i podpalę sznur. Tak robią Indianie.

To się nazywa indiański prezent.

— Nie, o indiańskim prezencie mówi się, kiedy ktoś coś komuś daje, a potem odbiera. — Pomyślałam o Chrisie i skuliłam się w sobie. — I do niczego nie przywiążesz dziewczyny, która przyjdzie cię pilnować, bo w przeciwnym razie po moim powrocie dostaniesz lanie, jakiego jeszcze w życiu nie dostałaś. Jasne? — Dobrze, mamusiu.

Zagłębiła się w swoim mleku z wyrazem nudy i beznadziei na twarzy, a ja poszłam do sypialni chcąc wybrać coś do włożenia na Bal Scenografów.

Powiedział, że ma to być coś ekscentrycznego, więc wygrzebałam kwiecistą cygańską spódnicę, o której zupełnie zapomniałam, i pomarańczową obcisłą górę. Miałam nową parę pomarańczowych zamszowych butów i złote wiszące kolczyki i uważałam, że to powinno wystarczyć. Słyszałam, jak

Sam krąży po swoim pokoju i za dziesięć ósma poszłam tam sprawdzić, co robi i zapędzić ją do łóżka.

— Okay, Sam. Odłóż zabawki i wkładaj piżamę. Twoja niańka będzie tu lada chwila.

— Ładnie wyglądasz, mamusiu. Czy umówiłaś się z panem Critsem?

Moje serce podniosło się i prawie natychmiast opadło. Pokręciłam głową.

Nie, nie umówiłam się z „panem Critsem”, ale bardzo pragnęłam, żeby tak właśnie było i nagle zaczęłam się zastanawiać, czy Chris może pojawić się na tym przyjęciu.

O ósmej dzwonek u drzwi zadzwonił i Joe Tramino wszedł razem z dziewczyną, która miała zostać z Sam.

— Cześć, Sam jest w swoim pokoju. Ma iść spać, a ja jestem gotowa do wyjścia. Cześć, Joe. Dobranoc, Barbara. Pa, Sam.

Posłałam pocałunek w stronę jej pokoju i wyszłam razem z Joe z domu.

Nie chciałam, by Sam zaczęła wygłaszać swoje uwagi na temat mojego wyjścia, dlatego starałam się jak najszybciej zmyć. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca.

— Chryste, Gili, wyglądasz fantastycznie!

Odgadłam po jego spojrzeniu, że naprawdę tak myślał i poczułam się nieco winna za brak entuzjazmu wobec tego wieczoru. Do diabła, może przecież być zabawnie.

— I pan wygląda całkiem nieźle, panie Tramino. Bardzo modnie.

Miał na sobie brązowe zamszowe lewisy i ciemnoczerwony golf. Kiedy stanęliśmy obok siebie, uderzyło mnie to, jak okropnie do siebie nie pasowaliśmy.

Podeszliśmy do jego samochodu, który stał zaparkowany przy krawężniku, i Joe pomógł mi wsiąść. Trochę dziwnie czułam się jako dziewczyna przy kimś, dla kogo zawsze byłam „jednym z naszych ludzi”, ale tak już jest, kiedy człowiek umawia się z kolegami z pracy. Zawsze wydawało mi się to trochę śmieszne.

— Pomyślałem, że wpadniemy gdzieś po drodze na kolację. Znasz „U

Nicole”?

— Nie, nie pamiętasz, że jestem nowa w tym mieście?

— Spodoba ci się. Francuska kuchnia. Znakomita.

Tak bardzo starał się sprawić mi przyjemność, że było to prawie bolesne.

Biedny Joe. Wiedziałałam, że w agencji uważany jest za wspaniałą zdobycz. Niezbyt piękny, trzydzieści sześć lat, dobra praca z imponującymi zarobkami, miły charakter i niezłe poczucie humoru. Ale mnie nie brał. Nie brał mnie nawet dawniej, a teraz było jeszcze gorzej.

To nie był Chris. Przerzucaliśmy się żartami przy kolacji i starałam się utrzymać w rozmowie nastrój koleżeństwa. Ale Joe chciał odwrócić karty. Poił mnie czerwonym winem i dostaliśmy najlepszy stolik. Wybrał

naprawdę dobrą, małą restaurację. Wnętrze zrobione było w stylu ogromnego letniego namiotu na garden party, stoły nakryte obrusami w biało-czerwoną kratę, a całe pomieszczenie oświetlone świecami.

— Kto będzie na tym przyjęciu, Joe? Znam tam kogoś? — Starałam się, żeby zabrzmiało to obojętnie, ale nie zabrzmiało.

— Ci sami co zwykle. Scenografowie z większości agencji w mieście, pełno modelek, trochę ludzi z filmu, nic specjalnego. — Ale dobrze wiedział, o co mi chodziło. Wiedział, że chodziło mi o Chrisa i czekał, co teraz powiem. — Wygląda na zabawną zbieraninę. W Nowym Jorku też robią coś takiego raz do roku, ale jest tam taki tłum, że nigdy nie udaje ci się spotkać kogoś znajomego. Po prostu dziki tłum, jak wszędzie w Nowym Jorku.

— Tu jest inaczej. Wszystko jest mniejsze. San Francisco to bardzo małe miasto. I wszyscy wszystko o sobie wiedzą. — „Co to miało znaczyć?*

— Tak jak ja wiem, że jeśli się wpakujesz w niektóre osoby, to możesz się sparzyć. Mam na myśli Chrisa, Gili. — „No proszę, powiedział to.

— Tak?

— Posłuchaj, nie odgrywałem wtedy swatki, tylko odwalałem robotę.

Miałem nawet załatwioną inną dekoratorkę, tylko się rozchorowała. Gili, to jest znakomity facet i uwielbiam go, ale on nie ma żadnych zasad, kolekcjonuje kobiety i myśli wyłącznie

o sobie. Można się z nim świetnie bawić. Ale nie zakochuj się w nim.

Może nie powinienem tego robić, ale postanowiłem, że ci powiem. I żebyś sobie nie robiła zbędnych nadziei, nie będzie go tam dzisiaj. Nie cierpi tego rodzaju przyjęć. Słuchaj, ten facet to hippis. A ty jesteś miłą dziewczyną z Nowego Jorku, prawdopodobnie z dobrej rodziny. I przeszłaś swoje, rozwiodłaś się... nie pakuj się w niego. — „Uff, całe przemówienie".

— Nie pozostawiłeś mi wiele do powiedzenia, Joe. Oczywiście, że nie jestem w nim zakochana. Spotkałam go w zeszły wtorek i od tej pory go nie widziałam. — „Niech to cholera". — I zgadzam się z tobą, że zabawnie się z nim pracuje, ale prawdopodobnie beznadziejnie jest się z nim wiązać. Ale ja jestem już dużą dziewczynką i sama sobie poradzę. I nie jestem z nim związana... okay? — „A kto twierdzi inaczej?"

— Wierzę ci na słowo. Ale będzie mi przykro, jeśli się dowiem, że między wami zaczęło się coś poważnego. Stanie się to z mojej winy i prawdopodobnie będę chodził z zazdrości po ścianach mojego pokoju!

Twoje zdrowie. — Wzniósł toast pozostałą w butelce resztką wina, a ja opróżniając swój kieliszek marzyłam po cichu, żeby mógł szybko dostać swojego ataku zazdrości. Wyszliśmy z restauracji i pojechaliśmy w dół

miasta na Broadway, minęliśmy neonową histerię barów z tancerkami topless i skręciliśmy w Battery Street, niedaleko wjazdu na Bay Bridge.

Kiedyś był tu port i zwyczajne linie okrętowe. Zabudowa rozpoczęła się na początku wieku, ale dopiero od niedawna ta część miasta stała się jedną z najciekawszych. Przeniosło się tu sporo agencji reklamowych, a już od wielu lat istniały tu liczne firmy dekoratorskie. W rezultacie obdrapane magazyny stały obok świetnie zaprojektowanych nowych budynków o ceglanych ścianach i szklanych fasadach.

Joe zaparkował samochód przed jednym z magazynów i weszli-

my do środka. To dopiero był widok. Mnóstwo błyszczącego, lustrzanego plastiku zwisało od sufitu do podłogi, a migające reflektory i neonowe światła sprawiały, że sala wyglądała tak, jakby miała zaraz eksplodować.

Podłoga zasypana była confetti, a jakaś wściekła grupa acid rockowa ubrana w dzinsy i koszule ze srebrnej lamy grzmiała na cały budynek ogłuszającym i zatykającym dech w piersi rytmem. W rogu umieszczono oryginalnie zaprojektowany bar. Wyglądał jak góra lodowa, a dziewczyna, która nalewała drinki, miała na sobie tylko spódnicę zrobioną z plastikowych sopli. Po sali kręciło się już sporo gości. Ubrani byli, jak określił to Joe... ekscentrycznie. Satyna w kolorze fuksji i zielony zamsz, suknie, które nie miały przodów albo tyłów, albo ani jednego, ani drugiego, fryzury wszelkich możliwych kształtów, kolorów i rodzajów.

Tony dzinsów i krocie wysokich butów. Zwariowany mmi, który mógł

być jedynie zbiorowiskiem artystów. Nikt inny by się nie odważył. W

moim cygańskim stroju poczułam się niemal jak mała pastereczka, ale zadowolona byłam, że tak się ubrałam. Dawało mi to okazję przyglądania się innym z zachowaniem rozsądnej anonimowości, a jednocześnie wyglądałam odpowiednio.

Zauważyłam, że jakaś grupa ludzi stojąca z jednej strony sali wpatrywała się w sufit, a Joe pociągnął mnie za rękaw. — Popatrz.

Widok, który ujrzałam, natychmiast mnie rozbawił. Pod sufitem, na wysokości około dwunastu stóp od podłogi, zawieszona było małe normalne lodowisko, na którym dziewczyna w stroju z rewii spokojnie wykonywała swój numer. Poruszała się zgodnie z własnym, wdzięcznym rytmem, zupełnie nie zwracając uwagi na wariackie dźwięki grupy acid rocka. Była cudowna. — Skąd oni ją, u diabła,

wytrzasnęli?

— Nie mam pojęcia, ale to jeszcze nic. Popatrz teraz tam. Znow wskazał

ręką i tym razem zobaczyłam baletnicę, która

spokojnie kręciła w kącie piruety i co kilka minut padała na podłogę w śmiertelnym omdleniu. Po czym ożywała, podnosiła się i znow kręciła piruety, aż do następnej pozorowanej śmierci na podłodze. Prezentowała się jeszcze ciekawiej niż łyżwiarka. Zaczęłam się więc sama rozglądać po sali. Odkryłam dżentelmena wyglądającego na nadzianego prezesa banku, powoli spacerującego po sali. Nie odzywał się do nikogo i robił

ogromne balony z gumy do

żucia, która musiała być wielkości mojej pięści. Byli znakomici.

Dowiedziałam się, że zarówno oni, jak i oryginalny wystrój wnętrza, wszystko to było dziełem przedsiębiorstwa usług rozrywkowych pod nazwą „Wynajmij wariata”, kierowanego przez młodego artystę z San Francisco, który uważał, że będzie to dobry pomysł. I miał rację. Zrobił im przyjęcie.

Podczas całego wieczoru gubiliśmy się i odnajdywaliśmy z Joem dziesiątki razy. Spotkałam kilka osób, które znałam z innych agencji, i tańczyłam z nie kończącą się galerią podobnych do siebie twarzy. Żadna z nich nie przypominała rysów Chrisa, żaden z partnerów nie był Chrisem.

Chrisa tam nie było. Ale ja byłam i bawiłam się zupełnie dobrze.

Wyszliśmy po trzeciej nad ranem. Przyjęcie trwało jeszcze w najlepsze, ale my już mieliśmy dosyć. Joe zabrał mnie do Buena Vista na kawę po irlandzku oraz ładny widok na zatokę i migocące po drugiej stronie Sausalito, a potem uznaliśmy wieczór za zakończony.

Zaparkował przed *wejściem* do mojego domu i z pewnym przerażeniem stwierdziłam, że wszystkie światła były zgaszone. Co oznaczało, że niania zasnęła. Idiotka.

— Dziękuję, Joe, to był naprawdę wspaniały wieczór. Najlepsze przyjęcie na jakim byłam od lat.

— A ty jesteś moją najlepszą randką od lat. Czy moglibyśmy się jeszcze kiedyś umówić?

— Oczywiście, Joe. I dzięki.

Pocałowałam go lekko w policzki, wsunęłam klucz w zamek szybko go przekręcając i z ulgą zobaczyłam, że Joe wraca do swojego samochodu.

Bez problemu. Bez scen przy drzwiach. Spokój.

Obudziłam niankę i zaproponowałam, że zamówię jej taksówkę, ale powiedziała, że przyjechała samochodem i zniknęła w chwilę po Joem, a Sam i ja znow zostałyśmy same w cichym domu.

Zbyt cichym. Dziewczyna powiedziała, że przez cały wieczór nikt nie dzwonił. Żadnych wiadomości. Cholera.

Rozdział czwarty

W sobotę rano słońce wstało wcześniej od nas i obie z Sam wybrałyśmy się na Marina Beach koło Yacht Clubu, żeby się trochę poopalać przed obiadem. Odbyłyśmy na piasku długą dyskusję nad zaletami życia kowboja i opisałam jej przyjęcie. Wywarło na niej wrażenie. Baletnica, łyżwiarka i mężczyzna, który żuł gumę? Och! To musiało być rewelacyjne! A ja stwierdziłam z rozbawieniem, że to samo pisano w gazetach, zachwycając się w podobny sposób, jak zrobiła to Sam.

W południe siedząc na kamiennych stopniach koło łodzi przegryziłyśmy hot dogi i ziemniaczane chrupki, rzucając kawałki bułki wyczekującym mewom.

— Mamusiu, co będziemy dziś robiły?

— Nic specjalnego. Dlaczego?

Nie miałam żadnych planów i byłam trochę zmęczona, bo zdążyłam złapać tylko trzy godziny snu, zanim Sam przyszła, by zażądać swoich płatków kukurydzianych. Nie był mi dany przywilej zostania Śpiącą Królową.

— Pojedźmy zobaczyć jakieś konie. — „...Jezu... a może na mecz piłkarski?... Sam, jesteś przecież dziewczynką...” — Może mogłybyśmy pojechać popatrzeć na konie w parku Golden Gate?

Nie okazałam szczególnego entuzjazmu.

— Moim zdaniem to niezły pomysł.

Głos, który rozległ się za moimi plecami, nie należał do Sam. To był

męski głos. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, ale i tak wiedziałam. To był

Chris.

— Cześć, Gili. Cześć, pętaku. Czy wy dziewczyny nigdy nie bywacie w domu? Wpadłem do was dwa razy w tym tygodniu. Nikogo nie było.

Tajałam.

— Naprawdę? Dlaczego nie zostawiłeś żadnej wiadomości?

— Nie przyszło mi to do głowy. A zresztą pomyślałem, że wcześniej czy później i tak was złapię.

Tak, tylko okazało się, że było to raczej później niż wcześniej, do diabła.

Ale jakie to miało znaczenie? Wrócił.

— Miło mi cię widzieć. Jak się udał nasz film?

— Świetnie. Tramino nas pokocha.

Nas? To było miłe. I widziałam, że naprawdę był zadowolony z filmu.

— Ale nie mówmy teraz o pracy. Zdaje mi się, że miałyście zamiar iść do parku oglądać konie. Czy mogę iść z wami?

Żartuje? Oczywiście, że możesz iść! Po trzech dniach niewidzenia mógłby pójść ze mną nawet do dentysty, gdyby miał na to ochotę. Te trzy dni były jak lata.

— Pójdzie pan z nami, panie Crits? Bardzo proszę! — Jej „proszę”

wyciągnęło się ku niemu, a razem z nim moje serce i przytaknęłam radośnie.

— Czemu nie miałbyś pójść, Chris?

— Dziękuję, moje panie. Zrobię to z przyjemnością. Pod warunkiem że nie będziesz mnie nazywała panem Chrisem, młoda damo. W

przeciwным razie ja będę na ciebie mówił Samantha. Jak ci się to podoba? — Blee! — Zrobiła odpowiednią minę, żeby to zilustrować i oboje z Chrisem wybuchnęliśmy śmiechem.

— Mów do mnie Chris. Po prostu Chris. Okay? — Sam miała właśnie wybuchnąć radością, aleja pokręciłam głową i Chris uniósł brwi. —

Dlaczego nie, Gili? Nie bądź taka sztywna. Okay, niech będzie wujek Chris, zgoda?

Ten pomysł zdawał się go bawić i mnie znacznie bardziej odpowiadał. Czasami moje sztywne wychowanie w dzieciństwie odzywało się w zabawnych momentach.

— Znacznie lepiej. — Dałam swoją władcą zgodę.

— Okay, Sam. Mów na mnie wujek Chris. Odpowiada ci to?

— Wolę to nawet. Wujek Chris. To niezłe. — Skinęła głową w zamyśleniu, po czym uśmiechnęła się i zaofiarowała mu swoją ostatnią ziemniaczaną chrupkę.

— Dziękuję, Sam. Chcesz się przejechać na barana do mojego samochodu?

— Tak! Tak!

Wskoczyła mu na ramiona, objęła za szyję i ruszyliśmy. Ja niosłam torbę z ręcznikami i moje szczęśliwe serce, wyruszyliśmy na spotkanie wesołego dnia.

Zatrzymaliśmy się u nas w domu, żeby nakarmić Chrisa sałatką z tuńczykiem, wysłać Sam na siusiu,

uczesać moje włosy i zabrać kilka nieodzownych w parku drobiazgów, takich jak pluszowy miś Sam i butelka wina. A potem wladowaliśmy się do samochodu Chrisa i ruszyliśmy do parku. Znaleźliśmy tam maneż z końmi i odbyliśmy przejażdżkę na dwóch dość zmęczonych kasztankach. Sam jechała z Chrisem, który opowiedział jej nieco zmodyfikowaną wersję naszej jazdy po plaży i przepływania z koniem na drugi brzeg w dniu kręcenia filmu.

Sam uważała, że było to cudowne. A ja, słuchając tego, też tak myślałam.

Potem poszliśmy do japońskiej herbaciarni i zjedliśmy jakieś dziwaczne ciasteczka popijając je herbatą. A potem leżeliśmy do piątej na trawie w ogrodzie botanicznym. Sam bawiła się swoim pluszowym misiem. Chris i ja piliśmy wino, potem bawiliśmy się w berka i w chowanego. Był to wspaniały dzień. Nie chciało nam się wracać do domu, ale zrobiło się już zimno.

— Co by pan powiedział na domowy obiad, panie Matthews? Gulasz.

— Umiesz gotować?

Zdawał się zastanawiać nad zaproszeniem i natychmiast przypomniałam sobie ostrzeżenie Joego. Może miał jakieś inne plany.

— Trochę umiem. Ale jeśli masz wybrzydzać, to możesz iść do diabła.

— Bardzo dziękuję. Skoro taki mam wybór, to wolę już jeść u ciebie.

Skinął poważnie głową, a Sam zawyła z zachwytu, wyrażając tym także moje uczucia. Po drodze zrobiliśmy zakupy, a kiedy wróciliśmy do domu, Chris wykąpał Sam, podczas kiedy ja przygotowałam spaghetti z sosem mięsnym i ogromną sałatę. Wyszli z łazienki ręka w rękę. Sam wyglądała na niezwykle zadowoloną, z jakiegoś powodu zaczęłam się zastanawiać, czy nie była to udawana kąpiel. Ale jeśli nawet, to i co? Nikt jeszcze nie umarł od odrobiny brudu.

— Hej, Gili... jest pewien problem z twoją kolacją — powiedział do mnie bardzo cicho.

— Co się stało?

— W sosie mięsnym są robaki... ale nie mów Sam.

— Robaki? Gdzie? — Prawie krzyczałam. Robaki? Nie idzie nawet o Sam, mnie samą mdliło na myśl o tym.

Skinął łową, sięgnął do miski i wyciągnął z niej długi oślizgły kawałek spaghetti.

— Przyjrzyj się tylko. To najdłuższy robał jakiego w życiu widziałem.

— Och, ty draniu! To jest spaghetti. — Tak jakby tego nie wiedział.

— Naprawdę? Nie żartujesz? — Chłopięcy uśmiech pojawił się przy tych słowach na jego twarzy, a ja miałam ochotę rąbnąć w niego patelnią.

— Gównu nie robaki. Wszyscy do stołu!

— Gillian!

Jego twarz zastygła w wyrazie, który tak przypominał mojego ojca, że od razu się roześmiałam. Usiedliśmy wszyscy troje do stołu. I przez cały posiłek panował kompletny chaos, dopóki Sam nie poszła do łóżka i naczynia nie zostały pozmywane.

Ten wieczór był zupełnie inny niż spędzony z Joem na Balu Scenografów. Wszyscy troje byliśmy szczęśliwi. I niech szlag tafi ostrzeżenia Joego Tramino. Chris Matthews był całkowicie w porządku.

Miał swój styl, lubił robić kawały i żartować, miał jakiś dziecięcy urok, który sprawiał, że wydawał mi się bardziej przyjacielem Sam niż moim.

Uważałam, że był dobrym człowiekiem i widziałam przed sobą tylko szczęśliwe dni.

— Czy pojedziecie ze mną jutro na plażę?

Rozłożył się na kanapie pijąc wino i czekając, aż skończę wszystko w kuchni.

— Świetnie. Na pewno będzie wesoło. Stinson?

Nasze oczy spotkały się na dłuższą chwilę, bo oboje pamiętaliśmy, co się tam stało.

— Stinson... aha, Gili, jest coś, co chyba powinnaś wiedzieć. Jest jedna dziewczyna, z którą mieszkam... nie masz nic przeciw temu?

Rozdział piąty

Odkrycie, że Chris mieszkał z kimś, było dla mnie swoistym szokiem.

Taka możliwość przemknęła mi przez głowę pierwszego dnia, ale odsunęłam ją na bok. Nie chciałam o tym wiedzieć. Nie chciałam, żeby miał kogoś innego. Powiedział, że nie miała dla niego wielkiego znaczenia. Żebym się nie martwiła. Coś wymyśli. I powiedział to wszystko tak

swobodnie, że wiedziałam, iż mówi prawdę. Ufałam mu.

Spędził u mnie tę noc i bez mrknięcia przeniósł się z mojego łóżka na kanapę zanim Sam wstała. Uważałam, że nie powinna wiedzieć. Jeszcze nie. Było za wcześnie.

Wyjechaliśmy do Stinson Beach o dziesiątej, po ogromnym śniadaniu złożonym z grzanek i jajecznicy na boczku. I przygotowaliśmy koszyk z jedzeniem. Kiedy tym razem dotarliśmy na plażę, z pewną przykrością stwierdziłam, że byli na niej ludzie. Nie należała wyłącznie do nas. Sam popędziła do wody bawić się z innymi dziećmi, a Chris i ja zostaliśmy sami.

— Czy to ci robi dużą różnicę, Gili?

Wiedziałam, o co mu chodzi, od razu kiedy o to zapytał.

— To że mieszkasz z tą dziewczyną? Potaknął.

— I tak, i nie. To bardzo przykre i jestem zazdrosna. Ale zostawiam to tobie. Skóro nie jest dla ciebie taka ważna, to przypuszczam, że to nie robi większej różnicy. Co masz zamiar z tym zrobić? — To było sedno sprawy.

— Och, wyprowadzi się. To tylko gówniara hippiska, którą przygarnąłem w zimie. Była bez pieniędzy, bardzo młoda i pomyślałem sobie, że mógłbym jej pomóc.

— I coś jeszcze, jak podejrzewam. — Zaczynało mnie to złościć. Stawała się konkretna. To była prawdziwa, żywa dziewczyna. I mieszkała z Chrisem.

— Hej... naprawdę jesteś zazdrosna. Uspokój się, mała. Ona się wyprowadzi. I nie jestem w niej zakochany, jeśli to cię interesuje.

— Czy ma ładne ciało? — „Niech to cholera...”

— Tak, ma, i ty też, więc już się odczep. Tylko jedna dziewczyna znaczyła coś dla mnie naprawdę, ale już nie znaczy, więc masz wolną drogę.

— Kto to jest? — Chciałam wiedzieć wszystko.

— Pewna dziewczyna pół-Azjatka, z którą mieszkałem kiedyś dawno.

Marilyn Lee. Ale teraz mieszka w Honolulu. Bardzo, bardzo daleko stąd.

— Myślisz, że tu wróci? — Czułam się jak paranoik.

— A czy ty myślisz, że mogłabyś się zamknąć? A poza tym jestem zakochany w twojej córce. Więc odczep się ode mnie. Jako teściowa jesteś wspaniała. To wypisz, wymaluj twoje emploi.

Wymierzyłam mu cios pięścią pełną piasku celując w jego pierś, a on przygwoździł mnie do ziemi i pocałował.

— Co robisz, mamó? Czy wujek Crits bawi się z tobą w coś? Ja też chcę się pobawić. Położyła się na piasku i przysunęła główkę do naszych głów.

— To się nazywa sztuczne oddychanie i tylko dorośli mogą się w to bawić. Idź zbuduj mi konia z piasku.

Sam uznała to za znakomity pomysł, a ponieważ nasza zabawa i tak za bardzo jej się nie podobała, więc pobiegła z powrotem do swoich przyjaciół, a my patrzyliśmy za nią ze śmiechem.

— Dobrze sobie radzisz z dziećmi, Chris. Zastanawiałam się, czy masz jakieś własne.

— To jest cholernie wścibskie pytanie, Gili. Nie, nie mam. Moje własne doprowadzałyby mnie do szaleństwa.

— Dlaczego? — Wydawało mi się to zabawne. Tak dobrze dawał sobie radę z Sam.

— Odpowiedzialność. Mam na to alergię. Chodź, będziemy się ścigać do wody.

Ścigaliśmy się i wygrałam o pół cala, za co zostałam porządnie przytopiona w chłodnej wodzie...
alergia na odpowiedzialność, tak?

Okay. Przepraszam za pytanie.

— Czy ktoś ma ochotę na chińską kuchnię?

Braliśmy właśnie przeraźliwe zakręty w drodze do domu ze Stinson Beach i byliśmy w świetnych humorach. Sam bawiła się przez całe popołudnie, a Chris i ja rozmawialiśmy o filmie. Był zwariowany na punkcie swojej pracy, jego oczy płonęły namiętnie, kiedy o tym mówił.

Zazdrościłam mu tego. Praca dekoratora nie wywołuje tego rodzaju emocji. Jedyne co się robi to dodawanie własnych poprawek do cudzego dzieła. Na przykład do jego pracy. Dla niego pozostawała cała twórczość.

Zaproszenie do chińskiej restauracji zostało dobrze przyjęte, a Sam była zachwycona widokiem Chinatown, kiedy tam dotarliśmy. Wiele budynków zbudowano tak, by przypominały pagody, ulice wypełniały sklepy z fascynującą tandetą. W powietrzu ciążył zapach kadzidła, a we wszystkich drzwiach umieszczono małe, dźwięczące dzwoneczki.

— Lubisz chińską kuchnię, Gili? — Uwielbiam.

Wydawało mi się dziwne, że o tym nie wiedział. Oczekiwałam, że będzie wiedział wszystko. Miałam uczucie, jakbyśmy byli razem już od lat.

Nasza trójka zmęczyła kurczaka fu yong, wieprzowinę w sosie słodko-kwaśnym, krewetki smażone w maśle, płetwy rekina saute, smażony ryż, ciasteczka z przepowiednią i herbatę. Pod koniec posiłku czułam się tak, jakbym miała zaraz pęknąć. Chris wyglądał dokładnie tak samo, a Sam zasnęła przy stole.

— Niezła z nas paczka — powiedział. Zachichotałam, bo rozejrzał się dookoła i wyrzucił w górę ramiona. — Spodziewałem się, że w ostatnim ciasteczku wyczytam, iż rano zamienię się w nadziewanego krokiet.

Dokładnie tak się czuję.

— Ja też. Chodźmy do domu.

Zauważyłam, że kiedy to powiedziałam, spojrział na mnie dziwnie, ale nie skomentował tego, więc i ja się nie odezwałam. Minęła chwila.

— Zanim pojedziemy z powrotem, chciałem ci pokazać coś ładnego. Sam może spać w samochodzie. Zniosę ją.

Poszliśmy powoli na parking, gdzie Chris zostawił samochód i żałowałam, że Sam nie mogła spojrzeć po raz ostatni na cuda Chinatown, ale będzie przecież jeszcze miała okazję.

— Dokąd jedziemy?

Jechał na zachód do Broadway, po czym przecięliśmy Van Ness Avenue i wjechaliśmy w jedną z lepszych ulic.

— Zobaczysz.

Przejechaliśmy cały Broadway aż do skrzyżowania z Divisadero, a tam zwolnił i skręcił w prawo. Znajdowaliśmy się na szczycie wzgórza, spoglądaliśmy na zatokę i góry po drugiej stronie i było to wspaniałe.

Wokół panowała przenikliwa cisza i było pięknie aż do utraty tchu. Cała chwała San Francisco należała do nas.

Zmienił bieg i powoli zjechaliśmy ze wzgórza w stronę zatoki, minęliśmy szereg imponujących i dobrze utrzymanych domów w Pacific Heights i dotarliśmy do radosnego rozmachu Lombard Street. Poczulałam żal, że to już koniec. Jechaliśmy w stronę Marina i wiedziałam, że wiózł mnie do domu.

— Nie bądź taka smutna. To jeszcze nie koniec.

— Nie?

Ucieszyłam się. Przejechał obok doków i zaparkował koło Yacht Clubu.

— Chodź, wyjdziemy. Sam już głęboko zasnęła. Możemy tu usiąść na chwilę. Wyszliśmy w chłodne powietrze nocy i spoglądaliśmy w dal poprzez zatokę. Woda przyjemnie pluskała o wąski pas plaży. Była to najspokojniejsza chwila w całym dniu i było pięknie. Siedzieliśmy na niskim wale ochronnym, machając nogami i patrząc w dal, i nic już nie mieliśmy do powiedzenia. Wszystko było na miejscu. I nie czułam się samotna. — GUI...

Patrzył przez zatokę i zdawał się wahać.

— Tak?

— Myślę, że się w tobie zakochałem. To nie najlepszy sposób na powiedzenie ci tego, ale naprawdę myślę, że się zakochałem.

— Myślę, że ja też. Nie ma znaczenia, jak to mówisz, i tak miło to usłyszeć.

— Pewnego dnia możesz żałować tego, że mnie pokochałaś — mówiąc to patrzył na mnie poważnie w ciemności.

— Wątpię. Wiem, co robię. I myślę, że wiem, jaki jesteś. Kocham cię, Chris.

Pochylił się delikatnie, objął mnie i pocałował, a potem uśmiechnęliśmy się do siebie przez mrok. Wszystko na świecie było tak, jak być powinno.

Kilka przecznic dzielących nas od mojego domu przejechaliśmy w milczeniu, potem delikatnie wyjął Sam z samochodu, zaniósł ją do środka i położył do łóżka. Wychodząc z pokoju popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

— Co cię martwi, Chris?

Staliśmy w salonie i wyraźnie czułam, że coś go męczy.

— Dziś wieczorem wrócę do siebie. Nie próbuj wmówić we mnie poczucia winy za to. Nigdy. Rozumiesz? Nigdy, Gili, nigdy... a poza tym i tak by ci się nie udało.

Próbowałam mu odpowiedzieć, ale już odszedł. Kiedy mi to wszystko mówił, jego oczy zabłyśły dziwnym ogniem... i już go nie było.

Rozdział szósty

Poniedziałek miałam straszliwie zajęty. Dostałam znakomitą pracę od agencji, z którą jeszcze nigdy przedtem nie współpracowałam, i spędziłam cały dzień zdobywając rekwizyty do zdjęć jakiejś reklamy odzieży. Mieliśmy ją kręcić następnego dnia. Było to przyjemne zajęcie, więc biegałam po butikach i wielkich sklepach szukając biżuterii, butów w odpowiednich rozmiarach, torebek, kapeluszy i najróżniejszych drobiazgów. Jedyne czego dekorator naprawdę potrzebuje to smak, wyobraźnia i dobre, mocne nogi. Trzeba się porządnie nabiegać.

Kierownik artystyczny agencji zabrał mnie na obiad do „Ernie's” i z przyjemnością patrzyłam na eleganckich ludzi, którzy się tam kręcili.

Miał koło czterdziestu pięciu lat, był świeżo po rozwodzie i prezentował

najgorszy gatunek przypilenia, jaki zdarzyło mi się oglądać. Chciał

namówić mnie na poobiednią kawę i brandy w jego mieszkaniu na Telegraph Hill, skąd rozciągał się wspaniały widok... Żartujesz sobie, kochasiu? Miałam za dużo pracy i miałam Chrisa.

Ostatni przystanek tego dnia zrobiłam w sklepie z futrami I. Magnina i miałam prawdziwą ucztę wybierając narzutki z soboli, etole z gronostaja, nerek i lampartów. Będą świetnie wyglądały z reklamowanymi materiałami, a wybieranie futer, zwłaszcza hurtowo, dawało takie cudowne poczucie luksusu,

Sam została znowu zaparkowana u sąsiadów na całe popołudnie i była wyraźnie rozdrażniona, kiedy reszcie wróciłam w znakomitym humorze i w nowej sukience z czarnej wełenki, którą kupiłam przed wyjściem od Magnina. Czułam się kobietą pełną elegancji i sukcesu, jak ci ludzie, których oglądałam w „Ernie's” podczas obiadu.

— Czy to nowa sukienka, mamusiu?

— Tak, podoba ci się?

— Nie. Jest czarna.

No dobra, Sam, mnie ona się podoba. Wiedziałam, że złościła się, bo byłam zajęta przez całe popołudnie i nie mogłam jej zabrać na plażę. Ale to była taka świetna praca. Czteryście dolarów w dwa dni.

— Chodź, Sam. Przygotuję ci kolację, a ty opowiesz mi, co zrobiłaś.

— Och, było koszmarnie.

— Koszmarnie? Aż tak źle?

Nagle ruszyła w stronę domu niczym strzała. A ja od razu zrozumiałam dlaczego. Chris czekał przed wejściem, cały wyczyszczony, jego potargane włosy były niepokalanie czyste, miał na sobie nową parę dżinsów, a w ramionach trzymał ogromny bukiet.

— Och! Jakie to piękne.

— Ty też, Gili. Słuchaj, byłem dla ciebie bardzo nieprzyjemny wczoraj wieczorem i bardzo mi przykro. Naprawdę przepraszam. Dziś spędzimy bardzo miły wieczór i...

— Daj spokój. Miałam bardzo miły wieczór wczoraj i przedwczoraj.

Wszystko w porządku, Chris. Rozumiem. W porządku.

— O czym wy rozmawiacie? Nic nie rozumiem. Zapomniałam, że Sam stała pomiędzy nami i wyglądała na

zupełnie zagubioną.

— Nic takiego, Sam. Idź umyj ręce. Zaraz zrobię kolację.

— Nie, nie zrobisz, Gili. Zabieram cię na kolację. Załatw dziewczynę do Sam. — Teraz?

— Teraz. Porozmawiam z Sam.

Udało mu się... z tymi kwiatami i w ogóle. I miał rację, rzeczywiście był

nieprzyjemny. Ale nie bardzo. Powiedział mi tylko, że mieszkał z kimś, co było przecież uczciwe, i poszedł spać do domu, co bardzo zabolalo, ale musiał przecież czasami chodzić do

domu. Najzabawniejsze było to, że naprawdę rozumiałam go i wiedziałam, że nie miał zamiaru mnie zranić.

Zadzwoiłam i dziewczyna zgodziła się przyjechać za pół godziny.

Pozostawało jeszcze ugłaskać Sam. Nie byłam pewna, czy Chris da sobie z nią radę. Ze mną być może, ale z nią nie. Wstawiłam kwiaty do wazonu i czekałam, żeby się pokazała. Nie trwało to długo.

— Wujek Crits powiedział, że wychodzicie. Ale to chyba okay.

Powiedział, że ciężko pracowałaś przez cały tydzień i coś w tym rodzaju.

Możesz iść, mamó.

— Dziękuję, Sam.

Nie byłam pewna, czy cieszyło mnie uzyskanie pozwolenia od dziecka wysokiego na trzy stopy, ale najważniejsze było, że nie miała o to pretensji, niezależnie od tego co jej naopowiadał. Chris zajął się mną i uderzyło mnie nagle, jak to miło mieć w domu mężczyznę.

— Teraz musisz się przebrać. Włóż na siebie coś bardzo ładnego seksy, bo mam zamiar się tobą pochwalić. I rozwiąż włosy. I jeszcze jedno, pani Forrester — zniżył głos i szepnął mi do ucha: — Tak cholernie się w tobie zakochałem, że z trudem mogę normalnie myśleć. Zupełnie mnie wykończyłaś. — Miło mi to słyszeć.

Pocałowałam go w usta i pofrunęłam niemal do swojego pokoju, gdzie ubrałam się przy akompaniamencie głosów Chrisa, który rżał jak koń, i Sam, która odgrywała ognistą kowbojską scenę. Bardzo miło było słyszeć ich oboje i czułam się wspaniale.

— Dokąd jedziemy?

— Kolacja na Clay Street, Konkurencja wydaje bankiet. Ale najpierw chciałem ci coś powiedzieć.

Co tym razem? Zaparkował przy krawężniku i odwrócił się do mnie z dziwnym wyrazem twarzy, po czym wziął mnie w ramiona i pocałował

tak mocno, że aż zabolalo.

— Wyglądasz rewelacyjnie. Powiedziałem, abyś się ubrała seksy, lecz nie aż tak, żebym się ślinił na twój widok.

— Pochlebca. — Ale byłam zadowolona.

Włożyłam zielono-złotą indyjską bluzkę a la hippie, obcisłe spodnie z czarnego aksamitu i czarne zamszowe botki. Rozpuściłam włosy zgodnie z jego rozkazem i nic nie miałam pod bluzką.

Wyglądało na to, że działało. Przez całą drogę Chris miał straszliwie pożądlivy wygląd. Przyjęcie organizował filmowiec z San Francisco, który przebił się ostatnio filmem o narkotykach i żeby to uczcić, wydawał

bankiet w swoim nowym domu. Kiedy przyjechaliśmy, około dwustu osób krążyło po pustych wnętrzach przy akompaniamencie zawodzącego bluesa piosenkarza, którego głos zdawał się dochodzić do nas ze wszystkich stron. Zdaje się, że jedyna rzecz, jaką urządzili nowi lokatorzy, to stereo. Nie było mebli, ściany były gołe. Jediną dekorację stanowili ludzie i rzeczywiście prezentowali się nadzwyczaj ozdobnie, wszyscy młodzi i przyjemni dla oka, w stylu Chrisa. Były tam dziewczyny w hippisowskich bluzkach i przylegających do skóry dzinsach, z włosami, które wyglądały na naelektryzowane i oczyma jak Bambi, i długowłosi chłopcy w podobnych strojach. Prawie wszyscy byli naćpani i zapach trawki unosił się ciężko w powietrzu. Dom był czymś w rodzaju wiktoriańskiego bękarta, z ogromnymi rozległymi schodami, które zdawały się sięgać do świetlików gdzieś o mile w górze. Wokół

poręczy opleceni ludzie pogrążeni byli w poważnej rozmowie albo w gorących uściskach. Słyszałam o takich przyjęciach, że były typowe dla San Francisco, lecz nigdy nie miałam okazji w nich uczestniczyć.

— Czy to nie za mocne dla ciebie, Gili?

Wydawałam się sobie w tej atmosferze trochę za bardzo normalna i pytanie Chrisa kazało mi się zastanowić, czy dawało się to zauważyć.

— Nie. Miło tu. Podoba mi się.

— A mnie ty się podobasz. Chodź, oprowadzę cię dookoła, żebyś poznała niektórych ludzi. Wziął mnie za rękę i popłynęliśmy przez tłum, od czasu do czasu biorąc po drodze szczyptę haszu czy pociągając skręta i zatrzymując się, by napełnić kieliszki czerwonym winem z jednego z wielkich zbiorników porozstawianych na podłodze. W niektórych miejscach musiało ich stać chyba z pięćdziesiąt.

Przyjęcie wydawało się wyjątkowo spokojne. Znacznie spokojniejsze od Balu Scenografów, choć spodziewałam się, że lada chwila może wydarzyć się coś niebywałego; goście wyglądali na takich, którzy mogą zdjąć ubrania i zacząć się kłębić po podłodze w orgiastycznym szale.

Minęły już dwie godziny i tłum zdawał się rzednąć. Popatrzyłam na Chrisa pytająco.

— Mam wrażenie, że powinno się tu więcej dziać. Czy może czegoś nie rozumiem?

Wyglądał na rozbawionego moim pytaniem i zdawał się wahać.

— Co na przykład?

— Nie wiem.

Teraz poczułam się głupio z powodu mojego pytania. Może to właśnie było to.

— Moja mała Gillian, nie bardzo się mylisz, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy z tymi tu na dole.

Wzbudziło to moją ciekawość. Staliśmy wciąż na parterze domu. Jeśli można coś nazwać w San Francisco parterem. W tym przypadku parter od strony ulicy znajdował się o dwa piętra ponad zboczem wzgórza.

— Czy coś się dzieje na górze?

— Być może.

Chris nie był zdecydowany. Może mnie nabierał, a może brali tam hasz albo trawkę.

— Chciałabym to zobaczyć. Pokaż mi ich.

— Zobaczymy.

Przedstawił mnie jeszcze kilku osobom, przez chwilę po ściszał w jakimś kącie, a potem usiedliśmy na podłodze, żeby porozmawiać. Zauważyłam, że ludzie z parteru wchodzili po schodach i już nie wracali. Przyjęcie przeniosło się na górę, a my sterczeliśmy jak kamienie, które fala opadając pozostawia na piasku. Na parterze zostało może ze dwanaście osób.

— Przyjęcie się już skończyło, czy akcja się przeniosła?

— Gillian Forrester, jesteś nieznośna, ale sama chciałaś, więc... proszę bardzo... wstawaj. Idziemy na górę. — Zabrzmiało to, jakby ogłaszał

jakieś wielkie wydarzenie. — Ale nie jestem przekonany, czy ci się to spodoba. — Od jakichże to straszliwych demonów stara się mnie pan ochronić, panie Matthews? A może mam poczekać i zobaczyć sama?

Przeciskaliśmy się pomiędzy leżącymi na schodach ciałami; byli albo naćpani, albo pijani i niewiele okazywali oznak życia. Bluesowa muzyka w stereo zamieniła się teraz w hard core jazz i dźwięki te zawodziły w duszy i w całym domu, dziwnie dokądś ciągnąc i szarpiąc.

Na pierwszym podejściu schodów Chris odwrócił się i popatrzył

na mnie przez chwilę, a potem pocałował, spragniony kładąc dłoń na mojej piersi. Bluzka, którą miałam na sobie, była tak cienka, że poczułam się naga pod jego dotknięciem i nagle zapragnęłam iść do domu i kochać się z nim.

— Gili, są tu dwie sceny... tutaj kupa ludzi ćpa LSD. Nie ma na co patrzeć i naprawdę ci tego nie polecam. A tamci na górze bawią się w jeszcze coś innego.

— Coś innego? Biorą heroinę?

Otworzyłam szeroko oczy, wcale nie byłam zadowolona. Ten pomysł nie podobał mi się ani trochę.

— Nie, głuptaku. Nie heroinę. Coś innego... no chodź, wiem przynajmniej, że z tym sobie poradzisz.

Uśmiechnął się do siebie, po czym włożył sobie moją rękę pod ramię i zaczął wbiegać na górę ciągnąc mnie za sobą. Byliśmy już prawie pod świetlikiem, który oprócz dwóch wielkich świec był tam jedynym źródłem światła. Trwało chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wiedziałam tylko, że w pokoju, gdzie się znajdowaliśmy, było bardzo dużo ludzi, ale nie umiałabym powiedzieć jak dużo ani co robili, ani co to był za pokój. Uderzyło mnie tylko, że było tam stosunkowo cicho, i wtedy zobaczyłam, gdzie byliśmy.

Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu na szerokość i długość całego domu, które było rodzajem strychu umieszczonego tuż pod świetlikami, miało kilka okien i żadnych mebli, podobnie jak reszta domu. Ale było tu więcej akcji. Znacznie więcej. Wokół nas falowało morze ciał splecionych w najdziwniejszych pozycjach, tworząc grupy po cztery, pięć czy sześć osób, wszyscy pogrążeni w stosunku seksualnym. To była orgia.

— Gili... wszystko w porządku? Zobaczyłam, że przyglądał mi się w blasku świecy.

— Ja... och... tak... oczywiście, Chris... ale...

— Ale co, kochanie? Nie musimy tu zostawać.

Moją uwagę zwróciła właśnie scena za jego plecami. Dwie dziewczyny uprawiały ze sobą miłość, podczas gdy dwaj mężczyźni ocierali się o nie z wygłodniałą przyjemnością, a jeszcze inna dziewczyna wsuwała język pomiędzy uda jednego z przyglądających się.

— Ja... och... Chris... Ja chyba nie chcę.

Wiedziałam na pewno, że nie chcę, ale byłam wciąż jeszcze zbyt zaszokowana, żeby powiedzieć coś rozsądnego. Miałam dwadzieścia osiem lat i słyszałam o takich rzeczach. Ale zobaczyć to, to była zupełnie inna sprawa... i nie chciałam w tym uczestniczyć.

Chris wziął mnie za rękę i sprowadził powoli ze schodów, uśmiechając się do mnie przez ramię i przystając, by mnie pocałować. Był delikatny i uśmiechał się ciepło. Raczej nie żałował, że wyszliśmy.

— Odwiozę cię do domu...

— I wrócisz tam potem sam?... — Moje serce zamarło i musiało to być widać na mojej twarzy.

— Nic podobnego, głuptasie. Nie ma problemu. Mogę się bez tego obejść. Grupowy seks to nuda.

Zastanawiałam się, jak często musiał tego próbować, zanim mu się znudziło, ale nic nie powiedziałam. Byłam mu wdzięczna za to, że tak zareagował. I cieszyłam się, że pojedziemy do domu, widziałam już dość.

Moja edukacja została zakończona, bez zdawania egzaminu. Widziałam to. Basta cosi.

— Dziękuję, Chris. Czy jestem okropnie sztywna?

— Nie. Zupełnie miła.

Uśmiechnął się radośnie do mojej przezroczystej bluzki, pochylił się chcąc pocałować jedną z piersi i wyprowadził mnie z budynku.

Wracaliśmy do domu. Jazda z powrotem była krótka i przyjemnie milcząca. Czułam, że był mi bliższy niż kiedykolwiek przedtem.

Zaparkował przed domem i pomógł mi wysiąść, a ja zastanawiałam się, czy zostanie. — Napijesz się wina, Chris? — Potrząsnął głową i popatrzył

na mnie przeciągle, stojąc naprzeciw. — Złościsz się, że wyszliśmy?

— Nie. Podoba mi się to, co robisz. Chodź, Gili, jest już późno. Trzeba się kłaść. Mam jutro bardzo dużo pracy. — Ja też.

Było w tym coś mile domowego, kiedy wyłączyliśmy światła w salonie i przekradliśmy się pod drzwiami Sam do mojego pokoju. Cieszyłam się, że został, i że tak łatwo weszliśmy w ten rodzaj stosunków — „Trzeba się kłaść, już późno. Mam jutro bardzo dużo pracy”. Spodziewałam się, że zrzuci spodnie, usiądzie leniwie na łóżku, żeby nakręcić budzik, a potem pocałuje mnie przed snem na dobranoc. Nie było mi nawet przykro, że nie będziemy się kochać,

wspaniale było tak, jak było. Uśmiechnęłam się do siebie szczotkując włosy i Chris wyglądał na zaskoczonego.

— Co ty tam robisz, Gili?

— A jak ci się zdaje? Szczotkuję włosy, głuptaku.

— Tak sądzisz? Nic mnie nie obchodzi grupowy seks, bo sprowadziłem sobie do domu własną orgię... Chodź tu, to ci pokażę.

Wstał i wyszedł mi naprzeciw przez pokój, jego ręce wyciągały się już, żeby mnie rozebrać. Rozpięłam jego koszulę, a on rozpiął moją i stanęliśmy pierś przy piersi, gładkość naszych ciał spotkała się i złączyła w jedno, nasze spodnie opadły jednocześnie i całe jego ciało zdawało się wnikać w moje.

Rozdział siódmy

Hej, Chris, rozjaśnia się. A ty wcale nie spałeś. Czułam się z tego powodu nieco winna, choć nie za bardzo.

— Nie narzekam. A ty? Ale muszę zaraz wstawać do pracy. Zaczynamy o szóstej.

Była już piąta.

— Chodź, ubierzemy się i wyjdziemy na dwór. Chcę zobaczyć, jak słońce wschodzi.

— Ja też.

Ale wewnątrz mnie słońce już wzeszło. Wskoczyliśmy w ubrania, które wciąż leżały splątane na podłodze, i wyszliśmy usiąść na skrawku trawy przed domem, w którym mieszkałam. Czuło się chłód i ziemia była wilgotna, ale mimo to wspaniale było siedzieć tak i patrzeć, jak słońce wschodziło nad East Bay.

— Nie ma mgły. Dobrze dla moich zdjęć. Chcesz przyjść popatrzeć?

— Chciałabym, ale nie dam rady. Muszę wyprawić Sam do szkoły, a o dziesiątej sama zaczynam zdjęcia. Jakies tekstylia. Najpierw kręcą tylko materiały, a potem robimy modelki. W Operze. Powinno być zabawnie.

— Oczywiście, że będzie... Jak ci się zdaje, kto robi te zdjęcia?

Rozbawiony pociągnął mnie za włosy, żeby odchylić mi głowę do tyłu i pocałować.

— Och... ty to kręcisz?

— Jak ci się zdaje, kto cię im polecił?

— Gówno prawda. Powiedzieli mi, że to Joe Tram ino dal im moje nazwisko, ty oszuście.

— No dobrze... ale ja im powiedziałem, że jesteś znakomitym dekoratorem.

— Kiedy już dostałam tę pracę.

— Kiedy już dostałaś tę pracę. Ratunku, jakie ego mają niektóre kobiety.

— Żeby nie wspomnieć o niektórych mężczyznach... Cieszę się, że będziemy razem pracować. Czy myślisz, że moglibyśmy przejechać się konno przez dół dla orkiestry, a potem po Van Ness?

— Możemy spróbować... malutka, zawsze możemy spróbować. —

Przyturlał się do mnie po mokrej trawie i leżeliśmy tak chwilę uśmiechając się do siebie w promieniach porannego słońca. — Muszę iść, Gili. Zobaczymy się w pracy.

— Jest to najbardziej niezwykle poranne pożegnanie, jakie widziano w tej okolicy, Chris Matthews. Ale mnie się podoba.

— To dobrze, bo to nie ostatnie. A cała okolica nic na to nie poradzi, jeśli jej się to nie podoba.

— Mogą mnie wyeksmitować.

W żartobliwym nastroju odprowadzałam go do samochodu.

— Porozmawiamy o tym kiedyś... ale jeszcze nie teraz.

Zatrzasnął drzwi, włączył silnik, a kiedy odjeżdżał, zastanawiałam się, co miał na myśli. Cokolwiek to było, zabawnie będzie razem pracować i przyjemnie było pomyśleć, że szef ekipy filmowej będzie miał ten sam problem co ja. Wiedziałam dokładnie, jak spędził tę noc. Żadne z nas nie spało nawet przez chwilę. Do diabła z orgiami z Clay Street. Chris i ja mieliśmy naszą własną orgię. Przyjechałam do Opery dokładnie o dziesiątej, a zanim weszłam, postąpiłam przez chwilę przed budynkiem przyglądając się jego wspaniałości i uśmiechnęłam się. To miejsce zabawnie kontrastowało z Chrisem. Weszłam wejściem dla aktorów, powiedziano mi dokąd iść i znalazłam się za kulisami. Przejrzałam stroje i rekwizyty, które wybrałam poprzedniego dnia. Ludzie z agencji wydawali się zadowoleni z moich zdobyczy. Zapowiadały się świetne zdjęcia. Wynajęto siedem najlepszych modelek z San Francisco i trzy specjalnie sprowadzone na ten dzień z Los Angeles. Dziewczyny były piękne, a stroje, jakie miały nosić w reklamie, którą kręciliśmy, były fantastyczne. Wszystko, poczynając od sukien wieczorowych po kostiumy kąpielowe, wykonane było z jakiegoś nowego sztucznego włókna. Przydzieliłam każdej z dziewcząt odpowiednie ubrania i rekwizyty, a potem poszłam szukać Chrisa. Nie zabrało mi to wiele czasu.

On i jego ludzie leżeli w sekcji smyczków w dole dla orkiestry, zajadali tacos i kanapki z salami popijając wiśniową wodą sodową.

— Śniadanie czy obiad? Cześć, chłopcy.

— Ani jedno, ani drugie. Drugie śniadanie. Zejdź na dół i poczęstuj się.

Chris przez sekundę wyglądał na niezadowolonego. Chyba nie chciał, żeby jego ekipa zbyt dużo wiedziała. I byłam z tego zadowolona... Nie pragnęłam, żeby Joe Tramino składał mi teraz kondolencje. Nie zanim oboje byliśmy pewni.

Zeskoczyłam na dół i znalazłam się tuż obok Chrisa, po czym usiadłam i zaczęłam saczyć wodę sodową zagryzając tacos.

— Wiecie co, chłopcy? To jest po prostu obrzydliwe. Blee!

— Wiecie co? Ona ma rację.

Zgodzili się ze mną, co nie przeszkadzało nam jeść dalej, dopóki nie powiedziano nam, że modelki i sceneria są już gotowe. Mogliśmy korzystać z niektórych rekwizytów scenicznych Opery. Oglądałam wszystko zza kulis, co bardzo mi się podobało. Stojąc tam i sprawdzając wygląd dziewczyn, a także pilnując, żeby nie wychodziły po raz drugi czy trzeci z kolei w tym samym stroju, spoglądałam w stronę balkonów i łoża honorowej. Zastanawiałam się, jakie to jest uczucie, kiedy się dla nich śpiewa... i jak bym się czuła, gdybym znów znalazła się wśród publiczności na jednym z tych snobistycznych wieczorów dla najlepszego towarzystwa, kiedy wszyscy noszą białe krawaty i fraki. Te dni były tak daleko poza mną, że myśl o nich wydawała się niemal zabawna.

— O czym myślisz, Gili?

— Nic specjalnego. A co ty tu robisz?

— Skończyliśmy.

— Już? Jest dopiero...

Spojrzałam na zegarek i otworzyłam usta. Było piętnaście po czwartej.

— Otóż to. Pracowaliśmy sześć godzin bez przerwy. Chodź, zabierzemy Sam i pojedziemy do Marina na plażę.

— Tak, szefie.

Sprężyste zsalutowałam i wyszliśmy trzymając się za ręce. Dzień spędzony na pracy z nim po prostu przefrunął. Tym razem nie było żadnych zwariowanych pomysłów, a tylko dużo ciężkiej pracy. I ukradkowe pocałunki w dole dla orkiestry.

Zabraliśmy Sam i spacerowaliśmy po plaży, gdzie ona goniła mewy, a my graliśmy na piasku w wisielca, dopóki słońce nie zaczęło gasnąć.

— Sam, czas do domu!

Była daleko na plaży i zupełnie nie to miała w głowie. Ale Chris bardzo szybko ją przekonał.

— Chodź, pęta, zawiozę cię na własnym grzbiecie.

— Okay, wujku.

Przybiegła do nas przez plażę, wskoczyła Chrisowi na ramiona, a ja przyglądałam się, jak galopowali do domu. Dziecko i mężczyzna, których kochałam... Samantha Forrester i jej „koń”. Mój mężczyzna.

— Co masz zamiar dziś robić, Gili? Dostałaś jakąś pracę? Zostawał z nami na noc przez cały tydzień i śniadania we trójkę stały się czymś normalnym. I chociaż poranki były podobne, mnie każdy dzień wydawał się Gwiazdką.

— Nie. Może pojechalibyśmy do Stinson, Chris? Moglibyśmy zabrać Sam ze szkoły.

— Nie mogę. Mam tu dziś pracę o trzeciej. Jeszcze jedna reklama papierosów.

— W porządku. Ja popracuję tutaj. Czy wrócisz do domu na kolację?

Pierwszy raz zapytałam go o to i wstrzymałam oddech.

— Chyba nie. Zobaczę.

Zobaczyłam. Nie było go. Zniknął na dwa dni, a kiedy w czwartek znów się pojawił, wydawało się, jakby nigdy nie zniknął.

Wyglądał i brzmiał zupełnie tak samo, i tylko w moim sercu pozostawił

małą ranę. Nie wspominając o Sam. Zdecydowałam, że jeśli nie pokaże się do końca tygodnia, to skorzystam z jej

ulubionego pomysłu — przywiążę ją do krzesła i zaknebluję. Nie mogłam już znieść ciągłego wypytywania.

Chciałam go zapytać, gdzie się podziewał, ale nie odważyłam się.

Przygotowałam hamburgery i frytki, a po kolacji wszyscy poszliśmy do

„Swensen” na Hyde Street. Mieli najlepsze lody w mieście.

— Sam, chcesz się przejechać tramwajem?

Sam kapłała dookoła truskawkowymi lodami, a my czekoladowymi z białą pianką. Każdy dokonał stosownego wyboru.

— Przejechać tramwajem? Och!

I tak właśnie było. Pojechaliśmy do Fisherman's Wharf, gdzie Chris kupił

jej malowanego żółwia. Czy można było długo złościć się na kogoś takiego? Biegał wokół nas rozbawiony niczym wielki psiak, wcałował we mnie na powrót poczucie prawie bezpieczeństwa i jeszcze bardziej uwiódł Sam. Zanim wróciliśmy do domu, znów stanowiliśmy zwarty tercet i wszystko było dobrze. Prawie wszystko.

— Gili, chcesz pojechać jutro do Bolinas? Leżeliśmy w łóżku, a światła były zgaszone.

— Zależy jaka będzie pogoda. Nie byłam pewna.

— Niech pani nie marudzi, pani Gillian. Mam na myśli cały weekend.

Ktoś pożyczył mi swoją chałupę do poniedziałku.

— Tak? — Ucieszyłam się. — Och, to może być zabawne.

— Tak właśnie myślałem. A teraz przestań być ponurakiem. Wróciłem i kocham cię.

Pocałował mnie w kark i łagodnie położył dłoń na moich wargach, żeby je uciszyć, a potem straciliśmy jeszcze jedną noc bez snu. Ale zyskaliśmy siebie nawzajem.

Weekend w Bolinas zostawił wspaniałe wspomnienia. Domek był mały, dwupokojowy, zagubiony wśród drzew. Co dzień chodziliśmy na plażę, raz zjedliśmy kolację w „Watson House”, a reszta czasu upłynęła nam leniwie w domu. Te kilka dni, które tam spędziliśmy, miały w sobie atmosferę cudownego spokoju. Po Nowym Jorku San Francisco wydawało mi się ciche, ale te dni w Bolinas

sprawiły, że nawet San Francisco stało się hałaśliwe. Tak bardzo nie chciałam wyjeżdżać stamtąd w poniedziałek.

Tydzień po weekendzie w Bolinas był bardzo zajęty. Dostałam kolejną pracę od Carsona, ale Chris tym razem w niej nie uczestniczył; zajęty był

czymś innym. Przychodził do nas wieczorami na kolację i zazwyczaj zostawał na noc. Na weekend znowu zniknął, ale pokazał się w niedzielę wieczorem i został na cały następny tydzień. Te jego zniknięcia i powroty były dosyć dziwne, ale przyzwyczaiałam się do nich i wszystko toczyło się składnie.

Byliśmy ze sobą nieprawdopodobnie szczęśliwi i osiągnęłam punkt, w którym nie przeszkadzały mi już nawet jego zniknięcia — zostawiały mi trochę czasu dla siebie, a tego też potrzebowałam.

Mijały tygodnie i pod koniec maja uświadomiłam sobie, że spędziliśmy razem dwa miesiące, które wydawały się niemal dwoma latami. Chris Matthews traktował mnie jak połączenie żony, matki, dziewczyny i kolegi i już nie umiałam sobie wyobrazić, jak to było, kiedy go nie znałam. Stał się moim najlepszym przyjacielem i mężczyzną, którego kochałam. I zawsze ciekawie było z nim być. Był oczywiście także egoistą — nigdy nie robił czegoś, na co nie miał ochoty, nie można go było do niczego zmusić — ale ja nie próbowałam. Rozumiałam, jaki był i akceptowałam to. Pod wieloma względami czułam się od niego starsza, lecz moje życie było przecież zupełnie inne. Ja miałam Sam, dla której musiałam stać się dorosłą. On nigdy nikogo takiego nie miał. Musiał się troszczyć tylko o Chrisa Matthews i o mnie — kiedy miał na to ochotę.

W któryś czwartkowy poranek leżeliśmy pod drzewem w parku nie mając wiele więcej do roboty niż zachwycanie światem i kochanie się nawzajem, i pamiętam, że było to w tygodniu, kiedy wypada Dzień Pamięci *. Co niewiele dla nas zmieniało — prawie każdy nasz weekend był długi, chyba że któreś z nas pracowało w poniedziałek, co nigdy nie było pewne.

— Co będziesz robił w ten weekend, Chris? Jest święto.

— Tak. Na to wygląda. A właściwie to wynoszę się z miasta.

— Bardzo zabawne. Ale zrozumiałam. Tak tylko pytałam. Zerwałam źdźbło trawy rosnącej obok nas i połaskotałam go

* Dzień Pamięci (ang. Memorial Day) — święto narodowe w Stanach Zjednoczonych, poświęcone Amerykanom, którzy polegli na wojnach (przyp. wyd.).

w policzek, zastanawiając się, kiedy pozbędzie się dziewczyny, która z nim mieszkała. Jeszcze tego nie zrobił.

— Nie żartuję, Gili. Wyprowadzam się. Do Bolinas na lato. Chcesz jechać?

— Żartujesz czy mówisz poważnie?

Słyszałam o tym po raz pierwszy, jeśli nie brać pod uwagę niewyraźnej uwagi sprzed dwóch

miesiący, że zazwyczaj spędza lato w Bolinas. Ale z Chrisem tak niewiele było, jak zazwyczaj" i nic nigdy nie wydawało się planowane.

— Mówię poważnie. Miałem zamiar jechać tam jutro albo w sobotę.

Chciałem ci o tym powiedzieć. Dlaczego nie miałybyście się obie z Sam przeprowadzić?

— A potem? Ona już teraz jest do ciebie bardzo przywiązana. Chris, jeśli będzie cię miała przez cały czas przy sobie, to po powrocie może jej być naprawdę przykro. Przeszła już przez to raz ze swoim ojcem... Nie wiem...

— Nie bądź taka drętwa. Będzie z nami szczęśliwa, a sama mówiłaś, że masz zamiar wysłać ją na wschód, więc będzie się mogła ode mnie odzwyczaić. — „A co ze mną?...” — Kiedy do niego jedzie?

— Od połowy lipca do końca sierpnia. Mniej więcej na sześć tygodni.

— No to w czym problem? Spędzi sześć tygodni z nami i sześć tygodni z nim. A my będziemy mogli trochę pobyć sami... proszę cię, Gili...

Naprawdę mi na tym zależy.

Odwrócił się ode mnie z wyrazem twarzy wygłodzonego samotnego dziecka i moje serce od razu stopniało. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy podjąć ryzyko. Tak miło byłoby mieszkać z Chrisem... ale co potem?

— Zobaczymy... a poza tym co zrobię z pracą?

Był to kiepski argument przeciw przeprowadzce i oboje o tym wiedzieliśmy.

— Nie bądź nudna. Ja pracuję w Bolinas, więc i ty możesz. Jest tam telefon. Będą po ciebie dzwonić... och, do diabła, jak nie chcesz, to nie musisz, pieprzę to.

Nagle to ja byłem draniem, a on czuł się dotknięty. A przecież nawet nie powiedział mi, że miał zamiar się przeprowadzić. Taki był Chris.

— Chcę, chcę, oczywiście, że chcę... no już dobrze, pojedę. Boję się tylko, że się do ciebie przyzwyczaję, to wszystko. Postaraj się to zrozumieć. Kocham cię, Chris, i chcę z tobą mieszkać, ale kiedy wrócimy pod koniec lata do San Francisco, to ja znajdę się z powrotem w moim mieszkaniu, a ty z dziewczyną, z którą mieszkasz.

Już od dawna o tym nie wspominałam.

— Jeśli o to chodzi, to się mylisz. Wyprowadza się mniej więcej w przyszłym tygodniu. Uprzedziłem ją.

— Zrobiłeś to? Wyprowadza się? Och!

— Owszem, młoda damo. Och. I myślałem, że jeśli wszystko będzie grało w lecie, to obie z Sam mogłybyście się do mnie wprowadzić we wrześniu. Dom jest dostatecznie duży dla nas wszystkich.

— „...A twoje serce, Chris?”... To była idiotyczna myśl. Wiedziałałam, że nas kochał. I byłam zachwycona, że ta dziewczyna się wyprowadza... w końcu.

— Chris Matthews, wiesz co?... Kocham cię. I w Bolinas będzie wspaniale. Zabierz mnie do domu. Chcę się spakować.

— Tak, madame. Do usług.

Kiedy jechaliśmy z powrotem do Marina, uświadomiłam sobie, że nigdy nie widziałam jego domu w mieście. Wiedziałałam tylko, że mieszkał przy Sacramento Street i to wszystko. Odczułam nagłą potrzebę ujżenia tego miejsca, gdzie będziemy żyć jesienią, pooddychania nim, ale to mogło poczekać. Powiedział , jeśli wszystko będzie grało w lecie"? A dlaczego nie miałoby „grać"? Nie widziałam żadnego powodu, dlaczego nie miałoby tak być. Absolutnie żadnego powodu.

Rozdział ósmy

Chris!... Sam!... Obiad gotów! Ogromny emaliowany na czerwono talerz ukryty był pod stertą kanapek z fistaszkowym masłem i dżemem, a obok stał dzbanek z mlekiem. Mieliśmy jeść pod wielkim drzewem rosnącym za małym domkiem, który Chris wynajmował każdego lata, i który stał

się teraz naszym domem. Był to prawdziwy Jdejnót. Chris pomalował go rok wcześniej i wszystko lśniło jasnym, słonecznym żółtym kolorem, a plamy farby rozprysnięte były dookoła. Dom był prosty i skromny, ale bardzo wygodny i blisko plaży, a my nie potrzebowaliśmy niczego więcej.

— Już idę, mamusiu. Wujek Crits powiedział, że zabierze mnie po południu na przejażdżkę konną. — Samantha podbiegła do stołu, uginając się pod ciężarem kowbojskiego pasa, który podarował jej Chris, i z zadowoloną miną wepchnęła do ust kanapkę.

— Ty też chcesz jechać, Gili?

— Oczywiście.

Ponad głową Sam patrzyłam na Chrisa przez chwilę i wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy. Wszystko grało. Wspaniale. Byliśmy w Bolinas już od miesiąca i żyliśmy jak w bajce. Jeździliśmy konno i pływaliśmy, wieczorami siedzieliśmy na dworze i byliśmy w sobie tak zakochani, że trudno nam było zauważyć cokolwiek dookoła.

Sam miała za dwa tygodnie wyjechać na pozostałą część wakacji do Richarda i po raz pierwszy czułam się trochę mniej okropnie z powodu jej wyjazdu. Marzyłam o tym, żeby być sama z Chrisem. Mimo że nie umiałam sobie wyobrazić, żeby mogło być jeszcze lepiej niż teraz.

— Hej, Gili... o co chodzi?

Zrobiło mi się nagle niedobrze i musiało to być po mnie widać. Żołądek powoli podjechał mi do gardła, a potem znów się osunął i miałam uczucie, jakbym była na karuzeli w zwolnionym tempie.

— Nie wiem, widocznie coś zjadłam.

— Masło fistaszkowe? Niemożliwe. Może za długo byłaś na słońcu. Idź
połóż się. Ja się zajmę Sam.

Posłuchałam jego rady i po półgodzinie czułam się już lepiej.

— Nadal chcesz jechać z nami na spacer, kochanie?

— Może nie dzisiaj. Pojadę jutro.

— O cholera... zapomniałem ci powiedzieć. Jadę dziś wieczorem do miasta. Jutro rano mam robotę.

— Szczęściarz.

Już prawie do trzech tygodni nie dostałam żadnej pracy. W lecie nie było dużego ruchu w interesie. Ale to nie miało znaczenia. Życie w Bolinas było tanie.

— Kiedy wrócisz?

I to nie miało większego znaczenia, nigdy nie robiliśmy żadnych planów i prowadziliśmy bardzo leniwe życie.

— Jutro wieczorem albo pojutrze. Zależy jak długo będziemy kręcić. To film dokumentalny na zamówienie stanowe. — Uśmiechnął się do mnie przez chwilę. — Nie martw się. Wrócę.

— Cieszy mnie to.

Ale nie wrócił ani następnego dnia wieczorem, ani w dzień później.

Wrócił po trzech dniach, a ja byłam już zaniepokojona. Dzwoniłam do domu przy Sacramento Street i nikt tam nie odpowiadał.

— Gdzie ty, u diabła, byłeś, Chris?

— Byłem cholernie zajęty. O co się tak martwiłaś? Wiedziałaś, że wrócę, więc po co to całe zamieszanie?

— Zamieszanie jest o to, że mogło ci się coś stać, to wszystko.

— Ty się martw o siebie, a ja będę się martwił o siebie. Joe Tramino zadzwonił, że ma dla mnie pracę u Carsona.

— Świetnie.

Tak... świetnie... ale ciebie nie było przez trzy dni i gdzie, u diabła, się podziewałeś? Nawet nie zadzwoniłeś... Ale o nic nie zapytałam.

Tego wieczora zachowywał się tak, jakby nic się nie stało i następnego ranka zostawiłam go z Sam, podczas gdy ja wyruszyłam jego samochodem przez góry. Miałam być w mieście o dziewiątej. A Joe zaprosił mnie na lunch, jeśli zdjęcia skończą się na czas. Skończyły się.

Pojechaliśmy na spóźniony obiad do „Enrico” na Broadway, z widokiem na Montgomery Street i nowo zbudowany kompleks handlowy.

Usiedliśmy na zewnątrz, było ciepło i słonecznie, a lekki chłodny wiatr szeleścił w liściach drzew rosnących przed wejściem.

— Bardzo dobrze się dziś spisałaś, Gili. A jak ci leci w życiu? Wyglądał na zmartwionego. Wiedział.

— Świetnie. Wszystko naprawdę jest świetnie.

— Wydaje mi się, że trochę schudłaś.

— Wydaje mi się, że mówisz jak moja matka.

Ale miał rację, od czasu tej historii z kanapkami przy obiedzie rzeczywiście nie czułam się dobrze. Było to już prawie tydzień temu, więc może po prostu martwiłam się nieobecnością Chrisa.

— Okay. Odczepiam się. Ale wiem, że miałem rację. Wciąż mam do siebie pretensje o to, że przedstawiłem ci tego faceta... i łażę po ścianach mojego pokoju w atakach zazdrości. Nie słyszałaś jeszcze?

— Pleciesz głupstwa, Joe. Ale poprawia mi to samopoczucie. A tak dla twojej informacji, to Chris i ja jesteśmy naprawdę szczęśliwi.

Wyświadczyłeś nam obojgu przysługę. Wszystko jest w porządku.

Trochę głupio się czułam pocieszając go, ale wyglądał tak, jakby naprawdę się tym przejmował, a ja wierzyłam w to, co mówiłam.

Naprawdę wyświadczył nam wszystkim przysługę, łącznie z Sam.

Obiad upłynął bardzo miło, rozmawialiśmy o zdjęciach i różnych innych sprawach; kiedy wstaliśmy, żeby wyjść, było mi naprawdę przykro. Lubiłam Joego i tak przyjemnie było tu siedzieć przyglądając się chodzącym dookoła ludziom, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

W powrotnej drodze zatrzymałam się w swoim mieszkaniu, zabrałam pocztę, parę drobiazgów i nowy latawiec dla Sam. Wracałam wcześniej, niż planowałam, ale z przyjemnością myślałam o tym, jak wskoczę z powrotem w niedbały strój i pójdę popływać. Dzień zrobił się bardzo gorący.

— Cześć, dzieciaki, jestem już w domu!

Ale wyglądało na to, że nikogo nie ma. W przeciwnym razie Sam wybiegłaby mi z piskiem na spotkanie.

Było po piątej, widocznie wciąż byli na plaży; może nawet pojechali do Stinson.

— Hop! Hop! Jest tam kto?

Zrzuciłam buty w salonie i ruszyłam do kuchni chcąc wziąć sobie coś zimnego do picia i wtedy zauważyłam zamknięte drzwi do sypialni.

Zamknięte drzwi były w naszym domu w Bolinas bardzo dziwnym widokiem i z jakiegoś nieokreślonego powodu zaczęłam odczuwać niepokój. Odezwał się we mnie głos instynktu macierzyńskiego... Sam?...

Podeszłam do drzwi sypialni trzema zdecydowanymi krokami, przystanąłam, wzięłam oddech i nacisnęłam klamkę. Ale nie znalazłam tam Sam. To był Chris. Kochał się z kimś w naszym łóżku.

— Oooch... ja...

Stałam jak wryta, z ustami skamieniałymi w kształcie „O”, a oczy napełniły mi się łzami. Chris odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Uderzyło mnie tylko to, że twarz miał równie pozbawioną wyrazu jak pośladki, które wypinał w moją stronę na łóżku. Ani zdumienia, ani przerażenia.

Nic. Kiedy weszłam, leżąca pod nim dziewczyna podskoczyła z jękiem i rozejrzała się po pokoju przerażonym wzrokiem, tak jakby chciała uciec przez okno. Nie dziwiło mnie to. Sama czułam dokładnie to samo. Być może to właśnie powinnyśmy były zrobić, wyskoczyć obie przez okno, zostawiając Chrisa samego. Ale nie zrobiłyśmy tego. Ona leżała tam przygwożdżona przez Chrisa, który mocno trzymał ją za ramiona, a ja zatrzęsłam drzwiami. Co miałam powiedzieć? I wtedy przyszło mi do głowy, że było coś, o czym powinnam wiedzieć, i ogarnął mnie taki gniew jak nigdy przedtem. Zawróciłam i otwierając szeroko drzwi powiedziałam do Chrisa:

— Nie obchodzi mnie ani co ty robisz, ani kim ona jest, ale gdzie jest moja córka?

Z łóżka doszedł jeszcze jeden jęk, a Chris odwrócił się do mnie z wyrazem wściekłości na twarzy, lecz to niewiele znaczyło wobec mojej furii. — Co ty, do cholery, myślisz, Gili? Że ją związałem i położyłem pod łóżkiem? Gillmourowie zabrali ją kilka godzin temu na piknik.

Powiedziałem, że odbiorę ją o ósmej.

— Nie kłopotz się.

Dziewczyna wiła się z bólu w mocnym uścisku Chrisa i ponownie uderzyła mnie podłogą i ohyda całej sceny.

— Za godzinę wrócę po moje rzeczy.

Zatrzęsłam ponownie drzwiami, zabrałam z salonu moje buty, złapałam torebkę i pobiegłam bosą do

samochodu. Do diabła z Christopherem Matthewsem. Jeśli tak to miało wyglądać, to niech sobie zabiera swoje wstrętne życie i robi z nim, co mu się podoba. Nie mam zamiaru mieć z tym nic wspólnego... nie, dziękuję... zepsuty... wstrętny... oszust...

podły... Jechałam do Gillmourów, a łzy płynęły mi strumieniami po twarzy, krztusiłam się od płaczu. Chciałam tylko zabrać Sam i wynieść się stąd natychmiast, z domu Chrisa, na dobre. Poczulałam nagłą ulgę na myśl, że nie zrezygnowałam z mojego mieszkania w mieście. Obie z Sam mogłyśmy tam wrócić i udawać, że nic się nie zdarzyło. Chris nigdy nie istniał... Chris zniknął...

Z piskiem opon zajechałam przed dom Gillmourów. Zaparkowałam za ich kombi, wcisnęłam hamulec, wyłączyłam silnik i otarłam twarz.

Czułam się tak, jakby świat właśnie się skończył. I co miałam powiedzieć Sam? Kiedy wysiadałam z samochodu, Elinor Gillmour wyszła z domu i stanęła boso na drodze.

— Cześć, Gillian. Jak minął dzień? — „Jak minął dzień? Kpisz sobie?”

— Świetnie. Dziękuję za zabranie Sam na piknik. Jestem pewna, że znakomicie się bawiła.

Gilknourowie mieli pięcioro dzieci, z których dwoje było w wieku dostatecznie zbliżonym do Sam, żeby wyprawy z nimi były dla niej rzeczywiście ciekawe. Odwiedzanie ich było trochę jak chodzenie na plac zabaw.

— Cześć, mamusiu, czy mogę zostać na kolację? Sam wybiegła jak błyskawica na dźwięk mojego głosu.

— Nie, kochanie, musimy jechać do domu.

Sama zobaczysz... do domu... do San Francisco, do naszego domu w Marina.

— Ooooj, mamó. — Zajęczała naprawdę żałośnie, ale ja pokręciłam głową.

— Dziś nie żartuję, Sam. Jedziemy do domu. Dziękuję, Elinor. No, jazda.

— Wzięłam ją mocno za rękę i poszłyśmy do samochodu machając na pożegnanie całej gromadzie Gillmourów, którzy wybiegli z domu. —

Dobrze się bawiłaś?

— Tak. Czy możemy zrobić coś specjalnego na kolację? Takiego jak piknik z wujkiem Critsem?

— Nie, byłaś już na pikniku, a ja mam dla ciebie niespodziankę.

Jedziemy na kilka dni do miasta, bo mama musi załatwić tam parę spraw.

Zdecydowałam, że kilka dni było wystarczającym wyjaśnieniem. Za tydzień i tak wyjeżdża z ojcem.

— Dlaczego? Ja nie chcę wracać do miasta. Czy wujek Crits też jedzie?

Ta myśl zdawała się ją pocieszać.

— Nie, kochanie. Musi tu zostać.

Żebyś wiedziała, że musi. Zanim wróciliśmy do domu Chrisa, byłam sina z wściekłości. Nie było mi już nawet przykro. Po prostu chciałam go zabić. Ale nie chciałam, by Sam domyśliła się, że coś jest nie w porządku.

— Gili...

Kiedy podjechałyśmy, czekał na nas przed domem.

— Cześć, wujku Crits. To był świetny piknik.

— Cześć, Sam. Czy mogłabyś mi wyświadczyć wielką przysługę i podlać jeszcze raz moje kwiaty? Wyglądają na tak spragnione jak kowboj na pustyni. Dziękuję.

— Oczywiście, wujku Crits.

Uszczęśliwiona poleceniem pobiegła za dom, żeby je wykonać.

— Gill...

Wszedł za mną do domu, skierowałam się w stronę sypialni.

— Daj sobie spokój, Chris. Nie musisz nic mówić. Nie interesuje mnie to.

Widziałam wszystko i nie mam zamiaru odgrzebywać tej sceny.

Zabieram Sam i wracamy dziś wieczorem do miasta. Dopilnuję, żebyś dostał jakoś jutro z powrotem samochód.

— Pieprzę samochód.

— Samochód też? No proszę...

Przewracałam szuflady w naszym pokoju i większość moich rzeczy leżała już zwalona do otwartej walizki na nie posłanym łóżku. Łóżko. Gdzie pieprzył się z tamtą dziewczyną. Drań.

— Mogłeś przynajmniej posprzątać to cholerne łóżko.

— Posłuchaj, Gili, proszę...

— Nie. Nie ma „proszę”. Nic. Wynoszę się stąd, do diabła. Zaraz.

— Posłuchaj, to nic nie było. Ona mnie zupełnie nie obchodzi. To niczego między nami nie zmienia.

To tylko dziewczyna, którą poderwałem w mieście. — Wyglądał na zdesperowanego.

— Ach tak? Doprawdy? Jestem zachwycona. Po prostu zachwycona, że ona nic dla ciebie nie znaczy. Ale wydaje mi się, że ja też nie. Przez cały czas, kiedy się znamy, mieszkałeś z jakąś dziewczyną. Przychodzisz, wychodzisz, zjawiasz się na kolację, zostajesz na noc, a potem znikasz na trzy dni. A teraz pieprzysz się z kimś, tak bez specjalnego powodu. W

naszym łóżku i, do diabła... to cholerne łóżko jest twoje, ale gównu mnie to obchodzi. Podobno żyliśmy razem. Ja takich rzeczy nie robię. I to jest prawdopodobnie mój największy błąd.

— Nie, Gili, to nie jest twój błąd. Kocham cię taką, jaka jesteś. Ale jestem przecież, do cholery, mężczyzną i muszę mieć czasem jakąś przyjemność.

— To czym w takim razie ja jestem? — Mój głos zatrzęsł krokwiemi na dachu.

— Ty nie jesteś tylko przyjemnością, Gili. Ty jesteś naprawdę. Kocham cię. — Jego głos opadł niemal do szeptu i patrzył na mnie gorąco poprzez pokój. — Proszę, nie odchodź, Gili. Jesteś mi potrzebna. Żałuję, że to się stało.

— I ja też. Ale i tak odchodzę.

Moje zdecydowanie jednak nieco osłabło. „Ja byłam naprawdę? I co to miało znaczyć?”

— Chris, to się znowu zdarzy i znowu, i znowu, czuję to przez skórę. A ja tego po prostu nie zniosę. Przykro mi.

„Przykro mi? Dlaczego to mnie miało być przykro?...” Ale było.

— Dlaczego musisz robić z tego wielką historię? To nic nie jest.

Naprawdę nic.

— Może nie dla ciebie. Ale dla mnie jest. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja się czułam, kiedy weszłam i zobaczyłam, jak pompujesz w nią swojego kutasa z dupą wypiętą prosto na mnie, a ona trzyma nogi rozwalone na piętnaście jardów?

Na samą myśl o tym zrobiło mi się niedobrze.

— W twoim opisie wygląda to rewelacyjnie. Uspokoił się i nie mogłam go już teraz dotknąć.

— Może i było rewelacyjnie. Skąd ja mam to, do cholery, wiedzieć?

Niewątpliwie z mojego punktu obserwacyjnego dokładnie tak to wyglądało. Wiesz, jak ja się czułam? Głupio i nie na miejscu, i tak jakbym nie wystarczała ci jako kobieta. Jeśli nie jesteś z nami szczęśliwy, to powiedz mi. Wydaje ci się, że wszystko jest w porządku, pieprzysz się ze mną ile się da, ale ledwie zdążę się odwrócić, a ty już rzniesz inną. Joe Tramino miał rację.

Pożałowałam tych słów, w chwili kiedy je wypowiedziałam. Powinnam była zostawić Joego z dala od tej sprawy.

— No ciekawe, co ten mały pierdziel ma do powiedzenia na mój temat.

— Nic. Zapomnij o tym. Powiedział tylko, że mnie unieszczęśliwisz i wygląda na to, że miał rację.

— Gównno. Byliśmy szczęśliwi. I gdybyś tylko wróciła do domu wtedy, kiedy powiedziałaś, że wrócisz, to znalazłabyś nas oboje z Sam zjadających w kuchni kolację i nic by się nie zmieniło. Nic byś nie wiedziała. A gdyby ci na mnie naprawdę zależało, to zrozumiałabyś i nic by się nie zmieniło nawet teraz, kiedy wiesz...

— Czy ty żartujesz?

— Nie, nie żartuję. Mogłoby się to tobie też przydarzyć, Gili. I ja bym cię nie zostawił. Masz rację, żyjemy razem. I kocham cię, ale wiem, jacy są ludzie, a ty tego nie wiesz. — Zaczynałam się zastanawiać, czy nie miał racji i to mną wstrząsnęło. W jego głosie był

jakiś dziwny chłód i wiedza. Może takie rzeczy zdarzają się przez cały czas. Ale dlaczego mnie? I dlaczego musiałam to oglądać?

— Gili, zostań na noc, a rano zobaczysz, jak będziesz się czuć. To głupi pomysł, żeby teraz jechać i Sam tylko się wytrzęsie po drodze. Pracuję jutro i jeśli będziesz wciąż chciała odejść, to odwiozę cię do miasta.

Nie chciałam przespać się z moją decyzją, ale miał rację co do Sam.

Wahałam się i on o tym wiedział.

— No... dobrze. Dla Sam. Ale zjedź mi z drogi. Będę spała na kanapie.

Swoją sypialnię zaraz będziesz miał sam dla siebie.

Ściągnęłam moje źle zapakowane walizki na podłogę i wyszłam z pokoju.

— Przygotuję kolację, Gili. Odpocznij trochę. Wyglądasz na zmęczoną.

— Jestem zmęczona, dziękuję. Ale przygotuję coś dla Sam. Ja nie jestem głodna, a ty sam się możesz o siebie zatroszczyć.

Przed kolacją wyszłam, żeby zobaczyć, co robi Sam. Podlewała wciąż pilnie kwiaty Chrisa i nie było po niej widać, czy słyszała naszą awanturę.

Ale obawiałam się, że jednak słyszała.

— Sam, co chcesz jeść? Może być kurczak na zimno?

— Może być, mamusiu.

Wiedziałam już, że musiała coś słyszeć, bo była nadzwyczajnie grzeczna.

Byłam jej wdzięczna.

— Jesteś bardzo kochana.

— Dziękuję, mamusiu. Czy wujek Crits będzie jadł z nami?

— Nie, nie będzie. — Mówiąc to nie mogłam opanować skurczu warg.

— Okay.

Prawie bez słowa zjadła kurczaka, sama włożyła piżamę i powiedziała, że pójdzie już spać. Kiedy ją otulałam, moje serce zalała fala czułości. Tak bardzo nie chciałam, żeby myślała, że mężczyźni pojawiali się w naszym życiu tylko po to, by z niego znowu zniknąć. Albo żebym ja musiała od nich odchodzić. To nie było w porządku. I znów poczułam nienawiść do Chrisa za to, co się stało, i do siebie za to, że do tego dopuściłam. Nie powinnam była nigdy przenosić

się z nim do Bolinas. Kiedy pocałowałam Sam na dobranoc i zgasiałam światło, w moim sercu był tylko żal.

— Do zobaczenia rano, kochanie. Przyjemnych snów. Kiedy wracałam do kuchni, żeby napić się kawy, po policzku

spłynęła mi łza i miałam wrażenie, jakbym gdzieś się cała pogrążyła. To było okropne porwrtudnie. I nie przypuszczałam, żeby jutro miało być lepsze.

— Jak się czujesz, Gili?

Nie słyszałam, kiedy wszedł do kuchni.

— Dobrze, dziękuję. Czy mógłbyś zostać przy Sam? Chciałam się trochę przejść.

— Tak, oczywiście. W porządku.

Czułam, że patrzył na mnie, gdy po cichu zamykałam drzwi. Poszłam w stronę plaży. Noc była cicha, a powietrze wciąż jeszcze ciepłe. Widocznie mgła jeszcze nie opadła. Ale zbyt byłam roztrzęsiona, by to wcześniej zauważyć. Podniosłam wzrok i zobaczyłam gwiazdy błyszczące jasno na niebie, ale nawet to nie poprawiło mi humoru.

Morze pluskało delikatnie o plażę. Doszłam do brzegu i położyłam się na chłodnym piasku, żeby trochę pomyśleć. Albo żeby nie myśleć. Niewiele mnie obchodziło, co robiłam. Chciałam tylko być sama, z dala od Chrisa.

I jak najdalej od tego domu.

Przyglądałam się bezpańskiemu psu, który przeszedł wolno obok i węszył

w wodzie, a potem, nie zastanawiając się nad tym, zaczęłam się rozbierać.

Wsunęłam się nago do wody i powoli popłynęłam w stronę kawałka lądu na skraju Stinson Beach, przypominając sobie dzień zdjęć dla Carsona, kiedy oboje z Chrisem przepływaliśmy z koniem przez ten sam przesmyk.

Tego dnia kiedy się spotkaliśmy. Pierwszego dnia... było to trzy miesiące temu i był to taki inny, zupełnie inny dzień.

Na tamtym brzegu położyłam się na piasku w jasnym świetle księżyca i zastanawiałam, co będzie dalej i czy będę umiała znowu komuś uwierzyć.

Wydawało mi się, że leżałam tak już parę godzin, kiedy usłyszałam za sobą kroki i odwróciłam się ogarnięta nagłym strachem.

— Gili?

To był Chris.

— Co ty tu robisz? Powiedziałaś, że zostaniesz z Sam. Tyle przynajmniej mógł chyba zrobić.

— Wszystko w porządku. Mocno śpi, a ja chciałem z tobą porozmawiać.

— Nie ma o czym rozmawiać. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

— Wiedziałem. Ja też bym tu przyszedł.

— Nie sądzę, żebyś mógł się aż tak przejąć.

Przy tych słowach łzy znowu napłynęły mi do oczu.

— Chciałbym, żebyś zrozumiała, jak bardzo się przejmuję, Gili. Usiadł obok mnie na plaży i widziałam, jak jego mokra skóra lśni w ciemności.

— Lepiej będzie, jak wrócę do Sam.

Nie chciałam czekać, nie chciałam, żeby mówił.

— Posiedź ze mną chociaż przez chwilę... proszę.

W jego głosie było coś, co trafiło do mojego serca w podobny sposób jak grzeczne zachowanie Sam, kiedy kładła się spać.

— Dlaczego, Chris? Po co? Wszystko już sobie powiedzieliśmy.

— Nie, nie powiedzieliśmy. A jeśli tak, to pozwól mi tylko posiedzieć tu przy tobie spokojnie przez kilka minut. Nie mogę znieść myśli o tym, że mnie opuszczasz. — Zacisnęłam mocno wargi i zdusiłam szloch, zanim podszedł mi do gardła. — Chcesz się przejść?

Skinęłam bez słowa głową i poszliśmy wzdłuż plaży, obok siebie, ale nie razem. Czułam się wciąż bardzo samotna.

— Wracajmy lepiej, Chris. Sam...

Byliśmy w połowie drogi do cypla i musieliśmy jeszcze wrócić, przepłynąć na plażę w Bolinas i dojść do domu. Mogło nam to zająć z pół

godziny i zaczynałam się denerwować tym, że Sam została w domu bez opieki. Przestraszyłaby się, gdyby się obudziła i zobaczyła, że żadnego z nas nie ma.

— Dobrze, Gili. Myślałem tylko, że zatrzymamy się w naszej jaskini.

W jego głosie brzmiał zawód niczym u małego chłopca, który właśnie przeżył straszliwe rozczarowanie, ale jego słowa były niczym policzek wymierzony w moją twarz.

— Chris, jak możesz? Ty chyba rzeczywiście nic nie rozumiesz. Spokój cichego spaceru po plaży zalanej światłem księżyca został całkowicie zburzony i zaczęłam biec w stronę cypla. Kiedy tam dobiegłam, wskoczyłam od razu do wody i popłynęłam na drugi brzeg, jak tylko umiałam najszybciej. Ale on dotarł na plażę przede mną, a kiedy wyszłam z wody, złapał mnie w ramiona i mocno przytrzymał.

— Zamknij się wreszcie, ty przeklęta Gillian Forrester. Zrobiłem dziś coś paskudnego, zgoda. Ale kocham cię i jeśli do tej pory tego nie zrozumiałaś, to nie jesteś nic warta. — Mocno przycisnął swoje wargi do moich, a jego pocałunek przeszył mi duszę.

— Chris...

— Zamknij się. Musimy wracać do Sam.

Wziął mnie mocno za rękę, poprowadził tam, gdzie leżało moje ubranie i przyglądał się, jak je wkładam. Wciągnął na siebie dzinsy. Nie miał nic więcej do włożenia. Znów wziął mnie za rękę i poszliśmy do domu, nie mówiąc więcej ani słowa. Światło było zapalone i wszystko wydawało się w porządku. Odetchnęłam z ulgą. Sam spała spokojnie. Kiedy wychodziłam z jej pokoju, zobaczyłam sypialnię. Chris posprzątał wszystko, na łóżku leżała świeża pościel, a w wazonie stały kwiaty z ogrodu.

— Idziesz do łóżka?

Siedział na jego brzegu i uśmiechał się z lekka.

— Niezła robota.

Nie było śladu, który mógłby mi przypomnieć o tym, co się stało po południu i co, jak kłująca drzazga, tkwiło w mojej pamięci.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy idziesz do łóżka? Zgasił

światło, a ja stałam w ciemności zastanawiając się, co zrobić. Nie chciałam wracać do łóżka, nie chciałam też go porzucać.

Zastanawiałam się, czy miał rację mówiąc, że gdybym wróciła wtedy, kiedy planowałam, nie wiedziałabym o niczym i nic by się nie zmieniło.

Tylko że ja nie wróciłam wtedy, kiedy planowałam.

Przekręcił się na bok w ciemności, a ja weszłam do pokoju i zaczęłam się rozbierać. Mogę z nim spać, ale nie będę się z nim kochać. Może zresztą i tak nie miał na to ochoty. Dostał już dzisiaj swoją porcję. Wspomnienie tego sprawiło, że wślizgując się pod przykrycie aż się skuliłam, potem odwróciłam się do niego plecami i zasnęłam zupełnie wyczerpana.

Następnego dnia obudziłam się czując zapach smażonego bekonu i spojrzałam na zegarek. Była piąta rano, a na dworze mgliście.

— Dzień dobry, śpiąca królewno. Śniadanie na stole. Czuję się bardziej jak śpiące brzydkie kaczątko niż królewna

i mdliło mnie na zapach bekonu. Te mdłości przypomniały mi natychmiast poprzedni dzień. Najwyraźniej moje nerwy puszczały.

— Cześć, mamusiu. Zrobiliśmy dla ciebie wawelki.

— Wafelki. I już jesteście ubrani. Wygląda na to, że oboje nie kładliście się przez całą noc.

Ale to ja tak właśnie się czułam, tylko starałam się nadrabiać miną, przynajmniej dla Sam. Wstałam, umyłam zęby i poczułam się trochę lepiej, a wafle rzeczywiście były dobre. Zjadłam dwa i Sam była zachwycona.

— Wspaniałe są, prawda, mamusiu?

— Wspaniałe, Sam. — Rzuciłam szybkie spojrzenie na Chrisa, ale on zajęty był w kuchni zmywaniem. — Dlaczego tak wcześnie wstaliście?

— Muszę być o szóstej na stanowisku, a jeśli w dalszym ciągu chcesz jechać do miasta, to musimy się zbierać. Już jestem spóźniony.

Patrzył na mnie badawczo przez pokój.

— Świetnie. Dziękuję. Spakuję rzeczy Sam i za dziesięć minut będę gotowa.

Dzinsy i koszula. I tak nic nie miałam w mieście do roboty. Z wyjątkiem złożenia gratulacji Joemu Tramino za trafną przestrożę.

Sam wyglądała dość smutnie, więc kiedy braliśmy zakręty po górskiej drodze, próbowałam rozruszać ją śpiewaniem piosenek. Byłam wdzięczna mgle; nie musiałam długo oglądać cudownych widoków

Stinson i Bolinas, które pozostawiałam za sobą. Widać było tylko wąski pas drogi przed nami i tonące we mgle wzgórza nad naszymi głowami.

Drogi o tej porze były puste i dotarliśmy do miasta w pół godziny. Chris zaparkował przed moim mieszkaniem i zawiózł Sam na barana pod drzwi.

— Zobaczymy się później, pętaku.

Wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać, a on pochylił się i szepnął jej do ucha coś, co spowodowało, że twarz jej natychmiast rozjaśniła się w uśmiechu.

— Okay, wujku Crits. Do widzenia.

Pobiegła do domu i zatrzymała drzwi, podczas gdy ja odwróciłam się do Chrisa.

— Co jej powiedziałaś? — Chciałam wiedzieć. Nie chciałam, żeby ją okłamywał, że wróci. — Masz mi powiedzieć.

— Nie twój interes. To jest między nią i mną. A dla ciebie też mam wiadomość. Tyle tylko, że to jeszcze nie koniec. I nie trać czasu myśląc, że to koniec, bo tak po prostu nie jest. Ja do tego nie dopuszczę. Słyszysz?

Przez dłuższą chwilę patrzył mi w oczy, a potem pocałował mnie w czoło, odwrócił się, odszedł i odjechał.

Mylił się grubo. Dla mnie to był koniec.

O dziewiątej zostawiłam Sam w jej dawnej grupie zabaw i z przyjemnością stwierdziłam, że nie była specjalnie zmartwiona powrotem. Poszłam do domu się rozpakować. Musiałam też zadzwonić do wszystkich agencji reklamowych, z którymi współpracowałam, i powiedzieć im, że jestem z powrotem w mieście. A potem co? Może popłaczę sobie? A dlaczego by nie, do cholery! Ale w rezultacie siedziałam w domu pijąc kawę, a potem odebrałam Sam i poszliśmy do zoo. Nie potrafiłam stawić czoła ani walizkom, ani telefonom do agencji.

To było zbyt przygnębiające. W drodze do domu zjadliśmy kolację w

„Hippo”, stoczywszy lekką potyczkę przy wybieraniu potraw.

— Ale ja nie lubię goryli, mamó. One są straszne.

— To zwyczajny hamburger, Sam. Tylko tak go nazwali — gorylburger.

Miała wątpliwości, ale wreszcie zgodziła się spróbować grożąc mi, że wyjdzie natychmiast, jeśli jedzenie okaże się straszne. Okazało się, że nie było straszne, hamburger i frytki zniknęły w jednej chwili, a ja z trudem tylko hamowałam śmiech.

Wróciliśmy do domu w gasnącym świetle letniego dnia, który okazał się bardzo przyjemny,

wykapałam Sam i położyłam ją do łóżka. Ale wiedziałam, że wcześniej czy później wszystko do mnie wróci. Chrisa nie było.

— Czy mogę wejść?

Moje serce zamarło na widok potarganej jasnowłosej grzywy wetkniętej przez drzwi.

— Powinnaś zamykać drzwi na klucz.

— A ty powinieneś słuchać, co ci się mówi. Powiedziałam ci, żebyś się nie pokazywał.

Ale tak bardzo ucieszyłam się na jego widok, że gotowa byłam zarzucić mu ramiona na szyję. Jego nieobecność ciążyła mi przez cały dzień niczym stufuntowy plecak.

— Pieprzysz głupoty, Gili. A poza tym musiałem wrócić. Obiecałem Sam. — Wyciągnął się już na kanapie i wyglądał na bardzo zadowolonego.

— Nie powinieneś był tego robić.

— Zabieram was obie jutro z powrotem do Bolinas. Pomyślałem sobie, że dzień w mieście dobrze ci zrobi.

— Zgadza się. I zostaniemy tu.

— W takim razie ja też zostaję. Ale to zupełny idiotyzm, żeby dom w Bolinas stał pusty.

— Nie pozwól na to. Wracaj. Mnie nie obchodzi, gdzie mieszkasz.

— Ach tak? — Wstał i zaczął iść powoli w stronę krzesła, na którym siedziałam paląc papierosa i trzęsąc się wewnątrz. — Otóż tak się jakoś składa, że mnie natomiast bardzo obchodzi, gdzie ty mieszkasz, Gillian Forrester. I chcę, żebyś mieszkała ze mną. Czy już to wreszcie rozumiałaś? — Pochylał się nad krzesłem z rękoma opartymi mocno o jego poręcz. Jego twarz opuszczała się nad moją i wiedziałam, że zaraz mnie pocałuje. — Chris, nie! — Odepchnęłam jego pierś, ale on dalej się nade mną pochylał i zaczął mnie całować. — Przestań!

— Nie, to ty przestań! Dość już tego. Mogę pokutować przez cały przyszły tydzień. Ale nie dopuszczę, żeby to wszystko stało się czymś więcej, niż jest. Wbij to sobie do głowy. — I mówiąc to podniósł mnie z krzesła, zaniósł do sypialni i położył na łóżku.

— Chris Matthews, wynoś się z tego domu!

Stałam na łóżku krzycząc na niego, a on otoczył mnie delikatnie ramieniem i przewrócił. W jednej chwili jego ciało było na moim i już nie było końca. Zaczynaliśmy od początku.

— Wracamy dziś rano do Bolinas czy nie? Nawiasem mówiąc, pogoda wygląda dość paskudnie.

Leżeliśmy w łóżku, skąd widać było, że znowu opadła mgła.

— Nie bardzo widzę w tym sens, Chris. W przyszłym tygodniu mam trzy prace, a w piątek Richard i tak zabiera Sam. Zostańmy w mieście.

— Okay.

Był niezwykle zgodny.

— Ale chcę zostać tutaj, a nie na Sacramento Street.

— Dlaczego?

— Z wielu powodów. Po pierwsze, nie chcę, żeby Sam miała ojcu do opowiadania historie, o które może się czepiać. Wolę, by nie mogła mu powiedzieć, że przeprowadziłyśmy się do ciebie. Co innego w Bolinas.

I... och, inne powody nie są takie ważne.

Ale dla mnie były ważne. Po prostu nie chciałam być w miejscu, w którym sypiał przedtem z setkami różnych dziewczyn. Z niektórymi z nich przez ostatnie trzy miesiące. Nawet Bolinas wciąż jeszcze miało dla mnie gorzki smak. Wolałam zostać w moim mieszkaniu w mieście.

— Moim zdaniem jesteś głupia. Ale niech ci będzie. I tak mam bardzo dużo roboty. Spędziliśmy więc następny tydzień w mieście, mieszkając u mnie i starając się zlepić potłuczony garnek. Zdumiewało mnie, jak łatwo nam się to udawało, ale była to zasługa Chrisa. Nie można było długo się na niego gniewać, miał ten nieodparty urok sześciolatniego chłopca, a poza tym kochałam go.

Pod koniec tego tygodnia znów spakowałam rzeczy Sam, usunęłam Chrisa z domu i usiadłyśmy czekając na Richarda, ojca Sam. Zadzwoił

do mnie, że musi lecieć w interesach do Los Angeles i że piętnastego lipca w południe przyleci do San Francisco, żeby ją zabrać. Co oznaczało, że zamierzał się tu pojawić około drugiej. A kiedy Richard tak mówił, to tak miało być. Był zawsze irytująco punktualny. Piętnastego lipca podjechał

pod dom dokładnie dziesięć po drugiej, wyglądając porządnie, aż do bólu, w swoim ciemnoszarym garniturze, krawacie w granatowo-białe paski, białej koszuli i butach wyczyszczonych na wysoki połysk. Bardzo dziwnie było patrzeć na niego, kiedy szedł tak do drzwi i myśleć, że był to kiedyś mój mąż, z którym pod koniec każdego dnia wracałam do domu.

Wyglądał jak ktoś z zupełnie innego świata. Przypuszczam, że ja też tak wyglądałam. Nie byłam już tą Gillian, którą znał.

— Już jest gotowa.

Staralam się, żeby głos mi nie drżał i uśmiechałam się dla Sam.

Ale było mi bardzo smutno, kiedy patrzyłam, jak odjeżdżała na sześć tygodni. Dni będą się bez niej wydawały takie ciche i puste.

— Dobrze wyglądasz, Gillian. Byłaś gdzieś na słońcu?

— Tak. Po drugiej stronie zatoki.

Celowo byłam ogólnikowa i znów uderzyło mnie, jakie puste rozmowy prowadziliśmy ze sobą od rozwodu. O czym myśmy przedtem rozmawiali? Naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć.

— Tu masz listę miejsc, w których będziemy oboje z Samanthą przez następne sześć tygodni. A jeśli ty masz zamiar podróżować, to bardzo cię proszę, prześlij mojej sekretarce wiadomość, żebyśmy mogli się z tobą skontaktować w razie potrzeby.

Jego twarz była zupełnie bez wyrazu.

— Nie martw się o to. Odezwę się. Będę dzwoniła do Sam. Nie był tym zachwycony. Pochyliłam się, by mocno uścisnąć i z całej siły ucałować Sam, która stała już w drzwiach.

— Do widzenia, mamusiu. Przysyłaj mi ładne kartki i... i powiedz ode mnie do widzenia wujkowi Critsowi!...

Uff! Zauważyłam po oczach, że Richard zarejestrował imię i spojrzał na mnie.

— Miło mi było cię zobaczyć, Richard. Szczęśliwej podróży. Do widzenia, kochanie. Trzymaj się.

Machałam ręką, a limuzyna odjeżdżała od krawężnika i coraz mniejsza była w tylnym oknie twarzyczka Sam i dłoń, którą machała mi na pożegnanie. Bardzo będzie bez niej samotnie.

Kiedy wróciłam do domu, zadzwonił telefon i szybko podniosłam słuchawkę, pełna wdzięczności, że będę mogła z kimś porozmawiać.

— Czy mogę już wracać do domu? Groźne wilczysko odjechało?

— Tak, i Sam też. Czuję się paskudnie.

— Tak przypuszczałem. Będę u ciebie za dziesięć minut i możemy ruszać do Bolinas, kiedy tylko będziesz na to miała ochotę.

Uświadomiłam sobie, że wspomnienie dziewczyny, z którą Chris tam spał, już mnie tak nie dręczyło i chciałam tam wrócić. Podczas tego tygodnia w mieście moja gorycz osłabła i teraz z kolei chciałam się wynieść z własnego mieszkania. Bez Sam biegającej dokoła będzie tu piekielnie ponuro.

Chris dotrzymał słowa i po dziesięciu minutach stał w salonie, trzymając w każdej dłoni wielką butelkę wina.

— Nie byłem pewien, czy będziesz wolała czerwone, czy białe.

Przyniosłem jedno i drugie. Chcesz się napić?

— Trafieś. I to nieźle. A potem pojedziemy.

Wypiliśmy oboje po dwa kieliszki wina i wyruszyliśmy. Z powrotem do Bolinas. Tym razem sami i w wyjątkowo dobrych humorach.

Rozdział dziewiąty

Następny miesiąc przeżyłam znowu jak we śnie. Żadne z nas nie było zbyt często wzywane do miasta i większość czasu spędzaliśmy włócząc się po plaży albo leżąc w hamaku zawieszonym pod wielkim drzewem koło domu. I kochając się. Przez cały miesiąc ja miałam w mieście tylko jedną pracę, a Chris dwie. Powodowało to pewne finansowe problemy, ale byliśmy szczęśliwi. Ja sięgałam do moich alimentów, a Chrisowi korzystanie z mojej pomocy nie wydawało się zbyt przeszkadzać.

Było nam wspaniale. Trochę malowałam. Chris zrobił tysiące metrów moich zdjęć nago, a dni uciekały. Krótkie, lodowate listy od Richarda informowały mnie, że Sam miała się dobrze, a kiedy z nią rozmawiałam, wydawała się szczęśliwa.

Chris nie powtórzył historii z dziewczyną i był mi bardziej oddany, niż mogłam sobie wymarzyć. Joe Tramino nie miał racji. A Chris i ja nie mieliśmy żadnych trosk. Poza jednym drobiazgiem. Dwa razy miałam coś, co wyglądało na porażenie słoneczne, a cztery razy zatrucie. A między nimi sporą ilość zawrotów głowy. Raczej nie było to nic poważnego, bo przez resztę czasu czułam się znakomicie, ale Chris nalegał, żebym poszła do lekarza.

— To może być wrzód, Gili. Dlaczego nie zabierzesz się ze mną do miasta, kiedy będę jechał następnym razem? To znaczy za dwa dni.

Mogłabyś spróbować już teraz zamówić wizytę u lekarza.

— Myślę, że to po prostu nerwy. Ale jeśli to cię uszczęśliwi... okay, pójdę.

Zamówiłam wizytę w przeddzień naszego wyjazdu i starałam się o tym zapomnieć. Nie chciałam być chora. Życie było na to za piękne.

— Wstawaj.

— Która godzina? — Czułam się znowu fatalnie, ale nie chciałam się do tego przyznać.

— Wpół do ósmej. Już strasznie późno. Wstawaj. Zrobię ci kawę. Był

bardzo rzeczowy tego poranka, a ja, żeby nie pokazać, jak się czułam, zamknęłam oczy i próbowałam opanować mdłości, jakich dostawałam od zapachu kawy.

Wyjechaliśmy z domu o dziewiątej. Chris musiał jeszcze znaleźć jakieś rzeczy do swoich zdjęć i to nas opóźniło. Kiedy ruszaliśmy, czułam się już lepiej, ale wiedziałam, że podróż po ostrych zakrętach górskiej drogi nie poprawi mi samopoczucia. I nie poprawiła.

— Źle wyglądasz, Gili. Dobrze się czujesz?

— Oczywiście. Wszystko w porządku. — Ale na pewno byłam zupełnie zielona. Czułam to.

— Cieszę się, że idziesz w końcu do lekarza. Moja siostra miała coś podobnego i przez rok nie zwracała na to uwagi. A potem dowiedziałem się, że jest w szpitalu z pękniętym wrzodem. To nie żarty.

— Oczywiście, że nie. Już jej lepiej?

— Jasne. Świetnie się czuje. Nie denerwuj się. Przynajmniej będziesz wiedziała. — „...Tak... przynajmniej będę wiedziała”. — Chciałem, żebyśmy przed powrotem na plażę pojechali do mnie do domu.

Sprawdzisz, czy powinienem coś jeszcze zrobić, zanim się wprowadzicie.

Przygotowałem już pokój dla Sam. Zobaczysz, czy ci się będzie podobało.

Rzucił na mnie nieśmiałe, nerwowe spojrzenie, które sprawiło, że uśmiechnęłam się z samej głębi serca. Czułam się tak, jakbyśmy mieli się pobrać. W sposobie, w jaki opowiadał o domu, było coś z nastroju nowożeńca.

— Uprzedziłam właściciela mojego mieszkania, że wyprowadzam się od pierwszego września. Powiedział, że z wynajmowaniem umeblowanych mieszkań nie ma problemu, więc na pewno od razu kogoś znajdzie.

Ciesz mi to. Bardzo głupio się czułam uprzedzając go tak późno. —

Czekaliśmy do ostatniej chwili z omówieniem tej sprawy, ale okazało się, że „wszystko grało”, jak to wcześniej określił Chris. — Nie mogę się doczekać.

Chris pochylił się na siedzeniu i pocałował mnie, po czym dojechaliśmy do miasta rozmawiając o głupstwach i opowiadając sobie kiepskie dowcipy. Czułam się znowu znakomicie i świetnie się bawiliśmy.

Zostawił mnie przed wejściem do Fitzhugh Building na Union Square o pół godziny wcześniej i postanowiłam, że dla zabicia czasu pójdę do sklepu I. Magnina po drugiej stronie placu. Po drodze roześmiałam się na widok mima, który stał na rogu ulicy i naśladował mój sposób chodzenia, a potem zniknęłam pośród bajkowych rozkoszy eleganckiego sklepu.

Przez chwilę kusiło mnie, żeby zajrzeć do działu dla mężczyzn po prawej stronie od wejścia, ale rozmyślałam się. Chris i tak nie nosiłby niczego, co mogłam tu znaleźć. Nie mieli tu stoiska z dzinsowymi koszulami.

Uśmiechnęłam się do siebie i poszłam dalej, dopóki mojej uwagi nie przykuły półki z damskimi swetrami, wśród których zaczęłam myszkować. Wyszłam po dwudziestu minutach ubrana w nowy czerwony golf z jakiejś jedwabistej włóczki i pachnąca nowymi perfumami.

Potrzebowałam czegoś dla dodania sobie odwagi. Miałam przeczucie, że usłyszę coś, co nielatwo

będzie mi znieść.

Sprawdziłam listę lokatorów na parterze w Fitzhugh i znalazłam lekarza, do którego szłam. Howard Haas, doktor nauk medycznych, pokój 312.

Fitzhugh pełen był gabinetów lekarskich i jadąc windą na górę miałam wrażenie, że mogłabym wejść w dowolne drzwi w tym budynku i też wyszłabym załatwiona pozytywnie. Ale byłam umówiona z doktorem Haasem. Polecił mi go przed wyjazdem mój nowojorski lekarz.

Podaliśmy recepcjonistce swoje nazwisko i usiadłam w poczekalni razem z sześcioma czy siedmioma innymi osobami. Gazety były nudne, powietrze duszne, zaczynałam się denerwować, a nowe perfumy przyprawiały mnie o mdłości. Oczekiwanie nie trwało długo.

— Pani Forrester, bardzo proszę tędy.

Poszłam za pielęgniarką w stronę ciężkich dębowych drzwi w końcu gabinetu i weszłam za nią do środka. W całej tej scenie było coś starannie staroświeckiego i spodziewałam się, że doktor Haas będzie łysy i w rogowych okularach na nosie. Ale nie był. Przeciwnie, wyglądał na około czterdzieści pięć lat i jakby dużo czasu spędzał na tenisowym korcie. Miał

zaledwie lekko siwiejące włosy, a ściskając mi dłoń uśmiechał się niebieskooko,

— Proszę usiąść, pani Forrester. — Pomimo jego zabójczego uśmiechu miałam ochotę powiedzieć „nie, dziękuję”, ale nie miałam już wyboru.

— Dziękuję. — Czułam się jak dziecko wezwane do dyrektora w nowej szkole. Nie wiedziałam, co teraz powiedzieć.

— Zanotujemy najpierw trochę danych na temat pani zdrowia, a potem opowie mi pani, jaki ma problem. Jeśli jest jakiś problem.

Znowu się do mnie uśmiechnął, a ja wyrecytowałam moje dane chorobowe, które niewarte były zapisywania. Usunięcie migdałków w wieku lat siedmiu, liczne infekcje ucha w dzieciństwie i Sam. To było mniej więcej wszystko.

— To wszystko brzmi bardzo zdrowo. Co więc panią do mnie sprowadza?

Opowiedziałam mu o zawrotach głowy, mdłościach i wymiotach, a on potakiwał, niczego nie notując. Nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia.

— A kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

— Miesiączkę? — Przychodziło mi to do głowy, ale po prostu chyba nie chciałam wiedzieć. — Parę tygodni temu, tak mi się przynajmniej wydaje. — Wydawało mi się, że zaraz tam zemdleję,

— Wydaje się pani? Nie jest pani pewna? — Popatrzył na mnie, jakbym była bardzo głupia.

— Nie, pewna jestem, kiedy to było, ale trwało tylko parę godzin.

— To nie jest u pani normalne?

— Nie.

Jego ton powinien mnie rozbawić, ale się tak nie stało. Mówił do mnie, jakbym była bardzo małym, z lekka opóźnionym umysłowo dzieckiem, a jego słowa biegły poprzez biurko powolnymi, boleśnie cyzelowanymi dźwiękami niczym piłki tenisowe na zwolnionym filmie.

— A jaka była poprzednia miesiączka przed tą ostatnią?

— Taka sama. Ale przypuszczałam, że to na skutek zmiany klimatu po przyjeździe tutaj. Albo zdenerwowania, sama nie wiem. — Była to bardzo niezręczna wymówka.

— Ale nie miała pani żadnej normalnej miesiączki?

— Nie. — Chciałam dodać „proszę pana”, ale powstrzymałam się.

Sprawiał, że czułam się bardzo onieśmielona. I przestraszona.

— Jakież zmiany w piersiach? Stały się pełniejsze? — Niczego nie zauważyłam i powiedziałam mu o tym.

— No cóż, zaraz zobaczymy.

Znów uśmiechnął się do mnie olśniewająco, a ja zaczęłam się modlić, ale było już na to trochę za późno. Pomysł z przyjściem do niego przypominał sprawdzanie listy wyników egzaminu, do którego nie było się przygotowanym. Pozostawała tylko nadzieja. Przynajmniej ja miałam.

No, ale doktor Haas popatrzył. I zobaczył. Byłam dwa miesiące w ciąży.

A może dwa i pół. Kurwa mać.

— Moje gratulacje, pani Forrester. Dziecko powinno urodzić się w marcu. — „Gratulacje?” — Zrobimy próbę ciąży w ą po prostu dla formalności, bo nie ma żadnej wątpliwości. Jest pani w ciąży. —

Uśmiechnął się. — Ale ja nie jestem... to znaczy... och, dziękuję, panie doktorze. Powiedziałam mu, że wycięli mi migdałki, ale zapomniałam mu powiedzieć, że nie byłam już mężatką. Gratulacje, cholera jasna.

Poinformował mnie o konieczności comiesięcznych wizyt i zjeżdżałam już windą na dół jak kamień, który spada do szybu kopalni. Przynajmniej tak się czułam. I co ja mam powiedzieć Chrisowi? Miał mnie odebrać przy wyjściu i spojrzawszy na zegarek wiedziałam, że czekał tam już od dziesięciu minut. Może go tam nie będzie... poczułam się lepiej na tę myśl... może zapomniał... może... Postanowiłam poczekać i powiedzieć mu o tym, kiedy wrócimy do Bolinas, usiądziemy pod drzewem

koło domu i wszystko będzie ciche i spokojne.

Kiedy wyszłam, zobaczyłam, że na mnie czeka i serce we mnie zamarło.

Chciało mi się płakać. Otworzyłam drzwi, wsunęłam się obok niego do samochodu i starałam się uśmiechnąć.

— Cześć. — Jak było u lekarza?

— Jestem w ciąży.

— Jesteś w czym?

Jechaliśmy w miejskim ruchu ulicznym i cała ta wymiana zdań była jak z filmu Flipa i Flapa. Zupełnie nie tak to sobie zaplanowałam, ale jakoś mi się wymknęło. Pewnie tego chciałam.

— Poczekaj chwilę, Gili. Co to znaczy, że jesteś w ciąży? Używałaś przecież czegoś.

— Tak, używałam. Ale mimo to jestem w ciąży. Gratulacje!

— Oszalałaś?

— Nie. Cytuję, co powiedział lekarz.

— Powiedziałaś mu, że nie jesteś mężatką? Chris zbladł.

— Nie. Zapomniałam.

— O Jezul!

Zachichotałam nerwowo, popatrzyłam na niego i od razu pożałowałam mojego rozbawienia. Wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć.

— Jak długo jesteś w ciąży?

— Dwa albo dwa i pół miesiąca. Posłuchaj, Chris... Przykro mi... Nie zrobiłam tego specjalnie, stosowałam to przecież, do cholery.

— Wiem, oczywiście. Ale zupełnie mnie to zaszkowało. Nie zauważyłaś, że nie masz miesiączki? I dlaczego mi, u diabła, nic nie powiedziałaś?

— Miałam miesiączkę... coś w rodzaju...

— Coś w rodzaju? Nie wierzę w to.

— Dokąd ty mnie, u diabła, wiesz?

Już od kwadransa jeździliśmy bez celu po Market Street.

— Skąd mam wiedzieć? — Popatrzył we wsteczne lusterko, a potem na mnie. A potem jego twarz się rozjaśniła. — A właściwie owszem, wiem.

Jedziemy do San Jose.

— Do San Jose? Po co?

Może miał zamiar mnie zamordować i porzucić moje zwłoki gdzieś na półwyspie?

— Bo w San Jose jest znakomity ośrodek Świadomego Macierzyństwa, gdzie robią skrobanki. Mam tam znajomego.

— Tym lepiej dla ciebie.

Podróż do San Jose odbyła się w zupełnej ciszy. Od czasu do czasu spoglądaliśmy na siebie ukradkiem, ale żadne z nas się nie odezwało. Przypuszczam, że on nie chciał, a ja się bałam. Czułam się tak, jakbym popełniła najokropniejszą zbrodnię na świecie.

W San Jose przyjaciel Chrisa był bardzo miły, zapisał wszystkie dane i powiedział, że do nas zadzwoni, a ja poszłam z powrotem do samochodu z uczuciem osamotnienia i mdłości. Jazda tutaj zajęła nam półtorej godziny, powrót w godzinach szczytu potrwa jeszcze dłużej, a potem trzeba będzie jechać do Bolinas. Czułam się wyczerpana na samą myśl o tym i nie chciałam myśleć o przerywaniu ciąży. O wszystkim, tylko nie o tym.

Chris starał się w drodze do San Francisco nawiązać lekką pogawędkę, ale ja nie byłam w stanie jej podtrzymać. Widziałam, że czuł się znacznie lepiej. Zrobił coś, żeby pozbyć się problemu i od razu przyniosło mu to ulgę. A mnie uczucie rozpaczy.

— Chris, zatrzymaj się.

Kiedy to powiedziałam, byliśmy dopiero na południowym przedmieściu San Francisco, ale niewiele mnie to obchodziło, nie mogłam dłużej czekać.

— Tutaj? Źle się czujesz?

— Tak. To znaczy nie, nie w tym sensie. Słuchaj, po prostu się zatrzymaj.

Zatrzymał się i wyglądał na zaniepokojonego, a ja odwróciłam się do niego w samochodzie.

— Chris, będę miała to dziecko.

— Teraz? — Był to niemal wrzask i wyglądał tak, jakby jego nadwerężone nerwy miały go zupełnie zawieść.

— Nie, nie teraz. W marcu. Nie chcę robić skrobanki.

— Co takiego?

— Słyszałeś mnie. Będę miała to dziecko. Nie proszę cię, żebyś się ze mną ożenił, ale nie żądaj ode mnie, żebym się go pozbyła. Nie zrobię tego. — Dlaczego? Na rany boskie, Gili, dlaczego? To wszystko między nami popieprzy, nie wspominając o twoim życiu. Masz już dziecko, po co ci drugie?

— Dlatego że cię kocham i chcę mieć twoje dziecko. A poza tym w głębi serca nie popieram skrobanek, jeśli nie musi się tego robić. Kiedy dwoje ludzi kocha się dostatecznie mocno, żeby żyć ze sobą tak jak my żyliśmy, to zbrodnią jest nie chcieć dziecka, które

jest wynikiem tej miłości. Nic na to nie poradzę. Chris, nie umiem inaczej. — Patrzyłam na niego, a moje oczy wypełniły się łzami.

— Mówisz poważnie?

— Tak.

— Jezu. No cóż, musisz zrobić to, co uważasz za najlepsze dla siebie.

Porozmawiamy o tym. Ale bierzesz na siebie strasznie dużo, Gili.

— Wiem o tym. Ale czułabym się znacznie gorzej, gdybym się go pozbyła. Będę je miała niezależnie od tego, czy ty będziesz przy mnie czy nie.

Te ostatnie słowa były zwykłą brawurą, ale on nie zareagował.

— Okay, malutka. To twoja decyzja.

Włączył silnik i nie mówiąc już ani słowa ruszył z powrotem do miasta.

Rozdział dziesiąty

Tego wieczora wróciliśmy do Bolinas nie oglądając jego domu przy Sacramento Street, nie jedząc kolacji i nie tracąc zbędnych słów. Ale byłam za bardzo zmęczona, żeby się tym przejmować. Miałam ciężki dzień, toteż padłam na łóżko i od razu zasnęłam. Następnego ranka obudziłam się i zobaczyłam, że Chris wpatruje się w sufit z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, który dokładnie odpowiadał moim własnym uczuciom.

— Chris... naprawdę mi przykro.

Ale w pewnym sensie wcale nie było mi przykro. Tylko za bardzo się bałam, żeby mu się do tego przyznać.

— Daj spokój. Może ze swojego punktu widzenia masz rację. Mam na myśli to, że chcesz mieć to dziecko.

— A z twojego?

Musiałam wiedzieć. A on przekręcił się na bok, podparł głowę na rękę, popatrzył na mnie i powiedział:

— Nie, Gili. To nie dla mnie. Ale powiedziałaś wczoraj, że to nie ma znaczenia. Wciąż tak uważasz?

— Tak. — Ale moj głos zmienił się w najcichszy szept. Opuszczał mnie.

— Rozstajemy się?

— Nie. Ty wracasz do Nowego Jorku.

Co oznaczało dokładnie to samo. Moje serce zamarło i miałam ochotę krzyczeć, płakać albo umrzeć. Nie chciałam wracać do Nowego Jorku.

— Nie wrócę, Chris. Możesz mnie zostawić, ale ja tam nie wrócę.

— Musisz, Gili. Jeśli choć trochę mnie kochasz. Robisz coś, na co ty masz ochotę. Wiec jesteś mi winna coś, czego ja chcę.

W jego ustach brzmiało to zupełnie rozsądnie, ale ja wcale tak tego nie odbierałam.

— Jaki związek ma tu z czymkolwiek mój powrót do Nowego Jorku? A potem co? Już cię nigdy nie zobaczę? — „Jezu...”

— Ależ tak. Przyjadę do ciebie. Kocham cię, Gili. Ale nie wytrzymałbym tego napięcia, gdybyś tu została. Wszyscy dowiedzieliby się, że jesteś w ciąży. Do diabła, Gili, pracujemy w tej samej branży i wszyscy by się przecież dowiedzieli, nie rozumiesz? Już Joe Tramino by o to zadbał. I inni też. — Jego głos brzmiał gorzko i smutnie.

— Kogo to obchodzi? No i co z tego, że mamy dziecko? Wielu ludzi ma dzieci. I kochamy się. Wiec o co chodzi? Zostałaś nagle takim mieszczaninem, że uważasz, że powinniśmy być małżeństwem? To już szczyt, gówniany, stuprocentowy szczyt bzdur. I sam o tym wiesz.

— Nie, nie wiem. Poza tym musiałbym się czuć winny. Sama widzisz, co się dzieje. Przychodzę, odchodzę, czasami znikam. Nie będzie tak zawsze, ale teraz tego właśnie potrzebuję. A przynajmniej chcę mieć pewność, że mogę. A gdybyś ty siedziała do tego ze smętną twarzą i wielkim brzuchem, tobym po prostu oszalał.

— Więc nie będę miała smętnej twarzy.

— Owszem, będziesz. I nie mógłbym mieć do ciebie o to pretensji.

Myślę, że jesteś pomyłona. Na twoim miejscu pozbyłbym się tego. Dziś.

— No cóż, różnimy się, to wszystko.

— Ty to powiedziałaś. Słuchaj, uprzedzałem, że odpowiedzialność przyprawia mnie o szaleństwo. A

co to jest? To jest ogromne zobowiązanie.

— Co ja mam niby na to powiedzieć, Chris?

— Nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła. Chcę tylko jednego. Żebyś pojechała do domu. I zrobisz to, choćbym miał cię tam zanieść. Zwolniłaś już swoje tutejsze mieszkanie, więc nic cię nie

trzyma. Jedyne co masz jeszcze do zrobienia, to zadzwonić do Bekinsa, spakować swoje rzeczy i załadować dupę do samolotu. I dokładnie tak zrobisz, choćbym miał cię zakneblować i związać. A jeśli masz zamiar ze mną dyskutować, to daj sobie lepiej spokój. Jesteś bez szans. Daję ci dwa tygodnie. Masz na to dwa tygodnie. Możesz przeciągnąć je o parę dni i mieszkać u mnie, ale to wszystko. Jeśli wrócisz do Nowego Jorku, to może mamy jeszcze szansę, ale jeśli zostaniesz w San Francisco, to koniec z nami. Nigdy ci tego nie wybaczę. Będę zawsze uważał, że zostałaś, żeby się na mnie odegrać. Więc wyświadczyć mi tę przysługę...

wyjedź. Wyszedł z pokoju, a ja zwinęłam się na łóżku szlochając w poduszkę i po kilku chwilach usłyszałam, jak odjeżdżał.

Wrócił wieczorem, ale był już zdecydowany. Miałam wyjechać. I pod koniec tygodnia wiedziałam, że rzeczywiście wyjeżdżam. Nie było innego wyjścia. Sprawiał w końcu, że i ja to dostrzegłam. A jego wymuszony dobry humor w ciągu tych dni poprzedzających mój wyjazd był okrutniejszy niż cokolwiek, co mógł mi zrobić. Był delikatniejszy i czulszy niż kiedykolwiek przedtem. W ciągu tych ostatnich tygodni obszedł się z moim sercem dość brutalnie, ale z jakiegoś powodu kochałam go pomimo wszystko. To był Chris. Taki już był i o nic nie można było mieć do niego pretensji. W końcu zaczęłam uważać, że to ja pierwsza go skrzywdziłam podejmując taką decyzję, a przede wszystkim zachodząc w ciążę. Ale nie miałam wyboru. Ze względu na moje przekonania, moją moralność, musiałam mieć to dziecko.

Kiedy ojciec Sam przywiózł ją z powrotem, Chris pomógł mi powiedzieć jej, że wyjeżdżamy i spakował moje rzeczy. Nie chciał żadnego ryzyka.

Chris Matthews być może kochał mnie wtedy, ale było coś, co udowodnił

mi znacznie wyraźniej. Chciał, żebym wyjechała. I wyjeżdżałam.

Po kilku dniach, które ciągnęły się, jakby było ich tysiąc, dotarliśmy do tego odwiecznego koszmaru — ostatniego dnia. Ostatnie to i ostatnie tamto. Nie mogłam tego znieść, a ostatnia noc była najgorsza ze wszystkiego.

— Dobranoc Chris.

— ...branoc — A potem: — Czy ty mnie rozumiesz, Gili? Ja ja... czuję się podle tak z tobą postępując, ale nie mogę... po prostu nie mogę. Myślę, że może nawet chcę, żebyś miała to dziecko, ale

sam nie wiem. Może wszyscy będziemy jeszcze razem. Niedługo, mam na myśli... czuję się jak ostatni skurwysyn.

— Daj spokój. Ja wiem, wszystko się jakoś popieprzyło.

— Tak. Popieprzyło się. Szkoda, że zaszłaś w ciążę. O Boże, jak ja bym chciał...

— Daj spokój, Chris. Ja nie żałuję. Cieszę się z tego, nawet jeśli...

— Dlaczego chcesz je mieć, Gili?

— Powiedziałem ci. Chcę mieć cię zawsze przy sobie. Może to idiotycznie brzmi, ale po prostu chcę tego i tyle. To wszystko. Nie potrafię inaczej.

Leżeliśmy w ciemności, trzymając się za ręce, a ja nie przestawałam myśleć: „To już ostatni raz. Ostatnia noc. Ostatni raz leżę tu w jego łóżku.

Już nigdy. Ostatni...” Wiedziałam, że nigdy nie przyjedzie do Nowego Jorku, nie cierpiał tego miasta i nie interesowało go specjalnie oglądanie własnego dziecka.

— Gili? Ty płaczesz?

— Nnie. — Ale zakrztusiłam się mówiąc to.

— Nie płacz, och, proszę cię, Gili, nie płacz. Kocham cię, proszę. —

Trzymaliśmy się w ramionach i płakaliśmy. Ostatni raz. Ostatni... — Gili, tak mi przykro.

— W porządku, Chris. Wszystko będzie w porządku.

Po chwili zasnął w moich ramionach, chłopiec, którego kochałam, mężczyzna, który mnie kochał i któremu było przykro. Zranił mnie, zawiódł, ale też napełnił przedtem moje życie radością, jakiej nigdy nie znałam. Christopher. Ogromne dziecko. Piękny mężczyzna z duszą dziecka. Mężczyzna, który jeździł ze mną na oklep po plaży w dniu, kiedy się poznaliśmy. Jak mogłam zwalić na niego ciężar mojego życia? Wiem, że powinnam była. Ale trochę zabrakło mi odwagi.

Leżałam bezsennie, dopóki w pokoju nie zaczęło się rozjaśniać, a wtedy przytuliłam się do jego pleców i zasnęłam, zbyt zmęczona, żeby płakać.

Koniec właśnie się zaczął.

Rozdział jedenasty

Posłuchaj, do cholery! Nie patrz tak na mnie. Powrót do Nowego Jorku dobrze ci zrobi. Masz tam dużo przyjaciół, aja przyjadę na wschód za parę miesięcy. Będiesz... do diabła, Gili, nie chcę ci tego wszystkiego jeszcze raz tłumaczyć i nie mam zamiaru tak tu sterczeć, jeśli dalej będziesz miała minę, jakby cię krzyżowali. Staliśmy na lotnisku i sam wyglądał, jakby go krzyżowali, gryzły go wyrzuty sumienia. Znowu moja wina?

— Okay, okay, przepraszam. Nie umiem tego opanować, to... — „Och, gównu. I po co to?” — Czy oddałam ci klucz od domu w Bolinas?

— Tak. Zabrałaś swoje buty narciarskie? Widziałem je wczoraj w ogrodzie i wyglądały na niezłe. Nie powinnaś ich tam zostawić. —

„Bardzo słusznie, Chris. Pozostajemy przy konkrektach”.

— Nie... Sam... tak. Zabrałam je.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że uśmiechał się do mnie jednym z tych dodających odwagi uśmiechów: „Tak, tak, już lepiej, no widzisz, że potrafisz”. Taka nasza mała gra. Miły wujek Chris odprowadza ciocię Gillian na lotnisko i ciocia Gillian wcale nie dostaje hysterii. Bardzo ładnie. Uśmiechnij się do ptaszka. Zastanawiałam się, dla kogo odgrywaliśmy to przedstawienie — dla ludzi na lotnisku, każde z nas dla siebie czy dla tego drugiego.

Odgrywaliśmy wszystkie złe zakończenia, jakie znałam z książek; naprawdę przegrywaliśmy to, nie sięgaliśmy już do siebie, po prostu staraliśmy się zapełnić minuty, zanim obie z Sam wsiądziemy do samolotu. Ale wypełnialiśmy je czymś, co nie było warte zapamiętania.

Miły głos Chrisa i jego puste, podkreślone uśmiezkami słowa mnie przerażały. „Nie staraj się obudzić we mnie poczucia winy”, mówiły do mnie, a moja udręczona twarz krzyczała im w odpowiedzi: „Nienawidzę cię!”

— Położyłam twój płaszcz deszczowy z tyłu samochodu.

— Dobra.

— Gdzie jest Sam?

Panujący tego ranka nastrój ogólnej paniki wszystko we mnie rozchwiał.

— Uspokój się. Jest tam, bawi się z jakimś dzieckiem. Nie denerwuj się, Gili. Wszystko będzie dobrze.

— Oczywiście. — Potaknęłam patrząc na swoje stopy i starając się powstrzymać od powiedzenia czegoś przykrego. — Zadzwoń do ciebie wieczorem, kiedy dojedziemy.

— Poczekaj do niedzieli, to taniej kosztuje i nie powinniśmy wpadać w rutynę codziennych telefonów. — Mówiąc to przyglądał się czemuś ponad moim ramieniem.

— Kto mówi o codziennych. Myślałam tylko, że będziesz chciał

wiedzieć, że dojechałyśmy i że wszystko jest w porządku. — W moim głosie brzmiała tłumiona irytacja.

— Jeśli samolot się rozwali, to na pewno o tym usłyszę. Urządź się i zadzwoń po paru dniach.

Znów potaknęłam. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

— Chcesz kawałek gumy do żucia?

Pokręciłam głową i płacząc odwróciłam się w stronę kobiety, która stała za mną. Musiała uznać mnie za niezłą wariatkę, ale ja po prostu nie mogłam już patrzeć na Chrisa.. Nie mogłam tego wytrzymać.

„Pasażerowie posiadający zielone karty pokładowe na lot numer 44

American Airlines proszeni są o wchodzenie do samolotu przejściem D

przy wejściu numer 12. Wszyscy pasażerowie...”

— To wy.

Potaknęłam chlapiąc i rozglądając się ponownie za Sam.

— Wiem. Możemy poczekać. Jest za dużo ludzi... nie ma sensu...

— Nie ma sensu czekać, Gili. Kiedy trzeba iść, to się idzie. „Dziękuję, panie Matthews, ty skurwielu...”, ale dalej potakiwałam i starałam się nie płakać.

— Ja... och... o Boże, Chris!

Przywarłam do jego kurtki i po raz ostatni dotknęłam ręką jego policzka, a potem odwróciłam się, ślepa od łez. Miałam ochotę krzyknąć i uklęknąć na podłodze lotniska, przywierając do jednego z tych wielkich chromowanych biurków Unii lotniczych i powstrzymać wszystko, co działo się bez mojej zgody. Chciałam zostać, o Boże, jak bardzo chciałam zostać. I chciałam, żeby Chris otoczył mnie ramionami, ale on tego nie zrobił. Wiedział, że w przeciwnym razie zupełnie bym się załamała.

— Sam, masz tu swojego misia i weź mamę za rękę.

Nasze płaszcze zostały mi wciśnięte w ramiona, Sam wzięła mnie za rękę i tłum popchnął nas w stronę samolotu. Czułam, że Chris idzie obok mnie wściekły, bo zrobiłam z siebie przedstawienie, ale ani trochę mnie to nie obchodziło. Nigdy w życiu nie czułam się taka samotna i nieszczęśliwa.

Wydawało mi się, że traciłam to, co najbardziej w życiu kochałam i czego najbardziej pragnęłam, i wątpiłam nawet, czy zobaczę go jeszcze kiedykolwiek. Płakałam po nim, zanim jeszcze wyjechałam. Kochałam go i nienawidziłam jednocześnie.

— Chris...

— Do widzenia, Gili, przyjemnej podróży. Do usłyszenia w niedzielę.

Odwróciłam się ściskając rękę Sam i zaczęłam przesuwać się z resztą tłumy w stronę wyjścia. Dzieliło nas już z sześć osób i szłam do przodu nie oglądając się.

— Gili... Gili!

Zatrzymałam się w potoku ludzi i odwróciłam, żeby go zobaczyć.. Po prostu musiałam.

— Gili!... Kocham cię!

Powiedział to! Powiedział to! To właśnie tego rodzaju rzeczy sprawiały, że wciąż go kochałam, te sprzeczności z ostatniej chwili, które chwytają moje serce, kiedy już miało się roztrzaskać o podłogę łazienki.

— Widzenia, wujku Crits! Widzenia!... Mamusiu, czy będę mogła oglądać film w samolocie?

— Zobaczymy.

Patrzyłam na Chrisa i nasze oczy mówiły to, czego nie potrafiliśmy powiedzieć sobie tego ranka. To było łatwiej.

— Mamusiu...

— Później, Sam. Proszę.

Proszę, proszę, później, wszystko, ale trochę później. Zapędzono nas do samolotu i już po chwili San Francisco zaczęło niknąć w dole pod nami. A potem zniknęło. Tak jak Chris.

Rozdział dwunasty

Podczas lotu Samantha była absolutnie anielska, samolot wypełniony do ostatniego miejsca, jedzenie okropne, a ja zupełnie otępiała. Jak ogłuszona. Opuściłam siedzenie do tyłu i tylko w odpowiednich momentach potakiwałam albo kręciłam głowę w stronę stewardesy i starałam się uśmiechać, żeby Samantha myślała, że z nią rozmawiam. Ale nie rozmawiałam. Mój mózg został na lotnisku w San Francisco, a gdzieś w piersi miałam coś, co nazywa się sercem. Mnie wydawało się, że jest to raczej jakiś marmurowy arbuz i zastanawiałam się, co by się stało, gdybym wstała. Może wypadłby ze mnie?

Spędziłyśmy w San Francisco prawie osiem miesięcy, a teraz wracałyśmy do Nowego Jorku. Dlaczego? To było idiotyczne. Wiedziałam przecież dlaczego, chociaż właściwie naprawdę nie wiedziałam. Wracałam do Nowego Jorku, bo byłam w ciąży i Chris nie chciał, żebym była blisko niego. Ale dlaczego nie chciał? O tym wolałam nie myśleć. Po prostu nie mogłam. Nie miałam na to odwagi. Podobnie jak na to, żeby myśleć o tym, co będzie robił teraz, kiedy mnie nie będzie. Spotka kogoś innego?

Zakocha się? Zamieszka z inną dziewczyną?... Będzie się pieprzył do usranej śmierci...

Powiedział, że przyjedzie do Nowego Jorku, ale czy rzeczywiście to zrobi? Nie wierzyłam w to. A właściwie wiedziałam, że nie przyjedzie.

I co miało być ze mną? Gdzie miałam być? Nigdzie. Sama. W ciąży. I z powrotem w Nowym Jorku.

Pierwsze trzy godziny pięciogodzinnego lotu spędziłam uzalając się nad sobą, czwartą przespałam, a przez piątą zaczęłam się złościć. Do diabła z nim. Do diabła z tym wszystkim.

Wracałam do Nowego Jorku i miałam zamiar sobie poradzić. Skoczę teraz temu miastu do gardła i wydrę mu wszystko, czego pragnę. Świat nie kończy się na Chrisie Matthewsie, a poza tym kiedy samolot zaczął

krażyć ponad światłami Long Island, zrozumiałam, że jestem podniecona powrotem. San Francisco mogło być piękne, pełne słońca i spokoju, ale Nowy Jork miał do zaoferowania coś zupełnie szczególnego.

Podniecenie. To miasto żyło, oddychało, pulsowało i nakłaniało do działania, niemal jakby miało swój własny rytm muzyczny, ciężki, hipnotyczny, nieodparty, którego zew usłyszałam, gdy tylko podwozie samolotu dotknęło płyty lotniska. — Mamusiu, czy już tu jesteśmy?

Uśmiechnęłam się na to pytanie i potaknęłam, biorąc małą ciepłą rączkę Sam i wyglądając przez okno w pustkę, w której lśniły tylko błękitne światła pasa startowego. Aleja wiedziałam, co było tam dalej, za rzeką.

Byłyśmy z powrotem w Nowym Jorku i teraz skorzystamy z tego jak należy. Alleluja. Amen. Wsiadłyśmy z samolotu i poszłyśmy odebrać nasze bagaże. I nagle zapragnęłam porwać nasze rzeczy i zobaczyć, natychmiast zobaczyć tę panoramę, która rozciągała się pod nami, gdy kołowaliśmy nad lotniskiem. Chciałam to widzieć, słyszeć i wąchać.

Chciałam wiedzieć, że Nowy Jork stał tam jak naga Cyganka i czekał na mnie. — Gdzie będziemy dziś spały, mamusiu?

Jej oczy patrzyły z lekkim niepokojem, gdy ścisnęła swojego misia, a mnie przyszło coś nagle do głowy. — Zobaczysz. Zatrzymamy się w bardzo szczególnym miejscu. Weszłam do budki telefonicznej, którą miałyśmy w drodze po bagaże, znalazłam numer w książce i nakręciłam.

Samantha i Gillian Ferrester zmieniły właśnie zamiary. Nasze dawne mieszkanie było wynajęte ze wszystkimi meblami i dwa tygodnie wcześniej dałam lokatorom miesięczne wypowiedzenie, co oznaczała, że przez te dwa tygodnie będziemy mieszkały w hotelu. Zarezerwowałam już pokoje

w jakimś spokojnym i niedrogim, niedaleko od miejsca, w którym dawniej mieszkałyśmy. Ale do cholery z tym. To był Nowy Jork. Do diabła ze „spokojnym i niedrogim”. Miałam pomysł. I przez dwa tygodnie było mnie na to stać.

— Do kogo dzwoniłaś, mamusiu?

— Tam, gdzie będziemy mieszkały. Myślę, że ci się spodoba. A za dwa tygodnie będziemy już w naszym własnym domu.

Pomyślałam, że powinna to usłyszeć. Ja mogłam potrzebować czegoś wspaniałego, żeby wydobyć się z bagna, ale jej potrzebne było coś, co znała. W porządku. Będziemy miały jedno i drugie. Najpierw dwa tygodnie dla mnie. A potem ona będzie w domu, cała i zdrowa.

Poszliśmy odebrać nasze walizki, kręcące się bez celu po ruchomej taśmie, po czym znalazłyśmy bagażowego, który zaniósł je do taksówki.

— Dokąd szanowna pani życzy?

Kierowca miał typowy wygląd nowojorskiego taksówkarza, zgaszony papieros w kąciku ust i twarz pokrytą dwudniowym zarostem.

— Poproszę do hotelu „Regency”. Sześćdziesiąta Pierwsza róg Park Avenue.

Opadłam na oparcie z błyskiem w oku, a Sam usiadła mi na kolanach i pojechałyśmy do miasta. Naszego miasta, Sam i mojego. To miasto było nasze. I miało być moje, całe moje, tak jak nigdy przedtem.

Rozdział trzynasty

Pędziliśmy do miasta typowo po nowojorsku, przeskakując z jednego pasa na drugi i siejąc po drodze śmiertelny postrach. Nie wydawało się, żeby wywarło to na Sam większe wrażenie, ale mnie przyprawiło o zawrotne, histeryczno-chichotliwe uczucie, jakiego dostaje się na karuzeli, kiedy wszystko porusza się za szybko i nic nie widać oprócz rozmazanych świateł i bezkształtnych

form. Uświadamiałam sobie tylko ruch i szybkość, a nie niebezpieczeństwo. W Nowym Jorku nikt się nie przyzwyczaja do niebezpieczeństwa, po prostu żyje się nim, oczekuje się go i staje się ono w końcu potrzebą. Jest tam.

Mknęliśmy przez Queensborough Bridge, wzdłuż Sześćdziesiątej, na róg Trzeciej Alei. I oto było, zaczynało być. Bandy potarganych młodych

„groovies” wysiadywały w restauracjach „Yellowfingers” wpatrując się w siebie i krytycznie przyglądając przechodniom. Swetry na dziewczynach były obcisłe i przezroczyście, spodnie na mężczyznach zahaczały o bezwstyd, a temu wszystkiemu towarzyszyła chłodno wystudiowana poza laissez aller. Wystarczyło mi jedno krótkie spojrzenie na nich, żeby zauważyć bibeloty, peruki afro i malowane twarze, szczegóły, których nie widzi się nigdy w Kalifornii, bo nikt się na nie nie odważy, nie to co tutaj w Nowym Jorku. Po drugiej stronie ulicy wielki sklep Bloomingdale, a w kanionie pomiędzy sklepem i restauracją potok gorączkowego

ruchu ulicznego, pisk klaksonów, gięte zderzaki i elektrycy od Con Edisona ustawiający tor przeszkód ku uciechu zarówno kierowców, jak pieszych. Cała okolica zdawała się zalana światłem restauracji, sklepów, zaułków i reklam kinowych, i miała nastrój, który mnie zauroczył.

Skręciliśmy prosto w Trzecią Aleję i pojechaliśmy kilka przecznic w górę miasta pośród innych samochodów, które tłoczyły się po obu stronach, siedziały nam na zderzaku i śpieszyły się chcąc zdążyć na światła. I w lewo do Park Avenue, gdzie okrążyliśmy wysepkę zieleni pośrodku ulicy i zawróciliśmy, żeby zahamować z piskiem przed wejściem do hotelu. I od razu ucieszyłam się, że zadzwoniłam tu z lotniska. „Spokojny” hotelik byłby mnie wykończył. Potrzebowałam właśnie tego.

„Regency”.

Portier w liberii pomógł nam wysiąść uśmiechając się do Sam, a dwaj chłopcy rzucili się po nasze bagaże. Zapłaciłam kierowcy i rozdałam napiwki niczym czekoladki w dniu Święta Zmarłych*, nawet się nad tym nie zastanawiając. Było warto.

Sam trzymała mnie mocno za rękę i wkręciliśmy się do środka przez obrotowe drzwi, a potem ruszyliśmy do recepcji. Była to jakaś nieprawdopodobna lada, cała z marmuru i złocień, za którą stała w pogotowiu cała flota mężczyzn.

— Dobry wieczór, madame. Czym mogę służyć?

Miał wieczorową marynarkę i czarny krawat, a do tego francuski akcent.

Doskonały.

— Dobry wieczór. Nazywam się Forrester. Godzinę temu dzwoniłam, żeby zarezerwować pokój. Na dwie osoby z dwoma łózkami.

Oczy Sam zaglądały na ladę i mężczyzna uśmiechnął się do nas.

— Tak. Rzeczywiście. Ale bardzo mi przykro, madame. Mamy kłopot.

Zaszło małe nieporozumienie.

„...O cholera. Nie ma pokoi”. I nagle poczułam się jak Kopciuszek, który w jednym mgnieniu oka powraca od jedwabistych falban do swoich sadzy.

— Jakie nieporozumienie? Nic mi nie powiedziano przez telefon.

Starałam się wyglądać zdecydowanie i nie okazywać rozczarowania, które odczuwałam.

* Dzień święta Zmarłych (ang. Halloween) — obchodzony jest w Stanach Zjednoczonych w sposób uroczysty i radosny (przyp. wyd.).

— Nie mamy już dziś podwójnych pokoi, madame. Myślałem, że być może zgodziłaby się pani wziąć do rana dwa połączone pojedyncze pokoje, ale widzę, że może to nie być stosowne dla mademoiselle. —

Wskazał wzrokiem na Sam i uśmiechnął się.

— Na pewno wolisz spać ze swoją mamą. — Miałam już rzucić się na te proponowane pojedyncze pokoje, ale on znów się odezwał. — Mam znacznie lepszy pomysł. Mamy właśnie wolny apartament. Będzie to nieco większe niż pani sobie życzyła... i znacznie droższe.

— Nie stać mnie na to, żeby aż tak się rozpieszczać. Apartament? — „Nie da rady”.

— ...ale wniosę odpowiednie poprawki do pani rachunku. Skoro obiecaliśmy pani przez telefon podwójny pokój, zostaniemy przy tej samej cenie. Mam nadzieję, że apartament się pani spodoba. To jeden z naszych najładniejszych.

— To bardzo miło z pańskiej strony. Dziękuję.

Uśmiechnęłam się do niego ciepło i z przyjemnością zauważyłam, że wywarłam na nim wrażenie. Widocznie jeszcze się do czegoś nadawałam.

I ucieszyłam się nagle, że miałam na sobie porządną czarną sukienkę, którą kupiłam tego lata u Magnina. Przynajmniej wyglądałam odpowiednio. I kiedy winda spokojnie wjeżdżała na dwudzieste siódme piętro, poczułam się znakomicie. — Bardzo proszę tędy.

Podążyliśmy za chłopcem hotelowym i naszymi bagażami, skręciliśmy dwa razy w lewo i pewna jestem, że czułam się nie mniej zagubiona niż Sam. Szliśmy nie kończącymi się bladobeżowymi korytarzami, wyłożonymi czerwonym dywanem i ozdobionymi małymi stolikami w stylu Ludwika XV o marmurowych blatach, porozstawianymi w odpowiedniej od siebie odległości. Drzwi oznaczone były dyskretnie małymi złotymi numerami i miały wielkie mosiężne klamki.

Chłopiec otworzył szeroko jedno z drzwi w końcu korytarza. 2709. To my. Och! Był to narożny pokój z prawdziwym nowojorskim widokiem.

Wychodziły nam na spotkanie wspaniałe drapacze chmur. W oddali stał

Empire State Building, a nieco bliżej miałyśmy budynki Pan Am i General Motors. W dole pod nami widać było elegancką Park Avenue, która ciągnęła się jak długa szarozielona wstęga, ozdobiona tu i ówdzie ulicznymi światłami. A w prawo od

tej panoramy wieżowców była East River z uroczymi małymi domami Wschodniej strony Sześćdziesiątych Ulic, pomiędzy nami i brzegiem wody. Nie mogłabym sobie życzyć niczego więcej.

Chłopiec dyskretnie wyszedł z pokoju, zanim zdążyłam mu podziękować i dać jeszcze jeden napiwek, a ja rozejrzałam się dookoła. Wszystko utrzymane było w żółtokremowej tonacji, z grubymi dywanami i drogimi obiciami, zasłonami z ciężkiego kremowego adamaszku i wszechogarniającym wrażeniem obfitości. Obok drzwi wejściowych był

mały bar, kuchenka i jadalnia, a po drugiej stronie ogromne biurko z marmurowym blatem. Poczułam się tak, jakby oczekiwano tu ode mnie dokonania czegoś niesłychanego, na przykład wypisania czeku na czterysta tysięcy dolarów.

Sypialnia była jasna i wesoła; meble w stylu francuskiej prowincji, tapety i narzuty na łóżkach w drobny wzór roślinny i wielki bukiet świeżych kwiatów. Co za luksus! A łazienka!... Łazienka! Była jak marzenie.

Wszystko z paryskiej porcelany, marmuru i brązu. Ręczniki wydawały się grube na siedem cali, a wanna głęboka na trzy stopy. I garderoba, która wyglądała jak buduar na francuskim dworze.

— Jak ci się podoba, Sam?

Uśmiechnęłam się do siebie zadowolonym, promiennym uśmiechem.

— Nie podoba mi się. Chcę wracać do San Francisco.

Dwie wielkie łzy spływały po policzkach i poczułam się tak, jakby czas się zatrzymał. Biedna Sam.

— Och, kochanie... ja wiem... ja też. Ale wróciliśmy teraz tutaj na jakiś czas. Kiedyś pojedziemy z powrotem. A tu będzie miło. Będiesz mogła chodzić do szkoły i...

Moje argumenty brzmiały niezdarnie i nagle zawstydziłam się swojej radości z powrotu, bo Sam wyglądała tak, jakbym ją zdradziła.

— Czy mogę dziś spać w twoim łóżku?

— Oczywiście, kochanie. Oczywiście. Chodź, położę cię. Jesteś głodna?

Pokręciła głową i ułożyła się na skraju łóżka przytulając wciąż swojego misia. Wyglądała jak obraz rozpaczy.

— A może trochę mleka i ciastko?

Może to pomoże. Podniosłam słuchawkę beżowego telefonu o opływowych kształtach, sprawdziłam umieszczoną pod nim kartkę, nacisnęłam właściwy guzik. Zamówiłam mleko i ciastka dla Sam i butelkę szampana dla siebie. Nie zrezygnowałam z jedwabnych falbanek. Kopciuszek wciąż jeszcze był na balu.

Wjechała ogromna taca nakryta różowym obrusem, Sam usiadła mi na kolanach i popijała mleko zagryzając ciastkami, podczas gdy ja sączyłam szampana. Musiało to nieźle wyglądać.

— Czas do łóżka, kochanie.

Potaknęła sennie, pozwoliła mi się rozebrać i wdrapała się na łóżko.

— Czy szybko pojedziemy z powrotem?

— Zobaczymy, kochanie... zobaczymy.

Powieki opadły jej ciężko na oczy, uchyliła je tylko jeszcze raz rzucając mi przeszywające spojrzenie.

— Jutro napiszę list do wujka Critsa... od razu rano!

— To bardzo dobry pomysł, Sam. A teraz pośpij trochę. Przyjemnych snów.

Zamknęła oczy, a ja uśmiechnęłam się patrząc na nią leżącą w wielkim łóżku, w którym wydawała

się zupełnie malutka. „Napiszę” jutro do Chrisa oznaczało wielkie, zamaszyste, cudowne bazgroły... tylko dla niego.

Zgasiałam światła w sypialni i poszłam do salonu naszego apartamentu, mając w dłoni kieliszek szampana, a w głowie obraz śpiącej Samantha... i Chrisa.

Wydawało mi się, że scena na lotnisku w San Francisco była o tysiąc lat poza nami, a dni spędzone w Kalifornii zdawały się odległym snem.

Kiedy spoglądałam na smocze miasto, które leżało u moich stóp, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek pojedziemy z powrotem. I czy w ogóle miałam na to ochotę. Wystarczyła godzina i Nowy Jork już mnie zauroczył. Podbijałam inne światy, a teraz zapragnęłam podbić mój własny. Chciałam zmierzyć się z Nowym Jorkiem i zwyciężyć, niezależnie od ceny, jaką będę musiała zapłacić.

Rozdział czternasty

Dzień dobry, mademoiselle. Jak się spało? Przynajmniej raz obudziłam się wcześniej niż Sam.

— Okay.

Sam patrzyła na mnie zaspana; wydawała się trochę zagubiona

— Jesteśmy w hotelu. Pamiętasz?

— Wiem. I zaraz napiszę list do wujka Critsa. — O tym też pamiętała.

— W porządku. Mamy dziś bardzo dużo spraw do załatwienia, więc wstawaj już. Niedługo wychodzimy.

Musiałam najpierw wykonać kilka telefonów. Upewniłam się, że lokatorzy z mojego mieszkania wyprowadzą się na czas i zaczęłam załatwiać szkołę dla Sam. Był dopiero początek roku, ale zgodnie z nowojorskimi wymaganiami spóźniłyśmy się o cały rok z naszym zgłoszeniem. Trudno. Wiedziałam, że jeśli zadzwonię do dostatecznej liczby szkół, to jedna z nich w końcu ją przyjmie i miałam rację. Szkoła mieściła się niedaleko hotelu i umówiłam się, że podejść tam z Sam po południu. Załatwiłam też dziewczynę, która miała pomóc mi przy Sam.

Będzie przychodzić do nas najpierw do hotelu, a potem z nami mieszkać.

Coś jeszcze musiałam załatwić. Pracę. I byłam pewna, że niełatwo będzie mi coś znaleźć. Ostatnio dawał się odczuwać

gospodarczy zastój i pracy było mało. Moje doświadczenie ograniczało się do reklam i artykułów w pismach, a słyszałam, że właśnie tam najtrudniej się wcisnąć, w dodatku nie było mnie przez jakiś czas. Przed wyjazdem pracowałam w piśmie „Decor”, ale nie miałam wielkiej nadziei na to, by znów coś tam znaleźć. Mogłam pracować na zamówienie tak jak w Kalifornii, ale wiedziałam, że w Nowym Jorku nigdy z tego nie wyżyję.

Koszty utrzymania były zbyt wysokie. I tak „Decor” był moją jedyną nadzieją. Przynajmniej dawał początek i może Angus Aldridge, redaktor naczelny, będzie miał jakiś pomysł albo wiadomości o pracy w innym piśmie. Nie szkodziło spróbować.

— Poproszę z panem Angusem Aldridgem. Moje nazwisko Forrester.

Gillian Forrester... Nie. F-O-R-R-E-S-T-E-R... tak, zgadza się. Nie.

Poczekam.

Był czarującym, eleganckim, cholernie dobrym redaktorem naczelnym.

Zawsze w garniturach od Billa Blassa, z ciepłym uśmiechem i wszechwiedzącymi oczami; radził wszystkim tym damom z prowincjonalnych miasteczek „jak to robić”. Miał trzydzieści dziewięć lat, urodził się w Filadelfii i skończył wydział dziennikarstwa w Yale, urlopy spędzał na nartach, najchętniej w Europie, latem jeździł z rodziną do Maine albo sam na greckie wyspy. Nasz naczelny. Nasz Bóg. Nasz redaktor Aldridge. Być może za swoim ciepłym uśmiechem był zimny i bez serca, jak tylko może być naczelny redaktor, ale ja go lubiłam; niewiele udawał, była w nim Filadelfia i Yale, i Wschodnia Sześćdziesiąta Czwarta Ulica, i bardzo mu to odpowiadało. Wierzył w to.

Gównu go obchodziły Wichita czy Bertrand i inne tego rodzaju miejsca, do których co miesiąc wysyłał swoje pisma. Ale robił dobre pismo i jeśli grało się zgodnie z zasadami, to przyjemnie było z nim pracować.

— Tak. Wciąż czekam.

— Gillian? Jaka niespodzianka. Jak się masz, moja droga?

— Świetnie, Angus. Wspaniale. Miło cię znowu słyszeć, zdaje mi się, że to już lata. Jak ci leci? I jak pismo, oczywiście.

— Cudownie, kochanie. Czy na dobre wróciłaś do miasta? Czy tylko przyleciałaś do źródła, żeby odżyć po San Francisco?

— Chyba wróciłam na dobre. Zobaczymy. — Mówiąc to poczułam nagłą tęsknotę za San Francisco.

— Gillian, moja droga, jestem już spóźniony na zebranie. Może byś wpadła któregoś dnia, zgoda? Może zjemy obiad dzi... nie, jut... W

czwartek? Obiad w czwartek. I wtedy pogadamy.

— Znakomicie, w czwartek. Cudownie. Dziękuję, do zobaczenia. I nie zapracuj się na śmierć do czwartku. Umieram z ciekawości, żeby usłyszeć wszystkie nowinki. — Co było kłamstwem, ale tak się mówiło w miejscowym dialekcie.

— Świetnie, kochanie. W czwartek. O pierwszej? „Chez Henri”?

Świetnie, w takim razie tam się widzimy. Cieszę się, że wróciłaś. —

Gówno prawda, ale też w tym samym dialekcie.

„Chez Henri”. Zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy trzeba było coś

„przedyskutować”... wytrawne martini, panie Aldridge?... na rachunek firmy, panie Algridge!.., gówno, panie Aldridge.

Ale musiałam znaleźć pracę, a Angus a zawsze lubiłam takiego, jaki był.

Tylko dlaczego nagle brzmiałam tak po nowojorsku? Gdzie był Chris?

Gdzie było San Francisco? Nowa ja? A nawet stara ja... gdzie byłam ja, do cholery? Sam powrót do Nowego Jorku tak mnie pochłonął, że czułam się prawie jak schizofrenik, zupełnie jakbym w chwili opuszczenia samolotu stała się inną osobą. Postanowiłam, że w czwartek zapytam Angusa o pracę, może nawet łatwiej będzie to zrobić przy obiedzie. A może trudniej. Zobaczymy. A każdym razie nic mi się nie stanie, jeśli go spytam. Najwyżej powie nie. I tak to będzie tylko początek.

Co dalej? Do kogo zadzwonić? Poczekać do spotkania z An-gusem, czy od razu zadzwonić do kilku osób? No, może jeszcze jeden telefon. John Templeton. Naczelnny mniej eleganckiego, mniej erudycyjnego, bardziej doczesnego pisma dla kobiet „Woman's Life”. To pismo było ostrzejsze, bardziej bezpośrednie i urozmaicone. Radziło, czym karmić dziecko po usunięciu migdałków, jak przymocować tapety Contac do ścian łazienki, jaką stosować dietę, kiedy traci się ukochanego i jak uszyć spódnicę „na po domu” z resztek materiału na zasłonki. John Templeton, tak jak jego pismo, należał do tych, którzy nie tracą czasu na głupstwa — albo ryba, albo odcinam przynętę — produkujesz albo jesteś na ulicy, jednym słowem dość groźne indywiduum. Ale podobaliśmy się sobie te parę razy, kiedy się widzieliśmy i być może będzie mnie pamiętał. Pracowałam u niego na zlecenia, zanim poszłam do „Decoru”. Zadzwoniłam więc.

I znowu szum centrali, klik, staccato i prawie całkowicie połączony głoski:

— Tu „Wmmm's... Lfff”.

— Poproszę z redaktorem Templetonem.

A potem: „Biuro redaktora Templetona”, powiedziane jasnym, wysoko ustawionym, młodym głosem. Sekretarka naczelnego. Ona uważała —

więcej, wiedziała na pewno — że może nie była mądrzejsza ani lepsza niż pan Templeton, ale na pewno przynajmniej równie wpływowa, na swój sposób oczywiście. Sekretarki mnie onieśmiałają; zawsze chcą, żeby „im to powiedzieć”, bo one potrafią, oczywiście, zająć się twoją sprawą z równym powodzeniem — tyle tylko, że gdyby miało się ochotę na rozmowę z nimi, a nie z ich szefem, to przecież człowiek od razu by je o tym poinformował.

— Chciałam rozmawiać z redaktorem Templetonem. Mówi Gillian Forrester. — Przykro mi, pani Forrester. Pan Templeton jest na zebraniu... Nie, obawiam się, że po południu będzie zajęty, a jutro

leci na cały dzień do Chicago. Czy mogłabym w czymś pani pomóc? — „Otóż to. Wiedziałam!”

— Nie, chciałam rozmawiać bezpośrednio z panem Templetonem... to znaczy... właśnie wróciłam z Kalifornii, a robiłam przedtem różne prace zleczone dla „Woman's Life” i...

„Och, do cholery, dlaczego sekretarki tak na mnie działają?”

— Może chciałaby pani porozmawiać z naszym działem kadr? Lód w głosie i pogardliwy ton, który mówi: „Ja mam pracę.

A ty nie?”

— Nie, doprawdy zależało mi na zobaczeniu się z panem Templetonem.

A teraz uwaga. Zaraz ci powie, że nie może mnie umówić, bo on jest w tym tygodniu bardzo zajęty, a w przyszłym zamykają księgę (to znaczy kończą numer, zanim pójdzie do druku), a w jeszcze następnym tygodniu będzie w Detroit, a potem... uwaga, już zaczyna!

— Bardzo proszę. Czy może być piątek o dziewiątej piętnaście?

Obawiam się, że to w tej chwili jedyna możliwość... Pani Forrester?...

Pani Forrester?

— Przepraszam, ja... och... dziewiąta piętnaście? Ja... och... tak, bardzo dobrze, to znaczy... w ten piątek?... Nie... nie... doskonale... pod jakim numerem można mnie zastać? Och, tak, oczywiście.

W hotelu „Regency”, pokój 2709... to znaczy 6... nie. Przepraszam. Pokój 2709... to tyle. To znakomicie. Do zobaczenia w piątek. — „Och, niech mnie wszyscy diabli”.

I tak wystartowałam. A jeśli nic nie wyjdzie ani z „Decoru”, ani z

„Woman's Life”, to będę szukała gdzie indziej. Przynajmniej nabrałam pędu.

— Sam, co byś powiedziała na podróż do zoo? Poszłyśmy z Sam wzdłuż Park Avenue w stronę Central Parku.

Przejechała się dwa razy na kucyku, a ja podziwiałam panoramę, bo było co podziwiać. Piąta Aleja rozciągała się w obie strony, jak daleko mogłam dosięgnąć wzrokiem i próbowałam wyobrazić sobie ludzi, którzy mieszkali tam w wielkim stylu, w penthausach po mojej lewej ręce oraz potentatów podejmujących milionowe decyzje w biurach z prawej strony.

Budynek General Motors strzelał w górę sprawiając, że inne domy wokół

niego zdawały się karłowate. Wszystko znów wydawało mi się nowe i ogromne. — Hej, Sam, a może pójdziemy na nadzwyczajny obiad?

— Nie jestem jeszcze głodna.

— Chodź, kochanie, nie marudź. A może chcesz zostać jeszcze trochę w zoo? Ale ona pokręciła tylko głową, a ja pochyliłam się, żeby ją pocałować. Wciąż rozpaczliwie trzymała się świata, z którego właśnie wyjechałyśmy, świata, o którym ja tak bardzo starałam się nie myśleć.

Trzymała się Chrisa.

— Chodź, Sam.

— Dokąd idziemy? — Zaczynała wyglądać na zaciekawioną.

— Tylko na drugą stronę ulicy. Zobaczysz. Właśnie tutaj. — Pokazałam jej. — To jest „Plaza”.

Przystanęłyśmy, żeby popatrzeć na konie i dorożki, a potem weszłyśmy po schodach do bajkowej krainy hotelu „Plaza”. Będąc już w środku, miało się wrażenie uczestniczenia w życiu zupełnie odrębnego miasta, które prezentowało tę samą niezależną elegancję co luksusowe statki dalekomorskie, absolutnie samowystarczalne i więcej przepychem.

Dywany pod naszymi stopami miały miękkość materaców, kołysały się nad nami liczne palmy, a tłum ludzi o zdecydowanych spojrzeniach przechodził obok; jedni mieszkali tu, inni zatrzymywali się po prostu na obiad. Była w tym światowość, którą lubiłam. To był Nowy Jork.

— Kto to jest?

Sam zatrzymała się przed ogromnym portretem małej puciołowatej dziewczynki, upozowanej obok psa boksera, która miała na sobie opadające podkolanówki i plisowaną granatową spódnicę. Na jej twarzy malował się wyraz diabelskiej złośliwości i wystarczyło rzucić na nią okiem, żeby odgadnąć, że jej rodzice byli rozwiedzeni, i że wychowywała ją bona. Miss Park Avenue we własnej osobie. Obraz był nieco karykaturalny i domyśliłam się, kogo miał przedstawiać.

— To jest Eloiza, kochanie. To taka mała dziewczynka z opowiadania, która miała tu podobno mieszkać ze swoją mamą, psem i zółwem.

— A gdzie była jej mama?

— Nie pamiętam. Chyba gdzieś w podróży.

— Czy ona żyła naprawdę?

Oczy Sam robiły się coraz większe. Podobał jej się wygląd dziewczynki, która widniała na ścianie ponad nią.

— Nie, była wymyślona.

A kiedy to mówiłam, wzrok mój przykuł mały napis umieszczony na stoliku pod obrazem. „Zwiedź pokój Eloizy. Informacja u portiera przy windzie”.

— Hej, chcesz coś zobaczyć?

— Co?

— Niespodzianka. Chodź.

Bez trudu znalazłyśmy windę i oględnie poprosiłam portiera, żeby zawiózł nas na miejsce przeznaczenia, po czym zaczęłyśmy wjeżdżać na górę. Winda pełna była przesadnie eleganckich kobiet i otyłych mężczyzn, a za naszymi plecami rozlegał się hiszpański, francuski, i coś co brzmiało jak szwedzki.

— Jesteśmy na miejscu, młode damy. Drugie drzwi po prawej.

Podziękowałam mu, a on mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Delikatnie otworzyłam drzwi. Pokój Eloizy wyglądał jak marzenie każdej dziewczynki i uśmiechnęłam się słysząc, jak Sam jęknęła z zachwytem.

— To jest pokój Eloizy, Sam.

— Och!... O rety!

Była to prawdziwa wystawa różowych śmieci, pełna wszelkich możliwych zabawek, porzucanych tak nieporządnie i bałaganiar-sko, jak każde dziecko pragnie je zostawić w swoim pokoju i na co nigdy mu nie pozwalają. Wysoka, szczupła kobieta mówiąca z angielskim akcentem, która grała „nianię”, z absolutną powagą oprowadziła Sam po głównych miejscach świątyni. Wizyta zakończyła się ogromnym sukcesem.

— Czy możemy tu jeszcze kiedyś przyjść i znów zwiedzić? Sam trudno było stamtąd wyciągnąć.

— Oczywiście. Wrócimy tu. A teraz co powiesz na obiad? Skinęła głową i podążyła obok mnie do Palm Court, gdzie

fortepian i skrzypce łączyły swe dźwięki pod gałęziami drzew, a miriady dam pogrążone były w dogadaniu sobie przy małych stolikach nakrytych różowymi obrusami. Wciąż panował tu ten sam wiktoriański urok, który miejsce to miało przed laty, kiedy jako dziecko przychodziłam tu czasem na herbatę z moją babką. Sam zamówiła hamburgera i ogromną wodę sodową z sokiem truskawkowym, ja uporałam się z sałatką ze szpinaku za sześć dolarów i ruszyłyśmy do domu bardzo zadowolone z naszego przedpołudnia. Po drodze zatrzymałyśmy się w szkole Sam, a ponieważ spodobała mi się, zapisałam ją od następnego dnia. A kiedy wróciłyśmy do hotelu, pomyślałam ze zdumieniem, ile udało nam się osiągnąć. W

Nowym Jorku tyle rzeczy dzieje się w każdej chwili, że człowiekowi wydaje się, że dokonuje w ciągu pół dnia tego, co mógłby robić przez tydzień. Załatwiłam sobie dwa spotkania w sprawie pracy, zapisałam Sam do szkoły, zjadłam lunch w „Plaża” i zadbałam o to, żeby Sam dobrze się bawiła. Zupełnie nieźle.

A teraz miałam parę wolnych godzin. Przyszła niańka i powierzyłam jej Sam. Chciałam zadzwonić do Peg Richards. Myślałam o tym przez cały dzień i nie mogłam się doczekać.

Z Peg Richards rosłyśmy razem i razem chodziłyśmy do szkoły; jest dla mnie kimś najbardziej zbliżonym do siostry. Różnimy się od siebie, a mimo to świetnie się rozumiemy. Doskonale. I troszczymy się o siebie nawzajem. Zawsze. Jak niektóre siostry i niektóre przyjaciółki.

Peg Richards jest ostra i twarda, używa nieprawdopodobnego słownictwa, i jest bardzo rzeczowa i bezpośrednia, ma kręłą sylwetkę, piegi i niezwykle żywe, brązowe oczy. Zawsze była pierwsza, kiedy szło o zrobienie w szkole awantury, ale też pierwsza do przywracania porządku. Bez trudu może nawymyślać dziewczynie, która zrobiła jej świństwo, albo pomóc takiej, której nikt nie lubił i nie zauważał. Wyrosła nosząc włosy ostrzyżone na chłopaka i męskie koszule i przejawiając całkowity brak zainteresowania strojami, makijażem i tym wszystkim, co pozostałe z nas szalenie intrygowało.

Chłopcami interesowała się mniej i później niż niektóre z nas. Była to po prostu Peg. Peg. Chłopczyca. Kapitan drużyny hokeja na trawie. W ciągu dwóch lat, które spędziłam w Europie udając, że studiuje sztukę, Peg całkowicie się zmieniła. Kiedy wróciłam, studiowała w Briarcliff i traktowała życie niezwykle poważnie. Jej słownictwo było jeszcze gorsze, ale wydawało mi się, że na jej rzęsach dostrzegłam ślad mascary.

Trzy lata później była odpowiedzialna za zakup odzieży dziecięcej w szykownym domu towarowym, jej słownictwo było absolutnie nieprawdopodobne i z całą pewnością używała mascary, a nawet sztucznych rzęs. Żyła z jakimś dziennikarzem, grała dużo w tenisa i spędzała wiele czasu podkopując establishment. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Kolejne pięć lat później wróciłam do Kalifornii, nadal była sama, z nikim akurat nie żyła i wciąż miała tę samą pracę.

Peg pomagała mi we wszystkim, matkowała w szkole, dotrzymywała towarzystwa, kiedy urodziła się Samantha, a jak siedziałam w domu bezradna, trzymała mnie za rękę w czasie rozwodu. Była przy mnie zawsze, gdy miałam kłopoty. Peg jest moją najlepszą przyjaciółką, najwierniejszym sojusznikiem i najbardziej zażartym krytykiem. Z kimś kogo znasz tak dobrze i kto tak dobrze zna ciebie, nie ma miejsca na wstyd i udawanie. Odezwała się centrala w domu towarowym, gdzie pracowała. Poprosiłam o jej pokój i po półminucie była już na linii.

— Peg? To ja.

O ile podczas rozmowy z Angusem stawałam się na powrót ultranowojorska, o tyle rozmawiając z Peg czułam się, jakbyśmy wciąż były w szkole.

— Do kurwy nędzy! Gillian! Co ty, do cholery, robisz w mieście? Na jak długo przyjechałaś? — Na jakiś czas. Przyleciałam wczoraj wieczorem.

— Gdzie mieszkasz?

— Nie uwierzysz, ale w „Regency”!

Ona się zakrztusiła, a ja zachichotałam w odpowiedzi.

— Moje gratulacje. Co się stało? Zbiłaś majątek na zachodzie? Myślałam, że gorączka złota już się skończyła? — To była Peg.

— Owszem. I to pod każdym względem.

Sprawiła, że pomyślałam znów o Chrisie i szybko spoważniałam.

— Och, Gili. Czy wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście. W porządku. A u ciebie?

— Żyję. Kiedy cię zobaczę? I moją małą przyjaciółkę Sam? Jest tu z tobą?

— Oczywiście, że jest. I możesz nas zobaczyć, kiedy tylko chcesz. Czuję się w tym cholernym mieście jak ktoś obcy i zupełnie nie wiem, od czego zacząć. Ale trzymam ster mocno.

— Kto by go nie trzymał mieszkając w „Regency”? Ale poczekaj chwilę, daj mi się w tym połapać. Przeprowadzasz się z powrotem, czy tylko przyleciałaś z wizytą?

— Czuję się tak jak to drugie, ale w praktyce... wróciliśmy.

— Twój romans się skończył?

— Nie wiem, Peg. Tak mi się wydaje, ale naprawdę nie wiem. To bardzo długa historia i rzeczywiście musiałam wrócić.

— Za cholereę nic nie rozumiem. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby to się tak skończyło. Cała ta historia z tą dziewczyną w jego łóżku nie zapowiadała nic dobrego. Zapomniałam już, że napisałam do niej pośród nieszczęścia.

— Przebrnęliśmy przez to.

— Co innego się stało? O Chryste! Mnie wystarczyłoby tamtej historii.

Dobra, mała Gili, w życiu się nie nauczysz, co? No nic, opowiesz mi wszystko, co będziesz chciała, jak się zobaczymy. Może być dziś wieczorem? — Wieczorem? Oczywiście... dlaczego nie?

— Co za entuzjazm. Niech cię diabli wezmą. Wpadnę do hotelu po pracy na drinka. Chcę zobaczyć tego potwora, twoją córkę. Tak się cieszę, że wróciłaś, Gili. — Dziękuję, Peg. Na razie.

— Tak, a przy okazji, bądź porządnie ubrana, kiedy przyjdę. Zabieram cię na kolację do „Twenty One”.

— Co takiego?

— Słyszałaś. Uczymy twój powrót.

— Nie możemy uczcić go przy hotelowej obsłudze?

— Idiotka.

I odłożyła słuchawkę, a ja uśmiechnęłam się do siebie. Dobrze było być z powrotem. Zdawało się, że czas spędzony z Chrisem nigdy się nie zdarzył. Byłam w Nowym Jorku, od którego zaczynałam, niedługo na pewno znajdę pracę, a wieczorem szłam na kolację do „Twenty One”.

Było tak, jakby Nowy Jork dawał z siebie, co miał najlepszego i wszystko zaczynało toczyć się zgodnie z moim życzeniem.

Rozdział piętnasty

Peg zarezerwowała w słynnej restauracji „Twenty One” stolik koło baru na dole, zaprowadził nas tam maitre d'hotel, który zdawał się zupełnie nieźle ją znać. — No proszę, przynajmniej rozbijałaś się pod moją nieobecność tam gdzie trzeba. — Na koszt firmy. Uśmiechnęła się z szelmowską miną i od razu zamówiła podwójne martini. To też było nowe.

Moje powitanie z Peg było tylko odrobinę mniej wylewne i radosne niż jej z Samanthą w hotelu. Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek, a jej język był jeszcze ostrzejszy. Zmiażdżyła Sam w potężnym uścisku, po czym nawymyślała mi poszturchując i popychając pośród ogólnych chichotów.

Jak dobrze było znów ją zobaczyć.

Kiedy sączyła swoje martini, ja rozejrzałam się po restauracji podziwiając klientelę. Sama śmietanka. Pieniądze Nowego Jorku przyszły na kolację.

I ja też.

W kwestii strojów San Francisco pomiędzy ostrym hippizmem a maklerami giełdowymi z lat pięćdziesiątych, pośrodku nie ma prawie nic.

Kobiety ubierają się konserwatywnie i wciąż noszą pastelowe wełenki, bez rękawów i sięgające kolan, kapelusze, rękawiczki i tak dalej. Ale Nowy Jork oferuje całą galerię strojów,

która po prostu oszałamia. Intensywna ekstrawagancja, spokojna elegancja, szykowna wytworność, mgławica kolorów, stylów i fasonów.

Zauważyłam to już, kiedy moja taksówka zatrzymała się przed

„Yellowfingers” w drodze z lotniska. W Nowym Jorku ludzie odważają się na wszystko. I to jeszcze jak!

Przy sąsiednim stoliku siedział obwieszony biżuterią „Nyew Yawwk”, jakiś udany interes duchowy ubrany w szykowny Paryż, bogate jedwabie i kremową satynę, z włosami prosto od fryzjera i

paznokciami zrobionymi tak, że miałam ochotę amputować sobie obie dłonie. Wokół baru siedzieli pięćdziesięcioletni mężczyźni z zabójczo wyglądającymi modelkami przypominającymi * posążki, o pracochłonnych makijażach na oczach i gładko zebranych włosach. W Kalifornii wciąż nosiło się je długie i rozpuszczone, ale w Nowym Jorku naturalny wygląd był już przeszłością, nie miał żadnego wdzięku i świadczył tylko o tym, że się nie nadało.

W sali panował półmrok, a obrusy były tak nakrochmalone, że mogły chyba same stać na podłodze. Ponad głowami wisiała spora kolekcja zabawkowych samochodów i samolotów. Wystarczało popatrzeć na sufit i od razu wiadomo było, że jest się w „Twenty One”. Dyskretne dźwięki dobrych sztucców, delikatnej porcelany i cienkiego jak papier szkła mieszały się z odgłosami rozmów w delikatny szmer i wydawało się, że wszystko wokół żyje.

— Czemu się tak przyglądasz, kiciu? — Peg obserwowała mnie z rozbawieniem.

— To dokładnie to. Już prawie zapomniałam, jak wygląda Nowy Jork. To bardzo dziwne uczucie, kiedy się tu wraca. Mam wrażenie, jakbym musiała od początku nauczyć się tutejszego języka i poskładać do kupy.

— Moim zdaniem nieźle ci idzie. Nie straciłaś jeszcze zupełnie kontaktu.

— Miałam na sobie białą wełnianą sukienkę, perły, które dostałam od mojej byłej teściowej, a włosy związałam w węzeł na karku. — Ten facet tam z prawej wygląda, jakby miał na ciebie większą ochotę, niż zdarzyło mi się to w życiu oglądać. Dobrze wyglądasz.

— Dziękuję, ale to gówno prawda.

— Pani Forrester! Taki język w „Twenty One”? Aj, aj. Nie można cię nigdzie zabrać.

— Och, zamknij się! — Zachichotałam do niej sponad mojego kieliszka wina Dubonnet.

— Najpierw opowiesz mi, dlaczego wróciłaś do Nowego Jorku. To jakaś zaszracona sprawa.

— Daj spokój, Peg. — Odwróciłam wzrok i rozejrzałam się po sali. Nie chciałam mówić o Chrisie. Chciałam po prostu spędzić miły wieczór.

— Teraz jestem pewna. Okay, gęba na kłódkę, powiesz mi to teraz czy później?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Ach tak? Czy twoja mama nigdy nie opowiadała ci historii o Pinokio, Gili? Powinnaś zobaczyć swój nos... robi się coraz dłuższy i dłuższy, i dłuższy, i...

— Peg Richards, jesteś okropna. Po prostu wróciłam i tyle.

— Obrażę się. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

— Jesteśmy. — Głos mi się załamał.

— Dobrze, niech ci będzie. Chcesz coś zjeść?

— Coś lekkiego.

— Jesteś chora? — Peg popatrzyła na mnie teraz poważnie, a ja zaczęłam szukać wśród żelaznego zapasu wymówek, po czym zrezygnowałam.

— Nie. Jestem w ciąży.

— Co? O cholera! I wróciłaś, żeby zrobić skrobankę?

— Nie. Po prostu wróciłam.

— A co z Chrisem? Wie o tym?

— Tak.

— I co?

— Wróciłam tu.

— Czy on cię zostawił, Gili? — Oczy Peg zapłonęły gniewem, naprawdę była najwierniejszą z moich przyjaciółek.

— Nie, zdecydowaliśmy po prostu, że tak będzie najlepiej.

— My? Czy on? To jakoś nie bardzo w twoim stylu.

— To nie ma znaczenia, Peg. On nie chce się teraz wiązać, a ja go rozumiem. Nie jest jeszcze gotowy. Tak będzie naprawdę lepiej. —Ale widziałam, że nie przekonałam Peg. Nie przekonałam nawet siebie samej.

— Chyba oszalałaś. Masz zamiar mieć to dziecko, Grill?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo go kocham. I chcę mieć dziecko.

— To cholernie poważna decyzja. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. —

Peg wyglądała tak, jakby ktoś wylał na nią właśnie kubeł lodowatej wody.

— Myślę, że wiem.

— Napijesz się jeszcze czegoś? Nie wiem jak ty, ale ja napewno muszę się napić.

Popatrzyła na mnie z ponurym uśmiechem, a ja pokręciłam głową.

— Posłuchaj, nie marnujmy wieczoru. Wszystko jest w porządku. Nic mi nie jest i wiem, co robię. Naprawdę, Peg. Uspokój się.

— Łatwo ci powiedzieć. Lubię się martwić. A poza tym ty jesteś tylko matką. Ja natomiast mam zamiar zostać matką chrzestną, a to jest odpowiedzialne zajęcie.

Roześmiałam się, a ona podniosła w moją stronę kieliszek i wychyliła toast na moją cześć.

— Za twoje zdrowie, ty cholerna idiotko. Skurwysyn. Nigdy się tego nie spodziewałam. Gdzie się, do cholery, podziało twoje dobre wychowanie?

Pośmiałyśmy się nad tym obie, a potem zamówiłyśmy kolację. Temat ten nie powrócił już tego wieczora, ale wiedziałam, że Peg cały czas o tym myślała i że jeszcze niejedno usłyszę w późniejszym terminie. Zbyt łatwo to poszło jak na Peg i nie byłaby sobą, gdyby nie uznała, że musi dopełnić swoich obowiązków i w którymś momencie porządnie mi nawymyślać.

Uważała, że w tej chwili nie byłam na to przygotowana. I może miała rację.

Zostałyśmy w „Twenty One” do jedenastej i miałyśmy właśnie poprosić o rachunek, kiedy przy naszym stoliku zatrzymał się jakiś wysoki, przystojny mężczyzna.

— Cześć, Peg. Czy można zaprosić was obie na drinka? — Mówił do Peg, ale uśmiechał się wyraźnie do mnie.

— Cześć, Matt. Co ty tu robisz?

— Mógłbym cię spytać o to samo, ale nie zapytam.

— Och, przepraszam. To jest Gillian Forrester, Matthew Hinton.

— Dobry wieczór.

Uścisnęliśmy sobie dłonie przez stół, a Peg wydawała się bardzo zadowolona.

— Napijcie się czegoś, panie?

Miałam właśnie odmówić, ale Peg spojrzała na mnie straszliwie i zgodziłam się. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy około pół godziny. Był

prawnikiem, pracował na Wall Street i należał do tego samego klubu tenisowego co Peg. Wyglądał na lekko po trzydziestce i miał przyjemny sposób bycia, ale jak na mój gust trochę za dużo wdzięku. Czułam się, jakby taksował mnie niczym wielki kawał mięsa, które być może zechce kupić i bardzo mnie to irytowało.

— Co byście powiedziały, gdybym was zaprosił do „Raffles” na drinka i tańce?

Tym razem uprzedziłam Peg.

— Nie, naprawdę nie mogę. Wczoraj wieczorem przyleciałam z Kalifornii i jeszcze tego nie odespałam, ale dziękuję za zaproszenie.

— To moja najlepsza przyjaciółka, Matt, i największy kłopot jaki znam na świecie. Zawsze psuje zabawę.

— Może ty pójdziesz, Peg? Odwiozę cię do domu.

— Nie, ja też dziękuję. Przepraszam, Matt.

Wykrzywił twarz w tragicznym grymasie, zapłaciliśmy odpowiednie rachunki, a właściwie Peg i Matt zapłacili. Skurczyłam się na myśl, ile musiała zapłacić, ale kolacja była znakomita.

Matt zaofiarował, że odwiezie nas obie do domu taksówką i Peg przyjęła propozycję. W parę minut byliśmy już pod „Regency”. Zauważyłam, że wyraźnie spodobało się to Mattowi. Pocałowałam Peg w policzek, podziękowałam za kolację i starałam się powstrzymać ją od powiedzenia czegokolwiek. Cokolwiek by wymyśliła, musiałyby to być coś okropnego. Matt cierpliwie czekał obok portiera na chodniku.

— Podoba ci się? — szepnęła mi do ucha, kiedy wyswobadzałam się z jej objęć, — Nie, do cholery! I ani się waż zaczynać mnie swatać! Ale dziękuję za kolację.

Odpowiedziałam jej chrapliwym szeptem, który poparłam srogim spojrzeniem. Ale ona nie odpowiedziała, co u Peg nie wróży nic dobrego.

Wyobrażałam już sobie, jak odwożona przez Matta do domu przygotowuje dla niego cały scenariusz.

— Dobranoc, Matt. Dziękuję za podwiezienie.

Stojąc na ulicy, chłodno uściśnęłam mu dłoń i ruszyłam w stronę drzwi przesyłając Peg ostatnie pozdrowienia.

— Gillian! — To był Matt.

— Tak? — Był przy mnie w dwu długich susach.

— Zadzwoń do ciebie jutro.

— Och.

Ale już go nie było, drzwi taksówki zatrasnęły się, wóz ruszył i natychmiast zniknął w wieczornym ruchu ulicznym miasta.

Rozdział szesnasty

Nazajutrz rano, gdy walczyłam właśnie z drugą filiżanką kawy, zadzwonił telefon i trzymając w jednej ręce gazetę, drugą w roztargnieniu podniosłam słuchawkę.

— Halo?

— Jak ci się podobał?

— Peg! Nudzisz jak cholera. Daj sobie spokój, dobrze? Powiedziałam ci wczoraj wieczorem, co o tym myślę. I mówiłam poważnie.

— O co ci właściwie chodzi? — W jej głosie brzmiała irytacja.

— O nic. Wciąż jeszcze kocham Chrisa.

— To cię donikąd nie zaprowadzi. On cię rzucił, pamiętasz?

— No dobrze, Peg. To już wystarczy. Nie mówmy o tym. Wczoraj było naprawdę miło.

— Też tak sędzę. I... och, do diabła. Dobra, Gili. Odczepię się.

Przepraszam. Tylko że moim zdaniem naprawdę powinnaś się z nim umówić. To by ci zapewniło tutaj dobry start. On ma mnóstwo kontaktów.

— Jestem tego pewna, ale przez to ani trochę bardziej mnie nie bierze.

— Okay, w takim razie znajdę ci jakiegoś hippisa, ty kretynko. —

Roześmiała się, a ja od razu poczułam się lepiej. — Tak sobie tylko pomyślałam, że wstawię się u ciebie za Mattem. Muszę lecieć na zebranie. Zadzwonię do ciebie.

— Okay, Peg. Na razie.

Ledwie zdążyłam odłożyć słuchawkę, gdy telefon znów zadzwonił i tym razem domyśliłam się, kto to mógł być.

— Gillian?

— Tak.

— Dzień dobry. Tu Matthew Hinton. — „No i co z tego?”

— Dzień dobry. — Co teraz? Naprawdę nie byłam w odpowiednim nastroju.

— Miałem zamiar zaprosić cię na kolację, Gillian, lecz właśnie nasunęło mi się coś innego. — Był to dość dziwny początek, ale czekałam, co powie dalej. — Jeden z adwokatów w moim zespole zaproponował mi właśnie dwa bilety na premierę do opery. Może chciałabyś pójść?

Zawstydziłam się sama własnej niestałości poglądów, ale nadarzała się okazja i nie należało jej

zmarnować.

— Och! To naprawdę wspaniały pomysł, Matthew. To bardzo miło z twojej strony.

— Daj spokój. Opera zaczyna się o ósmej, a potem możemy zjeść kolację.

Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej. Może być?

— Znakomicie. Do zobaczenia. I dziękuję.

Spojrzałam na siebie w lustrze i przez chwilę wstyd mi było, że ze względu na operę przyjąłm jego zaproszenie, ale ostatecznie cóż to takiego, to prawdziwa okazja. Matthew przyjechał dokładnie o wpół do ósmej i na mój widok wydał przeciągły gwizd, od którego niemal spuchła mi głowa. Miałam na sobie suknię z kremowej satyny, która podkreślała resztki mojej kalifornijskiej opalenizny, i muszę przyznać, że sama byłam zadowolona, kiedy przed wyjściem z pokoju obejrzałam się w lustrze.

On wyglądał bardzo poprawnie i całkiem przystojnie w wieczorowej marynarce, z małymi szafirowymi guziczkami u kołnierza, i przez chwilę przypominał mi mojego byłego męża. Cofałam się znowu do zrównoważonego świata establishmentu, nawet jeśli miał to być tylko jeden wieczór. I świat ten był o milion lat świetlnych od tego, który dzieliłam z Chrisem.

Taksówka zatrzymała się przed Lincoln Center, gdzie fontanna wznosiła się nad placem w kapryśnych, pełnych wdzięku skokach. Małe grupki eleganckich melomanów podążały w tym samym co my kierunku, a ja ignorując Matta przyglądałam się wspaniałym sukniom i pięknym ludziom. W oczywisty sposób widać było, że to Wydarzenie. Reporterzy wyskakiwali z tajemniczych kątów i niewidocznych zakamarków i błyskali fleszami na wchodzących ludzi. Można było się domyślić, kto zajmie łóżko — ci byli jeszcze bardziej wytworni od pozostałych, a ich biżuteria olśniewająca.

— Panie Hinton, tylko chwilkę, proszę.

Matthew odwrócił głowę w lewo, żeby zobaczyć, kto go wołał, a ja poszłam w jego ślady i dokładnie w tej chwili nasze twarze zalało światło, a fotograf zrobił zdjęcie.

— Czy można zapytać, kim jest pańska towarzyszka? — pytała smukła, czarna dziewczyna, która stała obok fotografa.

Ubrana była na czerwono i miała naturalnie rozpuszczone włosy. Wyjęła mały notes i z uśmiechem zapisała moje nazwisko, podczas gdy ja patrzyłam na to z niedowierzaniem. To była dopiero scena. Wokół

panowało prawdziwe piekło i ludzie starali się przecisnąć poprzez gromadę fotografów i reporterów. Matthew pohołował mnie na górę, ku schodom wiodącym do łóżka, a bileter w starszym wieku uśmiechnął się do niego. — Dobry wieczór, panie Hinton. — „No proszę”.

— Często chodzisz do opery, Matt? — Raz na jakiś czas.

Ale zaczynałam podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Grali „Łucję z Lammermoor” z Joan

Sutherland i spektakl zapierał dech w piersi.

Podczas przerw szampan płynął strumieniami, a reporterzy dalej grasowali dookoła. — Zamówiłem kolację w „Raffles”, żeby nadrobić twoją wczorajszą odmowę. Czy nie masz nic przeciw temu?

— Cudownie.

A w „Raffles” znowu zewsząd oblegało nas „Dobry wieczór, panie Hinton”, którym obdarzał go każdy kelner znajdujący się w polu widzenia. Peg miała rację, on rzeczywiście prowadził bujne życie towarzyskie. Wieczór był miły, rozmowa lekka i przyjemna, a Matt miał

nieźle poczucie humoru. Zamówił wędzonego łososa, pieczoną kaczkę i soufflé au grand marnier. Piliśmy znowu szampana i trochę tańczyliśmy w wesołym gwarze klubu. Wnętrze

projektował Cecil Beaton i brakowało mu ciepła, ale zebrany tam tłum niewątpliwie reprezentował nowojorską elitę.

Do „Regency” wróciliśmy o pierwszej, uściśnęłam mu dłoń na dole w holu i wieczór się skończył. Było dokładnie tak, jak się spodziewałam.

Premiera w operze. Nie miało to dla mnie innego znaczenia. Dopóki następnego dnia nie zobaczyłam gazet.

O dziewiątej rano znów zadzwonił telefon, ale tym razem jeszcze spałam.

— Myślałam, że nie chciałaś się z nim umawiać?

— Co?

— Słyszałaś mnie. — To była Peg. — Jak było w operze?

— Bardzo miło, dziękuję. — Próbowałam się obudzić, trochę jednocześnie zaskoczona. — Skąd wiesz, że byłam w operze? Matt do ciebie dzwonił?

Ta możliwość zirytowała mnie niczym nastolatkę, o której opowiada się „chłopakom”.

— Nie. Przeczytałam w gazecie.

— Na pewno. Zadzwonił do ciebie. Usiadłam na łóżku.

— Nie dzwonił. Mam w ręce dzisiejszy numer „Women's Wear Daily” i cytuję: „Kim jest ostatnia miłość znanego playboya Matthew Hinton?”

Wczorajszego wieczora pojawili się razem na premierze, która była... etc, etc. Zajmowali łóżę Q należącą do jego ojca, a po premierze widziano ich w «Raffles», prywatnej dyskoteci, w której

zbiera się śmietanka towarzyska. Sączyli szampana i tańczyli do świtu".

— O Chryste! Wróciłam do domu o pierwszej! — Byłam jak ogłuszona.

„Najnowsza miłość playboya Matthew Hintona? O Boże!"

— Zamknij się, jeszcze nie skończyłam. „Pani Forrester miała na sobie suknię z kremowej satyny, odsłaniającą ramiona, która wyglądała jak zeszlóroczny Dior. Niemniej jest ona niezwykle atrakcyjną młodą damą.

Brawo, Matt".

— Wielkie dzięki. Jeśli o to chodzi, to moja sukienka wygląda jak sprzed sześciu lat. O mój Boże, Peg. To najgorsze bzdury jakie kiedykolwiek słyszałam. Jestem zdruzgotana.

— Nie przejmuj się. W „Timesie" zamieścili tylko zdjęcie. Wyglądałaś bardzo dobrze. No jak... podoba ci się?

— Oczywiście, że nie. A zresztą sama nie wiem, do cholery. Naprawdę bardzo byłam podniecona myślą o premierze w operze, ale on sam jest równie interesujący jak postać z papier-mache. Taki stereotypowy i okropnie poprawny. I prawdę mówiąc, nie bardzo mi się podoba, żeby gazety opisywały mnie jako „ostatnią miłość" jakiegoś playboya. Jezu!

— Nie nudź. Baw się tym.

— Gówno.

— No to przynajmniej poumawiaj się z nim przez jakiś czas.

— Co takiego? Żeby wszystkie pisma analizowały, co jedliśmy na kolację? Nie warto, Peg. Ale dziękuję, że mnie z nim poznałaś.

— Jesteś kretynką. Ale może masz trochę racji. On rzeczywiście jest nudnawy. Tak czy owak wkładam wycinki do mojego archiwum. Moja przyjaciółka Gillian Forrester, ostatnia miłość playboya.

— Ty małpo! — I tym razem odłożyłam słuchawkę zaśmiewając się.

Było to rzeczywiście dość zabawne. Prawie warto było posłać te wycinki Chrisowi. Właśnie zamawiałam śniadanie, gdy wjechał ogromny bukiet róż. Towarzysząca mu kartka głosiła: „Bardzo mi przykro z powodu gazet. Mam nadzieję, że przetrzymasz ten sztorm. Następnym razem zjemy kolację u «Nedicka»". I podpis: „Matt". Miał rację co do przeczekania sztormu. Nie tylko to jednak planowałam robić. Włożyłam kwiaty do wazonu i znów podniosłam słuchawkę. Pewnie jeszcze raz Peg.

— Gillian? Wybaczyłaś mi już? — To był Matt.

— Nie ma nic do wybaczenia. To zupełnie niezły bankiet powitalny w drugim dniu mojego pobytu w Nowym Jorku. Wygląda jednak na to, że cieszy się pan tu niezłą opinią, panie Hinton.

— Bynajmniej nie aż taką jak wydaje się sądzić „Women's Wear”. Zjesz ze mną dziś kolację?

— Żeby potwierdzić plotki?

— Dlaczego nie?

— Przykro mi, lecz naprawdę nie mogę, Matt. Ale wczoraj świetnie się bawiłam.

— Nie jestem pewien, czy ci wierzę, ale cieszy mnie to. Zadzwoń do ciebie pod koniec tygodnia i zastanowię się, co jeszcze moglibyśmy zrobić, żeby zaostrzyć prasie apetyty. Co myślisz o koniach?

— W jakim sensie? Jako pożywieniu czy środka transportu?

— Jako rozrywce. W sensie pokazów koni. Interesuje cię to?

— Prawdę mówiąc nawet bardzo, ale muszę się jeszcze zastanowić. Mam tu bardzo dużo spraw do załatwienia.

Nie miałam najmniejszego zamiaru pakować się w romans wyswatany przez gazety.

— W porządku, zajęta damo, zadzwonię do ciebie. Baw się dobrze.

Och! Trzy dni w Nowym Jorku i miałam róże na stole, dwa zdjęcia w rubrykach z życia towarzyskiego, kolacje w „Twenty One” i „Raffles”, i premierę w operze. Nieźle, pani Forrester. Całkiem nieźle.

Rozdział siedemnasty

Nadszedł czwartek i mój lunch z Angusem. Bardzo chciałam znaleźć u niego pracę, ale nie byłam szczególnie zdenerwowana. Zapowiadał się wspaniały, słoneczny jesienny dzień. Czułam się świetnie i byłam w dobrym nastroju.

Przyjechałam do „Chez Henri” trzy minuty po pierwszej, Angus już czekał przy barze, zadbany do perfekcji. Jego włosy przeredziły się nieco na czubku głowy, ale było to nadzwyczaj dobrze zamaskowane przez starannego fryzjera. Jego uśmiech pojawił się na swoim miejscu, gdy tylko weszłam w drzwi.

— Gillian! Wyglądasz cudownie! Po prostu bosko. Co za wygląd, i ta opalenizna! I zmieniłaś fryzurę, prawda, moja droga?

Mniej więcej po sto czterdziestym siódmym „moja droga” zebrałam się na odwagę, żeby spytać go o szanse znalezienia pracy w świętych korytarzach „Decoru” i zostałam w czarujący, elegancki i pełen wdzięku sposób splawiona, z uśmiechem, który stał się nieco szerszy, by pokazać mi, że naprawdę mu „zależało” i że „pragnęliśmy ogromnie, ale...”

Wygłosił wszystkie stosowne ogólniki o tym, jak „ogromnie mi przykro z tego powodu... interesy idą kiepsko... ale przecież i tak nie bawiłaby cię już praca w «Decorze», prawda, moja droga?" Miał w połowie rację, ale potrzebowałam pracy i on

pierwszy przyszedł mi do głowy. Może nawet chciałam znów tam pracować, ale kiedy porzucało się „Decor”, to opuszczało się go na dobre.

Jak klasztor albo łono matki. Nie było powrotu.

Mimo to lunch upłynął przyjemnie, a ja mogłam jeszcze z nadzieją myśleć o spotkaniu z Johnem Templetonem, z którym umówiona byłam następnego dnia. Tylko, w przeciwieństwie do czwartku, piątek zaczął się straszliwą ulewą i atakiem zdenerwowania, które uświadomiło mi, jak bardzo zależało mi na tym, żeby dostać tę pracę w „Woman's Life”.

Obijałam się w autobusie wiozącym mnie do redakcji, marząc o jeszcze jednej filiżance kawy, która nadałaby mi rozbudzony, energiczny wygląd, właściwy ludziom zaangażowanym w to, co robią.

Wiedziałam, że wyglądam dokładnie na odwrót i chciałam to jakoś ukryć.

Należy być w świetnej formie, niczego nie potrzebować i zeglować pełną parą, a wtedy oferty pracy padają ci na kolana jak dojrzałe jabłka. Jeśli natomiast z finansowych albo emocjonalnych względów naprawdę potrzebuje się pracy, od razu jest to widoczne. Ma się ten rozpaczliwy, smętnie głodny wygląd, a drzewo niczego nie strząsa na kolana. Potrzeba odstrasza ludzi. Nikt nie lubi biednego, głodnego faceta, który siedzi na rogu, koło więzienia na Riker's. Budzi współczucie, ale nikt nie zbliża się do niego w obawie, że kontakt z nim lub zauważenie go może przenieść jego „chorobę”. Smutek może okazać się zaraźliwy i nikt nie chce podejmować takiego ryzyka.

Dziesięć po dziewiątej podeszłam do czarnego marmurowego wejścia

„Woman's Life”, gdzie drzwi oznaczone były napisem z brązu: 353

Lexington. Lekko przybrudzone kandelabry na zewnątrz budynku były właśnie odkurzone. Ruszyłam w stronę drugiej z szeregu czterech wind i zaczęłam się jeszcze bardziej denerwować. W windzie grała typowa

„windowa muzyka”. Wjeżdżając powoli na górę marzyłam, tak bardzo pragnęłam, żeby za godzinę wyjść stąd z pracą.

Dziewiąta dwanaście. Trzecie piętro... recepcjonistka... „Proszę usiąść, pani Forrester. Sekretarka pana Templetona zaraz po panią przyjdzie”.

Siedem numerów „Life”, dwa numery „Holiday” i wszystkie ostatnie numery „Woman's Life” leżały na niskim stoliku stojącym obok kanapy Naugahyde, która starała się wyglądać jak Mies van der Rohe, ale niezupełnie jej się to udawało.

Siódmy papieros tego dnia, druga fala mdłości, przypominająca mi szybko o tym, co działo się wewnątrz mojego ciała, nagłe uczucie, że moje dłonie są zupełnie spoczone, po czym uśmiechnięta

dziewczyna mniej więcej w moim wieku, która wyglądała, jakby pochodziła gdzieś z Cleveland, wyszła po mnie, żeby zaprowadzić mnie do pana Templetona.

Wydało mi się, że jestem od niej znacznie młodsza, głupsza, mniej kompetentna i zdecydowanie mniej przydatna. Ona przecież miała pracę, a ja?... No już, Gillian, weź się w garść, i dalej trzema długimi korytarzami, których jedynym widocznym celem było wywieranie wrażenia na gościach i wprowadzanie ich w stan kompletnej dezorientacji, w który to posłusznie popadłam już przy drugim z nich. W poczekalni bez i wielka pomarańczowa popielniczka na biurku Miss Cleveland, jeszcze jeden fotel „prawie Mies van der Rohe” i drzwi. Te drzwi. A w drzwiach stał John uśmiechając się do mnie, prężny i nerwowy, pełen energii i przyjacielski. Wprowadził mnie do środka, zamknął drzwi i zaproponował kawę, zapalił fajkę, dużo się uśmiechał, dużo mówił o niczym, wypytywał o zalety San Francisco i zachowywał się jak „John Templeton — Przyjaciel” wobec „Gillian Forrester: były współpracownik, który powrócił”. Z tym mogłam sobie poradzić. To było łatwe. Potrafiłam być Gillian Forrester. Wiedziałam, jak to robić. A skoro on gra Przyjaciela, to wszystko będzie w porządku. Uspokoiłam się, rozejrzałam dookoła, zapytałam go o dzieci, powiedziałam kilka zwykłych ogólników o Nowym Jorku i zapytałam, jak „Woman's Life”

daje sobie radę z kryzysem wydawniczym. Nie zapytałam o to jak ktoś, kto szuka pracy, ale jak ktoś, kto też pracował w tej branży. Zapomniałam o pracy. Nastąpił krótki raport o interesach, uzupełniony informacjami o tym, którym tytułom groziło zamknięcie, a które tylko były w tarapatach, „jak wszyscy dobrze wiemy”. Niemal w połowie zdania, przy mojej drugiej filiżance herbaty, John podniósł na mnie wzrok, popatrzył przez chwilę i powiedział: „Dlaczego tu wróciłaś, Gillian?” Hhmmmm. John Templeton nie był aż tak bliskim przyjacielem, żebym mogła zwierzać mu prawdy ukryte w głębi serca. Przynajmniej sądziłam, że nie mogę. Co więc powiedzieć? „Musiałam”. „Chciałam”. „Tęskniłam za Nowym Jorkiem”. „Chciałam przyjść do pracy w «Woman's Life»”... Tylko prawda mogła zabrzmieć wiarygodnie, ale była ona tak niecodzienna, że nie potrafiłam nawet jej części ofiarować mu jako wyjaśnienia.

Przez trzy sekundy, które wydawały mi się ośmioma latami, wpatrywałam się w swoją kawę i słuchałam, jak dzwoni mi w uszach; potem podniosłam wzrok i powiedziałam najinteligentniejszą rzecz, jaką potrafiłam wymyślić: „Chciałam wyjechać na jakiś czas z San Francisco i pomyślałam, że może wrócę tutaj”, co nie miało wielkiego sensu i niewiele mówiło, może poza sugestią, że poszukiwana byłam w Kalifornii za jakieś obyczajowe wykroczenia czy coś w tym rodzaju. Ale on przyjął to do wiadomości i tylko spytał mnie, czy wróciłam na dobre.

Czego ja nie byłam pewna. I powiedziałam mu to. Powiedziałam, że wróciłam przynajmniej na sześć miesięcy, może rok, a może na zawsze, zależy od tego, co znajdę w Nowym Jorku, co wydarzy się w moim życiu przez ten następny rok.,

— Czy szukasz pracy? — zapytał John,

— Tak... nie. To znaczy, zadzwoniłam do ciebie, bo lubię „Woman's Life”. Nie chcę wracać do pracy w reklamie, a jak wiesz, rynek wydawniczy dość się skurczył. Więc pomyślałam, że może warto spróbować do ciebie zadzwonić.

— A co z twoją starą pracą w „Decorze”? Rozmawiałaś z Angusem Aldridgem? — Tak. Nic z tego.

Skinął głową, a ja zadowolona byłam z mojej uczciwości. Zawsze podejrzewałam, że ze sobą rywalizowali, ale niezależnie od tego jak było naprawdę, ja przynajmniej stawiałam sprawę otwarcie.

— ...Julie Weintraub...

Co Julie Weintraub? Co ona ma z tym wspólnego? Dlaczego zaczął nagle mówić o Julie Weintraub?

— Julie Weintraub?

Wydawało się, że była to jedyna odpowiedź, która podtrzymywała rozmowę. Może powtórzy coś, czego nie dosłyszałam.

— Pamiętasz ją oczywiście. Pracowałeś razem nad kilkoma projektami. Gwiazdka i...

Oczywiście, że ją pamiętam, ale wciąż nie bardzo rozumiałam, dlaczego John o niej wspomniał.

— Otóż, jak powiedziałem, w zeszłym tygodniu Julie złamała sobie miednicę i przez jakiś czas będzie unieruchomiona w łóżku, przynajmniej na osiem tygodni, może dziewięć, a nawet dwanaście.

Jean Edwards i pozostałe dziewczęta starają się przejąć jej główne prace, ale mamy z tym pewne kłopoty. Zacząłem się więc zastanawiać, czy nie przyjąć kogoś na krótko, może nawet nie na cały czas, trzy, cztery dni w tygodniu i zobaczyć, jak to się sprawdzi. I pomyślałem, czy może ty nie zechciałabyś. Ostrzegam cię, Gillian, płaca jak dla niewolnika i żadnych wierszówek, ale też nie będzie to cały tydzień, dzięki czemu miałabyś więcej czasu dla swojej córki. Co o tym myślisz?... — „Co ja o tym myślę? Co ja myślę? Myślę, że widocznie ktoś gdzieś bardzo mnie kocha, oto co myślę! Alleluja! Opowiem to Chrisowi!” — Gillian, przestań się do mnie uśmiechać i odpowiedz coś.

John też się do mnie uśmiechał. Domyślił się odpowiedzi z wyrazu mojej twarzy.

— Myślę, drogi panie Templeton, że drzewo jednak upuściło jabłko na moje kolana. Podoba mi się to. To znaczy, zgadzam się. To znaczy... to znakomicie! Zupełnie jak we śnie!

— Czy możesz zacząć w poniedziałek? Potaknęłam, bo mój język wciąż związany był w supeł.

— To świetnie. I możesz liczyć na tę pracę przynajmniej przez osiem tygodni. Chcę, żebyś porozmawiała z Julie o tym, co do tej pory zrobiła.

Pracujemy teraz nad marcowym numerem. Sądzę, że to dość informacji na początek. A w poniedziałek zapędzimy cię porządnie do roboty.

A ja uśmiechałam się i uśmiechałam, i błogosławiłam w duchu miednicę Julie Weintraub.

— Świetnie, John. To znakomicie. — I wciąż ten głupi uśmiech na mojej twarzy.

John wstał, podaliśmy sobie dłonie, wzięłam płaszcz i jak to mówią, niemal wyfrunęłam z jego gabinetu. Sekretarka w poczekalni nie posiadała już niczego, czego ja nie mogłabym mieć, windy grały moją ulubioną piosenkę, a brązowe „353” na froncie budynku nadawało mu domowy wygląd. A

od następnego poniedziałku miałam pracę.

Po powrocie do hotelu pomyślałam, że zadzwonię do Chrisa.

Zastanawiałam się nad tym, bo obawiałam się, że ugasi mój entuzjazm, będzie obojętny albo nonszalancki, a ja chciałam, żeby cieszył się razem ze mną. Połowa radości z nowej sukienki, która podoba ci się do szaleństwa, tkwi przecież w oczekiwaniu na to, co powie Królewicz z Bajki, kiedy ją zobaczy. Nie możesz się doczekać jego jęku zachwytu i słów, że nigdy nie wyglądałaś tak pięknie. Ale kiedy ci powie, że to piękna suknia, tylko musisz do niej schudnąć jeszcze pięć kilo, albo że wyglądałaby rewelacyjnie na dziewczynie z większym biustem, albo że jaka to szkoda, że masz za krótkie nogi do tego fasonu... wtedy coś w tobie umiera, a twoje gwiazdy tracą swój blask. To właśnie czułam wahając się, czy zadzwonić. Nie chciałam, żeby pozbawił moją radość blasku. Czekałam wiec... Ale koło czwartej nie mogłam już tego dłużej wytrzymać i zadzwoniłam. Siedziałam przez chwilę z zapartym tchem, a telefon dzwonił i dzwonił z tamtej strony, po czym rozczarowanie zaczęło ścisnąć mnie w gardle na myśl, że mogło go nie być w domu.

— ...Tak?...

Och, był w domu, a z tej strony byłam ja, czując się jak czternastolatka.

— Chris? To ja. Znalazłam pracę. Jako stylistka w „Woman's Life”.

Zaczynam w poniedziałek na osiem albo dziesięć tygodni w zastępstwie za dziewczynę, która jest w szpitalu. Po prostu znalazłam pracę. Czy to nie cudownie?

Wszystko to wyrzuciłam z siebie jednym tchem. Dlaczego nie byłam w stanie powiedzieć tego bardziej jak dorosła, pracująca zawodowo kobieta, czy coś w tym rodzaju? Moje podniecenie i przejęcie z powodu rozmowy z Chrisem sprawiły, że brzmiałam dziecinnie i głupio. A może to tylko ja sama czułam się mała i głupia?

— To bardzo miło, Gili. Będiesz przez jakiś czas zajęta. Dlaczego nie rozejrzałaś się za czymś na dłużej? Za dwa miesiące będziesz musiała znów czegoś szukać.

Innymi słowy: „Szkoda, że ta suknia ma taki dół, z twoimi nogami...”, no nic, przynajmniej próbował.

— Słuchaj, Gili, myślę że nie powinnaś tu już więcej dzwonić. Nie podniecaj się ani nie złość. To nic wielkiego. Tylko na tymczasem.

Mieszkam teraz z kimś. Ona będzie płaciła połowę czynszu, a to mi się naprawdę przyda.

— Mieszkasz z kimś? Ona? Od kiedy? I kim ona, do diabła, jest, że ja nie mogę nawet zadzwonić? Co to wszystko znaczy, do cholery?

O Boże, po co ja to wszystko robię, to nie moja sprawa. Dlaczego umieram tu i cała się trzęsę? Trzeci papieros... kogo obchodzi teraz praca u Johna Templetona? Wszystko skończone między mną i Chrisem, królowa umarła, niech żyje królowa...

— Posłuchaj, to naprawdę nic ważnego, Gili, nawet jej nie znasz, i to tylko na chwilę. — „Ty podły draniu, ty zepsuty skurwysynu...”

— Owszem, znam ją. Słyszę to w twoim głosie. Kim ona jest? Sam powiedziałeś, że to nic ważnego, więc zaspokój po prostu moją ciekawość. Kim ona jest?

W moim głosie pojawiła się lekko histeryczna nuta.

— Marilyn Lee.

Skurwysyn. Wiedziałaś. To o niej powiedział mi tamtego dnia na plaży.

Jedyna dziewczyna, na której mu kiedykolwiek zależało. Ale podobno wszystko było skończone. A teraz wcale nie było skończone. Wróciła.

— Hej, Gili. Daj spokój, uspokój się. To tylko na jakiś czas. Zadzwoiła wczoraj, że jest w mieście na parę tygodni, więc będzie tu mieszkała, może jakiś miesiąc, nic wielkiego.

— Bardzo proszę, przestań mówić mi, że to nic wielkiego! — Znów ten histeryczny ton. — Skoro to nic wielkiego, to dlaczego ja nie mogę dzwonić? Boisz się, mogłaby się zmartwić? Przeszkadzałoby jej, że dzwonię? Jest po prostu troszkę, troszkę zazdrosna? Dlaczegoż miałyby być, kotku? Dostała sobie ciebie na całe lata, niczego nie straciła.

— Przestań się denerwować, to może zaszkodzić dziecku. Dziecku?

Dziecko? Od kiedy to dziecko zaczęło go tak obchodzić?

— Posłuchaj, Chris. Zapomnij o tym. To twoje życie. Chciałam ci tylko powiedzieć o pracy. I tak muszę już kończyć. Więc nie przejmuj się. Och, i Chris... nie będę już więcej dzwonić. Żyj sobie przyjemnie.

Co za głupi, głupi tekst nastolatki. Dlaczego nie możesz być wymowna i chłodna? Przecież on słyszy, że płaczesz, ty ciężka kretyńko.

— Gillian... kocham cię, malutka, wiesz o tym.

— Powiedz to lepiej Marilyn Lee. Chris...

I oto szlochałam. Upokarzałam się błagając go o miłość.

Dlaczego musiałam się tak zachowywać? Dlaczego? Nienawidziłam sama siebie, ale nie mogłam się opanować.

— Gili, zadzwonię do ciebie w przyszłym tygodniu.

— Nie trudź się. Po prostu się nie trudź. Marilyn może się to nie spodobać. Raz w życiu zrób coś naprawdę, a nie na pół gwizdka. Jeśli chcesz być z nią, bądź z nią. Jeśli chcesz być ze mną, przyjedź

do Nowego Jorku. Ale nie pieprz życia jej, mnie albo sobie samemu umawiając się podwójnie na każdą godzinę, którą z kimś spędzasz. Spróbuj dla odmiany być raz uczciwy wobec siebie.

— Jeśli będziesz się w całej tej historii zachowywała jak pieprzona idiotka, to w ogóle do ciebie nie zadzwonię.

— Świetnie, opowiedz to wszystko Marilyn.

— Podobno mnie rozumiałaś. Co chcesz, żebym zrobił? Żebym był kimś, kim nie jestem? Otóż nie potrafię. Taki właśnie jestem. — „O Chryste, teraz niby ja powinnam mu współczuć! Mały chłopiec, który wierzga nogą w piasek, niezrozumiany przez cały świat. Biedny, słodki Chris, duża, zła Marilyn i wstrętna, stara ja. Gówno”. —Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Kocham cię, Gili.

Chris mieszkał z kimś innym. Cała radość dzisiejszego dnia została zburzona i zapomniana. Wydawało mi się, że ta godzina spędzona w gabinecie Johna Templetona miała miejsce przed miesiącem. Kogo teraz obchodziło cholerne „Woman's Life”?

Rozdział osiemnasty

Poniedziałek był jednak dniem olśnienia. Byłam zajęta. Miałam pracę, I zapomniałam się w niej na cały dzień. Wskoczyłam z hotelu za dwadzieścia dziewięć i z całym tłumem podążałam do miasta. To było wspaniałe uczucie. Pojechałam do pracy autobusem i kiedy brązowe cyfry 353 ukazały się moim oczom, czułam się tak, jakby do mnie należały. Wymieniłam uśmiech i dzień dobry z portierem, który znów polerował brąz i odkurzał kandelabry, i poczułam się częścią tego miejsca. W tej dokładnie chwili należałam do Nowego Jorku i narodziłam się pod znakiem tych cyfr z brązu. Muzyka w windzie brzęczała niewyraźnie, a po trzecim piętrze dzwonił pracowiec wózek z kawą.

Witaj w domu.

Poszukałam gabinetu Johna Tern piet on a i po kilku pomyłkowych zakrętach odnalazłam go. Sekretarka siedziała wciąż w tym samym miejscu, ubrana na beżowo, żeby harmonizować z całością poczekalni.

— Pan Templeton jest na zebraniu, pani Forrester. Powiedział, żeby pani weszła i porozmawiała z Jean... z panią Edwards, a potem on sam spotka się z wami i z całą grupą grafików o jedenastej. — Jeszcze jedna wymiana uśmiechów i... — Och, pani Forrester, pani Edwards pokaże pani pokój, z którego będzie pani

korzystać. I proszę podać panu Porceli numer pani ubezpieczenia.

Wyplata jest czwartego.

Magiczne słowa. To działa się naprawdę.

Nieco dalej w głębi labiryntu był pokój Jean Edwards, wepchnięty między dwa znacznie większe. Malutki, zagracony, zaśmiecony próbkami materiałów, wzorami haftów, jaskrawymi plakatami, brudnymi filiżankami od kawy i skrawkami papieru, na których osiem czy dziewięć różnych notatek

zapisanych było we wszystkich kierunkach. Jasny i przyjazny pokój, pełen doniczkowych kwiatów. Strzałka informacji „Do góry” wskazywała na dół, a na wielkim plakacie z napisem „Uśmiech”

widniała zapłakana mała dziewczynka, która upuściła swojego loda na chodnik i teraz mu się przyglądała.

Czekałam na Jean, a ludzie przychodzili i wychodzili, zaglądali, śpieszyli się i wyglądali na bardzo zajętych. Czułam się jak gość. Siedziałam sama denerwując się i marząc o tym, żeby zabrać się do pracy. Gdzie była Jean?

Właściwie, gdzie byli wszyscy pozostali? Wydawało się, że poza mną każdy miał coś do roboty; było to jak wielka gra, w której ja także chciałam wziąć udział. W drzwiach pojawiały się i znikwały różne twarze, minuty biegly i zdążyłam już przejrzeć trzy najnowsze numery pisma.

— Czeka pani na Jean?

Podniosłam wzrok na dźwięk głosu i ujrzałam wysokiego mężczyznę po czterdziestce. Miał ciemne włosy, jasne niebieskie oczy i dobrze przystrzyżoną brodę. — Tak.

— Przyjaciel czy wróg? — Mrugnął do mnie zadając to pytanie.

— Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że tu pracuję.

— Och, nowa sekretarka. Racja.

Z jego twarzy zniknął wyraz zainteresowania i oddalił się korytarzem, zanim zdążyłam coś mu powiedzieć z oburzeniem. Sekretarka, dobre sobie. Czekałam i gdzieś koło dziesiątej wbiegła Jean niosąc całe naręczce folderów, próbek materiałów i kartonów. Jej uśmiech przywrócił temu porankowi właściwy wymiar, a długie oczekiwanie wydało mi się teraz chwilą.

— Cześć. Słyszałam, że czeka na mnie w pokoju nowa sekretarka. — Jej czarne oczy patrzyły na mnie błyszcząc rozbawieniem i musiałam się roześmiać. — Nie przejmuj się, to jego styl. Jest dość bezpośredni. Kiedy mu powiedziałam, że to żona ambasadora Francji, która zgodziła się przyjść i omówić z nami zdjęcia jej mieszkania, to o mało nie umarł. — Dobrze mu tak. Kto to jest? Ktoś ważny?

Podejrzewałam, że tak było. Kiedy wszedł do pokoju, w jego wyglądzie było coś urzędowego.

— Mniej więcej. To Gordon Hartę. Główny kierownik artystyczny i wicedyrektor wydawnictwa.

— To brzmi raczej jak „bardziej” niż „mniej”. Trudno sobie z nim poradzić?

— Czasami, ale zazwyczaj jest po prostu oschły. Wszyscy zresztą stajemy się okropni, kiedy zbliża się zamykanie numeru. Sama zobaczysz. — Tyle jeszcze pamiętam.

— Dobrze. Posłuchaj, nie mam czasu cię we wszystko wprowadzić. Za pięć minut mamy zebranie całego zespołu grafików w gabinecie Templetona, a muszę jeszcze uporządkować ten bałagan na

moim biurku.

Na stole Julie jest Usta wszystkiego, co będziesz robiła przynajmniej przez następny tydzień. Musisz mi znaleźć do zdjęć bardzo niezwykłą jadalnię, poza tym robimy sypialnie dla dzieci i... co tam jeszcze było, u diabła?... Chryste!... Och! Racja! Jutro rano masz porozmawiać z redaktorem od działu kulinarnego, a na następny tydzień John ma dla ciebie jakiś wywiad. Za tydzień czy dwa wszystko zacznie wyglądać nieco normalniej, ale przedtem będziesz głównie odmiatała śmieci spod nóg, że się tak wyrażę. Okay? Gotowa? Idziemy na zebranie. Po drodze muszę się jeszcze zatrzymać, żeby przejrzeć zdjęcia z piątku. Lampy.

Porozmawiamy potem w pokoju Julie, czyli twoim, to drugie drzwi stąd na lewo. — Mówiąc do mnie, przez cały czas przekładała papiery na swoim biurku, jednocześnie wkładając materiały do teczek, układając zdjęcia i robiąc notatki, a mimo to potok jej wymowy nie przerwał się ani na chwilę. Była jedną z tych prężnych, dynamicznych kobiet pod czterdziestkę, które żyją dla swojej kariery zawodowej. Twarda, kompetentna i miła, co stanowiło rzadkie połączenie. A przyglądając jej się, podejrzywałam także (jak się potem okazało słusznie), że była rozwiedziona.

Zebranie u Johna Templetona było krótkie i rzeczowe. Wręczono nam kopie materiałów ze spisem tematów do przyszłych numerów pisma, a ja słuchałam wszystkiego uważnie, czując się, jakbym spóźniła się dwa tygodnie na rozpoczęcie zajęć szkolnych i teraz musiała to nadrobić.

Koło południa podążyłam za Jean z powrotem wzdłuż korytarza. Ona zniknęła w swoim pokoju, a ja energicznie otworzyłam drzwi swojego, zastanawiając się, co za nimi znajdę, po czym stanęłam rozglądając się zadowolona z tego, co zobaczyłam. Dwie ściany były pomalowane na niebiesko, jedna na pomarańczowo, a czwarta była z cegły. Na podłodze leżał gruby brązowy dywan, a wszędzie zdjęcia, plakaty i zabawne tabliczki. „Zbyt wiele dobrego to cudownie” przypisane zostało Mae West, nad biurkiem wisiał napis „Nie dzisiaj, Johnny Boy”. Na biurku stały dwie doniczki, a w kącie ogromny bukiet papierowych kwiatów.

Pokój był mały, ale wyglądał jak miłe miejsce do pracy, toteż zagłębiłam się w fotelu oznaczonym tabliczką „Madame Reżyser” i od razu poczułam się, jakbym wygrała konkurs na Królową Dnia. Natychmiast wczułam się w rolę i uczucie pierwszego dnia w szkole zaczęło znikać.

— Wydaje mi się, że winien pani jestem przeprosiny. A jak się miewa pan ambasador? — W drzwiach stał Gordon Hartę z poważnym wyrazem twarzy i obserwował, jak przymierzam się do nowego pokoju.

— Przypuszczam, że nieźle, panie Hartę. A jak pan się miewa?

— Zajęty, dziękuję. A dlaczego pani jeszcze nie jest zajęta?

Zastanawiałam się przez chwilę, czy mówił poważnie i już miałam odpowiedzieć coś lodowatym tonem, kiedy zauważyłam, że jego twarz złagodniała.

— Poczułam się nagle, jakbym zaczęła pracować w fabryce.

— Proszę się nie śmiać, tak właśnie jest. I proszę nie dopuścić, żeby Eloise zastała tu panią z pustymi rękoma. Wystarczy choćby łyżka. Może jej pani wtedy powiedzieć, że sprawdza pani rekwizyty do zdjęć.

— Aż tak źle? Słyszałam, że kierownik artystyczny też nie jest wiele lepszy.

Podniósł brwi starając się nie roześmiać, wiedząc, że odpłacam mu pięknym za nadobne. Wiedziałam jednak, że co do Eloise miał rację.

Eloise Franek, główny wydawca i tyran absolutny. Pamiętałam ją wciąż z czasów, kiedy robiłam dla „Woman's Life” prace zlecone. Ta była dziennikarka miała co najmniej sześćdziesiąt lat, a wyglądała na czterdzieści i posiadała serce z tłuczonego szkła i cementu. Ale była fachowcem. Fachowcem od stóp do głowy. Podwładni nianawidzili jej, kolegów napawała strachem, a cenił ją tylko John Templeton, który wiedział, ile była warta. Umiała kierować pismem, nigdy nie straciła nad nim kontroli i miała niezawodne wyczucie tego, co było korzystne dla „Woman's Life”.

— Przy okazji, pani Forrester, jutro punktualnie o dziewiątej rano jest zebranie zespołu. Powinna pani na nim być.

Prawie zapomniałam o obecności Gordona pogrążona we wspomnieniach terroru Eloise Franek.

— Dobrze. Będę tam, panie Hartę.

— Proszę nie zapomnieć. A teraz do roboty.

Po czym zniknął pozostając dla mnie zagadką. Trudno było zorientować się, kiedy jest poważny, a kiedy żartuje, a czy w ogóle żartował? We wszystkim, co mówił, tkwiło ziarno sarkazmu. Jego oczy patrzyły na ciebie, obezwładniały... obracały tobą dookoła... przytrzymywały na chwilę, a potem porzucały w najmniej spodziewanym momencie. Tak jakby życie było grą. Jego wzrost i smukła sylwetka podkreślały szczupłość twarzy, która przypominała mi nieco jakiś portret El Greco...

Co to było? Miałam wrażenie, że pomimo przeblysków wesołości, w jego oczach tkwiło coś jeszcze, coś co sprawiało, że wydawał się nieosiągalny.

— No cóż, panie Hartę, pan się zajmuje swoimi sprawami, a ja swoimi i miejmy nadzieję, że nie będziemy sobie wchodzić w drogę — mruknęłam do siebie zabierając się do wertowania stosu notatek na moim biurku.

Zapowiadało się dużo pracy. I dużo do nadrobienia.

Przeglądanie tego, co piętrzyło się przede mną na biurku, pochłonęło mnie tak, że podniosłam głowę dopiero koło piątej, zapomniawszy o wszystkim z wyjątkiem mojej pracy, nawet o Gordonie Hartę.

Nalałam sobie właśnie kubek z maszynki w korytarzu i wróciłam do biura, kiedy rozdzwonił się telefon. To była Jean Edwards.

— Jak ci idzie?

— Okay. Zupełnie utonęłam. Spędziłam cały dzień porządkując materiały na biurku Julie. Ale wydaje mi się, że nadgoniłam.

— W ciągu jednego dnia? Nieźle. Czy wiesz już o jutrzejszym zebraniu zespołu?

— Tak, dziękuję. Gordon Harte przyszedł mi o tym powiedzieć.

— To prawdziwy zaszczyt. Z zasady rozmawia tylko z Johnem Templetonem i z Bogiem. Nie jestem nawet całkiem pewna, czy rozmawia z Bogiem. — Nie dziwi mnie to. Wygląda na prawdziwego...

— Nie mów tego, Gili. Ale masz rację. Staraj się nie wejść mu w drogę, a wszystko będzie w porządku. To perfekcjonista, ale trudno mieć do niego pretensje; sam pracuje jeszcze więcej, niż tego od nas wymaga. Już od lat coś takiego się z nim stało.

— Wygląda na to, że należy od niego trzymać się z daleka.

— To, moja droga, zależy od ciebie. A teraz muszę już lecieć. Mam wieczorem gości. — Okay, Jean. Do zobaczenia jutro i dzięki za pomoc.

Powoli odłożyłam słuchawkę i zastanawiałam się nad ostatnią uwagą Jean o Gordonie. Jedno było pewne, niezależnie od swoich problemów, był bardzo interesującym mężczyzną.

Spojrzałam na zegarek i zdecydowałam, że czas zbierać się do domu.

Przyrzekłam Sam, że zabiorę ją na pizzę i pomyślałam, że miło byłoby spędzić razem kilka godzin, zanim położę się spać.

Wychodząc z pokoju obejrzałam się po raz ostatni przez ramię i uśmiechnęłam. To był wspaniały dzień. Znowu czułam się potrzebna i zajęta, i podobała mi się praca, którą znalazłam. Poszłam wolno korytarzem i poczułam się jak w labiryncie. Jeszcze zakręt w prawo i w lewo i byłam już przy windach. Podobnie jak Gordon Harte, który stał

tam z zaabsorbowaną miną, trzymając w jednej ręce kopertę, a w drugiej ogromne portfolio. — Praca domowa? — zapytałam go.

— Tak — w lewej ręce. Nie — w prawej. W poniedziałki wieczorem uczę rysunku z natury. W portfolio są niektóre z moich starych aktów, które chciałem pokazać studentom. Nadjechała winda i weszliśmy do opanowanej przez sztuczną muzykę klatki, pełnej ludzi z innych pięter.

Gordon zobaczył kogoś znajomego i pograżył się w rozmowie, więc postanowiłam odejść po cichu, nie odzywając się już do niego. Ale kiedy doszłam do obrotowych drzwi, był tuż za mną i prawie jednocześnie wypadliśmy na Lexington Avenue, niczym kulki gumy do żucia z maszyny namonety.

— W którą stronę pani idzie, pani Forrester? Ja idę w tamtą, po mój motor. Może miałaby pani ochotę mi towarzyszyć?

Nie byłam pewna, ale zgodziłam się i poszliśmy wolno pośród tłumów na Lexington.

— Jeździ pan do pracy na motorze?

— Czasami. Ale to nie jest taki motor, jaki pani ma na myśli. To skuter.

Kupiłem go ubiegłego lata w Hiszpanii.

— Przy tym ruchu ulicznym brzmi to dość przerażająco.

— Bynajmniej. Niewiele jest rzeczy, które mnie przerażają. Po prostu nie myślę o nich zbyt wiele. — „A może ci nie zależy?”

— Ma pan dzieci?

Był to stosowny temat do rozmowy po drodze.

— Syna. Studiuje architekturę w Yale. A pani?

— Córkę. Ma pięć lat i jest wciąż na etapie, kiedy więcej przyjemności sprawia jej rozwalanie domów w kawałki niż składanie ich w całość.

Roześmiał się, a ja zauważyłam, że ma bardzo miły uśmiech, że wygląda znacznie bardziej ludzko, kiedy zapomina o robieniu groźnych min.

Zauważyłam też dziwny błysk w jego oczach, gdy zapytałam go o syna.

Idąc przez miasto rozmawialiśmy o Nowym Jorku i wspomniałam o tym, jak dziwnie czułam się po powrocie i jak inaczej tu było niż w Kalifornii.

Podobało mi się, ale nie czułam się tu już u siebie w domu, raczej jakbym zwiedzała zoo.

— Jak dawno temu pani wróciła?

— Prawie tydzień.

— Przyzwyczai się pani z powrotem i pewnie nigdy już stąd nie wyjedzie.

Będzie pani tylko wciąż narzekała, że życie jest tu zwariowane. Wszyscy tak robimy. — Może kiedyś wrócę do Kalifornii. — Już samo wymówienie tych słów sprawiło, że lepiej się poczułam...

— Mówiłem tak samo myśląc o Hiszpanii. Ale to się nigdy nie zdarza.

Nigdy się nie wraca. — Dlaczego nie? — Czułam, że to naiwne pytanie, ale wymknęło mi się po prostu, kiedy podniosłam na niego wzrok.

— Bo wyjeżdża się wówczas, kiedy się musi albo kiedy jest to człowiekowi pisane. I jakaś część nas umiera przy pożegnaniu. Zostawia się ją tam. A to, co z nas pozostało, przenosi się gdzieś indziej.

Brzmiało to dość ponuro, ale wiedziałam, jak bardzo miał rację. Coś we mnie umarło, kiedy

opuszczałam San Francisco i jakaś część mnie pozostała z Chrisem.

— Z przykrością muszę przyznać, panie Harte, że pańska analiza brzmi trafnie. A dlaczego pojechał pan przedtem do Hiszpanii?

— W chwili szaleństwa, jak się to określa. Moje małżeństwo właśnie się rozpadło, byłem znudzony i sfrustrowany pracą i miałem dwadzieścia trzy lata. Pomyślałem sobie, że jeśli wyjadę teraz, to już nigdy tego nie zrobię i prawdopodobnie miałem rację. Nigdy nie żałowałem tego, że tam pojechałem. Spędziłem dziesięć lat w małym miasteczku niedaleko Malagi i były to chyba najlepsze lata mojego życia. Ludzie w naszym zawodzie nazywają je „zmarnowanymi latami”, ale ja się z tym nie zgadzam. Są mi drogie.

— Czy myślał pan o tym, żeby tam wrócić?

— Tak, ale kiedy miałem trzydzieści dwa lata, a nie czterdzieści dziewięć. Teraz jestem za stary na takie wielkie gesty. To już poza mną.

Teraz jest to. — Prawą ręką pokazał panoramę wokół nas. — Na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Uderzyło mnie, że zabrzmiało to ponuro.

— Ależ to absurdalne. Może pan przecież wrócić, kiedy tylko pan zechce.

Nie wiadomo dlaczego, martwiło mnie to, że nie chciałem już podążać za swymi marzeniami. Tak jakby mu na nich nie zależało.

— Dziękuję za troskę, moja droga, ale zapewniam panią, że jestem już za stary, żeby łudzić się wizjami życia o chlebie i wodzie w Hiszpanii czy bycia artystą.

Jego słowom towarzyszył cichy śmiech, a ja zauważyłam, że staliśmy już na rogu Sześćdziesiątej Ulicy. Byłam prawie w domu. Ucisnął mi dłoń i mogłam zauważyć, że iskra rozbawienia nie zniknęła jeszcze z jego oczu.

Z jakiegoś powodu nasza rozmowa sprawiła mu przyjemność, a ja musiałam przyznać, że pomimo swego upodobania do sarkazmu, poza biurem był zupełnie miłym człowiekiem.

Odszedł, a ja skręciłam w Park Avenue i poszłam do „Regency” myśląc tylko o Sam. Gordon Harte zniknął już z moich myśli.

— Cześć, kochanie. Co dziś robiłaś?

— Nic. Nie lubię Jane. I chcę wracać do wujka Critsa. Nie podoba mi się tu.

Sam wyglądała nieszczęśliwie, zapłakana i wymięta. Jane była jej niańką i żadna z nich nie wydawała się zachwycona drugą. Sam potrafiła być okropna, jeśli się o to postarała.

— Hej, poczekaj chwilę. Tu jest nasz dom, wiesz przecież o tym.

Niedługo pojedziemy do naszego mieszkania. Będzie naprawdę miło, a wujek Crits przyjedzie do nas niedługo, będziesz miała w szkole nowe koleżanki i...

— Nie chcę. I w parku był taki duży wstrętny pies. — Boże, wyglądała tak ślicznie, z tymi wielkimi oczyma wzniesionymi ku mojej twarzy. —

Gdzie byłaś przez cały dzień? Byłaś mi potrzebna.

Hmmm. Koszmar pracującej matki omotanej tymi „Gdzie byłaś przez cały dzień?” i „Byłaś mi potrzebna”. „...Och!... Ależ Sam, kochanie, muszę pracować... potrzebne nam są pieniądze i ja... ja muszę, Sam, po prostu muszę, to wszystko...”

— Ty też mi byłaś potrzebna. Byłam w pracy. Wszystko ci przecież wyjaśniłam. Myślałam, że się umówiliśmy. A co z twoją pizzą? Grzyby czy kiełbasa?

— Ummmmmm... grzyby i kiełbasa? — Rozpromieniła się na wzmiankę o pizzy. — No chodź. Wybierz sobie. — Uśmiechnęłam się. Tak miło było wracać do niej do domu.

— Okay. Grzyby. — A wtedy ona podniosła na mnie wzrok i wiedziałam, że zastanawia się nad czymś. — Mamusiu...

— Co kochanie?

— Kiedy przyjdzie wujek Crits?

— Nie wiem. Zobaczymy... — „I nie wdawajmy się już w to, do diabła...”

proszę...” W pół godziny później dostarczono nam pizzę i zasiadliśmy do niej obie z Sam, na pozór wolne od wszelkich trosk. Nie wiedziałam, kiedy ani czy Chris przyjedzie, a może już mnie to nawet nie obchodziło.

Nie chciałam, żeby mnie obchodziło. Miałyśmy z Sam wszystko, czego nam było potrzeba. Miałyśmy siebie nawzajem i ogromną, smakowitą pizzę z serem i pieczarkami rozłożoną na najlepszym Ludwiku XV —

tym w „Regency”. Czegóż jeszcze można było żądać od życia? W

niektóre dni niewiele więcej. W ogóle niewiele. Patrzyłam na Sam i chciało mi się śmiać, tak dobrze się czułam, taki wspaniały miałam dzień.

A ona podniosła

na mnie wzrok i też się uśmiechnęła. Bywała także w dobrym nastroju.

— Mamusiu?

— Uh huh? — Miałam pełne usta pizzy.

— Czy mogę cię o coś poprosić?

— Oczywiście. O co?... byle nie o jeszcze jedną pizzę. Czułam się, jakbym miała pęknąć.

— Nie, nie o pizzę, mamó.

Popatrzyła na mnie zdeglustowana moją niedomyślnością.

— W takim razie o co?

— Czy nie mogłabym mieć kiedyś niedługo małej siostrzyczki?

Rozdział dziewiętnasty

Drugi dzień w pracy był jeszcze lepszy niż pierwszy. Czułam się na swoim miejscu. Zebranie zespołu nie wyróżniało się niczym szczególnym, ale dla mnie stanowiło okazję do przyjrzenia się twarzom pozostałych osób, z którymi miałam pracować, i temu, co się dzieje w redakcji. John Templeton prowadził je jak prezes rady nadzorczej w filmie z lat pięćdziesiątych. Gordon Hartę stał z tyłu obserwując, a ja siedziałam razem z Jean. Spodziewałam się trochę, że Gordon odezwie się do mnie, kiedy przechodziłyśmy koło niego, ale nie zrobił tego. Zajęty był udzielaniem jednej z młodszych redaktorek informacji na temat projektu, który John właśnie omawiał. Nie spróbował nawet pochwycić mojego spojrzenia. W całym dwugodzinnym posiedzeniu jedyną rzeczą, jaka dotyczyła bezpośrednio mnie, było to, że Milt Howley, słynny czarny piosenkarz, zgodził się udzielić „Woman's Life” wywiadu i John przydzielił mnie do tej roboty. Wyglądało to na przysłowiowy chleb z masłem.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, zadzwonił Matthew Hinton i dałam się skusić na otwarcie pokazów koni następnego wieczora. Znowu. I tym razem nie mogłam się oprzeć. A przed lunchem zadzwoniłam do Hilary Price. Próbowałam to zrobić już kilka dni wcześniej, ale jej sekretarka powiedziała mi, że Hilary była w Paryżu na pokazach mody.

Pracowałyśmy z Hilary razem krótko w tym samym piśmie, a ona wzniosła się do tego czasu na imponujące wyzyny jednego z najważniejszych żurnali mody. Zupełnie nie to co „Woman's Life”, było to jedno z tych superpism o modzie, w którym kobietom malowało się twarze na zielono, a potem przyklepiało do nich pawie pióra.

Polubiłyśmy się od pierwszego spotkania. Nie była to cudownie hałaśliwa, ostra i oczywista przyjaźń jak z Peg, ale grzeczniejsza w formie. Zawsze uważałam, że powinnam jakoś dorosnąć do poziomu Hilary, co przecież było dla mnie dobre. Ale moje wysiłki nie były imponujące. Nadal potrafiłam rozpuścić włosy i kopnąć pantofle w kąt. A ona poszerzała horyzonty... Hilary. Zawsze spokojna, dyskretna, elegancka, nigdy nie potargana. Bardzo silna, ale w gruncie rzeczy miła.

Niezwykle szykowna, bardzo „nowojorska”, inteligentna kobieta, której umysł ogromnie mi imponował. Była zdumiewająco efektowna, bo miała swój styl i wygląd, który od razu określa się jako „wyszukany”. Ale pomimo tego wyglądu nie była ekstrawagancka. Miała około trzydziestu pięciu lat, mniej więcej, bo jej wiek otaczała zawsze aura tajemnicy...

Nigdy o tym nie wspominała... nie zdradzała się. Była także rozwiedziona, mieszkała dawniej w Mediolanie, Paryżu, Tokio. Jej pierwszym mężem był starzejący się włoski książę, o którym wspominała czasami nazywając go Cecco, w skrócie od Francesco, jak przypuszczam.

Kiedy wychodziła za niego za mąż, był na skraju śmierci albo tak jej się przynajmniej wydawało, ale zdołał powrócić do życia dostatecznie na to, by w trzy tygodnie po ich rozwodzie ożenić się z siedemnastoletnią dziewczyną. Telefon dzwonił w gabinecie Hilary i po drugim dzwonku ona sama podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Hilary? Tu Gillian.

— Witaj z powrotem, moja droga. Felicia przekazała mi wiadomość od ciebie. I cóż sprowadza małego ptaszka pokoju do Mekki? — Śmiała się w swój zabawny sposób.

— Kto może wiedzieć. O Boże, jak to miło usłyszeć twój głos! Jak było w Paryżu?

— Rewelacyjnie. I deszczowo. Pokazy były okropne. Rzym był znacznie lepszy. Wpadłam tam na mojego byłego męża Cecco. Ma nową kochankę. Urocza dziewczyna, wygląda trochę jak źrebię palomino.

— Aon?

— Wciąż żyje, co samo w sobie jest niebywale. Skręca mnie, kiedy pomyślę, jaki musi być teraz stary... Falszowanie dat w paszporcie musi go kosztować fortunę. ...Już wiele lat temu papier prawie się w nim przetaił... — I obie zachichotałyśmy. Czasami była naprawdę nieznośna.

Nigdy nie spotkałam Cecco, ale miałam

o nim jak najgorsze wyobrażenie. — W ty, Gillian... co u ciebie, kochanie? Nie odpowiedziałas na mój ostatni list. Martwiłam się trochę.

Jej głos brzmiał gardłowo i sarkastycznie, zupełnie tak samo jak zawsze.

Pod warstwą sarkazmu był jednak cieplejszy ton, który sugerował, że troszczyła się o osobę, z którą rozmawiała. Była to szczególna umiejętność, którą być może wypracowała sobie, choć ja uważałam, że to było szczerze. Hilary miała się wspaniale i poprosiła mnie o krótki raport z

„wszystkich nowin, proszę” — „Innymi słowy, Gillian, nagie fakty: Kiedy wróciłaś? Na jak długo? I co robisz?” Odpowiedziałam jej krótko na dwa pierwsze pytania, po czym opowiedziałam jej o „Woman's Life”, Johnie Templetonie i wprost skrojonym na mnie cudzie pracy na osiem tygodni, o złamanej miednicy Julie Weintraub, a nawet o moich po-szukiwaniach ciekawej jadalni. Myślałam, że może ona będzie miała jakiś pomysł. Odpowiedział mi śmiech Hilary i rozkaz.

— Trochę wolniej, o co chodzi z Julie Weintraub i jadalnią? Jeśli cię dobrze zrozumiałam, to

szukasz miednicy i kupiłaś właśnie jadalnię od Julie Weintraub, a może kupiłaś od niej miednicę i złamałaś jadalnię... i czy co ja mogę mieć? Miednicę czy jadalnię? Mam jedno i drugie, ale żadnego ci nie proponuję, moja droga, bo Nowy Jork to najwyraźniej za dużo dla ciebie. Teraz ja z kolei zaśmiewałam się jeszcze bardziej niż Hilary i starałam się wyjaśnić wszystko po kolei, mimo że byłam pewna, że i tak doskonale mnie zrozumiała.

— Wiesz, Gillian, nigdy nie spotkałam Julie Weintraub, ale bardzo się cieszę, że masz pracę. Wygląda na to, że to dokładnie coś dla ciebie.

Nawiasem mówiąc, jeden z moich starych znajomych pracuje w tym piśmie, niejaki Gordon Hartę. Może już go spotkałaś? Chociaż przypuszczam, że w ciągu dwóch dni mogło ci być trudno.

— Spotkałam go. Wygląda na dość miłego. Tyle że sarkastyczny. Nie wiedziałam, że jest twoim przyjacielem, nigdy mi o nim nie opowiadałaś.

— Och, nie takim przyjacielem. Znałam przed laty jego żonę, kiedy ona była modelką, a ja dopiero co przyjechałam do Nowego Jorku. Właśnie się rozwodzili i on wyjeżdżał do Hiszpanii, żeby niczym Ernest Hemingway żyć sztuką czy coś podobnego. W kilka dni później sama wpadłam na niego w Hiszpanii, a potem zaczęliśmy się widywać przy różnych oficjalnych okazjach zawodowych. Jego obecność jest jedną z niewielu rzeczy, dla których warto tam być. To bardzo zdolny człowiek. I miły, a jego sarkazm jest... no cóż, sposobem w jaki stara się trzymać świat na dystans... Zbudował wokół siebie mur wysoki na milę... Ale, Gillian, kochanie, jak tam twój Christopher, Wielki Romans?

Napisałam do niej z Kalifornii, podobnie jak do Peg. Po mojej stronie zaległa cisza, paraliż warg, a może serca?

— Sama na razie nie wiem, Hilary. Nie umiem o tym mówić.

— W porządku. Im mniej się mówi, tym lepiej. Ale jeśli będziesz mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Może wpadłabyś na drinka w czwartek wieczorem po pracy, to porozmawiamy sobie do woli o wszystkim, o czym tylko będziesz chciała, a ja zastanowię się, kogo jeszcze zaprosić na kolację. Może Gordona i ze cztery, pięć innych osób.

Chociaż to już bardzo mało czasu. Czy chciałabyś, żebym zaprosiła kogoś szczególnego?

— Nie, zostawiam to tobie. Znakomicie. I pomyśl o mojej jadalni, genialna kobieto. Hilary, jesteś wspaniała. I dziękuję. O której w czwartek?

— O szóstej?

— Świetnie. Do zobaczenia.

To było zaproszenie naprawdę warte przyjęcia. Hilary wydawała absolutnie najlepsze przyjęcia w Nowym Jorku. Miała też znakomite umiejętności zwiadowcze. Zadzwoiła do mnie tego samego popołudnia, żeby mi powiedzieć, że przypomniała sobie o „dokładnie takiej jadalni”.

Należała do pary aktorów, a w trakcie przerabiania kursu scenografii żona

— aktorka zaatakowała pędzlem i farbą ich pokój stołowy. Ona nazywała to „środowiskiem”; opis Hilary był nieco dokładniejszy: „...wygląda tak, jakby w trakcie kolacji sterczała

ci nad głową cholerna dżungla”. Ale przekonała mnie, że warto było spróbować. Zadzwoiłam więc i umówiłam się, że w drodze z pracy wpadnę obejrzeć tę jadalnię. Wyglądała naprawdę niesłychanie.

Przypominała dekorację firmową do sceny w dżunglii: na ścianach drzewa, kwiaty i owoce, porozwieszane obłoki, podłoga zamieniona w jezioro, a spoza malowanych zarośli wychylały się zwierzęta. Meble przypominały te, których używa się w czasie safari, z wyjątkiem pięknego szklanego stołu i ogromnego zestawu świec. To dopiero było coś.

Na tym zakończyłam dzień pracy. Przynajmniej jedną misję dla pisma udało mi się spełnić. Ruszyłam w stronę „Regency” z zamiarem wychylenia kieliszka zimnego białego wina i ucięcia sobie drzemki przed powrotem Sam ze szkoły. Kiedy otwierałam drzwi do naszego apartamentu, zadzwonił telefon i po raz pierwszy nie pomyślałam, że mógł to być Chris. I miałam rację, bo to nie był on. Był to Gordon Hartę.

— Dzień dobry, Hilary powiedziała mi, że zaprosiła nas oboje na kolację jutro wieczorem. Czy mogę panią tam podwieźć?

Jego głos brzmiał łagodniej niż w pracy, w tonie był bardziej podobny do głosu z naszego spaceru poprzedniego dnia.

— To bardzo miło z pańskiej strony, ale idę tam wcześniej na drinka. Nie widziałam się z Hilary od czasu mojego wyjazdu z Nowego Jorku.

— W takim razie nie będę się narzucał. Jak się pani podoba praca?

— Wspaniała zabawa, tylko trochę tego dużo. Wyszłam z wprawy.

— Jestem pewien, że sobie pani poradzi. Chciałem zabrać panią dziś na obiad, ale zniknęła pani gdzieś nagle. Nadrobimy to innym razem.

— Z przyjemnością.

— W takim razie ustalone. Miłego wieczoru, Gillian. Do zobaczenia jutro.

Dziwny telefon, dziwny mężczyzna. Wydawało się, jakby jakaś ogromna przepaść dzieliła go od reszty świata. Zdawał się pozostawać zimny nawet wówczas, gdy jego słowa brzmiały przyjaźnie, co było nieco deprymujące. Ale przynajmniej miał w sobie coś więcej niż Matthew Hinton. Gordon Hartę pełen był inteligencji,

treści, ducha. I można było się domyślić, że kiedyś, w którymś momencie swego życia bardzo cierpiał. Dlaczego? Z czyjego powodu? Zasnęłam starając się rozwikłać tę zagadkę.

Obudził mnie ponowny dzwonek telefonu i nieprzytomnie sięgnęłam po słuchawkę, niezupełnie świadoma co robię i dalece nierozbudzona. Tym razem był to Chris. I miałam w głowie wyłącznie ciepłe myśli o miłych rzeczach i o tym, jak bardzo go kochałam. Uśmiechnęłam się zaspana, przesłałam mu pocałunek i słuchałam dźwięku jego głosu. A potem przekreśliłam się i spojrzałam na zegarek, żeby zobaczyć, która była godzina... piętnaście po czwartej... czyli piętnaście po pierwszej w San Francisco... i wtedy z jakiegoś powodu przypomniałam sobie o Marilyn i zanim zdążyłam się opanować, mówiłam już złośliwym tonem.

— A gdzie jest Marilyn? Nie wraca do domu na obiad?...

Zrobiłam to. Poczułam, że Chris zeszywniał, tak jakbym dała mu w twarz. Potem rozmawialiśmy o mojej pracy, o pogodzie, o projektach Chrisa, jego filmach i bardzo wyraźnie omijaliśmy temat Marilyn i czegokolwiek, co miało jakieś znaczenie. Była to okropna rozmowa.

Graliśmy w naszą zwykłą grę, a Marilyn była z nami przez cały czas, zupełnie jakby słuchała z drugiego aparatu. Byliśmy oboje skrepowani, ja zła i urażona, a Christopher czuł się niezręcznie. I słusznie. Powinien był

się czuć znacznie gorzej niż niezręcznie. Tylko że nie potrafił.

Rozdział dwudziesty

W środę, z towarzyskiego punktu widzenia, otwarcie pokazu koni przypominało premierę w operze. Było co oglądać i należało się tam pokazać. Matt był jak zwykle czarujący, ale mnie wydawało się, że jego poślota zaczynała się nieco wycierać. Nudził mnie już. Poszliśmy potem na kolację do „La Caravelle”, gdzie znowu wszyscy kłaniali się i nadszkakiwali „Monsieur Eeenton”. Gazety były tym razem nieco łaskawsze niż poprzednio, chociaż nie zignorowały nas całkowicie.

Odnotowały tylko naszą obecność umieszczając również zdjęcie, Ale tym razem Peg nie zadzwoniła.

W czwartek poszłam przeprowadzać wywiad z Miltem How-leyem. Miał

penthouse przy United Nations Plaza. Mobilizując się przed wywiadem, stanęłam na chwilę na ulicy i patrzyłam w górę, na nowo urzeczona wieżowcami Nowego Jorku. Wysokimi i ogromnymi. Była w tym jakaś zapierająca dech, przytłaczająca bezczelność, która w każdej minucie, każdego dnia dawała do zrozumienia, że było się „tam”. To była Mekka.

To była Sodoma, Piekło i Raj zarazem, i ja też, tak jak każdy kto kocha życie, byłam urzeczona. I wiedziałam, że nawet gdybym miała opuścić to miasto następnego dnia i nigdy nie wrócić, to przez chwilę spoglądałam w twarz jego pięćdziesięciopiętrowym budynkom i pogodziłam się z Nowym

Jorkiem. Dokładnie tak jak to sobie przyrzekłam, kiedy lądował tu mój samolot. Złapałam to miasta za jaja. Tylko że ono dławilo mnie za gardło.

Do mieszkania Milta Howleya wprowadziła mnie mała jasnowłosa dziewczyna, jego obecna „stara”, jak się wyraził. Jego kochanka. I od tego momentu zaczął się kołowrót dnia. Pędził z Rockefeller Center na spotkanie w Doubleday, gdzie składał autografy na płytach, stamtąd do swojego agenta podpisać kontrakty, o trzeciej na lunch w „Mama Leone”, gdzie pomiędzy sałatą a spumoni udało mi się wcisnąć chwilę rozmowy z nim. Był bardzo interesującym człowiekiem. Zaczynał dziesięć lat temu od śpiewania bluesa w Chattanooga w Tennessee, potem nagrał mały przebój w Hollywood, następnie włączył się do akcji protestacyjnych i trzydzieści siedem razy lądował w więzieniu, a jego kariera podupadła.

Teraz jednak był na górze. Pan Supergwiazdor, w ciągu jednego roku trzy albumy, z których każdy osiągnął ponad milion sprzedanych egzemplarzy, dwie umowy filmowe i występy w Las Vegas, Hollywood i Nowym Jorku. Nieźle.

Po lunchu pojechałam z nim wynajętą limuzyną na lotnisko. Leciał na kolację do Białego Domu. Wszystko to było jednocześnie męczące i fascynujące, a on sam podobał mi się. Bardzo męski i łatwo robiło się z nim wywiad. Był bezpośredni i naturalny, i miał niezłe poczucie humoru, które

sprawiło, że można było jakoś wytrzymać ten nieprawdopodobny program dnia. Jego kamerdyner zapakował mu po południu walizki do samochodu, a kiedy jechaliśmy na lotnisko, zaczął przeglądać ich zawartość, odpowiadając jednocześnie spokojnie na moje pytania i racząc się podwójnym burbonem. Wyglądało na to, że absolutnie nie poruszało go to, że jednocześnie udzielał wywiadu, popijał sobie i pędził samochodem w drodze na kolację z prezydentem. Miał swój styl.

Zanim odszedł w stronę wyjścia do samolotu, zatrzymał się, pocałował

mnie w policzek i szepnął mi do ucha:

— Zupełnie sensowna z ciebie kobieta, Gillian... jak na taką niezłą sztukę.

Roześmiałam się i pomachałam mu na pożegnanie. Miałam dokładnie siedemdziesiąt i jedną minutę, żeby dotrzeć do mieszkania Hilary.

Hilary otworzyła mi drzwi, wyglądała cudownie. Połączenie Henri Bendel, Paryża i Hilary. Połączenie absolutnie doskonałe, kobieta, która sprawia, że inne jej zazdroszczą, ale mężczyźni nie czują się przy niej zbyt swobodnie — boją się, że mogliby zniszczyć jej fryzurę.

Należała do tych kobiet, które spędzają wiele czasu z homoseksualistami, innymi kobietami i starymi przyjaciółmi. Wszyscy jej kochankowie stawali się nimi na krótko, niektórzy z nich byli nieprzyzwoicie młodzi i bardzo przystojni, i większość zostawała potem jej przyjaciółmi. Bardzo trudno musiało być pokochać Hilary. Pewnie współczułabym jej, gdybym tylko potrafiła się na to odważyć. Litość była uczuciem, o którym w obecności Hilary Price nie miało się nawet odwagi pomyśleć. Bardziej na miejscu był szacunek. Prawdę mówiąc, wzbudzała we mnie podobne uczucie jak moja babka. Takie silne, zdecydowane kobiety sprawiają, że człowiek wypręża się odruchowo i oddaje im należny hołd. Przyjaciele stawiają je na piedestał, bo potrafią one wszystko dla nich zrobić, a one jednocześnie kastrują swoich mężczyzn i synów.

Hilary ma nieprawdopodobną klasę. Wszystko, czego się dotknie, doprowadzone jest do perfekcji: jej manicure, jej dom, kolacje, które przygotowuje, jej praca i jej przyjaźnie. Jest jeszcze druga strona Hilary

— zimna i czasami bardzo okrutna, ale tylko wobec tych, którzy staną jej na drodze. Nigdy nie zdarzyło mi się wzbudzić jej gniewu i bardzo mnie to cieszy. Widziałam, jak potrafiła jednym słowem niszczyć ludzi i było to jednocześnie wspaniałe i przerażające. Być może to właśnie mężczyźni u niej wyczuwają i dlatego trzymają się z daleka albo szybko idą dalej.

Nigdy nie było między nami tej niedbałej łatwości, jaka łączyła mnie z Peg albo innymi przyjaciółkami. W obecności Hilary nie odważyłabym się dłużyć w zębach, używać takiego słownictwa, jakie przysłoby mi do głowy, ani też nie pojawiłabym się u niej w dzinsach i obszarpanym dresie. Ale dzieliłam z Hilary coś, czego nie dzieliłam z nikim innym. Peg знаła mnie jako dziecko i gdy się spotykamy, jest w nas wciąż wiele z dziewczynek, którymi byłyśmy — wciąż traktujemy nasze wzajemne stosunki w tym samym duchu jak wtedy, kiedy się poznałyśmy. Moja przyjaźń z Hilary zaczęła się, gdy obie byłyśmy już dorosłe i może dlatego więcej od siebie oczekiwałyśmy. Poza tym trudno było wyobrazić sobie Hilary jako uczennicę, chyba że chodziła do

szkoły w kostiumach od Chanel, z nienagannie uczesаныmi włosami. Po prostu nie umiem sobie wyobrazić Hilary grającą w hokeja na trawie. W bawialni u madame de Sevigne — jak najbardziej, ale nie na boisku hokeja wyglądającą tak jak my wszystkie.

Do przyjścia pierwszych gości miałyśmy półtorej godziny i zdążyłyśmy omówić wszystko, co chciałam powiedzieć albo usłyszeć. Hilary wspomniała mimochodem i bez większego zaangażowania, że miała nowego adoratora. Młody Niemiec imieniem Rolfe. Poeta, młodszy od niej i zgodnie ze słowami Hilary, „piękne dziecko”. Miał przyjść na kolację. Mieszkała nadal sama, bo tak wolała. Zazdrościłam jej tego. Ja nigdy bym tego nie wolała. Dla Hilary wszyscy królewicze z bajki już dawno umarli, jeśli kiedykolwiek istnieli. Mój królewicz wciąż czekał na mnie, unosząc się na skrzydłach moich marzeń. Jak bardzo nie kochałabym Chrisa, w żadnym razie nie przypomina on królewicza z bajki, nawet dla mnie.

Nie chciałam rozmawiać o Chrisie, ale Hilary wspomniała o nim przygotowując drugiego drinka.

— Gillian, jeśli ma z tego coś być, to będzie. I jeszcze lepiej, jeśli będzie tak, jak ty byś tego chciała. A jeśli nie, to niezależnie od tego jak trudno jest ci teraz tak o tym myśleć, spróbuj i uwierz mi, że niewiele tracisz.

Jestem pewna, że Chris to czarujący chłopiec, ale nie sądzę, żeby to był

ktoś dla ciebie. Naprawdę. Uważam, że zasługujesz na coś więcej. I potrzebujesz czegoś, czego Chris nigdy nie będzie w stanie ci ofiarować.

On jest za bardzo podobny do mnie, nie wierzy w to, w co ty wierzysz, a nie sądzę, żebyś ty odrzuciła swoje przekonania. Niemniej, niezależnie od tego na co się zdecydujesz, pamiętaj, że zawsze tu będę, żeby ci pomóc i wysłuchać cię. Nie umiem ci wiele więcej powiedzieć.

Słowa Hilary wzruszyły mnie, chociaż poczułam się dotknięta tym, że uważała, że Chris nie był mnie wart. Był... był... Tak bardzo chciałam, żeby był, niezależnie od tego jak wiele musiałam przełknąć, przed czym musiałam się ugiąć. Wciąż pragnęłam, żeby nam się udało.

Zamyśliłam się, a Hilary poszła do swojej biblioteki i po chwili wróciła z książką w ręce. Oprawna w skórę i bardzo stara, książka ta wyglądała dokładnie jak coś, co mogła posiadać właśnie Hilary albo moja babka.

— Zobacz, może ci się to wyda banalne, ale jest w tym wiele prawdy.

Podawała mi książkę otwartą na stronie, na której czyjaś mocna dłoń napisała brązowym atramentem:

Ten, kto radość nagiąć ku sobie próbuje, Niszczy uskrzydłone życie możliwości; Ten, kto ją powiewną w locie pocałuje, Żyje we wschodzących promieniach Wieczności.

a pod tym inicjał L. i data.

— To był pierwszy mężczyzna, z którym spałam, Gillian. Był ode mnie o trzydzieści lat starszy, a miałam wtedy siedemnaście lat. Był

największym skrzypkim w Europie i kochałam go tak bardzo, że myślałam, że umrę, kiedy powiedział mi, że „teraz jestem już duża” i nie będę go więcej potrzebowała. Myślałam, że umrę, ale nie umarłam. Nie umiera się od tego, a z biegiem czasu przekonałam się, że w tych słowach jest wiele prawdy. Stały się moją dewizą życiową.

Byłam wzruszona i wciąż jeszcze trzymałam w ręku książkę, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Hilary wstała, by otworzyć i wszedł wysoki, przystojny mężczyzna, o jakieś trzy lata młodszy ode mnie, z jasnymi włosami i dużymi zielonymi oczyma. Miał wdzięk bardzo młodego chłopca, pozbawionego jednak jakiegokolwiek niezgrabności. Patrzenie na niego sprawiało zmysłową przyjemność, a przyglądanie się, z jaką adoracją wpatrywał się w Hilary, nieco żenowało. To był Rolfe.

Pocałował mnie w rękę i zwracał się do mnie „madame” sprawiając, że poczułam się, jakbym miała tysiąc lat. Tyle że tego właśnie oczekiwała Hilary, to jej się podobało. Dla niej nie był to żaden wysiłek. I nagle przemknęło mi przez głowę, że ona sama postępowała teraz jak ten skrzypek, jej miłość sprzed dwudziestu lat. Wysyłała tych wszystkich chłopców w świat, kiedy uważała, że już jej nie potrzebowali, zupełnie jak nauczycielka tańca po zakończeniu szkoły. Była to bardzo dziwaczna myśl i zaczęłam się zastanawiać, czy każdemu z nich dawała brązową tabliczkę z wyrytymi na niej liniami, które właśnie przeczytałam, jako prezent z okazji ukończenia nauki. Był to dość zabawny pomysł i zachichotałam, co sprawiło, że Hilary spojrzała na mnie, a Rolfe zmieształ

się myśląc prawdopodobnie, że to on powiedział coś niestosownego.

Biedny Rolfe.

Niedługo potem nadeszli pozostali goście. Dziennikarz z redakcji Hilary, niezwykle elegancka młoda Włoszka, Paola di San Frascino, córka jakiegoś arystokraty czy coś w tym rodzaju. Mówiła czarująco po angielsku i była niezwykle dobrze wychowana. Po niej pełna życia dziewczyna, która wyglądała bardzo ostro, dość dziwnie się śmiała, ale miała całkiem miłą twarz. Właśnie opublikowała drugą książkę, na co zupełnie nie wyglądała. Miała zdecydowane poczucie humoru i znacznie ożywiła całe spotkanie. Jej mąż był krytykiem muzycznym w jakiejś angielskiej gazecie i oboje mieli coś z wyglądu wiejskiej szlachty. Ona miała na sobie kaftan z marokańską biżuterią i mimo że pozbawiona była całkowicie superszyku Paoli czy Hilary, to jednak miała pewien styl. A jej mąż nie posiadał żadnej z eterycznych zalet Rolfe'a, co było bardzo odświeżające. Zaczynałam już mieć kłopoty z wytrzymywaniem rozmowy z tym złotym poetą. Dzwonek rozległ się jeszcze dwa razy, raz dla straszliwie napuszonego, ale bardzo przystojnego Francuza, który był

właścicielem galerii sztuki na Madison Avenue, i wreszcie dla Gordona Harte, który wydawał się znać Paolę i Rolfe'a. Uścisnęli się z Hilary, po czym Gordon podszedł do barku, gdzie sam przygotował sobie drinka, czując się tu wyraźnie u siebie. O wiele bardziej niż Rolfe, który wyglądał, jakby nie wolno mu było niczego dotykać bez pozwolenia.

Zanim coś zrobił albo utworzył usta, zdawał się przewidywać reakcję Hilary, co wprawiało mnie w stan zdenerwowania. Przypominało mi to moje własne zachowanie zaraz po ślubie i czułam się zażenowana obserwując, że ktoś inny podobnie postępuje.

Wieczór był wspaniały. Miałam uczucie, jakbym wznosiła się i opadała na trapezie dokonując jakichś akrobatycznych wyczynów. Przenosiliśmy się od japońskiej literatury do francuskich tkanin, od najnowszej mody w Paryżu do ostatnich felietonów Russela Bakera, od politycznych implikacji literatury amerykańskiej na początku stulecia w porównaniu z rosyjską do homoseksualizmu we Włoszech i spekulacji nad upadkiem znaczenia kościoła i religii w naszym społeczeństwie... i dalej do kultów orientalnych, jogi, filozofii i „Yi Qingu”. Było to stymulujące i męczące zarazem, taki wieczór można wytrzymać najwyżej raz na pół roku. Tyle mniej więcej trwa, zanim uzupełni się z powrotem stracone siły. Był to typowy wieczór chez Hilary, spędzony z ludźmi zajmującymi się sztuką i literaturą oraz z mieszaniną wykształconych inteligentów.

Największe wrażenie wywarła na mnie pisarka i Gordon. Wydawali się wykształceni i odcytani, ale jednocześnie znacznie bardziej rzeczowi niż pozostali. Znacznie bardziej świadomi otaczającej „rzeczywistości”, która nabrała dla mnie takiego znaczenia od chwili spotkania z Chrisem.

Moje dni zachwytu wyłącznie nad tym co teoretyczne należały do przeszłości. Nabrałam zdrowego szacunku dla rzeczywistości.

Gordon zabrał mnie z powrotem do hotelu, a w drodze nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym, tak jakby nadmierny intelektualizm wieczoru zniknął z chwilą, gdy wszyscy rozeszli się do domów. Kiedy dojechaliśmy do hotelu, spodziewałam się, że zaprosi mnie na drinka. Ale nie zaprosił. Zamiast tego spojrzął na mnie i powiedział: „Może zjedlibyśmy jutro kolację?” Wydał mi się nagle miły i słaby. I bardzo chciałam iść z nim na kolację.

— Bardzo chętnie.

— Świetnie. Zadzwoń jutro i umówimy się dokładnie. O piątej mam spotkanie z Johnem, więc wątpię, żeby to było przed ósmą.

— W porządku. Dziękuję, Gordon. I dzięki za odwiezienie do domu.

Dobranoc.

I już od razu nie mogłam się doczekać tej kolacji, a wjeżdżając na górę windą zanotowałam sobie w pamięci, żeby kupić jakąś nową sukienkę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

— Dokąd idziesz, mamusiu?

— Na kolację, kochanie.

— Znowu?

— „Och. Och, Sam”.

— Tak. Ale przyrzekam ci, że przez cały weekend będę w domu. Kiepski kompromis. — Czy to nowa sukienka?

— Co to ma być? Przesłuchanie?

— Co to znaczy?

— To znaczy, że zadajesz za dużo pytań, Sam.

— No więc, czy to nowa sukienka?

— Tak.

— Podoba mi się.

— Dziękuję, to duża ulga.

Wyciągnęła się na kanapie i przyglądała mi się krytycznie.

— Wiesz, mam, robisz się grubsza w środku. Nie jesteś już taka chuda jak dawniej.

— Jak to grubsza?

Moje serce zamarło. Nie przypuszczałam, że było już coś widać.

— Tylko trochę. Nie martw się.

Zadzwonił telefon, a ja przechodząc pocałowałam Sam w czubek głowy.

— Nie będę. Idź się teraz wykapać, a ja odbiorę telefon. Szybko. Wyszła, a ja przez smutną chwilę pomyślałam, że to Gordon dzwoni, żeby odwołać nasze spotkanie. Zatrzymali go dłużej w pracy, zatrul się przy obiedzie, złamał nogę w kostce albo jeszcze coś innego... rozmyślił się, umówił się z kimś innym... W porządku, Gordon... Rozumiem... Ale co z moją nową sukienką? — Halo?... tak, to ja... Halo, Chris... Tak... Co słyszeć?... Nie, nie jestem spięta... nie... nie... jestem sama... Okay, okay... Po prostu miałam właśnie wychodzić na kolację. ... — „Co, do cholery, ma znaczyć ten komentarz, że nie zajęło mi to dużo czasu?” —

...Po prostu kolacja z przyjacielem Hilary. — „Dlaczego musiałam tak to przedstawić?” — ...Nie, to nie jest wypomadowany włoski hrabia, pracuje w piśmie „Woman's Life”. ...Wiesz, wydaje mi się, że naprawdę mógłbyś się powstrzymać od takich uwag. Jak na kogoś, kto sam mieszka z dziewczyną, jesteś wyjątkowo wrażliwy, najdroższy... Och, doprawdy?

...A na czym polega ta różnica?... Czy ja mam ci powiedzieć na czym?...

Doprawdy. Wciąż jeszcze jestem w ciąży, a może zapomniałeś o tym drobnym szczególe?... Jeszcze nie jest za późno na co?... Zapomnij o tym, to nie wchodzi w grę... Jak się miewa Marilyn? Okay, nie chcę tego słuchać... Nie tłumacz, Christopher. Wszystko i tak jest jasne.

...Wyprowadza się? Kiedy?... Uwierzę, kiedy zobaczę to na własne oczy.

...Posłuchaj, Chris, czy możesz się ode mnie odczepić co do dzisiejszego wieczora? ...Jestem tutaj, bo ty chciałeś, żebym tu była. To nie był mój pomysł. ...W porządku, porozmawiamy o czymś innym. — „Nie chcielibyśmy przecież, żeby wujek Chris się zdenerwował, prawda?” —

...Świetnie. ...Tak, wciąż się o ciebie dopytuje... — „Troszczymy się dziś o rodzinę, co?... Dlaczego?... Czyżby Marilyn ci dokuczała?” —

...Posłuchaj, Chris, myślę, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będziesz tu dzwonił. Nie wytrzymam tego. Wszystko staje się jeszcze trudniejsze. Masz Marilyn, nie potrzebujesz mnie, a ja nie umiem sobie z tym poradzić. Zadzwoń do ciebie. ...Ach tak, znakomicie. ...Posłuchaj, idź do diabła, masz ją, więc po prostu odczep się ode mnie, proszę.

...Dobrze, napisz do mnie w takim razie. ...Nie, idę do lekarza w przyszłym tygodniu. Przypuszczam, że wszystko jest w porządku, nie wiem... trochę jestem zmęczona, ale może być. ...Chris, a co właściwie u ciebie słyhać? ...Tak bardzo mi ciebie brak, że nie mogę tego wytrzymać. ...Nie, to nie

dlatego umówiłam się z przyjacielem Hilary... — Rozległ się dzwonek do drzwi i wpadłam w panikę. — Posłuchaj, Chris, muszę już iść. Zadzwoń do ciebie... Okay, okay, w porządku. ...Nie, nie dzwoń. ...No więc dobrze, zadzwoń. ...Nie przed poniedziałkiem?... Ach tak, racja, weekend.

...Zapomniałam. Posłuchaj, naprawdę muszę odłożyć tę cholerną słuchawkę. Kocham cię. ...Chris? ...Tak, kochanie, ja wiem... To dopiero była rozmowa, z Gordonem stojącym pod drzwiami.

Spędziliśmy z Gordonem wspaniały wieczór. Zabrał mnie do małej włoskiej knajpki gdzieś koło Dwudziestej Ulicy, a potem pojechaliśmy na drinka do restauracji na ostatnim piętrze jednego z budynków przy Central Park South. Mieściła się ona w pozbawionym wyrazu biurowcu i dopiero po wyjściu z windy otwierał się zupełnie inny świat. Wnętrze utrzymane było w stylu wschodnich Indii. Powitała nas dziewczyna w złotym sari, która wpuszczając nas do środka rozsunała bogato haftowaną zasłonę. W powietrzu unosił się ciężki zapach kadzidła, stoły były długie i niskie, a całe pomieszczenie zdawało się pulsować muzyką, której nie rozumiałam, ale która mimo to wywierała na mnie dziwny wpływ.

Sprawiała, że miałam ochotę zamknąć oczy i poddać się zmysłowym dźwiękom Wschodu. Na każdym stole stała samotna róża. Kelnerzy wysocy i ciemnoskórzy, większość z nich nosiła brody, a niektórzy także turbany.

Piliśmy egzotyczne drinki, a ja w milczeniu spoglądałam przez okno.

Zdawało mi się, że dokądkolwiek poszłabym w Nowym Jorku, oczekiwał

tam na mnie jego nowy widok. Ten był z jeszcze innego kąta, okno wychodziło bowiem na północ, w dole leżał Central Park podobny do ozdobionej choinkowymi lampkami dziecinnej zabawki, otoczony z trzech stron budynkami. Zdawało mi się, że byłam o tysiące mil od jakiegokolwiek znanego mi miejsca, a sceneria za oknem była po prostu zręczną dekoracją, mającą przypominać o Nowym Jorku, nic więcej.

Gordon zamówił delikatne białe wino i różane ciastka, a kiedy kelner obsłużywszy nas odszedł, wpatrzył się w moje oczy przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca. Zupełnie jakby zadawał mi bez słów pytania, na które znajdował własne odpowiedzi.

— Dlaczego nie zostałam na zachodnim wybrzeżu, Gillian? —

Spojrzał na mnie, tak jakby dobrze wiedział dlaczego, ale mimo to wpatrywał się we mnie oczekując, co mu odpowiem.

— Chciałam tu wrócić.

— To nie jest prawda. No dobrze, w takim razie dlaczego uciekłaś?

Wyobrażam sobie, że jesteś do tego zdolna.

— Nie jestem pewna, czy wiem, o co ci chodzi. Ale nie, nie uciekłam. Po prostu wróciłam.

— Z powodu mężczyzny?

Zawahałam się przez chwilę, po czym powiedziałam:

— A ty? Dlaczego wyjechałeś z Hiszpanii? — Oko za oko.

— Z głodu.

— Teraz ty nie mówisz prawdy.

Uśmiechnęłam się do niego i wyciągnęłam z wazonu różę, żeby dotknąć jej płatków.

— No dobrze, powiedzmy po prostu, że skończył się dla mnie czas przeznaczony na pobyt tam.

— Uciekłaś? Czy może ona uciekła?

To pytanie wydawało się zupełnie stosowne po tym, o co on mnie pytał.

— Ani jedno, ani drugie. Ona popełniła samobójstwo, a potem ja uciekłem. Na jego twarzy pojawił się cichy smutek, ale nic było tam śladu wstrząsu, jaki ja odczułam. Był to najbardziej nieprawdopodobnie bezpośredni mężczyzna, jakiego znałam.

— Przepraszam, Gordon.

Odwróciłam głowę, żalując, że w ogóle zaczęliśmy się wypytywać. Była to niebezpieczna gra. Oboje mieliśmy bolesne wspomnienia. Teraz on z kolei odwrócił głowę, a jego twarz była smutna i poważna. I nie widziałam już jego oczu. — W porządku. To było tak dawno temu. Miała na imię Juanita. Była to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem. Dobra i czysta. Jak dziecko. Dowiedziałem się, że była przedtem prostytutką w Maladze. Więc się zabiła. Najśmieszniejsze było to, że mnie ta wiadomość nawet nie obeszła. Nie miało to dla mnie żadnego

znaczenia, sam zresztą podejrzewałem coś podobnego. Ale ona o tym nie wiedziała. Ten mężczyzna, który mi o wszystkim powiedział, poszedł potem powiedzieć jej, że wiem i zanim wróciłem do domu, już nie żyła. A potem wyjechałem. Nie mogłem zostać tam dłużej. Co prawda nigdy nie czułem się tam tak do końca jak u siebie, ale pokochałem to miejsce. — Skinęłam głową. Cóż można było dodać do tego, co powiedział? — A twój mężczyzna, Gillian, kim on jest?

— Po prostu mężczyzna.

Nie chciałam rozmawiać o Chrisie, bo wiedziałam, że nie mogłam odpowiedzieć na szczerą Gordona podobną szczerością. Chris nie był

dla mnie odległą przeszłością tak jak dla niego Juanita, jeszcze się z tym wszystkim nie pogodziłam i podczas kiedy jego historia była już opowieścią, moja musiałaby być prawdziwą spowiedzią.

— Czy to jeszcze trwa?

— Nie... to znaczy nie, naprawdę. Wciąż rozmawiamy. Ale myślę, że to się już skończyło.

W głębi duszy wiedziałam, że było to kłamstwo, bo nie myślałam, że wszystko się skończyło. Nawet jeśli tak było, to nie wierzyłam w to.

— Jaki on był?

— Jak mój ojciec.

— A jaki był twój ojciec?

— Jednym słowem?... Skurwysyn.

Podniosłam wzrok uśmiechając się. Powiedzenie tego głośno dawało przyjemne uczucie ulgi.

— I co ci to mówi, Gillian?

— Bardzo złe rzeczy. Ale odkryłam to podobieństwo dopiero niedawno.

— Byłaś z nim szczęśliwa?

— Przez jakiś czas. Tak, bardzo szczęśliwa. Poza wszystkim jest w nim też wiele dobrego, w przeciwnym razie nie zostałam z nim tak długo, jak zostałam. Ale myślę, że pod tym wszystkim jest skurwysynem, dokładnie tak jak mój ojciec. Bynajmniej nie jest miłym człowiekiem. Już tak nie uważam. Jest zupełnie niezdolny do tak wielu rzeczy, które są mi potrzebne. Wiedziałam o tym, ale nie chciałam wiedzieć.

Bardzo dziwnie się czułam mówiąc o Chrisie tak, jakby należał do przeszłości.

— Powiedz mi w takim razie, dlaczego z nim byłaś, skoro nie umiesz mi wyjaśnić, dlaczego odeszłaś. Bo to, że był „skurwysynem”, nie wyjaśnia niczego. Podobał ci się przecież taki, jaki był.

Uch. Gordon miał rację, myślę, że taki właśnie mi się podobał.

— No dobrze, wyjechałam, bo mnie do tego zmusił. Byłam z nim...

dlatego, że go kochałam, potrzebowałam go i chciałam, żeby nam się udało. Dopóki żyłam z nim w zgodzie z jego regułami gry, wszystko było w porządku. Och, i byłam z nim jeszcze z wielu innych powodów. To dość skomplikowana historia.

— I jeszcze nie skończona, tak, Gillian?

— Tak i nie. Do diabła, Gordon. To naprawdę trudne. — Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy. — Skończyło się, bo nie wierzę w to, że on mnie kocha, a nie skończyło, bo jestem z nim w ciąży. W tym sensie, to nigdy nie będzie skończone. — Wpadłam w panikę, gdy tylko wymówiłam te słowa.

— Czy ktoś o tym wie?

Nie wydawał się ani trochę tym poruszony.

— Tylko jedna z moich przyjaciółek. I on wie, oczywiście. Ale nie wydaje mi się, żeby to miało dla niego znaczenie.

— Czy zastanawiałaś się nad przerwaniem ciąży? Przypuszczam, że się zastanawiałaś. — Tak. Myślałam o tym. Ale chcę mieć to dziecko. Wiem, że ściągnę na siebie straszliwie dużo kłopotów, ale mimo to chcę tego.

Jestem pewna. — W takim razie masz rację. Ale na twoim miejscu nie mówiłbym o tym nikomu, Gillian. Niezależnie od tego jak bardzo ja podziwiam twoją odwagę, nie jest to postępowanie, które uważa się powszechnie za przyjęte dla kogoś takiego jak ty.

— Wiem. I miałam zamiar trzymać to przy sobie. Sama nie wiem, co mi się stało dziś wieczorem. Po prostu mi się wymknęło.

Starałam się uśmiechnąć nie patrząc na niego i poczułam, że wziął mnie za rękę.

— Nie bądź taka smutna, Gillian. Dasz sobie radę.

— Dziękuję za wyraz zaufania... raz na jakiś czas jest mi to potrzebne.

Wciąż próbowałam się do niego uśmiechnąć. Wszystko to było takie dziwne. Zupełnie jakbyśmy byli na jakiejś karuzeli zwierzeń. W ciągu mniej niż godziny zdążyliśmy odkryć każdy cal naszych ran i blizn.

Zupełnie jak byśmy oboje musieli dowiedzieć się o sobie wszystkiego, co wydarzyło się przedtem. Prawie się nad tym nie zastanawiając znów posłałam piłkę na jego kort.

— A twoje małżeństwo?

— W pewnym sensie nigdy nie istniało, Gillian.

— Ale powiedziałaś...

Byłam zaskoczona. Wydawał mi się zbyt uczciwy na to, żeby kłamać na taki temat.

— Na rany boskie, dziecko, nie patrz na mnie w ten sposób! Byłem żonaty. Miałem na myśli tylko to, że równie dobrze mogło tego nie być.

Było to krótkie, bolesne i pozbawione jakiegokolwiek uczucia.

— W takim razie dlaczego się w ogóle ożeniłeś? — Zupełnie mi to nie pasowało.

— To proste. Musiałem. Albo raczej uważałem, że powinienem. To było dwadzieścia pięć lat temu, znałem tę młodą kobietę dość krótko i... no cóż...

— Zaszła w ciążę.

— Tak. Nie chciała przerwać, więc powiedziałem, że postąpię szlachetnie. Ożeniłem się z nią. Ale to się nie dało utrzymać. Jak tylko Greg się urodził, wzięliśmy rozwód i to był koniec.

— No cóż. Przynajmniej pozostał ci Greg. Czy jesteście sobie bliscy?

Po tym pytaniu w jego oczach pojawiło się coś twardego, jakiś dziwny rodzaj goryczy.

— Bynajmniej, moja droga. Greg jest czarującym młodym człowiekiem.

Inteligentny, dowcipny, niezależny. I obcy. Nie zapominaj, że dziesięć lat byłem w Hiszpanii. Kiedy wyjechałem, starałem się wyrzucić go ze swojego serca i zapomnieć o tym, że istniał. Po moim powrocie miał już piętnaście lat. Bardzo trudno jest zostać ojcem piętnastoletniego chłopca, którego się nawet nie zna.

— Może któregoś dnia jednak tak się stanie.

— Być może. Ale nie sądzę. Uważa mnie za wstrętnego materialistę. I ma rację, jestem taki. Żeby zdobyć jego szacunek, powinienem dokonać czegoś wielkiego. Na przykład zostać artystą walczącym o sprawę Afganistanu czy coś w tym rodzaju. A to nie leży w moich planach. A teraz, młoda damo, dość już sobie naopowiadaliśmy o naszej ponurej przeszłości. Trzeba cię odwieźć do domu, bo robi się późno.

Dał znak turbaniastemu kelnerowi i stało się jasne, że nadszedł kres wszelkich zwierzeń. Gordon Hartę panował nad tym, co działo się tego wieczora. A potem popatrzył na mnie i napięcie zniknęło z jego twarzy.

— Musisz mieć nade mną jakąś dziwną władzę, moja droga. Nie opowiadałem o tym wszystkim od lat.

Był to miły komplement, a kiedy wstaliśmy z poduszek, na których siedzieliśmy, ujął moją dłoń. Jego uścisk był delikatny, lecz mocny i trzymał w nim moją rękę, kiedy jechaliśmy w dół windą, i kiedy wyszliśmy na zewnątrz. Noc była piękna, powietrze ciepłe, wiał lekki wiatr, a konie zaprzęzione do dorożek parskały delikatnie z drugiej strony ulicy.

— Miasto wygląda jak dekoracja do filmu. Zupełnie nierealnie.

Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, że Gordon mi się przygląda. —: Chodź, Gillian. Pójdziemy do hotelu na piechotę.

Było to tylko o trzy przecznice dalej, a jego ręka obejmująca moje ramiona wydawała się dokładnie na właściwym miejscu. Nic nie mówiliśmy podczas tego krótkiego spaceru, a kiedy dotarliśmy do hotelu, Gordon zatrzymał się przed wejściem i popatrzył na mnie uśmiechając się lekko.

— Może wybralibyśmy się jutro na lunch za miasto? Jadę do przyjaciół w Bedford. Wiejskie powietrze dobrze by ci zrobiło.

Nie: „Chciałbym, żebyś ze mną pojechała”, tylko: „Dobrze ci zrobi wiejskie powietrze”. Wolałabym, żeby powiedział to pierwsze, ale kiedy czekał na moją odpowiedź, wiedziałam, że i tak to właśnie chciał

powiedzieć. — Z przyjemnością, Gordon,

— Czy chciałabyś zabrać ze sobą swoją córkę?

— Ona ma inne plany. Ale dziękuję za zaproszenie. Ma spędzić cały dzień u koleżanki z klasy.

— Świetnie. W takim razie przyjadę po ciebie o jedenastej. I nie wyrzucaj sobie dzisiejszego wieczoru, moja mała. Czulaś potrzebę, żeby o tym mówić... i ja też.

Nie uczynił żadnego ruchu, żeby mnie pocałować, a tylko lekko dotknął

mojego ramienia, po czym odszedł. Pomachaliśmy sobie po raz ostatni na pożegnanie i weszłam do środka, przebiegłam obok recepcji zastanawiając się, co mnie czeka i czy magia tego wieczoru rozwieje się następnego dnia.

— Gillian, czy mogłabyś wyjąć mapę?

Pędziliśmy East River Drive samochodem Gordona, z opuszczonym dachem. Był bardzo powściągliwy, kiedy po mnie przyjechał. Żadnych aluzji do zwierzeń z poprzedniego wieczora. I żadnego ciepła.

— Oczywiście.

Otworzyłam małe drzwiczki schowka, wyjęłam mapę i podałam mu ją.

— Otwórz ją, proszę.

Zdziwił mnie trochę ton jego głosu, ale posłusznie rozłożyłam mapę i roześmiałam się. Był tam rysunek przedstawiający nieco karykaturalny portret mojej osoby w towarzystwie pana Gordona Harte, oboje spożywaliśmy hot dogi obok latarni stojącej przed wejściem do „

Woman's Life". Pod latarnią dwa psy — chihuahua i bernardyn podniosły sumiennie nogi, a w oknach budynku widniały twarze całego niemal składu naszej redakcji. Podpis głosił: „Ucieknijmy do tego wszystkiego”, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam twarz Gordona pełną radości z mojego wyraźnego zachwyty.

— To oznacza, że jesteś mi winna lunch w tym tygodniu.

— Zgoda. To fantastyczne, Gordon.

— Podobnie jak ty.

Lunch w Bedford był bardzo miły, spodobali mi się jego przyjaciele i popołudnie upłynęło bardzo szybko.

O piątej byłam z powrotem w hotelu, w samą porę na powrót Sam an thy.

W niedzielę, z pomocą Peg, przeprowadziłyśmy się z Sam z powrotem do naszego starego mieszkania i brak „Regency” dał się od razu przykro odczuć, przynajmniej mnie. Samantha bowiem była zachwycona powrotem do domu. Ja nieco mniej. Niedzielny wieczór upłynął mi na szorowaniu podłóg i czyszczeniu szaf. Ledwie miałam czas położyć się do łóżka przed rozpoczęciem nowego tygodnia pracy.

— Samantha!... Śniadanie!... Pośpiesz się, bo się spóźnisz do szkoły!

A ja do pracy. Tylko w wyniku szczególnego wysiłku organizacyjnego udawało mi się przygotować wszystko na czas — Sam do szkoły i siebie do pracy. Straciłam tę umiejętność i pozbieranie wszystkiego przed ósmą rano przypominało mi wjeżdżanie na wrotkach na szczyt lodowca. Znacznie łatwiej było wstać i ubrać się w San Francisco na szóstą rano. Ale może była to kwestia różnicy w ubiorze.

— Sam! Chodź już!... Gdzie jesteś?

— Już idę, mamusiu! — I pojawiła się w podarowanym przez Chrisa kowbojskim stroju. — Już jestem!

— Okay, kochanie, jedz swoje płatki. Spieszmy się.

— Kowboje nie jedzą płatków. — Wyglądała na urażoną.

— Owszem, jedzą. No już, Sam, zjadaj!

Żonglowałam między kawą i gazetą, zastanawiając się czy nie powinnam wyczyścić sobie butów. W pracy czekało zwykle tysiąc telefonów do załatwienia, należało przygotować się do zdjęć pokoi

dziecinnych, skończyć pracę nad jadalnią, a John Templeton miał dla mnie całą masę pomniejszych zleceń. We wtorek zjedliśmy z Gordonem obiecany lunch i zaprosił mnie na spotkanie dla prasy (stroje wieczorowe) w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w środę wieczorem.

W środę po południu pobiegłam więc pędem z pracy do domu, wyciągnęłam czarną aksamitną suknię i malinowy płaszcz wieczorowy z jedwabnej satyny i czekałam na Gordona, który miał przyjechać po mnie o siódmej. Czekaając uświadomiłam sobie, że radość wywoływana myślą o spędzeniu z nim wieczoru zmieszana była z innym, męczącym uczuciem. Chris nie dzwonił przez cały tydzień. I jak zwykle bolało mnie to. Tęskniłam do Chrisa Mat-thewsa, do uścisku jego ramion, jego spokojnego głosu, nawet do jego obojętności, czegokolwiek.

— Mamo! Dzwonek do drzwi! — Głos Sam rozległ się w całym mieszkaniu.

— Okay. Już idę.

Nawet nie usłyszałam. Był to Gordon.

— Gotowa? Mój Boże! Wyglądasz rewelacyjnie! Naprawdę pięknie wyglądasz, Gillian.

Przyjrzał mi się taksującym spojrzeniem, po czym pocałował mnie w czoło.

— Dziękuję, sir. Jak minął dzień?

— Jak zwykle, Gillian, czy coś jest nie w porządku?

— Nie. Dlaczego?

— Wyglądasz, jakbyś miała ciężki dzień albo jakby coś cię bolało. —

„Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Hartę”.

— Nie, naprawdę. Może jestem trochę zmęczona, ale to wszystko. Czy chciałbyś się czegoś napić przed wyjściem?

— Kto ty jesteś?

W drzwiach stanęła zniecka Samantha, przyglądając się całej scenie.

— Gordon, to jest Samantha. To jest pan Hartę, Sam.

— Kim on jest?

— Pracujemy razem, a poza tym jest przyjacielem cioci Hilary.

Przyglądałam im się z drżeniem, oczekując, że Samantha będzie się na niego krzywiła, ale zamiast tego zaakceptowała go i mogłam odetchnąć z ulgą.

— Wygląda trochę jak koń. Wiesz?

— To jest komplement — wyjaśniłam.

— Lubisz konie, Samantha?

— Tak! Bardzo!

Nastąpiła dłuższa dyskusja, w której odkryłam ze zdumieniem, jak dużo Gordon wiedział o koniach, a jeszcze bardziej zaskoczył mnie biorąc z mojego biurka blok rysunkowy i robiąc dla Samantha kilka szybkich szkiców, którymi była po prostu zachwycona. Gordon i Samantha odkrywali się nawzajem.

— Gillian, musimy już iść. Samantha, mam nadzieję jeszcze cię kiedyś zobaczyć.

— Jasne. Niech pan znowu wpadnie, panie Gordon.

— Panie Hartę, Sam. Dobranoc, kochanie. Bądź grzeczna dla Jane.

Wymieniłyśmy mocny uścisk i serię gorących całusów, po czym Gordon przywołał windę. Czekaliśmy na dole na taksówkę, a ja byłam już w znacznie lepszym humorze. Było mi miło, że Samantha go polubiła.

— Podoba mi się. Jest bystra i bardzo bezpośrednia.

— O, to na pewno.

Roześmiałam się i pokiwałam głową, a tymczasem podjechała taksówka i pomknęliśmy do muzeum. Wieczór był cudowny i rozkosznie było podążać za nim wszędzie, być wszystkim przedstawianą i widzieć, jak się nami przejmują. Gordon był w radzie

nadzorczej muzeum, o czym nie wspominał mi wcześniej. Spotkaliśmy tam Hilary, bez Rolfe'a. Wyglądała rewelacyjnie w długiej, obcisłej czarnej sukni i równie długim, i obcisłym białym płaszczu. Gordon zaprosił ją na kolację z nami, co moim zdaniem było bardzo miłe, ale ona odmówiła. Tym razem poszliśmy do „Lutece”, gdzie przyjęto Gordona, jakby był właścicielem całego lokalu albo przynajmniej płacił ich czynsz.

W muzeum natknęliśmy się na Matthew Hintona w towarzystwie rudowłosej piękności, uczepionej jego ramienia niczym w porywie wdzięczności. Przywitaliśmy się dość chłodno i oczywiste było, że równie mało interesował się „swoją ostatnią miłością” (zgodnie z określeniem „Women's Wear”), co ja nim. Był miły, ale nic ponadto. Z

Gordonem Hartę nie stanowiłam być może materiału dla kolumny z życia towarzyskiego, ale za to bawiłam się znakomicie.

Rozdział

dwudziesty drugi

W piątek rozpętało się piekło. Wybraliśmy się do ekscentrycznych aktorów robić zdjęcia jadalni. Okazało się, że sprosili na tę okoliczność cały rój statystów. W cztery godziny później nadal zaczynaliśmy. W

trakcie zdjęć właściciele zdążyli się zalać, wprowadzali kompletny chaos i doprowadzali operatora do szaleństwa. Skończyliśmy o północy i zastanawiałam się, czy choćby jedno zdjęcie będzie się nadawało do wykorzystania. A to jeszcze nie był koniec; obiecaliśmy wszystkim kolację w nagrodę za ich „cierpliwość”.

O drugiej nad ranem dowlokłam się wreszcie do domu, kompletnie wykończona, z uczuciem, że za chwilę umrę. W godzinę po położeniu się do łóżka obudziłam się, wymiotując, drżąc cała i czując skurcze.

Wpadłam w popłoch, bo przestraszyłam się, że to poronienie. Powinnam była zadzwonić do Peg, do lekarza albo do Gordona. Do kogoś rozsądnego. Ale sama wcale nie myślałam wówczas rozsądnie. Miałam to zwierzęce uczucie strachu, jakie ogarnia nas przy nagłym ataku choroby.

Działałam więc pod wpływem odruchu

i uczucia. Zadzwoniłam do Chrisa.

— Halo?

— Chris?... Chyba stracę dziecko, tak okropnie się czuję. Pracowaliśmy do pierwszej nad ranem... Nie, na rany boskie, mówię poważnie. Nie, nie jestem pijana... jestem chora... Co ja mam zrobić?

— O Chryste, Gillian, przestań płakać. Dlaczego do mnie dzwonisz? Nie mogę ci przecież pomóc i sama wiesz, co ci powiedziałem. Zadzwonź do lekarza... Posłuchaj, nie mogę z tobą teraz rozmawiać. Zadzwonię do ciebie w poniedziałek.

„W poniedziałek? Poniedziałek? Co on sobie, do cholery, myśli? W

poniedziałek! Kawał skurwysyna...” Włożyłam coś na siebie i pojechałam na ostry dyżur do szpitala Lenox Hill, gdzie spędziłam całą noc biorąc środki na wycieńczenie i histerię. Odesłali mnie do domu w południe, byłam potulna i wciąż jeszcze bardzo zmęczona. Gordon zadzwonił niemal od razu, kiedy weszłam do pokoju.

— I gdzie to byłaś tak wcześnie dzisiaj rana? Dzwoniłem do ciebie o dziewiątej. Słyszałem, że wczorajsze zdjęcia były po prostu domem wariatów.

— Owszem, były.

A potem opowiedziałam mu o mojej nocy i o szpitalu, opuszczając część z telefonem do Chrisa. Gordon był bardzo miły, zapowiedział, że odwiedzi mnie w niedzielę i poradził, żebym wzięła wolny poniedziałek.

Spałam przez cały dzień, a kiedy się obudziłam, przyniesiono mi od niego kwiaty, mały koszyk, który

wyglądał jak gniazdo pełne błękitnych i pomarańczowych kwiatków. Na karcie widniał napis: „Praca jest opium dla mas i wygląda na to, że trochę za mocno się zaciągnęłaś. Odpocznij dobrze. Z przeprosinami od głównego kierownika artystycznego, Gordon Hartę”. Zabawne, sympatyczne i miłe, bo nie było to nachalne ani podpisane „G”, czy w jakiś równie irytujący sposób.

W niedzielę znów zadzwonił. Czułam się już lepiej, chociaż wciąż jeszcze byłam dość zmęczona, więc zgodził się nie wpadać, ale nalegał, żeby zabrać mnie w czwartek na kolację.

Po południu leżałam w łóżku zadowolona z tego, jak łatwo szło mi z Gordonem i czując się być może z tego powodu nawet nieco zarozumiała, bo raz pierwszy to ja „kontrolowałam” sytuację. Dzwonek do drzwi. Kto to mógł być, u licha? Wstałam, żeby otworzyć. Gordon.

— Zmieniłem zdanie. Poza tym Hilary twierdzi, że uwielbiasz, kiedy się do ciebie wpada w niedzielę. Waśnie jedliśmy razem lunch i przesyła ci pozdrowienia. Czy mogę wejść?

— Oczywiście.

Ale byłam zła, naprawdę wściekła. Wyglądałam potwornie, umówiliśmy się przecież, że nie wpadnie, nie czułam się dobrze, a zgodnie z moimi zasadami niezapowiedziane wizyty z jego strony oznaczały „wywieranie na mnie presji”.

— Nie jest pani szczególnie zadowolona z mojego widoku, pani Forrester?

— Po prostu zdziwiona. Napijesz się herbaty?

— Tak. Ale sam ją przygotuję, a ty wracasz do łóżka.

— Nie, wszystko w porządku. Mogę wstać. Całkiem dobrze się czuję. —

Nie miałam zamiaru wdawać się z nim w jedną z tych zabaw „w doktora”

na brzegu mojego łóżka.

— Uważam, że wyglądasz okay, ale ja się na tym nie znam. Zrobię herbatę.

Wrócił z kuchni po dłuższej chwili hałasów i tłuczenia. Zdawał się nie poruszony tą sytuacją, rozmawiał ze mną swobodnie i rozglądał się wokół

z przyjemnością. Samantha nie było i mieszkanie wydawało się straszliwie ciche. Byłam właśnie w trakcie wygłaszania jakiejś sztucznej i nاپuszonej uwagi o niczym, spoglądałam przy tym w filiżankę z herbatą, ukrywając w ten sposób swoje zmieszanie, kiedy Gordon wstał, obszedł

stolik, usiadł obok i pocałował mnie. Jego broda trochę kłůła, usta były delikatne, a ja byłam zbyt zażenowana, żeby nie poddać się jego pocałunkowi. Objął mnie. Jaki miły uścisk. Uścisk o jakim marzyłam mając osiem lat i za którym tęskniłam teraz w dwadzieścia lat później.

Gordon Hartę obejmował mnie, a ja siedząc w uścisku jego ramion rozplakałam się nagle.

Spróbowałam się jednak zaraz opanować, bo bałam się, że mógłby posunąć się o kilka kroków za daleko, a nie byłam na to jeszcze przygotowana.

— Chciałabyś być uwodzona, prawda? — Co?

Brzmiało to tak zabawnie, że zaczęłam się śmiać.

— Pani Forrester, moglibyśmy spędzić następne kilka tygodni jadając razem kolacje dwa razy na tydzień i bawiąc się we wstępy, mógłbym cię

„uwodzić” i moglibyśmy mówić sobie nawzajem miłe rzeczy, a po jakichś trzech tygodniach zgodziłabyś się prawdopodobnie pójść ze mną do łóżka. Ale możemy także zrobić to teraz i nie tracić tych trzech tygodni. Co ty na to?

— Nie mogę. Przepraszam, ale po prostu nie mogę. Wiem, że zacznę się przejmować i nie będę sobie umiała z tym poradzić. Znam siebie —

mówiłam to niemal szeptem, spoglądając na swoje dłonie zaciśnięte na kolanach.

— W porządku.

...Byłam odrobinę rozczarowana, że zgodził się na to tak łatwo, ale przede wszystkim poczułam ulgę. Siedzieliśmy na kanapie w salonie, rozmawiając po cichu, słuchając padającego deszczu i całując się raz po raz. A za każdym pocałunkiem pragnęłam go coraz bardziej i obejmowaliśmy się dłużej, aż pocałował moją pierś, a całe moje ciało wyrwało się ku niemu i oto szliśmy dłoń w dłoń w stronę mojej sypialni, wciąż całując się i dotykając, i obejmując, omal nie przewróciliśmy lampy, i w pośpiechu rzuciliśmy się na łóżko. Rozebrał się, a ja zauważyłam ze zdumieniem, że nie nosił żadnej bielizny...

— Gordon Hartę, wyglądasz zawsze tak cholernie poważnie, a tymczasem paradujesz przez cały dzień po redakcji bez majtek! A co by było, gdyby ci się zepsuł suwak? — Zaśmiewałam się, takie mi się to wydawało zabawne.

— Jeszcze się nigdy nie zepsuł.

— A jeśli zdarzy ci się wypadek? Moja babka zawsze powtarzała...

A on roześmiał się i pośpieszył pomóc mi zdjąć to, co jeszcze miałam na sobie. — Gillian, jesteś piękna.

Zdaje się, że naprawdę tak myślał, a potem nasze ciała zaczęły toczyć się razem wokół, łączyć, dotykać i odsuwać od siebie, i znowu się łączyć.

Kochaliśmy się i leżeliśmy razem czując się sobie bliscy, znajomi, wszystko było między nami takie łatwe. Staliśmy się przyjaciółmi.

Polubiliśmy się. Po raz pierwszy w życiu nie czułam, że muszę wołać

„kocham cię”, żeby uzasadnić robienie czegoś, czego nie należało robić, jak wmawiano mi to przez całe moje życie. Zamiast tego obejmowaliśmy się i śmialiśmy, i czułam się pogodzona z całym światem. Było mi z Gordonem lepiej niż kiedykolwiek z Chrisem, co wydawało mi się bardzo dziwne, bo nie

kochałam przecież Gordona. Ale tego popołudnia przestałam złościć się na Chrisa. Nie kochałam się z Gordonem po to, żeby zemścić się na Chrisie za Marilyn. Kochałam się z Gordonem dlatego, że tego pragnęłam i dlatego, że go lubiłam. I nic więcej.

Leżałam w ramionach Gordona uśmiechając się, on rysował palcem ósemkę wokół moich piersi, a ja myślałam o wierszu na okładce książki Hilary... „Ten, kto radość powiewną w locie pocałuje, żyje we wschodzących promieniach Wieczności...”

Rozdział

dwudziesty trzeci

Październik był pod każdym względem udanym miesiącem, ciepłym, pełnym ludzi i pracy. Samantha była zadowolona ze szkoły, a ja, pomimo że nie pokochałam Nowego Jorku, czułam trochę więcej niż po prostu pogodzenie z losem. Nowy Jork był dla mnie dobry, wyglądał jak mógł

najlepiej i bardzo się starał. Jest taki czas jesienią, który nadchodzi niespodziewanie i nie trwa długo, ale wystarcza, żeby pokochać Nowy Jork na pozostałe miesiące. Jeśli wyjedzie się wtedy, to już na zawsze pozostaje w pamięci w złocistej tonacji, lecz jeśli się w nim pozostanie, trzeba powitać brudną, mokrą zimę, a potem upiorną wilgoć i upał

nowojorskiego lata. Ale jesienią miasto staje się piękne, jest czerwone, złote i brązowe, jasne, wietrzne i świeże. Ulice wyglądają czyściej, ludzie zdają się poruszać lekko, wszędzie roznosi się zapach gorących kasztanów, młodzież spędza niedziele w mieście, bo letnie weekendy już minęły, a na narty jest jeszcze za wcześnie, i sprawia, że zaczynasz wierzyć, że mieszkają w nim mili młodzi ludzie. Najbardziej lubię tę właśnie porę roku. I urok, jaki rzuca ona na dwa, trzy czy cztery tygodnie późnej jesieni.

Tego roku Nowy Jork zaplanował dla mnie właśnie takie magiczne tygodnie i były one świeższe i żywsze niż kiedykolwiek przedtem. To miasto jest dla mnie niczym wulgarna kobieta, nie umiem sobie z nią poradzić, nie podziwiam jej sposobu życia, ale wymusza na mnie szacunek dla tego, kim jest i o co jej chodzi, ma swoją klasę.

Spotykaliśmy się z Gordonem dwa lub trzy razy w tygodniu, raz w tygodniu chodziliśmy do jakiejś naprawdę „miej” restauracji, czasami umawialiśmy się po pracy albo któreś z nas gotowało kolację u niego czy u mnie. W połowie miesiąca połączyliśmy nasze zasoby i notesy z adresami i wydaliśmy przyjęcie. Było zupełnie zwariowane i wesołe, pełne zabawnych stereotypów, jak większość przyjęć w Nowym Jorku.

Gordon był bardzo zajęty, ja też miałam dużo pracy, więc nie staliśmy się dla siebie czymś codziennym. Niczego nie ustalaliśmy, ale wszystko mimo to było zawsze na właściwym miejscu, tak

jak pogoda. I życie posuwało się naprzód.

Dzień Święta Zmarłych minął pozostawiając Samanthę bogatszą i szczęśliwszą o łupy, które ściągnęła z mieszkańców naszego budynku i u Gordona. Zabrał ją do siebie, żeby sprawdziła charakter jego sąsiadów i wróciła zachwycona. Ona i Gordon szybko się zaprzyjaźniali.

Postanowiliśmy spędzić u mnie razem ciche Święto Dziękczynienia * i właśnie wychodziłam z pracy, żeby iść kupować indyka, kiedy zadzwonił

telefon. Była to Julie Weintraub. — Cześć. Rozmawiałam właśnie z moim lekarzem i wygląda na to, że będziesz miała pracę jeszcze przez miesiąc. Czy to nie okropne? Właściwie to zupełnie dobrze mi robi trochę odpoczynku i jest paru stażystów doprawdy wartych leżenia w szpitalu.

Komu byłby tu potrzebny John Templeton?

Jej słowa brzmiały lekko, ale wydała mi się zawiedziona. Leżenie na plecach z tymi wszystkimi szpilami i wyciągami nie jest wcale zabawne, niezależnie od stażystów. Gdybym miała wybierać, wolałabym Eloise Franek, Biedna Julie.

— Powiedziałaś już Johnowi, Julie?

— Tak, właśnie do niego dzwoniłam. Pewnie zaraz do ciebie wkroczy z dobrą wiadomością.

— Daj spokój, wiesz dobrze, że wszyscy chcą, żebyś wróciła.

* święto Dziękczynienia (ang. Thanksgiving) — święto państwowe w Stanach Zjednoczonych obchodzone w ostatni czwartek listopada (przyp.

wyd.).

Cały czas tylko mnie pytają: „Kiedy wraca Julie?” — Była to niezupełnie prawda, ale pomyślałam, że dobrze jej to zrobi.

— Gówno prawda. Ale dziękuję. Widziałam szczotki ostatniego numeru.

Nieźle wygląda. Może kiedy stąd wyjdę, nie będę już w ogóle miała pracy. — ...Wiedziałam, że musiało ją to dręczyć.

— Pieprzysz, moja kochana. Występuję tu tylko jak dziewczyna z biura pośrednictwa Kelly'ego. Wyłącznie tymczasowo. Zacznę nosić białe rękawiczki, jeśli poczujesz się od tego trochę lepiej. — Wybuchnęła śmiechem, który trochę bardziej przypominał dawną Julie... — A poważnie, co powiedział lekarz? Jak to się goi?

— Nie wiem, nikt mi tu wiele nie mówi. Wiem tylko, że chcą coś przesunąć, co oznacza jeszcze jednego chirurga i jeszcze jedną operację, a nie jest to moja ulubiona scena. I oznacza to jeszcze dodatkowe cztery tygodnie. Trochę przygnębiające. — I dokładnie tak brzmiał jej głos.

— Głowa do góry. Lepiej żeby ci to wszystko zrobili od razu, niż gdybyś musiała tam wracać po pół roku. Z tym nie można żartować. Poza tym nie myślisz chyba, że mam zamiar zarzynać się tu za ciebie co sześć miesięcy? — Usłyszałam, jak Julie znów zachichotała. — Wpadnę pod koniec tygodnia i opowiem ci wszystkie nowinki... a właśnie, czy przypominasz sobie ten podwójny fotel w gabinecie Johna?

— Tak.

— Słyszałam, że Lucius Barclay zwymyślał na nim wczoraj po południu Eloise. Lucius był naszym redaktorem od kącika piękności i homoseksualistą. Nawet feministki nie mogły mieć nic przeciw temu, że mamy w tym dziale redaktora mężczyznę. Lucius nie miał w sobie absolutnie nic z męczyzny. Nic. Ale żart spełnił swoją funkcję i Julie chichotała na drugim końcu linii.

— Hej, słuchaj, nie rób mi tego... to boli.— A potem jeszcze więcej chichotów i czkań... — A poza tym wszystko pokręciłaś. Słyszałam o tym już rano: to Eloise zwymyślała Luciusa.

Obie się roześmiałyśmy

— Okay, Julie, muszę lecieć, ale wpadnę w końcu tygodnia. Czy mam ci coś przynieść?

— Tak. Seks.

— A co z tymi stażystami? Słuchaj, zachowaj tam jednego dla mnie. Trzymaj się Julie, brak nam ciebie. Nie mogę się doczekać, żeby ci oddać tę pracę. Marzę, żeby przejść na zasilek dla bezrobotnych.

— Nie pieprz, nie kwalifikujesz się. Musisz przepracować sześć miesięcy i dać się zwolnić. A jeśli myślisz, że ja tu będę leżała przez sześć miesięcy, to masz nie po kolei w głowie. Więc lepiej zajmij się porządnie moją pracą. ...Do szybkiego. I jeszcze, Gillian... dziękuję.

— Nie bądź głupia. To ja ci dziękuję, a teraz skończ, zanim się rozkrochmalę, bo mnie wyrzucą. Trzymaj się.

Biedna Julie, to wszystko nie wyglądało dobrze i zastanawiałam się, jak tam naprawdę było, kiedy telefon zadzwonił znowu i powiedziano mi, że

„Pan Templeton chciałby zobaczyć panią za pięć minut, pani Forrester”.

Kiedy w pół godziny później wyszłam z gabinetu Johna, zupełnie odechciało mi się śmiać. John rozmawiał z Julie, ale rozmawiał też z jej lekarzem. Rana w ogóle się nie goiła, a poziom hemoglobiny obniżał się.

Podejrzewali coś złego. Nie byk' pewni, ale „podejrzewali” i mieli operować, żeby to sprawdzić. Przypuszczali, że mogła mieć raka kości.

Julie o niczym nie wiedziała. Kiedy John skończył mówić, poczułam się słaba, zepsuta i chora. Powiedział, żebym nikomu o tym nie mówiła. I dzięki Bogu miał dość taktu, żeby nie wspomnieć o

możliwości przedłużenia mojej umowy na stałe. Chyba dostałabym mdłości albo wybuchnęłabym płaczem. Wróciłam prosto do swojego pokoju, zamknęłam drzwi i oparłam się o nie, a łzy popłynęły mi po twarzy i zaczęłam się zastanawiać, jak spojrzę Julie w oczy w Święto Dziękczynienia. Była to jedna z tych melodramatycznych scen, które wydarzają się przez cały czas, czasami nawet ludziom, których się zna.

Następnego dnia Sam, Gordon i ja zjedliśmy kolację z okazji Święta Dziękczynienia. Było cudownie i przyjemnie i starałam się nie myśleć o Julie.

Byłam już w piątym miesiącu ciąży i od ponad dziesięciu tygodni nie widziałam Chrisa. Wciąż za nim tęskniłam, ale jakoś się z tym pogodziłam. Byłam zadowolona z pracy, z Gordonem było miło i wszystko toczyło się spokojnie. Dziecko wydawało mi się bardziej moje niż Chrisa, a mężczyźni na ulicy już nie przypominali mi go tak bardzo. Zaczęli być podobni trochę do Gordona i znacznie bardziej do siebie samych. I dlatego, kiedy Gordon wyszedł o północy w Święto Dziękczynienia, a o drugiej nad ranem zadzwonił telefon, prawie zemdlałam, kiedy usłyszałam głos Chrisa.

— Gili, jestem właśnie na lotnisku. W przyszłym miesiącu mam kręcić film w Nowym Jorku. Ląduję tam mniej więcej za sześć godzin. America Airlines. Wyjedź po mnie.

Rozdział

dwudziesty czwarty

Obserwowałam lądowanie samolotu i jak wymęczeni pasażerowie zaczęli wysiadać. W większości byli to mężczyźni niosący garnitury na wieszakach okrytych plastikowymi torbami i dyplomatkami. I kilka kobiet.

Jedna z dwójkiem małych dzieci. Ludzie. I znów ludzie. I nie było Chrisa.

Gdzie on jest? Spóźnił się na samolot? Źle usłyszałam nazwę linii lotniczej? Przylatuje następnym samolotem?... I oto był, uśmiechnięty, trochę zaspany i jeszcze piękniejszy niż w moich wspomnieniach. Gdyby się zatrzymał, rzuciłabym mu się w ramiona, ale on po prostu podszedł do mnie i poszliśmy dalej razem nie przystając nawet na chwilę.

— Cześć, Gili, jak leci? — „Jak leci?... Po prawie trzech miesiącach?...

Ty wielki gówniarzu...”

— Świetnie.

— Nie pocałujesz mnie? — zapytał, kiedy zbliżaliśmy się do odbioru bagażu i nadstawił policzek.

— Poczekaj, aż będziemy w domu.

— Och, młoda dama gra niedostępną?

Wyglądał na rozbawionego. Wszystko zdawało się go bawić, a głównie ja, a ja czułam się głupio w

moim nowym kapeluszu, starając się wymyślić coś, co mogłoby ująć za temat do rozmowy.

Był całkowicie pochłonięty wyszukiwaniem swoich bagaży. Samolot przyleciał prawie pełen. Stałam przyglądając mu się i zastanawiałam się, co w gruncie rzeczy trzymało mnie wciąż przy tym mężczyźnie. Dlaczego czułam nadal to, co czułam, jak mogłam mieć wciąż wrażenie, że w jego obecności czas się zatrzymywał, jak mogłam patrząc na niego wciąż wierzyć w istnienie księcia z bajki? Bo czułam to wszystko.

Zmarszczyłam się patrząc na niego. Wydał mi się wyższy i większy, niż pamiętałam. Wyglądał tak zdrowo i brązowo. Tak inaczej od bladych mieszczuchów Nowego Jorku.

Zabrał ostatnią torbę i poszliśmy do wyjścia poszukać taksówki. Podróż do miasta upłynęła w pewnym napięciu, bo w jakiś dziwny sposób odczuwałam brak pośrednictwa telefonu. Przyzwyczaiałam się rozmawiać z bezcielesnym głosem, a nie patrząc w oczy dużego, opalonego mężczyzny. Zauważył mój kapelusz, powiedział, że mu się podoba i skomentował przelotnie fakt, że nie wyglądałam tak, jakbym była w ciąży.

— Co ty zrobiłaś, pozbyłaś się jej?

— To tylko płaszcz, Chris. Ubrania wciąż całkiem dobrze ją tuszują.

— Tak, założę się, że nawet nie jesteś w ciąży. Wiedziałam, że nie mówił

tego poważnie, ale była to typowa

uwaga w stylu Chrisa, która wyprowadziła mnie natychmiast z równowagi, chociaż jakoś udało mi się nie wybuchnąć. Kiedy przyjechaliśmy do domu, Chris wszedł, rzucił w przedpokoju swoje bagaże i ruszył do kuchni, skąd rozlegał się głos Samantha rozwodzącej się nad zaletami swojej nauczycielki.

— WUJEK CRITS!

Krzyki i wrzaski, uściski, kotłowanie, kotłowanie się dookoła i znowu wrzaski. Dwie osoby, które kochałam najbardziej na całym świecie, przewracały się dookoła, obejmując się i zaśmiewając. Ja też się roześmiałam, bo przywodziło to na myśl nasze dni w Kalifornii. Słońce, plażę i miłość. — Wujku Crits, pokażę ci mój pokój, a ty nie możesz tam wchodzić, mamusiu. — Okay, zrobię śniadanie.

Zniknęli w korytarzu, ręka w rękę. Samantha opowiadała mu o szkole, a Chris wypytywał, czy była grzeczna i czy dodawała miód do swoich płatków, tak jak jej pokazywał. Biedna Sam, brakowało jej Chrisa prawie tak samo jak mnie. Ze wszystkich mężczyzn, których знаła, on najbardziej przypominał normalnego ojca na stałe, a nasze dni w Kalifornii były w jej życiu najpodobniejsze do normalnego domu.

— Śniadanie! Chodźcie jeść!

— Okayyy... — rozległo się w odpowiedzi, nieco stłumione, a potem ukazał się Chris ze skakanką

obwiązaną wokół karku, i Samantha, która skakała za nim, wołając: „Wio, koniku!”

— Konie nie jadają u mnie śniadania przy stole, panie Matthews.

— Od kiedy to? Dużo się tu zmieniło w czasie ostatnich dwóch miesięcy.

Wybuchnęliśmy śmiechem i zajadaliśmy jajka na boczku, grzanki i wafle.

Jedliśmy, rozmawialiśmy i żartowaliśmy ze sobą i uświadamiałam sobie, jak bardzo brakowało mi Chrisa. Tak bardzo jak myślałam i jeszcze dwadzieścia razy tyle. Dziewczyna, która mi pomagała, przysłała, gdy kończyliśmy śniadanie, posprzątała, po czym zabrała Samanthę do parku...

— Nie chcę iść, chcę zostać z wujkiem Critsem. Miała ochotę się rozplakać.

— Idź, pętaku. Musimy tu z mamą porozmawiać. Idź do parku i poszukaj, czy nie ma tam siana dla koni. Będę tutaj, kiedy wrócisz, a teraz idź już...

Miała pewne wątpliwości, ale poszła, machając mu przez ramię.

— Do widzenia, wujku Crits, zobaczymy się później. Pa, mamusiu.

— Do widzenia, kochanie.

— Wciąż ją niemożliwie rozpuszczasz, Gillian. Nic się nie zmieniło.

— Ona potrzebuje wiele miłości.

— Ma wiele miłości, potrzebuje więcej czasu. A rozpieszczaniem, nie wynagrodzisz jej tego. Gdybyś nie dostawała swoich cholernych alimentów, to nie stać by cię było na tę dziewczynę, która zabrała ją do parku, i obie z Sam tylko byście na tym skorzystały.

— Muszę przecież pracować.

— To nie o to chodzi... Idę się wykąpać. Gdzie jest nasz pokój?

— Pokażę ci.

I poszłam korytarzem złoszcząc się na Chrisa. Co on wiedział o wychowywaniu dzieci?

— Napuść mi wody do wanny, dobrze, Gili? Rozpakuję walizki.

Odkręciłam kurki do końca, nieco zirytowana tym, że znów mam słuchać jego poleceń. „Tak, proszę pana, panie Chris. Pańska kąpiel jest gotowa, sir... Sam sobie napuszczaj swoją cholerną wodę...” Wszedł

do łazienki, zupełnie nagi i zauważyłam ślady po kąpielówkach, które jeszcze nie zbladły od ostatniego lata.

— Podglądasz.

— Nie bądź śmieszny.

— Chodź tu, rozbierz się i wykąpiemy się razem.

— Kapałam się już przed wyjazdem na lotnisko. Rozpakuję cię.

— Nie, sam się rozpakuję. Rozbierz się i wskakuj do wanny. Chcę sobie obejrzeć ten twój brzuch.

— Chris, nie mam ochoty na kąpiel.

— Ale się wykąpiesz. No, ruszaj dupą, moja panno... — leżał

wyciągnięty w wannie, patrząc na mnie tym swoim spojrzeniem. — 1

możesz już zdjąć swój kapelusz. Powiedziałem, co prawda, że mi się podoba, ale myślę, że teraz możesz go już zdjąć. — Dziękuję. No dobrze.

I zaczęłam się rozbierać, czując się dość głupio. Chris przyglądał mi się.

Stałam nago obok wanny, a Chris wyciągnął rękę pomagając mi wejść.

— Owszem, jesteś w ciąży.

— Od kogo się dowiedziałeś?

— Umyj mi plecy, Gili, dobrze?

— Oczywiście.

I oto mydliłam mu plecy moim mydłem o zapachu gardenii i uśmiechałam się do wszystkich kropek i piegów. Umiałam wyrysować dokładny plan wszystkich punktów na jego ciele. Znałam go tak dobrze, jego duszę i ciało, każdy cal jego ciała. Jak dobrze było to robić... gdyby ktoś powiedział mi w tym tygodniu, że nazajutrz po Święcie Dziękczynienia będę myła plecy Chrisa Matthews'a, to roześmiałabym mu się w twarz. A teraz oto byliśmy tu, a ja uśmiechałam się od ucha do ucha. — Z czego się tam śmiejesz, mały grubasie?

— Co to znaczy „mały grubasie”?

— To znaczy „mały grubasie”. No więc, z czego się tak śmiejesz?

— Z niczego. Z nas. Z ciebie. Jak to dobrze, że tu jesteś. Przez telefon to nie to samo, to do niczego. Czepiam się słów, zapominam, jak wyglądają rzeczy, które one opisują, tego przecież nie można wcisnąć w telefon. Tak strasznie mi ciebie brakowało.

— Tak, wiem.

Nie wiadomo dlaczego, znowu pojawiła się między nami Marilyn.

Widziałam, że i on o niej pomyślał i siedziała nagle z nami w wannie, puszczając bąble na powierzchni wody niczym pierdnięcie.

— Okay, teraz umyj mi piersi,

— Och, Chris, to możesz zrobić sam.

— Nie, nie mogę, chcę, żebyś ty to zrobiła. Umyj mi piersi. I słuchaj, czy mogłabyś wyświadczyć mi w poniedziałek przysługę? Kup, proszę, jakieś porządne mydło i wyrzuć to śmierdzące gówno z orchidei.

— To nie orchidea, to gardenia. Od Magnina.

— Wszystko jedno, wyrzuć to i spróbuj czegoś ze zwykłej drogerii.

— Ty plebejuszu.

— Może jestem plebejuszem, ale nie fagotem i nie mam zamiaru paradować dookoła pachnąc jakąś cholerną gardenią. A teraz umyj mój tors.

Więc namydliłam mu piersi i pochyliłam się, żeby go pocałować, a on znów się uśmiechnął.

— Chodź tu, mały grubasie... chodź tu, ty...

I oto namydlaliśmy się nawzajem jak w jakimś idiotycznym francuskim filmie, próbowaliśmy się kochać, ślizgając dookoła, rozlewając wodę po podłodze i zaśmiewając się histerycznie jak . dwoje dzieci.

— Chodź...

Chris wyciągnął mnie z wody, wciąż na wpół pokrytą mydłem, i zaczęliśmy się kochać na podłodze w łazience. A potem leżeliśmy uśmiechając się do siebie...

— Chris?

— Tak, malutka?

— Kocham cię.

— Wiem. Ja też cię kocham. — Przytulił mnie na chwilę i wstał. —

Muszę wziąć prysznic, żeby spłukać to mydło. Nalej mi szklankę mleka, dobrze?

— Oczywiście.

I życie wróciło do normy. Chris śpiewał na całe gardło pod prysznicem, a ja z zasychającym na mnie

mydłem i ciężarnym brzuchem stałam nago w kuchni i nalewalam mu szklankę mleka. Stałam tam i myślałam o Gordonie. Jak bardzo różniło się to od tego, jak było mi z Gordonem. Tam była starsza część mnie, tu była młodsza. Tu byłam ja, która wciąż żyła marzeniami i nie potrafiła się z nich otrząsnąć. Postawiłam szklankę z mlekiem na brzegu umywalki w łazience, gdzie Chris wciąż brał prysznic i poszłam do sypialni. I wtedy zadzwonił telefon.

— Gillian? Może zjedlibyśmy razem lunch?

To był Gordon... „O Jezu... co ja mam powiedzieć?” Dobrze chociaż, że Chris był w łazience i nie mógł niczego słyszeć.

— Nie mogę. Coś się wydarzyło i cały weekend trochę się poplątał.

— Coś złego?

— Nie, ale naprawdę nie mogę teraz o tym rozmawiać. Zjedźmy lunch w poniedziałek.

— Jesteś pewna, że nic złego się nie stało?

— Nie, naprawdę. Jestem pewna. Nie martw się. Gordon... Naprawdę mi przykro.

— W porządku. I tak mam coś do zrobienia. Do poniedziałku. Zadzwonię jeszcze do ciebie. Do widzenia.

— Kto to był?

Głos Chrisa pomiędzy łykami mleka. Nie słyszałam, kiedy ucichł prysznic.

— Kolega z pracy.

— Ooooch, mały grubasek ma kochasia?

— Nie. I przestań nazywać mnie małym grubaskiem.

— Okay.

Przesłał mi pocałunek. Uderzyło mnie, że czuł się tu jak u siebie w domu.

To było typowe dla Chrisa. Poszłam do łazienki spłukać mydło i umyć się. Myślałam o tym, co powiedziałam Gordonowi i jak odpowiedziałam na pytanie Chrisa. Nie, Gordon nie był żadnym „kochasiem”. I nie, „nic złego”. Z wyjątkiem tego, że obu ich okłamałam, a nie lubiłam tego robić.

Pobył Chrisa zapowiadał się jako ciekawy miesiąc. Kiedy weszłam z powrotem do sypialni, Chris klepnął mnie po pupie.

— Włóż coś na siebie, Giill. Chcę się przejść.

— Okay, kochanie.

Drzwi otworzyły się i wrzask Samantha rozległ się w całym mieszkaniu.

— Wujku Crits! Wujku Crits!... Cześć, mamó. Zgadnij kogo spotkałam po drodze do domu? Gorrrrrdona! — Jej język aż zawibrował przy wymawianiu jego imienia. — Powiedziałam mu, że przyjechał wujek Crits, a on powiedział, że to bardzo miło. I żeby cię pozdrowić.

Cholera. Szczęśliwego Święta Dziękczynienia... I w tym momencie poczułam przeogromne braterstwo z indykiem.

Rozdział

dwudziesty piąty

Stałam przed drzwiami do gabinetu Gordona i wahałam się. Co ja mu właściwie powiem? — Czy mogę pani w czymś pomóc, pani Forrester?

Jego sekretarka przyglądała mi się ze zdziwieniem i już nie miałam wyboru. Musiałam wejść. Ostrożnie nacisnęłam klamkę prawą ręką, a lewą zapukałam i zatrzymałam się z nogą na progu. Był w trakcie zebrania, przeszył mnie spojrzeniem, które zmroziło mnie do kości.

— Tak, Gillian?

Jego oczy były zimne i beznamiętne, a ukryta pod brodą twarz miała wyraz napięcia.

— Przepraszam, nie widziałam, że jesteś zajęty. Przyjdę później.

— Zadzwoń do ciebie po zebraniu.

Odwrócił wzrok, a ja poczułam się jak niepożądany gość. Delikatnie zamknęłam za sobą drzwi i powoli wracałam do swojego pokoju zastanawiając się, co się teraz wydarzy. Nie myśląc nawet o tym kupiłam sobie po drodze kawę i drożdżówkę i usiadłam przy biurku. Cokolwiek miało się zdarzyć, czułam, że nie będzie to miłe.

i nie mogłam mieć do niego pretensji. Wiedziałam, jak sama czułabym się na jego miejscu. Podle. I wściekła.

Telefon zadzwonił prawie godzinę później, gdy w roztargnieniu starałam się pracować, bez większych sukcesów.

— Gillian, zobaczymy się na dole za dziesięć minut.

— Gordon, ja...

— Nie chcę o tym rozmawiać, omówimy to na dole.

— Dobrze.

Ale nie usłyszał już tego, bo od razu odłożył słuchawkę. Zamknęłam oczy i starałam się uporządkować sobie wszystko w głowie, a potem wstałam.

Byłoby dość zabawne, gdybyśmy się spotkali w windzie po drodze na dół, ale nie spotkaliśmy się. Kiedy wyszłam, czekał już na ulicy i kiedy tylko do niego podeszłam, ruszył wzdłuż Lexington Avenue tak szybko, że tylko z trudem mogłam za nim nadążyć.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że ma przyjechać? Myślałaś, że nie potrafię tego znieść?

— Oczywiście, że nie. Nie wiedziałam, że przyjeżdża. Zadzwoił zaraz po twoim wyjściu, a po paru godzinach już tu był.

— Jakim prawem?

Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. Przechodziliśmy przez ulice niezależnie od świateł, hamowaliśmy ruch i wszystko to wciąż w tempie na złamanie karku. Jasne było, że Gordon był wściekły.

— To nie jest kwestia prawa, Gordon. Robił tu film i nie ma pojęcia, jak wygląda sytuacja.

— A jak właściwie wygląda sytuacja? Nie jestem pewien, czy ja sam to rozumiem. To on jest twoim kochankiem czyja?

— Jest ojcem mojego dziecka. Żyłam z nim. I rozstaliśmy się w trudnych okolicznościach. — Jakie to tragiczne. Tylko jeśli sobie dobrze przypominam, te tragiczne okoliczności, o których właśnie wspomniałaś, polegały na tym, że on cię wyrzucił. Zapomniałaś o tym? Czy może to nie ma znaczenia? Wystarczy tylko, żeby wsiadł w samolot i przyleciał i wszystko jest w porządku. Przypuszczam, że mieszka z tobą. — Moje

„tak” uwięzło mi w gardle, a Gordon złapał mnie za ramię i odwrócił ku sobie. — Mieszka?! — Tak! Mieszka! No i co z tego, do diabła?

— Dużo z tego. Nie życzę sobie, żeby ten skurwysyn się wokół ciebie kręcił, Gillian. Ani przez chwilę! Ludzie zaczęli przyglądać nam się na ulicy, a uścisk Gordona na moim ramieniu sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu.

— Gordon, muszę to wszystko przemyśleć. Proszę.

— Dorośnij wreszcie, na Boga, i bądź uczciwa wobec siebie samej. Tu nie ma o czym myśleć. On cię nie chce. Nie rozumiesz tego?

— A może chce. — Przeraziło mnie, to co powiedziałam.

— Ach, to o to chodzi, tak? No, teraz przynajmniej rozumiem. A ja jestem niezłym zastępstwem, kiedy jego nie ma w okolicy. Ty dziwko! — Zabrał

rękę i przez chwilę myślałam, że mnie uderzy, ale powstrzymał się. — No cóż. Coś ci powiem. Chcesz wiedzieć, dlaczego mężczyźni w twoim życiu tak źle cię traktują? Bo sama tego chcesz. Nie wiedziałabyś, jak się zachować, gdyby postępowali inaczej. Jestem pierwszym mężczyzną, który był wobec ciebie uczciwy, i sama zobacz, co zrobiłaś. I dobrze się przyjrzyj, bo patrzysz po raz ostatni.

Jego wzrok płonął, a we mnie narastało uczucie przerażenia, kiedy uświadomiłam sobie znaczenie jego słów.

— Gordon, nie umiem ci nic powiedzieć. Nie chcę cię oszukiwać.

Kochałam tego mężczyznę. Ale ty też tyle dla mnie znaczysz. Kocham cię. Potrzebuję cię.

— Chcesz mnie wykorzystać. A ja się do tego nie nadaję. Jest na to o wiele za późno. Jestem za stary na takie gówniane historie. Nie doszedłem jeszcze do tego, żeby bawić się w jakieś gry z hippisem filmowcem i jego popieprzoną kochanką. Bo taka właśnie jesteś. Popieprzona!

Trzymał mnie za ramiona i potrząsał tak, że zaczęłam szczekać zębami i z przerażeniem zauważyłam, że z drugiej strony ulicy zbliżał się do nas policjant.

— Gordon! Porozmawiajmy o tym gdzie indziej... tam jest...

— Nie mamy o czym rozmawiać. — Potrząsnął mną jeszcze raz i odepchnął. — Idź do diabła!

A potem odszedł i zniknął za rogiem w chwili, kiedy zjawił się policjant.

— Wszystko w porządku, proszę pani?

— Tak, dziękuję, w porządku.

— Wyglądało na to, że ten facet nieźle na panią wrzeszczał. Pomyślałem, że sprawdzę, co się dzieje.

— To tylko małe nieporozumienie.

Cała drżąc zaczęłam wracać do pracy. Scena z Gordonem była straszna.

Straciłam go, skończyło się. I z jakiego powodu? Za kilka tygodni Chris i tak znowu wyjedzie. Może tym razem na zawsze. Co ja, do diabła, zrobiłam? Myśl o powrocie do pracy napawała mnie przerażeniem. Zupełnie nie byłam w stanie stawiać dziś czoła moim codziennym obowiązkom. Chciałam po prostu iść do domu i ukryć się.

Ale nie miałam ochoty oglądać Chrisa, więc w pracy było lepiej. Przez cały wolno toczący się dzień miałam uczucie, że moje serce wisiało mi kamieniem w piersi. Aż w końcu nie mogłam tego dłużej wytrzymać.

Opuściłam głowę na rękę i rozplakałam się. Zadzwoił telefon, ale nie odpowiedziałam, nie obchodziło mnie, kto to był, mógł poczekać. Łzy płynęły po prostu bez końca. Przeklęty Christopher Matthews, jedyne co potrafił, to rozpieprzyć mi życie.

— Gillian? — Usłyszałam głos, ale zanim podniosłam głowę, żeby zobaczyć, kto wszedł, jego ramiona już mnie objęły. — Kochanie...

przepraszam. — Podniósł mnie delikatnie do góry i płakałam dalej już w jego ramionach.

— Och, Gordon... ja... ja... ja... — Nie umiałam znaleźć słów.

— Szszsz...

— Powiem mu, żeby się wyniósł. Powiem mu, że...

— Cicho. Niczego mu nie powiesz. Poczekamy, aż wyjedzie i zobaczymy, jak się będziesz potem czuła.

Podniosłam na niego wzrok zupełnie osłupiała.

— Nie możesz tego zrobić!

— Mogę zrobić wszystko, na co mam ochotę. I myślę, że masz rację, musisz sama przez to przejść. Toteż jeśli zgodzisz się na to, że od czasu do czasu będę nie w humorze, możemy poczekać, aż to się samo wyjaśni.

Co ty na to? Czule pocałował moje powieki, a łzy znowu zaczęły płynąć.

Był dla mnie tak nieprawdopodobnie dobry. Zawsze.

— To cudownie, jeśli ty jesteś pewien.

— Jestem pewien.

Trzymał mnie mocno w ramionach, a pół godziny później odprowadził do domu. Przekręcając klucz w zamku, nie miałam najmniejszej ochoty na oglądanie Chrisa. Kiedy weszłam, Chris i Samantha bawili się i zabawki leżały porozrzucane po całym salonie.

— Cześć, Sam. Cześć, Chris, jak poszło?

— Okay. Chociaż to zabawni ludzie. Bardzo „Nyeew Yawwk”.

Wciąż jeszcze próbują się w tym połapać i wymyślić, o czym właściwie robią film. Wszystko popieprzone.

— Uważaj na swoje słownictwo przy dziecku, proszę!

— Tak, proszę pani. Jak ci minął dzień?

— Okay. Nic szczególnego. Wygląda, że będę dość zajęta w najbliższym czasie. Będę musiała zostawać dłużej w pracy. — Co oznaczało, że chciałam mieć czas na spotkania z Gordonem.

— Nie ma problemu. Kiedy to wszystko się zacznie, prawdopodobnie nie będę wracał wcześniej niż o jedenastej, dwunastej.

— W porządku. I

— Może to dla ciebie w porządku. Dla mnie nie jest to pomysł na dobre spędzanie czasu. Ale pieniądze to pieniądze, a w tym wypadku to naprawdę niezłe pieniądze.

Zauważyłam, że nie proponował, że będzie tymi pieniędzmi płacił za zakupy spożywcze.

— Chris, nie rozpakowałaś jeszcze tej małej torby. Chcesz, żebym to zrobiła?

Krzętałam się po pokoju.

— W porządku. Wrzuć wszystko do szuflady.

Tak jakbym miała dwanaście pustych szuflad, które czekały na Chrisa. To naprawdę niesłychane, był w Nowym Jorku dopiero od trzech dni, a zaczynałam się już czuć, jakbym to ja była u niego z wizytą.

Weszłam do swojej sypialni z paczką mydła, które kupiłam w drogerii, i rozpakowałam je, żegnając się w myśli z moimi gardeniami od Magnina.

Schyliłam się, żeby otworzyć torbę Chrisa i przez chwilę męczyłam się z zamkiem. Kiedy ją otworzyłam, zobaczyłam, że było tam pełno swetrów, zapasowa bielizna, jego strój narciarski i małe skrawki żółtego papieru —

„kocham cię, m". „kogo teraz całujesz? m". „bardziej niż wczoraj i mniej niż jutro, m." „wracaj szybko, m." Zebrałam je wszystkie i ułożyłam na nocnym stoliku Chrisa. Oto była tu znowu. Marilyn w mojej sypialni, w mojej wannie, w mojej kuchni, wciskająca mi się bezustannie do gardła.

Chris wszedł i zapytał: — A to co?

— Przyjrzyj się. Liściki od twojej damy.

Zupełnie tak jakby zostawił swoją torbę specjalnie po to, żebym je znalazła.

— Hej, nie myślisz chyba...? — Jego głos zadrżał.

— Nie, nie myślę... ale i tak mi się nie podobają. Jest ich około tuzina.

Przeczytałam tylko cztery czy pięć. Przepraszam.

Nic nie odpowiedział, tylko przeczytał je, podarł i wyrzucił do ubikacji.

Ale najpierw je przeczytał. Wszystkie po kolei, jeden po drugim.

Ten pierwszy tydzień spędzony z Chrisem był bardzo dziwny, oscyłowaliśmy między dyskutowaniem bezpośrednim na temat Marilyn albo delikatnym unikaniem wspomnienia o niej. Tak czy owak tkwiła przez cały czas w naszej świadomości, a przynajmniej w mojej.

Zauważyłam też, że zmieniałam się trochę, mimo wszystko stałam się trochę bardziej samodzielna. Wciąż byłam uzależniona od mojego wyobrażenia o Chrisie, ale przestałam polegać na nim w rzeczywistości.

Prawdziwy Chris z krwi i kości był trochę trudniejszy do wytrzymania, niż mówiły mi to moje wspomnienia. Widziałam go teraz w innym świetle, które nie zawsze było korzystne. Uświadomiłam sobie poza tym, że Gordon mnie rozpieścił. Tak łatwo było z nim być, był czuły, troszczył

się o mnie i poświęcał wiele czasu na łagodzenie problemów, zamiast je prowokować. Ale mimo to wszystko nadal promieniałam i uśmiechałam się na widok Chrisa i kochałam go, czując się szalona, zapominając o sobie, zachwycona tym, że mogłam wyciągnąć rękę i znowu go dotknąć.

Pomimo wszystkiego co czułam do Gordona. Chris to był Chris.

W czwartek tego tygodnia Julie miała znowu operację, a w szpitalu nie chcieli powiedzieć nic więcej ponad to, że jej stan był zadowalający, że była na oddziale intensywnej terapii i że nie można jej było odwiedzać.

Moja znajomość szpitalnego języka była dość słaba, ale mimo to wystarczająca, żeby przetłumaczyć sobie, co to znaczyło. Zadowalający stan nie znaczył wiele, ale oddział intensywnej terapii znaczył bardzo dużo. Nie szło się tam ze złamanym palcem, ale z dużym prawdopodobieństwem, że się stamtąd już nie wyjdzie i nikłe były szanse na miłe wspomnienie tego pobytu, nawet jeśli się go pamiętało. Był to najbardziej wyspecjalizowany oddział, gdzie trafiali bardzo, bardzo chorzy ludzie, pełen monitorów, które informowały lekarzy o tym, co robiło twoje ciało i jaka jest szansa, że nadal będzie to robić. Z informacji na ten temat zwierzali się tylko sobie nawzajem, więc o stanie Julie nie można było dowiedzieć się nic nowego poza tym, że był on

„zadowalający”.

W piątek John Templeton wezwał mnie do siebie razem z Jean, Gordonem, Eloise Franek i trzema innymi osobami, które znałam tylko z widzenia. Kiedy usiedliśmy i John zaczął mówić o Julie, uświadomiłam sobie, że byliśmy wybraną elitą, która znała prawdę.

I mieliśmy otrzymać sprawozdanie ze stanu jej zdrowia.

— Jak wszyscy wiecie, Julie miała wczoraj operację. Zrobili badanie wycinka kości. Julie ma... (pauza; można polegać na Johnie jeśli chodzi o efekty dramatyczne)... raka kości. Przewidywania lekarzy są bardzo niepewne. Może to być rok albo dwa, a może kilka tygodni. Nie wiedzą.

Wiele zależy od tego, jak zareaguje na szok pooperacyjny. Jest bardzo słaba i będą nas dokładnie informować, jak się czuje. Nie można jej teraz odwiedzać, ale będę wam przekazywał wszystkie wiadomości, jakie otrzymam. Tymczasem możemy się tylko modlić i chciałem was jeszcze raz prosić o nie rozgłaszanie tej wiadomości w całej redakcji. Będzie na to jeszcze dość czasu. Jeśli w ciągu najbliższych kilku tygodni poczuje się lepiej, to na pewno ucieszy się ze wszystkich wizyt. Do tej pory nie sądzę, żeby mówienie o tym miało wiele sensu. Dziękuję wam i bardzo mi przykro. Jestem tym wszystkim tak samo przygnębiony jak wy.

Na tym skończył, a my wymruczeliśmy „Dziękujemy, John”, poszuraliśmy krzesłami, zapaliliśmy papierosy i wyszliśmy z jego gabinetu, nie odzywając się do siebie, z uczuciem smutku i osamotnienia.

Gordon odprowadził mnie do pokoju, gdzie wziął w ramiona i zaczęliśmy się razem kołysać. Oboje płakaliśmy. Gordon Hartę, który tyle w życiu widział, który stracił Juanitę, dziewczynę, której przeszłość prostytutki nie była dla niego problemem, płakał teraz nad Julie Weintraub. I trzymając się w ramionach płakaliśmy też nad sobą nawzajem.

Rozdział

dwudziesty szósty

Ku mojemu zdziwieniu, mój związek z Gordonem niewiele ucierpiał na skutek nagłego pojawienia się Chrisa. Dzięki Gordonowi. Dokonywał

ogromnego wysiłku, dbając by nic się nie zmieniło. Nie było wielkich wzlotów i upadków, żadnego nacisku, mimo że widywaliśmy się teraz rzadziej. I oczywiście rzadziej ze sobą sypialiśmy.

W przeciwieństwie do tego, życie z Chrisem było burzliwe, ciągłe skoki w górę i dół, zmiany z godziny na godzinę, tak jak zawsze. Po pięknych chwilach następowały gniew, łzy i gorycz z powodu powracającego tematu Marilyn. Spędzaliśmy coraz więcej czasu dyskutując o naszych problemach i stawało się oczywiste, że sytuacja wymaga jakiegoś działania, naprawy albo zdecydowania się na takie czy inne rozwiązanie.

Zbyt długo już wszystko trwało w jednym punkcie i o ile Chris gotów był

to tak zostawić, to ja nie miałam na to ochoty.

Co do Julie, to nie odzyskiwała przytomności przez dwa tygodnie, po czym stan jej zaczął się poprawiać w stopniu przewyższającym nasze nadzieje i modlitwy. Była chuda i wycieńczona, ale w świetnym nastroju.

Wracało jej poczucie humoru, zainteresowanie sprawami pisma, dawała nam świetne pomysły do następnego numeru i prowadziła u siebie coś w rodzaju Klubu Rekreacji

i Wypoczynku dla wszystkich członków redakcji. Przez cały dzień ktoś do niej przychodził, o każdej porze można było zastać wokół jej łóżka kilka osób z redakcji. I trzeba przyznać, że Eloise Franek była niesłychana. Bywała u Julie codziennie. I to nie jak sep szpitalny, który przychodzi wdychać

pachnące eterem powietrze i patrzeć, jak ludzie umierają, ale była tam sobą: ostra, pogodna, skuteczna i bezczelna.

Zorganizowała oddział dawców krwi w naszym piśmie i w innych znajomych redakcjach, żeby ograniczyć koszt licznych transfuzji, jakie dawano Julie. Eloise mogła sobie być trudna do zniesienia, ale we mnie budziła szacunek, bo gdzieś tam w niej biło prawdziwe serce. Zaskoczyła mnie, podobnie jak parę innych osób. To zdumiewające jak bardzo prawdziwych przyjaciół rzeczywiście poznaje się w biedzie. Ludzie, o których sądzisz, że pierwsi przyjdą ci z pomocą, sprawiają zawód, a ci, na których wcale nie liczysz, zdumiewają cię swoją przyjaźnią. Tak przyjemnie było to obserwować. Eloise okazała się ludzka, podobnie pozostali z nas. Wszyscy stanęliśmy niczym w zaczarowanym kręgu, starając się podtrzymać Julie, oddając krew i próbując przekazać jej coś jeszcze, tę magiczną surowicę życia, która sprawia, że chce się iść dalej.

Poprosiłam Chrisa, żeby odwiedził ze mną Julie, ale on odmówił.

— Po co, Gili? Żadnemu z nas nic to nie da, a ona nawet mnie nie zna.

Poza tym szpitale i pogrzeby są wbrew moim zasadom. Byłaby to czysta hipokryzja, tak jak chodzenie do kościoła, w co jak wiesz, też nie wierzę.

— To się nazywa humanitaryzm, Chris. A może w to też nie wierzysz?...

— I był jeszcze jeden powód do tego, żeby się na siebie złościć.

Nic nie ma tylko jednej strony i podobnie było z Chrisem. Gdyby wszystko było złe, gdyby rzeczywiście okazał się zbrojcem z Dzikiego Zachodu, wszystko byłoby proste. Ale nie było tak. Był jednocześnie zły i dobry, wart miłości i nienawiści, piękny i brzydki. Ani białe, ani czarne, tylko szare, a nawet gdyby było czarne, to prawda polegała na tym, że i tak go kocham. Nasz wspólnie spędzony miesiąc zbliżał się do końca, a ja nie doszłam do żadnych mądrzejszych wniosków, podobnie jak on, ale on nie przyjechał na wschód przecież po to, żeby wyciągać wnioski. Nie zaszkodziłoby natomiast, gdybym ja potrafiła to zrobić.

Przez ostatnie kilka dni odnosiliśmy się do siebie z czułością, bo oboje nie wiedzieliśmy, kiedy się znów zobaczymy, i próbowałam się nimi zachłysnąć, żeby mieć później co wspominać. Było to jak zmierzch, jak piękna letnia noc, kiedy świetliki jeszcze raz wyfruwają. Kochałam Chrisa równie mocno jak w Kalifornii, a gorycz z powodu Marilyn zniknęła na chwilę. Pogodziłam się z faktem, że wracał do niej; nie mogłam na to nic poradzić.

Gordon zdawał się wyczuwać, co się działo i nie starał się ze mną spotkać przez te ostatnie kilka dni przed wyjazdem Chrisa. Trzymał się na dystans i byłam mu za to wdzięczna. Chciałam być sama z Chrisem. Wzięłam wolny dzień w pracy i zabraliśmy Samanthę za miasto na pierwszy śnieg, biliśmy się śnieżkami, spacerowaliśmy, całowaliśmy się i śpiewaliśmy kolędy. W następną środę miała być Gwiazdka i miałam nadzieję, że spędzę ją z Chrisem, ale on chyba chciał już wracać. Jego praca dobiegła końca i nie miał już innego powodu, żeby tu zostać, oprócz mnie. A to nigdy nie miało dla niego większego znaczenia. Kiedy postanawiał

jechać, po prostu wyjeżdżał.

Mimo że nic jeszcze nie powiedział, oczekiwałam, że wyjedzie w przyszłym tygodniu i już się na to przygotowałam. Odłożyłam zakupy świąteczne na czas po jego wyjeździe. Nie chciałam stracić ani sekundy z naszego wspólnego czasu.

W piątek, gdy się obudziłam, Chris był już ubrany. Na twarzy miał

napisane: „Muszę ci coś powiedzieć” i zebrałam siły na to, żeby usłyszeć, że po prostu wyjeżdża.

— Zdecydowałam, kiedy wyjeżdżam.

— No już, strzelaj.

— O Chryste, Gili, nie patrz tak na mnie. Sprawiasz, że czuję się jak ostatni skurwysyn. Zaczynam prawie myśleć, że powinienem zaraz się stąd wynieść, żeby z tym wreszcie skończyć.

— Przepraszam. To tylko... och, sam wiesz, jak się czuję.

— Co ja mogę na to poradzić? Miałem ci właśnie powiedzieć, ty tchórze, że postanowiłem wyjechać po Gwiazdce, w czwartek, dwudziestego szóstego. Okay? Mam nadzieję, że nie burzę ci żadnych planów.

— Jakich planów? Christopher Matthews, kocham cię!!! Hurra!!!

Alleluja!!! Pójdziemy dziś na świąteczne zakupy.

— O Chryste... Wyjeżdżam!... Zakupy w Nowym Jorku? Czy wiesz, co się dzieje w sklepach? A ty nie powinnaś być w takim thrmie.

— Daj spokój, nie nudź. Nie musimy tam długo sterczeć. A poza tym obiecałam Sam, że zobaczy Świętego Mikołaja.

— Po co ma oglądać Świętego Mikołaja? Nie wiesz, że to niezdrowo napychać dzieciom głowy bzdurami?

— Chris, bądź człowiekiem. Proszę!

— Dobrze, dobrze, ale potem będziemy robić to, na co ja mam ochotę.

— Zgoda... Chris?... A co z Marilyn? — Jak to, co z Marilyn?

— No, co z Gwiazdką i poza tym?

— Posłuchaj, zapominasz, że nie ożeniłem się z nią. A poza tym to mój problem i nie mam zamiaru więcej o tym z tobą dyskutować, Gillian.

Naprawdę. Temat uważam za wyczerpany.

— Okay, zrób mi kawę, dobrze? Za pół godziny będę gotowa. Kupiłam Chrisowi zegarek firmy Patek, co było z mojej strony szaleństwem, ale wiedziałam, że bardzo mu się podobał. Lubił ładne przedmioty, a ten zegarek był po prostu piękny. Jak obrazy Salvad ora Dali. Zupełnie płaski, miał bardzo prostą tarczę i pasek z czarnego zamszu. Dla matki kupiłam szlafrok, dla ojca nawilżacz, miał ich co prawda na pewno z tuzin, ale nie umiałam wymyślić nic innego. Dla Hilary i Peg jakieś małe drobiazgi. Dla Julie najbardziej seksy lizeskę, jaką znalazłam, i jakieś pornograficzne pisma. A dla Gordona kupiłam stare, oprawne w skórę wydanie „Don Kichota”. Dla Samantha już kilka dni wcześniej zamówiłam imponujący dom dla lalek. Wiedziałam, że Chris tego nie pochwali, ale ona będzie zachwycona. Postanowiłam posłać szkocką whisky Johnowi Templetonowi, bez wyobraźni, ale może być, a dla Jean Edwards i dziewcząt z redakcji już dawno temu kupiłam na pchlim targu zabawne kapelusze, myśląc o tym jak się na nimi pośmiejemy. Dwudziestego trzeciego poszliśmy z Gordonem odwiedzić w szpitalu Julie, która nie wyglądała dobrze. Miała szklisty, ostry wzrok kogoś trawionego gorączką. Zanieśliśmy jej butelkę szampana i prezenty.

Jednak scena odwiedzin była tak nie do wytrzymania smutna, że parę razy musiałam odwracać głowę, żeby się opanować.

Potem wręczyłam Gordonowi jego prezent, a on dał mi piękne, ręcznie wykonane skórzane pudełko. „Magiczne pudło na twoje skarby, Gillian... i na listy miłosne”, zawierało kartkę z wierszem, podpisaną „Kocham, G.” Byłam wzruszona. To dziwny prezent, niezbyt osobisty, a zarazem bardzo osobisty... bardzo podobny do Gordona.

Zawsze marzyłam o takim pudełku, do którego mogłabym wkładać orzechy eukaliptusa, zaszuszone kwiaty, guziki od koszuli i inne podobne przedmioty, które nie mają dla nikogo żadnej wartości i takie są zwykłe, a jednocześnie nabierają znaczenia ze względu na to, co się za nimi kryje.

Gordon miał spędzić święta u swojej siostry w Maryland, co bardzo ułatwiało mi całą sytuację.

W Wigilię oboje z Chrisem zostaliśmy w domu i prażyliśmy na kominku kukurydzę, co dziesięć minut wyganiając Samanthę do łóżka. Całując się ubieraliśmy choinkę, ja dół, a on.górze, bo nie wolno mi było stawać na drabinie.

— No jak, mały grubasie, chcesz teraz swój prezent? — Jego oczy błyszczały.

— Aha. A ty?

— No pewnie.

Wyciągnęłam pudełko od Cartiera i zaczęłam się martwić. Może nie był

to jednak dla niego najlepszy prezent, zwłaszcza że opakowanie wyglądało tak pompatycznie przy małym pudełeczku zawiniętym w tani papier, które Chris położył mi na dłoni. — Najpierw ty — powiedziałam.

Chris zgodził się i zaczął rozrywać papier zgadując, co mogło być w środku. Siedział trzymając w

ręku zamknięte jeszcze pudełko i żałowałam, że nie kupiłam mu czegoś do jego sprzętu stereofonicznego albo swetra na narty, albo nowych butów narciarskich... Otworzył

pudełko, na twarzy pojawił mu się jego szeroki chłopięcy uśmiech i zarechotał. Poczułam się jak Święty Mikołaj. Podobało mu się! Podobało mu się! Hip! Hip! Hurra! Włożył go na rękę, nakręcał i sprawdzał, polerował, oglądał i omal nie udusił mnie z radości, tak mu się podobało.

— Twoja kolej. — Okay, otwieramy.

Zaczęłam rozrywać niebieską folię. Pod spodem było srebrno-czerwone tekturowe pudełko, takie z najtańszego sklepu. Otworzyłam je, a w środku leżało inne — niebieskie aksamitne pudełko, które otworzyło się ukazując wyraźne litery „TifFany & Co.” i niesłychany blask błękitnobiałego brylantu, który leżał

tam na aksamicie. Leżał spoglądając na mnie, zawieszony na złotym łańcuszku. Wisiorek. Byłam tak oszołomiona, że zabrakło mi tchu i łzy napłynęły mi do oczu.

— Ty draniu. Ty wielki oszuście, ty fałszywy gówniarzu. Tak bardzo cię kocham! Nie trzeba było... Po co dajesz mi takie prezenty? — Objęłam go, uściśnęłam i załkałam: — To takie piękne, kochany... Och!

— Nie wiem. Pomyślałem, że zawsze mogę to kiedyś zabrać i odsprzedać. — Typowa uwaga w stylu Chrisa.

— Nie zrobisz tego. Włóż mi to na szyję. Moje ręce za bardzo drżą.

Po czym podeszłam do lustra, żeby obejrzeć brylant, który błyskał do mnie niczym reflektor. Och!

Zgasiliśmy światło i patrzyliśmy przez chwilę na choinkę, a potem poszliśmy do łóżka, kochaliśmy się i leżeliśmy trzymając się za ręce, prawie już śpiąc.

— Hej, Gili...

— Tak, kochany?

— Pobierzemy się, zanim dziecko się urodzi. — To znaczy, mam wyjść za ciebie za mąż?

— Yhmmm. To przecież chyba powiedziałem, nie?

— Zgadzam się!

Nie zapytałam o Marilyn, ale pomyślałam o niej. Nie przypuszczałam, że mówił to poważnie. Ale cholernie chciałam, żeby tak było. Przytuliłam się do niego bliżej i zauważyłam, że miał na ręce zegarek. Uśmiechnęłam się, dotknęłam brylantu na mojej szyi i zasnęłam.

Rozdział

Nazajutrz było Boże Narodzenie, wszędzie panował chaos i pełno było pisków Samantha. Tak jak przewidywałam, dom dla lalek odniósł wielki sukces i otrzymał pełne dezaprobaty spojrzenie Chrisa. Pod koniec dnia poszliśmy na długi spacer do Central Parku. Na ziemi leżało jeszcze więcej śniegu, a w parku było pusto. Wszyscy siedzieli wśród swoich rodzin i przyjaciół. Miło było mieć cały park dla siebie.

— Chris?

— Hmmmm...?

— Czy mówiłeś wczoraj poważnie?

— Taak. Dlaczego nie? Żyje się raz, a poza tym dlaczego biedne dziecko ma być bękartem.

— To dlatego to robisz?

— Nie, ty oślico. Co ty myślisz? Ja tak nie rozumiem. Pomyślałem sobie tylko, że może lepiej będzie, jeśli sprzątnę cię z ulicy, zanim ten cały Gordon postanowi ożenić się z tobą w swoim fotelu inwalidzkim.

— Chris! On nie jest taki stary, a poza tym dlaczego przypuszczasz, że miałby się ze mną ożenić?

— Może jestem łatwowierny, ale na pewno nie jestem głupi. A poza tym umiem czytać.

— Och, wiersz.

— Tak, to też. I niektóre inne rzeczy. Poza tym mam uczucie... jak szybko mogłabyś przyjechać? Myślę, że powinnaś dać mi jakieś dwa tygodnie, żebym... hmmmm... „doprowadził dom do porządku”.

— Tak. Myślę, że powinieneś. I tak wcześniej nie mogę wyjechać. Nie mogę zostawić ich tam w redakcji na lodzie. Chris? Jak masz zamiar to załatwić... tam na miejscu? — Oczywiście miałam na myśli Marilyn.

— Pozwól, że to ja będę się o to martwił. A ty zajmij się sobą i przyjedź, jak tylko wszystko załatwisz.

— Wiesz, zajmie mi to trochę czasu, żeby znów wynająć mieszkanie i wszystko uporządkować. Poza tym w redakcji...

— Ty i twoja cholerna redakcja, kobieto. Ja potrzebuję cię bardziej niż oni.

— Od kiedy?... Naprawdę, Chris?

— A co ty myślisz?

Pocałowaliśmy się i poszliśmy do domu trzymając się za ręce.

Tego wieczora leżałam w łóżku patrząc na stertę jego rzeczy piętrzącą się w kącie i fakt jego wyjazdu zaczął do mnie docierać. Rozplakałam się, bo nie chciałam, żeby odjeżdżał, ale też i z innego powodu.

— Chris, to nie jest takie proste. Jest tyle problemów. Na przykład Marilyn i inne Marilyn. Może zawsze będzie jakaś Marilyn. Nie wytrzymałabym tego. Poza tym jesteśmy tak różni i czasami tak cię irytuję, i... och, do diabła, sama nie wiem. Czasami naprawdę się o nas martwię.

— Czy próbujesz mi powiedzieć, że nie chcesz wyjść za mnie za męża?

Oddawaj mój brylant.

— Akurat. Nie, mówię poważnie. Nie mówię ci, że nie chcę wyjść za ciebie za męża, tylko że się boję.

— Mnie?

— Nnie... tak, W pewnym sensie.

— Więc nie wychodź za mnie za męża.

— Ale ja naprawdę chcę za ciebie wyjść... och, ty nic nie rozumiesz...

— Rozumiem. A teraz zamknij się i idź spać. Jezu, ty nawet w niebie znalazłabyś jakiś powód do zmartwienia. Przestań narzekać i idź spać.

— Nie narzekam...

— Owszem, tak. Kładź się teraz spać. Muszę wcześniej wstać... Taki właśnie był Chris. A ja chciałam rozmawiać.

— Kiedy chcesz, żebyśmy się pobrali, kochanie?

— Znowu zaczynasz? Jak tylko będziesz gotowa. Na porodówce, jeśli ci to sprawi przyjemność. Okay?

— Okay. Dobranoc. Hej, Chris?

— Co znowu?

— Wesołych Świąt.

— Dobranoc. — Prawie już spał.

Następnego dnia rano przyglądałam mu się z ciężkim sercem. Pożegnania zawsze napępniały mnie

smutkiem, a po jego wyjazdach czułam się zawsze taka samotna.

Najważniejsze było jednak to, że kiedy wróciłam do domu, odczułam straszliwą potrzebę zadzwonienia do Gordona i przytulenia się do niego.

Wyglądało to jednak na brudny numer i nie zdecydowałam jeszcze, co mu powiem. W gruncie rzeczy było to proste. „Gordon, wyjeżdżam.

Pobieramy się z Chrisem". Ale jak można było to powiedzieć? Jak choćby zacząć? W poniedziałek poinformowałam Johna Templetona o moich planach i przez cały czas starałam się unikać Gordona, wyrzucając sobie, że jestem potworem i tchórzem. Resztę tygodnia spędziłam w domu z okropną gripą, kręcąc się między łóżkiem a salonem, który w zawrotnym tempie wypełniał się naszymi podróżnymi pakami. Miałam wyjechać zaraz po Nowym Roku, niezależnie od tego co by się działo.

Przez cały tydzień Gordon nie zadzwonił, ale postanowiłam, że powiem mu o wyjeździe na przyjęciu noworocznym u Hilary. Może szampan sprawi, że będzie to dla nas obojga łatwiejsze.

Zorganizowała kolejne ze swoich cichych, ale stymulujących spotkań. O

północy wygłosiła uroczy toast i wzniosła kieliszek za zdrowie swoich gości. Podnieśliśmy się i wypiliśmy jej zdrowie, a potem wszyscy znów usiedli w małych grupkach. Rozmowy toczyły się po cichu, pokój oświetlony był świecami i otoczyła nas pełna czułości i smutku atmosfera Nowego Roku.

I w tej właśnie chwili Gordon podniósł wzrok, zauważył, że na niego patrzę, uśmiechnął się lekko i powiedział cicho, tak żeby inni nie mogli usłyszeć.

— Twoje zdrowie, Gillian. Żeby nowy rok przyniósł ci mądrość i pokój.

Żeby dziecko dało ci radość i żeby Chris był dla ciebie dobry. Vaya eon Dios.

Łzy napłynęły mi do oczu, a on podniósł kieliszek i spojrzał na mnie.

Wiedział.

Kiedy znów zobaczyłam Johna Templetona w redakcji na korytarzu, spojrzał na mnie z wyrazem straszliwego zmęczenia.

— Jak to się dzieje, że zawsze tracę moich najlepszych ludzi?

— Dziękuję za komplement, John, ale dasz sobie beze mnie radę.

Radziłeś sobie wcześniej.

Pokręcił tylko głową, poszedł dalej i tyle go widziałam aż do pożegnalnego przyjęcia, które urządzili na moją cześć w piątek.

Poszliśmy tam oboje z Gordonem, ale mało się do siebie odzywaliśmy.

Od przyjęcia u Hilary był miły, lecz odległy i wydawał się czymś zaprzątnięty. I dopiero kiedy zęgnąłam się ze wszystkimi w redakcji, zaczęłam się domyślać, o co chodzi. Gordon też odchodził. Kiedy odwoził mnie do domu, zastanawiałam się, dlaczego nie powiedział mi o tym. Na pewno zastanawiał się nad tym już od dawna.

— Kiedy się zdecydowałaś?

— Och, myślałem o tym już od jakiegoś czasu.

Unikał mojego wzroku, a jego odpowiedź brzmiała wymijająco.

— Zmienisz pracę?

— Nie, wracam do Europy.

— Do Hiszpanii?

— Nie. Do Eze. To małe miasteczko na południu Francji. Być może teraz zeszło na psy i jest pełne stoisk z pizzą i turystów. Ale dziesięć lat temu było piękne, więc pomyślałem, że pojedę tam i rozejrzę się. Chcę spędzić resztę życia malując gdzieś w takim miejscu, a nie tracąc czas w tej gównianej dżungli.

— Cieszę się, że jedziesz, Gordon. Myślę, że słusznie robisz. Skinął

głową, uśmiechnął się i pocałował w czoło zostawiając mnie przed hotelem.

— Do jutra.

— Zgoda. Zadzwoń do ciebie.

Ale nie wyglądało na to, żeby mu na tym zależało. Postanowiliśmy spędzić razem mój ostatni dzień w Nowym Jorku, sobotę. Wyjeżdżałam w niedzielę rano.

Tego wieczora poszłam do Julie do szpitala i była to najtrudniejsza rzecz, którą zrobiłam przed wyjazdem. Co się w takich razach mówi? „Dziękuję ci za pracę?” „Powodzenia?” „Do zobaczenia?” Nie, starasz się tylko, żeby się nie rozplakać.

Rozmawiałyśmy trochę o niczym, ale myśl Julie umykała i zanim wyszłam, zasnęła. Demeral, czy co tam jej dawali, wywierał na nią ogromny wpływ. Zmniejszyła się i zbladła, wyglądała tak staro i szaro, mała i delikatna na swoim łóżku. Przyglądałam się, jak śpi, po czym poklepałam ją po ramieniu, a ona otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

Pocałowałam ją w policzek i mruknęłam coś bez zastanowienia, jakieś

„Dziękuję, Julie”, a ona znów zamknęła oczy. A kiedy spojrzałam na nią po raz ostatni, usłyszałam

własny szept: Vaya con Dios. Te same słowa, którymi pożegnał mnie Gordon.

Rozdział

dwudziesty ósmy

Na ostatnie dwa dni naszego pobytu w Nowym Jorku znów zamieszkałyśmy obie z Sam w „Regency”. I jakimś cudownym zrzędzeniem losu znów dostałyśmy ten sam apartament. Odjeżdżałyśmy, tak jak przyjechałyśmy, z fasonem. Tylko tyle, że trudno było uwierzyć, że przez te cztery miesiące tyle się wydarzyło.

Kiedy kończyłyśmy śniadanie, zadzwonił telefon. Był to Gordon.

— Tu mówi pani kierownik wycieczki i kulturalno-oświatowy, pani Forrester. Mamy już dla pani cały program pani pobytu. —

Zachichotałam czekając, co powie za chwilę. — Po pierwsze zostanie pani zabrana przez kierownika wycieczki i uda się pani na punkt numer jeden programu: róg Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Piątej Alei, skąd odbędzie pani przejażdżkę antycznym koniem po Central Parku. Koń może paść po drodze lub nie, a w razie gdyby tak się stało, kierownik wycieczki weźmie panią na barana, aby mogła pani kontynuować podróż.

Bardzo proszę nie wkładać butów z ostrogami, gdyż kierownik wycieczki ma bardzo wrażliwe żebra. Dziękujemy za zrozumienie, pani Forrester.

Następnie uda się pani na obiad do hotelu „Plaża”, w Sali Edwardiańskiej, po czym ma pani wybór między: a. krótkim przystankiem w galerii Parke-Bernet Auction, b. przechadzką po Muzeum Sztuki Nowoczesnej, c. zakupami lub też d. może pani powiedzieć kierownikowi wycieczki, żeby się odpieprzy! i udać się do domu na odpoczynek. Następnie zostanie pani zabrana do baru „Sherry-Netherland” na półtora drinka, proszę okazać barmanowi kupon. Po czym kolacja w „Caravelle”, proszę zostawić aparat fotograficzny w szatni, obowiązuja złote pantofle i sweterki z kołnierzami z norki, ewentualnie lisa. Po kolacji w „Caravelle”

uda się pani do „Raffles”, gdzie odda się pani tańcom z kierownikiem wycieczki. I znów bardzo prosimy o niewkładanie ostróg, kierownik wycieczki ma bardzo wrażliwe stopy. A później — niespodzianka, wizyta w jednym z najbardziej czarujących ustroni w Nowym Jorku. Tak wygląda, pani Forrester, dzień, który dla pani zaplanowaliśmy. Witamy w Nowym Jorku. — I jeszcze raz uderzyło mnie, jakim on był dobrym i wspaniałym przyjacielem.

— Gordon Hartę, jesteś niebywały. O której zaczynamy?

— Może być jedenasta?

— Och...

— Jedenasta trzydzieści. Zaczekam na ciebie w recepcji.

— Oh, Gordon, posłuchaj...

— Tak?

— Obiecałam Sam, że pójdziemy razem zoo „ten jeden ostatni raz”.

— Nie ma problemu. Kiedy?

— Teraz jest z nianią.

— Po drzemce? Powiedzmy koło czwartej?

— Świetnie.

— Spytaj ją, czy ja też mogę pójść?

— Myślę, że to się da załatwić. Do zobaczenia i dziękuję. Gordon pojawił

się na dole dokładnie o jedenastej trzydzieści i wyglądał na straszliwie zadowolonego z siebie.

— A więc, szanowany kierowniku wycieczki, co teraz?

— Dorożka, ale przedtem zapraszam do powozu. Przepychaliśmy się przez obrotowe drzwi hotelu i rozejrzałam

się za jego samochodem, zastanawiając się do kogo należy wspaniały rolls roys w kolorze czerwieni strażackiego wozu stojący przed wejściem do hotelu. Miał tablice rejestracyjne z „Z” na końcu, co oznaczało, że był wynajęty, prawdopodobnie dla jakiegoś Teksaricyka albo przynajmniej dla kogoś z poczuciem humoru.

— Madame.

I oto Gordon jednym ruchem ramienia otworzył drzwi do czerwonego rollsa, z szerokim uśmiechem na twarzy. Obok stał szofer w liberii traktując całą tę scenę zupełnie poważnie. Było to takie absurdalne, że stanęłam tam jak osłupiała. I zaczęłam się skręcać ze śmiechu. Patrzyłam na Gordona i znów na samochód, i śmiałam się tak, że łzy popłynęły mi po policzkach.

— Och, Gordon, doprawdy.

— No chodź, wsiadaj. Pomyślałem sobie, że twój ostatni dzień w Nowym Jorku powinien się czymś upamiętnić.

I sprawił tak. W rollsie był barek, telewizor, stereo, telefon i wazon pełen czerwonych róż. Wyglądaliśmy zupełnie jak w scenie z filmu z Doris Day i Rockiem Hudsonem.

Robiliśmy wszystko, co Gordon zaplanował, z wyjątkiem tego, że po obiedzie zamiast punktów a, b, c i d poszliśmy na spacer, a potem odebraliśmy Samanthę z hotelu. Ogromnie się zachwyciła

czerwonym samochodem i pierwsze, o co zapytała z szeroko otwartymi oczyma, to:

„Czy to prezent? Możemy go zatrzymać?” Oboje z Gordonem wybuchnęliśmy śmiechem. — Nie, kochanie, to tylko na dzisiaj, to taki żart. To prezent od Gordona, ale tylko na dzisiaj.

— Ja nie myślę, że to jest żart. Mnie się podoba.

— Samantha, pamiętaj o tym, kiedy będziesz starsza — powiedział

Gordon z poważną miną, a ja dorzuciłam przypuszczenie, że prawdopodobnie będzie pamiętała. Kiedy dojechaliśmy do rogu Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i Piątej Alei, szofer zatrzymał samochód i wysiadł, by otworzyć nam drzwi, po czym pomaszzerowaliśmy do zoo.

Gordon niósł aparat fotograficzny, którego wcześniej nie zauważyłam. —

Chcę wam zrobić trochę zdjęć. Zgadzasz się? Nie zrobię, jeśli ci to przeszkadza. — Nie, w porządku. To dobry pomysł. Tylko pamiętaj, żebyś zrobił zdjęcie samochodu — powiedziałam uśmiechając się do niego przez ramię i biegnąc za Samantha.

— Nie mam żadnego twojego zdjęcia, Gillian, a chciałbym je mieć... Kto wie, możemy się już nie zobaczyć.

— Och, Gordon, co ty opowiadasz. Oczywiście, że się zobaczymy. —

Ale sama się nad tym zastanawiałam.

— Eze i San Francisco nie leżą dokładnie po sąsiedzku, moja droga. A kiedy się kogoś zostawia, to nigdy nie wiadomo, co się może stać. Kiedy mówię komuś do widzenia, zawsze wydaje mi się, że to już na zawsze.

— To zabawne, kiedy ja mówię do widzenia, zawsze mówię sobie, że przecież jeszcze się zobaczymy.

— Wierzysz w to?

— Nie, myślę, że nie. Nie w głębi serca. — Zrobiło mi się bardzo smutno.

Spojrzałam na Gordona, ale on patrzył w inną stronę, I tak przez godzinę Gordon robił zdjęcia Samanthy z balonami, krakersami, na kucyku, oglądającej muszle albo ze mną. Były to szybkie, niepozowane ujęcia. Łapał nas z ustami pełnymi krakersów, z zamkniętymi oczyma, z podniesioną ręką, śmiejące się. Pstrykał, pstrykał, biegł na drugą stronę i znowu robi! zdjęcia... pstryk, pstryk, pstryk, pstryk, pstryk, ostatni dzień z życia Gordona i Gillian...

„nie śpiewaj mi piosenek, nie opowiadaj mi bajek, nie roń mi łez”... ale wspominaj mnie czule. Ostatnie zdjęcie zrobił nam wszystkim szofer samochodu, kiedy staliśmy przed otwartymi drzwiczkami rollsa trzymając po jask-rawoczerwonym balonie i wsiadając do samochodu uświadomiłam sobie, że będzie to jedyne zdjęcie, na którym znajdzie się także Gordon.

Reszta dnia upłynęła zgodnie z planem „kierownika wycieczki” i o północy byliśmy już gotowi do opuszczenia „Raffles” i udania się na spotkanie wielkiej „tajemniczej niespodzianki”. Wciąż jeszcze mieliśmy rollsa i mknęliśmy na północny wschód miasta, jak się słusznie domyśliłam, do mieszkania Gordona.

Wysiedliśmy i poszliśmy na górę. Otworzył drzwi, wszedł przede mną, coś włączył, zapalił świecę, po czym wrócił chcąc pomóc mi zdjąć płaszcz. Pokój wyglądał pięknie. Wokół pełno było kwiatów i w wiaderku z lodem na stoliku przed kanapą stała butelka szampana.

Rozpalił ogień na kominku i włączył muzykę. Dosyć dziwna sceneria dla damy, która ma właśnie odjechać, żeby wyjść za mąż za kogoś innego o trzy tysiące mil stąd i która jest z tym innym w ciąży. A mimo to było pięknie. Wiedziałam, że moje życie

z Chrisem będzie miało swoje własne piękno, wiele miłych chwil, a także wiele problemów. Ale życie z Chrisem było zbudowane z innego materiału; nie będzie w nim światła świec i szampana. To smutne, ale rzadko wychodzi się za mąż za światło świec i szampana. Wychodzi się za mąż za dzinsy i wymięte podkoszulki, za coca colę i przypalone grzanki, a światło świec i szampana odkłada się do czarodziejskiego pudełka. Przypuszczam, że na dłuższą metę łatwiej żyć z coca colą i przypalonymi grzankami.

Zupełnie jakby czytał w moich myślach. Gordon podał mi korek od szampana i powiedział „do twojego czarodziejskiego pudełka”. Wzięłam korek i uśmiechnęłam się w odpowiedzi, a wtedy on odebrał mi go na chwilę i coś na nim napisał. Kiedy mi go oddał, była tam data i nic więcej.

— Nie chcę, żeby za pięćdziesiąt lat twoje dzieci dręczyły się nad licznymi nie znanymi sobie inicjałami.

Była to dość smutna uwaga, tym bardziej że wiedziałam, iż tak właśnie myślał.

— Kiedy wyjeżdżasz do Europy?

— Och, pewnie gdzieś za miesiąc.

— Co Greg o tym sądzi? Powiedziałaś mu już?

— Tak. Dzwoniłem do niego wczoraj, skoro o tym mowa. I wiesz, Gillian, wydaje mi się, że wywarło to na nim wrażenie. Zdaje się, że w końcu zrobiłem coś, co mój syn aprobuje. Porzucam życie „materialisty”, za które mną pogardzał, i będę robił coś, co sądzi, że rozumie.

Powiedział, że przyjedzie w lecie mnie odwiedzić. Myślę, że mówił to poważnie. — Jestem pewna, że tak. Nie dziwię mu się. Sama chętnie spędziłabym lato we Francji.

— Jak to, porzucając słoneczną Kalifornię? Spróbowałam się uśmiechnąć, a potem popatrzyłam na niego

przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca.

— Gordon, będziesz do mnie pisał?

— Może. Chociaż nie jest to moja silna strona. I nie sądzę, żeby Chris uważał to za najlepszy pomysł. Ale dam ci znać, gdzie jestem.

Odsunął się już na dystans i dawało się to odczuć.

— Chrisowi nie będzie to przeszkadzało... A ja chcę, żebyś do mnie pisał... proszę.

— Nie bądź taka pewna. Nie jest głupi i nie lubi mnie. Tyle wiem na pewno. I nie mam do niego pretensji. Na jego miejscu też bym siebie nie lubił. ...Gillian, nie odsłaniaj się tak, by miał wymówki dla ranienia cię.

— Skinęłam w milczeniu głową, a on nalał jeszcze dwa kieliszki opróżniając butelkę. Louis Roederer 1956. Szampan de Gaulle'a. I Gordona Hartę.

Opróżniliśmy kieliszki i siedzieliśmy patrząc w milczeniu w ogień, każde pogrążone we własnych myślach. Byliśmy tak dobrze wychowani i opanowani, i jednocześnie powiedzieliśmy sobie tak wiele samym tylko sposobem, w jaki na siebie patrzyliśmy. Wiedziałam, że opuszczenie Gordona jest jedną z najtrudniejszych chwil w moim życiu... ta ostatnia chwila... to zupełnie ostatnie spojrzenie. Już raz przeszłam przez to z Chrisem, a teraz, choć inaczej, wcale nie było łatwiej.

Odwróciłam się do jego profilu obok mnie na kanapie. Jego wspaniała głowa była lekko odwrócona, broda uniesiona, a oczy zamknięte. Nagle jego ręka wykonała gwałtowny ruch i rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, to jego kieliszek rozłupł się o kominek. Wiedziałam, co chciał

wyrazić tym gestem. Być może widok roztrzaskującego się szkła łatwiej uprzytomniał nam, że to, co było między nami, także się kończyło.

Gordon wstał bez słowa, wziął mój płaszcz i poszliśmy wolno w stronę drzwi.

Przez całą drogę do hotelu siedzieliśmy bez słowa, trzymając się za ręce i patrząc na przesuwane się za oknami miasto. Resztki ostatniego śniegu leżały wciąż jeszcze na ulicy, ponownie zamarzając, szarzejąc.

Samochód zatrzymał się przed hotelem i kiedy szofer otworzył drzwiczki, Gordon wykonał ruch ku wyjściu.

— Nie, nie wysiadaj. Proszę.

Mój głos zabrzmiał chrapliwie. Gordon objął mnie mocno i pocałował w czubek głowy. Podniosłam ku niemu twarz i zaczęliśmy się całować, moje oczy były mocno zamknięte, łzy ciekły powoli z kącików ku włosom. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Gordon też płakał.

— Kocham cię, Gordon...

— Do widzenia, kochanie moje. Pamiętaj zawsze, jak bardzo mnie obchodzisz.

Wysiadłam z samochodu i pobiegłam w stronę drzwi, nie oglądając się za siebie... do widzenia... do widzenia., au revoir, nie, adieu...

Ale zastanawianie się nad tym, jak mogłoby to wyglądać z Gordonem, nie miało sensu. Wybrałam Chrisa. Kochałam Chrisa. I jechałam na górę windą, z mocno zaciśniętymi oczyma, powtarzając sobie szeptem...

Kocham Chrisa... Kocham Chrisa... Kocham...

Rozdział

dwudziesty dziewiąty

Lot do Kalifornii był spokojny i trochę dziwny. Miałam wrażenie, jakbym była zawieszona w jakimś kokonie znajdującym się między dwoma światami, specjalnie po to żebym mogła ukryć się i pomyśleć. Miałam pięć godzin na to, aby całkowicie porzucić świat Gordona i wejść ponownie w świat Chrisa, i wdzięczna byłam za te kilka godzin, przez które mogłam należeć wyłącznie

do samej siebie. Metamorfoza następowała w niezwykle dziwny sposób.

Kiedy przelatywałam wysoko ponad wieżowcami Nowego Jorku, moje serce ścisnęło się boleśnie na widok oddalających się miejsc, które tyle dla mnie znaczyły w ciągu ostatnich kilku miesięcy. I zupełnie tak jakbym zjeżdżała po drugiej stronie mojej tęczy, kiedy zaczęliśmy krążyć nisko nad półwyspem niedaleko od San Francisco, zaczęłam czuć rosnące podniecenie. Wracałam do Chrisa... do Chrisa... do Chrisa!

Spojrzałam na Sam i ścisnęłam ją za rękę. Miałam uczucie, że wreszcie wracaliśmy do domu. Alleluja, malutka!

Przylecieliśmy dokładnie w terminie, a kiedy wyszliśmy do budynku przylotów, Chris już tam był. Cała rozjaśniłam się wewnątrz.

Uśmiechnął się tym swoim chłopięcym uśmiechem, wyłącznie do mnie.

Popatrzyliśmy sobie w oczy i wszystko na

świecie było w porządku. Nowy Jork, Gordon, Julie Weintraub, wszyscy byli o tysiące mil, na innej planecie.

— Wyglądasz na zmęczoną. Miałaś zły lot?

— Nie, lot był dobry. Miałam zły tydzień w Nowym Jorku. Było strasznie dużo pracy. — „To nie tylko praca, ale łatwiej było wszystko do tego sprowadzić”.

Zabraliśmy bagaże i załadowaliśmy je na furgonetkę volks-wagena, którą Chris pożyczył od jakiegoś kolegi. Oczekiwałam, że Samantha opowie o rollsie z poprzedniego dnia i wstrzymałam oddech. Nie chciałam od razu zaczynać od wyjaśnień. Ale ona nic nie powiedziała. Pomyślałam, że na pewno

wypali z tym pewnego dnia, kiedy będę się tego najmniej spodziewała, może za dwa miesiące. Ale wtedy nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Jechaliśmy do miasta i rozglądałam się wokół z tym niebywałym uczuciem: „O Boże, więc to tutaj!... Ach!” San Francisco zawsze tak na mnie działa, zapiera mi dech w piersi, unosi mnie gdzieś i mam uczucie, jakbym miała odfrunąć. Chciałam przejechać przez całe miasto i zobaczyć od razu wszystko co kochałam, ale to nie było w stylu Christa.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że było to coś, czego mogłam pragnąć. Pojechaliśmy prosto do domu, gdzie zwaliliśmy bagaże w salonie, a ja poszłam zobaczyć, co było w lodówce do jedzenia. Nic.

Witaj w domu. Dwie na wpół opróżnione butelki wody sodowej, trzy coca cole, zapleśniała cytryna i słoik masła fistaszkowego, którego nikt prawdopodobnie nie ruszał od lipca.

— Chris, tu nie ma nic do jedzenia.

— Wiem. Ale jeszcze jest wcześnie. Możemy iść do sklepu. Pojedziesz moim samochodem, a ja odwiozę furgonetkę. — A co z Sam?

— Weźmiemy ją ze sobą.

— Okay, ale chciałabym, żeby poszła wcześniej do łóżka. Zrobi się dla niej późno z tą różnicą czasu, a poza tym jest zmęczona po podróży.

— Nie wygląda na zmęczoną.

Biegała właśnie po całym mieszkaniu i obejmowała w posiadanie „swój” pokój.

No cóż, teraz wiedziałam, że wróciłam. Lodówka była pusta i jechaliśmy do sklepu. Żadnych róż ani szampana w zasięgu wzroku. To było wczoraj. Ale wiedziałam przecież o tym. Wybrałam zapleśniałe cytryny i starą wodę sodową, a nie róże i szampana.

Wiedziałam, że mogłam mieć róże i szampana, ale nie chciałam ich tak naprawdę. Chciałam jechać z Chrisem do sklepu pożyczoną furgonetką volkswagen.

— O czym myślisz, Gili?

— O tym, że cię Kocham.

I wierzyłam w każde słowo. Byłam w domu, to było wspaniałe uczucie.

Włożyłam dzinsy, zapinając je na agrafkę, bo suwak nie chciał się zasunąć, sweter Chrisa, mój płaszcz od deszczu i pojechaliśmy odwieźć furgonetkę i zrobić zakupy. Wyglądaliśmy jak rodzina, a Chris był

piękny. Czulałam się tak szczęśliwa, iż myślałam, że zaraz uniosę się w powietrze.

Kiedy wychodziliśmy z domu, coś mi się przypomniało.

— Chris, a gdzie umieścimy niemowlę?

— Uspokój się, dobrze? Jesteś tu dopiero od godziny i już się mnie czepiasz. Gdzieś je umieścimy. Nie martw się tym teraz, na Boga.

— Nie martwię się. Po prostu pomyślałam o tym.

— No to przestań myśleć. Zobaczymy się w Safeway za dziesięć minut.

Cmoknął mnie w policzek i szybko ruszył. Po czym cofnął się ostro, omal nie zderzając z samochodem, który właśnie zaczynałam zapalać.

— Uważaj na zapłon!

— Okay... Hej!... Przestań się mnie czepiać! — Trochę mu się przynajmniej odgryzłam.

— Odpieprz się. — Uśmiechnął się i odjechał.

— I ty też, kochasiu.

...Boże, jak dobrze było być z powrotem. Nie było tu elegancko, nie przypominało ani trochę życia z bajki, ale była to moja bajka, a jednocześnie wszystko było realne. Piękne i realne. Jak Chris.

Rozdział trzydziesty

Chris mieszkał przy Sacramento Street w zrujnowanym domu w wiktoriańskim stylu, dostatecznie blisko eleganckiej dzielnicy Pacific Heights, żeby okolica była przyjemna, ale nie tak blisko, żeby być w środku tego wszystkiego. Dom położony był na wzgórzach po zachodniej stronie miasta i mgła utrzymywała się tu prawie do południa, kiedy w dole, w mieście świeciło już słońce. O piątej mgła opadała na nowo i nocą słychać było tłumione odległością klaksony.

San Francisco było dla mnie zawsze zaczarowanym miastem, miejscem jakby ze snu. Jest ono tak samo piękne jak na pocztówkach i odznacza się stylem życia, który zawsze przypominał mi Europę. Ludzie są mili, w nie udawany sposób jak w Los Angeles, ale trochę jak w małych miasteczkach na Zachodzie. Jest to miasto niemiasto. W ciągu kilku chwil można znaleźć się na wsi albo na plaży, a góry oddalone są tylko o parę godzin jazdy samochodem. Napawałam się wciąż jeszcze świeżym powietrzem, a w małym ogródku Sam ant ha wykopywała dżdżownice i szukała ślimaków. Dom był zaniedbany i zniszczony. Mógł być naprawdę wspaniały, gdyby Chrisowi chciało się poświęcić nieco czasu na naprawienie go. Wiktoriańskie domy spotyka się w San Francisco dość często. Na zewnątrz mają

dużo wdzięku, ale w środku podłogi są nierówne, sufity wygięte, a okna często wypaczone.

Rano po naszym przyjeździe przekreśliłam się w łóżku i spojrzałam najpierw na sufit, a potem przez okno na drzewa, które zaglądały tu z ogrodu. Było cicho i miałam wrażenie, jakbym była na wsi. Popatrzyłam na Chrisa, który wciąż spał, i uśmiechnęłam się. Pomyślałam, że nawet bez Christophera kochałabym San Francisco. Ostatecznie najpierw zakochałam się w mieście, a potem w mężczyźnie. Usłyszałam, że Samantha już spaceruje i wstałam, żeby przygotować jej śniadanie.

Żadnej pomocy do Samantha. To była część umowy z Chrisem.

Kiedy wstawałam z łóżka, Chris otworzył oko.

— ...godzina? Wracaj do łóżka...

— Muszę dać jeść Sam. — I pocałowałam go. — Dzień dobry. Jak dobrze być z powrotem, Chris.

— Oczywiście, malutka. Przynieś mi szklankę soku pomarańczowego, dobrze?

— Mam lepszy pomysł. Zostań w łóżku, a ja zawołam cię, kiedy śniadanie będzie gotowe.

— Okay.

Odwrócił się na drugi bok i zasnął z powrotem, wyglądając jak chłopiec, z potarganymi włosami, głową wetkniętą pod ramię, prawie całkiem schowany pod przykryciem.

Śniadanie było długie i hałaśliwe, bo ustalaliśmy, co będziemy robić przez cały dzień. Chris miał jakąś pracę, a Sam chciała „zobaczyć Juliusa”, to znaczy plac zabaw Juliusa Kanna w Presidio.

— Jutro pójdziesz zobaczyć Juliusa, Sam. Dziś zostaniemy w domu, rozpakujemy się i zrobimy tu trochę porządku. Pomożesz mi?

— Nie chce mi się. — I zaczęło się marudzenie.

— To może poszukasz dżdżownic w ogrodzie? — I to ja to proponuję!

— Świetny pomysł, mamó. Może znajdę jakąś dla ciebie.

— Cudownie.

Chciałam się rozpakować, ale jeszcze bardziej zależało mi na tym, żeby doprowadzić dom do porządku. Przedtem był to dom Chrisa, ale skoro mieliśmy się pobrać, musiały tu nastąpić pewne zmiany. Ich techniczną stroną musiał zająć się Chris, ale ja miałam zamiar zaatakować wszystko znaczną ilością mydła i wody, powiesić przynajmniej nowe zasłonki, kupić narzutę na łóżko... a łazienki!...

Zaczęłam się rozglądać za jakimiś przyborami do sprzątnięcia, a tymczasem Chris był już za drzwiami wołając: „Do widzenia, dziewczyno!” Myślałam wówczas o tym, że niezależnie od swoich ewentualnych zalet, jako gospodyni Marilyn była do niczego. Ale to zapewne stanowiło część jej wdzięku.

O drugiej wszystko wyglądało już znacznie lepiej i poszliśmy z Sam kupić trochę kwiatów.

— Może kupimy róże, mamusiu?

— Może kupimy stokrotki, Samantha, i nagietki, i jakieś czerwone kwiatki.

— Czerwone róże.

— Nie, czerwone inne kwiatki. Róże są za drogie.

— Jesteśmy teraz biedne? I umrzemy z głodu? — Jej wielkie oczy patrzyły na mnie na wpół przestraszone, a na wpół zachwycone tą perspektywą. — Nie, na pewno nie umrzemy z głodu. Po prostu nie możemy wydawać za dużo pieniędzy, to wszystko.

— Och. — Wyglądała na rozczarowaną. — Kiedy odbieramy niemowlę?

— Jeszcze nie teraz. Prawie za dwa miesiące. To jeszcze bardzo dużo czasu. — Och, a dlaczego nie dziś?

— Dom jeszcze nie jest przygotowany.

Przypominało mi to, że tego ranka odkryłam znakomite miejsce dla noworodka i chciałam powiedzieć o tym Chrisowi. Był to rodzaj ogromnej garderoby z oknem, przy którym było dość miejsca na kołyskę, krzesło i szafkę. Pokój przylegał do naszej sypialni i miał dwie pary drzwi, jedne wychodzące na korytarz, a drugie na nasz pokój. Nie potrzebowaliśmy garderoby, a po wyremontowaniu mogło to wyglądać naprawdę ładnie. W ten sposób dziecko było blisko nas, a jednocześnie nie w tym samym pokoju. Na sześć miesięcy powinno to wystarczyć, a potem przeniesiemy je do pokoju Sam.

Dom Chrisa był przestronny, chociaż mały. Miał salon, małą jadalnię i kuchnię na dole, dwie sypialnie na pierwszym piętrze i ponad nimi pełne światła studio, w którym Chris pracował. To

jego święta ziemia i absolutnie nie mogło być mowy o umieszczeniu tam dziecka. Poza tym były tam przeciągi i nie dochodziło ogrzewanie. Stał

tylko ogromny kominek, który Chris przez większość czasu trzymał

zapalony.

Kiedy Chris wrócił do domu, powiedziałam mu o moim pomysle, a on przyrzekł, że załatwi farby i odnowi pokój.

— Hej, Gillian, co tu tak dziwnie pachnie? Co to jest?

— To, mój drogi, jest nie znany ci zapach zwany czystością. Całe rano robiłam tu porządku.

— Nie powinnaś tego robić. Nie zachowuj się teraz jak idiotka.

Podnosiłaś coś?

— Nie, niczego nie podnosiłam.

Pocałowałam go i uśmiechnęłam się ponad jego głowę. Zaczynał

zachowywać się tak, jakby mu zależało na dziecku i na mnie. Było to coś zupełnie nowego i bardzo mnie wzruszało. Chris odchylił się do tyłu i szepnął mi do ucha:

— Pozbądź się Sam.

— Jak to?

— Upchnij gdzieś Sam... chcę się z tobą kochać...

— Och... Sam, kochanie, jak ci poszło rano z robakami? Znalazłaś coś?

— Nie, chyba spały.

— Może poszukałabyś jeszcze trochę, zanim zrobi się zimno?

— Okay. Ty też chcesz trochę, wujku Crits? Mama uwielbia dżdżownice.

— Oczywiście, mnie też przynieś kilka.

Wybiegła tylnymi drzwiami i pomaszerowała do ogrodu z dwiema starymi łyżkami, wykałaczką i papierowym kubkiem. Chris złapał mnie za rękę i pobiegliśmy na górę.

— Hej, poczekaj chwilę, ty wariacie.

— Nie poczekam ani chwili. Cały dzień mi się do ciebie chciało. Chodź

tu, kobieto! — I pobiegliśmy na górę śmiejąc się i chichocząc, a ja o mało nie przewróciłam się na schodach, co uspokoiło nas trochę, ale nie na długo.

— Znalazłam je. Aż trzy. — Pojawiła się Sam. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a ona wyciągnęła dłoń pełną ziemi i czegoś co się w niej ruszało. — Hej, jesteście chorzy? Dlaczego śpicie?

— Ucieliśmy sobie tylko drzemkę. Mama jest zmęczona.

— Ach tak. Tuje macie. Są wasze.—I wsadziła całą tę odrażającą masę Chrisowi do ręki, po czym wyszła podśpiewując sobie.

— O Jezu, Gillian, chyba się zaraz porzygam.

— Najpierw ja.

Oboje ze śmiechem popędziliśmy do łazienki. Chris znalazł się tam pierwszy, wrzucił robaki do

ubikacji i spuścił wodę.

— Bleeeee! Kto wymyślił te bzdury, że małe dziewczynki są słodkie jak karmelki? Czy ktoś mówił już o tym Sam?

— Daj spokój Chris, nie przesadzaj.

— Nie przesadzaj? Nie zauważyłem, żebyś wyciągnęła dłoń po ten smakowity prezent. — I znowu wybuchnęliśmy śmiechem, a ja napuściłam wody do wanny.

— Pojedziemy na spacer przed kolacją. Nie rozejrzałam się jeszcze dobrze po okolicy. Przez cały dzień pracowałyśmy w domu. Chcę się trochę przejechać.

— Po co ci to, Gillian?

— Daj spokój, Chirs, proszę cię. Zrób to dla mnie.

— Okay, okay, ale krótko. Pokazują mecz, który chciałem obejrzeć.

— Tak, sir.

— A przy okazji, pani Forrester, kiedy my się właściwie pobieramy? Czy może jeszcze się nie zdecydowałaś? — powiedział to żartobliwym tonem, ale wiedziałam, że myśli o tym poważnie. Zdecydowałam się, więc wszystko było w porządku. — No cóż, muszę sprawdzić w kalendarzu.

Może w sobotę. — Dlaczego nie jutro? — Masz wszystkie papiery?

— Nie. — Wyglądał na zaskoczonego,

—Dlatego nie jutro? Dziś jest poniedziałek, jutro możemy załatwić papiery, co daje... środa, czwartek, piątek... możemy się pobrać w piątek, jeśli chcesz.

— Nie, w piątek pracuję. Może być sobota. ...Gili? Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? To znaczy, czy wiesz to na pewno? Nie jestem najlepszym pod słońcem materiałem na męża.

— Wygląda na to, że zmienił pan zdanie, panie Matthews.

— To nie ja zmieniłem zdanie. To ty musisz być pewna.

— No, to dopiero, zamieniliśmy się miejscami! Jestem pewna, a teraz siedź cicho i włącz do wanny, bo inaczej nie zdążę na mój spacer.

Chris powiózł nas po Broadway obok wielkich rezydencji, a potem w lewo na Divisadero i w dół po stromym wzgórzu, na którym Steeve McQueen nakręcał scenę pościgu w „Bullicie” i obok domu, gdzie kręcili

„Pal Joey”. A kiedy zjechaliśmy na dół ze wzgórza, czekała tam zatoka i Sausalito po drugiej stronie,

a poza nim wzgórze. Zjeżdżaliśmy po zboczu i czułam się tak, jak musieli się czuć pionierzy, kiedy przeszli przez góry i zobaczyli Pacyfik. Drogi były inne, ale mogłam się założyć, że uczucie mieli zapewne takie samo. Zawsze zapierało mi tu dech w piersi.

Zjechaliśmy drogą w dół aż do Marina i usiedliśmy w zaparkowanym samochodzie przy wybrzeżu, patrząc na wodę i przyglądając się, jak mgła opada powoli poprzez most Golden Gate, tak jakby konstrukcja mostu nadawała jej kształt. Zmierzała w stronę Alcatraz i zaczęły się już rozlegać klaksony przeciwmgielne. Po chwili Chris powiedział:

— Masz już dosyć?

— Nie, ale możesz nas zabrać do domu.

— Nie, nie, ja chcę zobaczyć Union Square! — zapiszczała Sam z tylnego siedzenia. — I tych od Hare Kriszna w pomarańczowych prześcieradłach i z dzwonekami.

— Oni już na pewno poszli do domu, Samantha, ale jeśli chcesz, możemy przejechać przez Union Square.

Chris był naprawdę dobrym kolegą.

— A co z twoim meczem? — Nie chciałam przeciągać struny.

— Mamy czas. — Uśmiechnął się do nas. Myślę, że i jemu sprawiało to przyjemność.

Pojechaliśmy wzdłuż Lombard na dół, gdzie wszystko pełne było zakrętów prowadzących do Leavenworth Street. Sam piszczała przez całą drogę z zachwytu. Zjeżdżając w dół widzieliśmy Bay Bridge i Oakland.

Dotarliśmy do Union Square takiego samego jak zawsze. Jest to jedna z tych części miasta, które nie robią na mnie

większego wrażenia, ale Sam uwielbia ten plac, mimo że była trochę rozczarowana, bo Hare Kriszna poszli już do domu. W powrotnej drodze, żeby zrobić Sam przyjemność, Chris pojechał przez Chinatown.

— Hej, chcecie iść na chińską kolację?

— Nie, daj spokój, chciałeś oglądać mecz. Już dość. Ale bardzo jesteś kochany, że o tym pomyślałeś.

— Nie, poważnie. Zatrzymajmy się tu i zjedźmy wcześniejszą kolację.

— Nie, Chris, jedźmy do domu.

— Cicho... Sam, co o tym myślisz?

— Ja chcę iść na kolację tutaj. Możemy, wujku Crits, możemy?

— Tak, madame.

Wjechaliśmy do garażu St. Mary, po czym wyszliśmy na kłębiącą się od ludzi Grant Avenue.

Kolacja była znakomita i jak zwykle za dużo zjadłam. Chris i Samantha zajadali pałeczkami, a przynajmniej Chris. Sam jadła głównie palcami i wtykała tylko pałeczki tu i tam. Ja jadłam widelcem narażając się na pogardliwe uwagi ze strony ich obojga. Byłam głodna, a poza tym nigdy nie dawałam sobie rady z pałeczkami.

W drodze do domu przejechaliśmy przez tunel Broadway i było to dla Sam ukoronowaniem jej niebiańskiego wieczoru. Tunel!! Dla mnie także był to niebiański wieczór. Spoglądaliśmy na siebie z Chrisem ponad głową Sam, posłałam mu pocałunek i poruszyłam bezdźwięcznie wargami: „Dziękuję, Kocham cię”. On odpowiedział w ten sam sposób:

„Ja też” i było tak naprawdę. Jakiegokolwiek były te ostatnie miesiące, cokolwiek robił Chris, Marilyn, ja czy ktokolwiek inny, wszystko zostało w tym spojrzeniu pogrzebane. Być może nadejdą znów złe czasy, ale na razie wypełniło się proroctwo. Piosenka obiecywała — „Nadchodzą dobre dni”. I nadeszły. Nareszcie naprawdę nadeszły.

Rozdział

trzydziesty pierwszy

We wtorek rano zaprowadziłam Sam z powrotem do jej starej szkoły i pojechaliśmy z Chrisem do miasta, żeby załatwić potrzebne do ślubu dokumenty. Urząd pełen był Meksykanów, małych dzieci i ludzi, którzy wyglądali dość dziwnie, albo na zbyt starych żeby się żenić, albo tak jakby wcale nie mieli na to ochoty. Doszłam do wniosku, że widocznie młodzi ludzie już się nie pobierają. Ale my także, swoją drogą, nie wyglądaliśmy zbyt typowo — byłam już w siódmym miesiącu ciąży i nagle rozkwitłam. Stałam tam w dżinsach i swetrze Chrisa, z brzuchem do przodu, a urzędnik popatrzył i pokręcił głową. „Mam nadzieję, że pani doczeka”. A potem spojrzął z niechęcią na Chrisa, który skrzywił się, a ja zachichotałam.

— Widziałaś tego starego drania, no, widziałaś go?

— Tak, no i co? Przejmujesz się? — „Patrzcie, kto się zrobił wrażliwy.

Biedny Chris”.

Zabraliśmy Sam, po czym zostawił nas obie w domu.

— Mam coś do załatwienia. Do zobaczenia później.

— Co masz do załatwienia?

— Coś, a teraz wysiadaj już z samochodu.

Od wyjścia z urzędu stanu cywilnego był w złym humorze. To głupie pozwolić, żeby coś takiego

miało człowieka denerwować, ale on rzeczywiście się przejął.

— Okay, na razie.

I obie z Sam poszłyśmy do domu, a ja zastanawiałam się, czy Chris pojechał zobaczyć się z Marilyn. Pojawiła się tylko myśl, choć nie było żadnego powodu, dla którego miałabym o tym myśleć, ostatnie kilka dni było wspaniałe, ale męczyło mnie to mimo wszystko. Zaczęłam się zastanawiać, czy już zawsze będę się tak martwiła i podejrzewała go.

Nauczył się jednego, a mianowicie, że jego dawna otwartość była dość kosztowna. Wątpiłam w to, żeby kiedy następnym razem wykręci podobny numer, opowiedział mi o tym równie uczciwie. I tak martwiłam się przez całe popołudnie, zaczynałam się złościć i znów się martwiłam, a kiedy wrócił do domu, byłam tak zadowolona, że wrócił, że było mi już wszystko jedno, gdzie był. Celowo nie zapytałam go, co robił, bo wciąż byłam prawie pewna, że robił coś, o czym nie chciałam słyszeć.

— Nie pytasz mnie, gdzie byłem?

— Nie. A powinnam?

— Co cię ugryzło?

— Nic. Dlaczego?

— Dziwnie wyglądasz. Dobrze się czujesz?

— Tak, dobrze. — Ale znów myślałam o Marilyn.

— Chodź tu, ty głuptasie. Czy myślisz, że...? — A ja odsunęłam się, bo wiedziałam, o co pytał i dokładnie o tym myślałam, a teraz wstydziłam się tego. — Hej, Gillian, o Jezu... nie płacz, nie ma powodu do płaczu, wszystko w porządku... hej mała... — A ja, jak wariatka, płakałam w jego ramionach, przyznając się o czym myślałam przez całe popołudnie.

— Powiedziałem ci. To skończone. Nie musisz się tym już dłużej martwić. A teraz chodź ze mną do samochodu. Wziął mnie za rękę, sprowadził po schodach, otworzył drzwiczki samochodu i zaczął zrywać gazety z czegoś, co leżało na tylnym siedzeniu. Była to kołyska, piękna, przepiękna antyczna kołyska z ciemnego polerowanego drewna, delikatnie rzeźbiona. — Och, Chris...

— Była dziś aukcja u Stocktona. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Podoba ci się?

— Och, Chris! — ...I znów się rozpłakałam.

— A teraz dlaczego płaczesz?

— Och, Chris...

— Już to mówiłaś. No już, ty głuptasie, uśmiechnij się. No. Już. Trochę lepiej.

— Pomogę ci wziąć to z samochodu.

— Nie, madame. Nie, dopóki wciąż nosisz to, co będzie leżało w kołysce.

Przytrzymaj mi tylko drzwi. —Zaczął wchodzić z kołyską po schodach, a ja trzymałam drzwi otwarte tak szeroko, jak tylko potrafiłam.

— Nie upuść jej.

— Przesadzasz. — I uśmiechnął się do mnie przez ramię, po czym postawił kołyskę w przedpokoju.

— Chris?... Wiesz co? Zmieniłeś się.

— Ty też.

Popatrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę i oboje wiedzieliśmy, że było tak naprawdę.

Rozdział trzydziesty drugi

Następne dni upłynęły bardzo spokojnie. Sam była rano w przedszkolu, a Chris większość czasu spędzał na górze w pracowni, przygotowując jakieś projekty, zajęty tym co robił, cokolwiek to było. Schodził na dół na obiad i spędzaliśmy razem ciche pół godziny, zanim musiałam jechać odebrać Sam. Wchodziliśmy w miłą codzienną rutynę i wydawało mi się, jakbym nigdy nie wyjeżdżała, tyle tylko, że wszystko było teraz lepiej.

W czwartek popatrzyłam na Chrisa przy obiedzie i powiedziałam, że chciałabym pojechać do miasta na zakupy.

— Co będziesz kupować?

— Suknię ślubną.

— Żartujesz, Gillian, nie mówisz tego poważnie.

— Owszem. Chcę kupić sobie coś nowego. No wiesz, coś starego, coś nowego...

— Masz coś nowego: dziecko. Czyżby teraz działy odzieży niemowlęcej prowadziły też suknie ślubne?

— Przestań, Chris, bądź miły. Chcę sobie coś kupić.

— Zastanawiałaś się nad kolorem? Może czerwony?

— Chris! Nie powinnam była ci mówić.

— Nie, dlaczego. Możesz sobie kupić. To twoja sprawa. Ostatecznie to twój ślub.

— Twój też. Chciałabym ładnie wyglądać, a nie mam co włożyć.

— Po co chcesz ładnie wyglądać? Zaprosiłaś kogoś?

— Nie, ale o tym też chciałam z tobą porozmawiać.

— O nie, Gillian, nie da rady. Ty i ja pojedziemy do miasta i u sędziego pokoju weźmiemy ślub. Żadnych turystów. Możesz się wystroić, w co ci się tylko podoba, ale nikogo nie zaprosisz. Mówię poważnie. — I wyglądało na to, że rzeczywiście tak było.

— Dobrze, kochanie. Nie denerwuj się.

— Nie denerwuję się. — Zirytował się jednak, wstał od stołu i poszedł z powrotem na strych, a ja zaczęłam zmywać naczynia.

Kiedy Sam zasnęła po południu, przebrałam się i poszłam na górę powiedzieć Chrisowi, że wychodzę.

— A to jest złe?

— Co?

— To co masz na sobie.

— Chris, nie mogę być ubrana na ślubie na czarno. Będzie to wyglądało jaki jakiś cholerny pogrzeb. Daj spokój... sam powiedziałaś.

— Wiem, wiem. Idź i kup sobie welon, skoro masz na to ochotę... z plastikowymi czereśniami.

Zauważyłam, że humor mu się poprawił. Uznał, że wszystko to było bardzo zabawne. A kiedy zamykałam za sobą drzwi, zaczął na cały głos śpiewać — „Oto wiodą pannę młodą”.

— Odczep się, Christopher! Zaśpiewał jeszcze głośniej.

Postanowiłam zorganizować prawdziwą wyprawę, zaparkowałam samochód w garażu Union Square i poszłam do I. Magnina. Na wszystkich wystawach były stroje żeglarskie, a w środku bardziej przypominało to Nowy Jork niż San Francisco. Wszyscy byli elegancko ubrani. Wydawało mi się, że jestem bardzo daleko od Sacramento Street.

Pojechałam windą na górę, starając się znaleźć tabliczkę z napisem

„Macierzyństwo” wśród długiego spisu stoisk umieszczonego na drzwiach. Dziewczyna obsługująca windę popatrzyła na mnie z uśmiechem i powiedziała: „Szóste”. Nie mogłam się oprzeć, żeby nie

spojrzeć na nią i także z uśmiechem nie zapytać: „Suknie ślubne?”, a jej twarz zamarła. Zaśmiałam się i powiedziałam, że pojedę na szóste.

— Przez chwilę myślałam, że mówiła pani poważnie.

Znów się roześmiałam i wyszłam... Ale tak, paniusiu, mówiłam to poważnie. I owszem.

Sukienki ciążowe miały równie mało wdzięku co zazwyczaj i przejrzałam je wszystkie niczego nie znajdując. Materiały wyglądały nieciekawie, kolory były okropne, wszystkie miały na wysokim staniku jakąś kokardę albo pasek, albo jeszcze coś innego, co mi się nie podobało.

— Czy mogę pani pomóc?

— Szukam czegoś na ślub siostry. To popołudniowy mały ślub, więc nie chcę niczego bardzo oficjalnego. — To były w zasadzie wszystkie informacje, jakich potrzebowałam.

Szukałyśmy i szukałyśmy, i niczego nie mogłyśmy znaleźć. Nie mogło być ani czarne, ani białe, ani czerwone, a po przymierzeniu wszystkich pozostałych byłam już prawie wykończona.

— A może sukienkę z płaszczem? Dostaliśmy wczoraj coś ciekawego i będzie to na pani bardzo dobrze wyglądało. Bardzo dobrze uszyte, jasnoszare.

— Szare? Na ślub? — I naprawdę nie potrzebowałam jeszcze jednego płaszcza.

Ale ona wyniosła cudowną, delikatną, szarą sukienkę z długimi rękawami, zupełnie prostą, z guziczkami wzdłuż całego przodu, kołnierzykiem w lekki szpic i szerokimi mankietami; nie było paska, nie było kokardy nad brzuchem, tylko bardzo duże kieszenie umieszczone lekko skośnie po obu stronach. Guziczki obciągnięte były w ten sam szary materiał, a płaszcz był zupełnie gładki i miał podobny prosty krój, a z tyłu delikatny, mały złoty łańcuszek zamiast paska. Wyglądało to cudownie...

z perłami mojej babki, czarnymi pantofelkami... i...

— Ile to kosztuje?

— Sto czterdzieści pięć. — Och, ale ostatecznie był to, u licha, mój ślub i mogłam nosić to także później. A poza tym dostawałam do tego jeszcze płaszcz.

— Wezmę to.

— Bardzo proszę. Świetnie pani w tym wygląda. Mężowi na pewno bardzo się spodoba.

— Na pewno. — Może. Ale sto czterdzieści pięć dolarów? Miałam jeszcze sporo zaoszczędzonych pieniędzy, więc w drodze do domu wytłumaczyłam to sobie jako bardzo rozsądny zakup.

Kiedy wróciłam do domu, Chris i Sam jedli w kuchni lody.

— Co kupiłaś, mamusiu?

— Nową sukienkę.

— Pokaż mi.

— Nie przed sobotą. To za dwa dni. — A Chris zaczął znowu nucić: „Oto wiodą pannę młodą”. Poszłam na górę i powiesiłam sukienkę w głębi mojej szafy, bardzo zadowolona z siebie. Była piękna. Przejrzyście szara jak mgła. Moja ślubna suknia.

W piątek wczesnie rano Chris wyskoczył z łóżka, klepnął mnie i powiedział, żebym mu przyniosła sok pomarańczowy,

— Teraz?

— Tak, teraz! Mam być o ósmej w Oakland, Kręcimy film i muszę tam być na czas. No już, paniusiu, ruszaj się!

— Okay.

I wyturlałam się z łóżka, niezbyt zachwycona wczesną porą.

Chris wyszedł objuczony najróżniejszymi pudełkami, notatnikami i przedmiotami, których przeznaczenia nie znałam. Pocałował mnie w przelocie i powiedział, że wróci późno, i żeby nie czekać na niego z kolacją.

— A teraz wracaj do łóżka.

Postałam w drzwiach, dopóki nie zapalił samochodu, pomachałam mu i wrzasnęłam głośno: „Kocham cię”, zastanawiając się czy wszyscy dokoła obudzili się na ten krzyk i krztuszenie zapalającego samochodu. Albo na jego: „Ja też cię kocham!”, które rzucił odjeżdżając. Wróciłam jeszcze na chwilę do łóżka, a potem nakarmiłam Sam i odprowadziłam ją do szkoły.

Kiedy wychodziłyśmy, dom wydawał się bardzo cichy bez Chrisa, a Sam była w kiepskim humorze. Pomyślałam, że pewnie się przeziębila i postanowiłam poprosić Chrisa, żeby sprawdził ogrzewanie w jej pokoju.

Wydawało mi się, że nie działało dobrze.

W powrotnej drodze zatrzymałam się w sklepie na naszej ulicy i postanowiłam kupić farbę do pomalowania dzieciennego pokoju. Piękny, jaskrawożółty kolor. Pomyślałam sobie, że jeśli ja tego nie zrobię, to na Chrisa nie ma co liczyć. Załadowałam więc wszystko do taksówki i ruszyłam do domu.

Kiedy wróciłam, dzwonił telefon, ale przestał, zanim otworzyłam drzwi.

Prawdopodobnie pomyłka. Telefony do Chrisa obsługiwała specjalna linia, a ja nie powiedziałam jeszcze nikomu, że byłam tu z powrotem.

Dom był posprzątany, więc poszłam na górę do naszego pokoju, otworzyłam szafę i znów popatrzyłam na sukienkę. Wyglądała absolutnie cudownie i postanowiłam ją jeszcze raz przymierzyć.

Kręciłam się przed lustrem w czarnych pantoflach, perłach po babce i z torebką z krokodyla. Zebrałam włosy wysoko nad karkiem i poczułam się jak prawdziwa panna młoda. Było to bardzo odległe od mojego pierwszego ślubu... bardzo odległe. I zachichotałam do swojego odbicia w lustrze. „Gilliana Forrester, jak ty się zmieniłaś!”

Znów zadzwonił telefon i tym razem zdążyłam podnieść słuchawkę.

— Pani Matthews? — Nie rozpoznałam głosu. Może to z jakiegoś sklepu w poszukiwaniu nowych klientów, przygotowałam się więc już, żeby odpowiedzieć: „Przykro mi, ale nie potrzebujemy”, „Mówi służąca” lub coś podobnego. Nie uważałam, że powinnam podawać swoje nazwisko. I tak nie mógł to być nikt ze znajomych.

— Do jutra jeszcze nie. Tak?

— Mówi Tom Bardi. Jestem przyjacielem Chrisa.

— Tak? — Mgliście przypominałam sobie, że słyszałam już jego nazwisko.

— Pani... hmmm... pracowaliśmy dziś rano przy tym samym filmie w Oakland i...

— Tak? — „O Boże, czy stało się coś złego?” — Tak? Czy coś się stało?

— Chris spadł z rusztowania przy próbie nowego ujęcia, i tak mi przykro, że muszę to pani powiedzieć, ale... on nie żyje. Upadając złamał

kręgosłup. Dzwonię ze szpitala Najświętszej Marii w Oakland... Nic pani nie jest?... Czy pani tam jest?

— Tak... jestem tu. — Skamieniałam. Nie mogłam nic powiedzieć.

— Jak pani na imię?

— Gillian.

— Gillian, czy dobrze się pani czuje? Jest pani pewna? Czy mogłaby pani teraz tu przyjechać?

— Nie. Chris wziął samochód.

— Dobrze, więc proszę się nie ruszać. Proszę siedzieć tam i napić się kawy. Zaraz przyjadę po panią, żeby panią tu przywieźć.

— Po co?

— Chcą wiedzieć co zrobić z... ciałem. — Ciało? Ciało! Ciało! Chris, a nie „ciało”. Chris, Chris, i

zacęłam skowyczeć. — Proszę się trzymać.

Zaraz tam będę.

Usiadłam na łóżku, bez ruchu, niezdolna poruszyć nawet głową czy się odwrócić. Siedziałam tak w mojej nowej szarej sukience, patrząc na buty i szlochając. I nagle usłyszałam kroki na schodach, silne męskie kroki przeskakujące po dwa stopnie naraz... Chris!... To było kłamstwo, głupi dowcip, zaraz obejmie mnie i powie, że to był kiepski żart. Chris...

Podniosłam wzrok, a w drzwiach stał obcy mężczyzna patrząc na mnie z wyrazem współczucia i zażenowania.

— Jestem Tom. — Skinęłam tylko głową. — Dobrze się czujesz? —

Znów skinęłam głową, chociaż nie była to prawda. — Może zrobię ci kawę? — Pokręciłam głową.

Wstałam nie bardzo pamiętając, dokąd miałam iść ani co miałam zrobić, ale pamiętając, że ten mężczyzna przyszedł tu w jakimś celu.

— O Boże, jesteś w ciąży... Jezu... Och, tak bardzo mi przykro.

Wiedziałam, że było mu przykro, jego głos brzmiał szczerze, ale naprawdę mnie to nie obchodziło. Wstałam i zobaczyłam w lustrze siebie i Toma Bardi, który stał za mną. Wciąż miałam na sobie nową sukienkę, ze wszystkimi metkami. — To znaczy, Chris opowiadał o tobie... i o małym chłopcu... Sam... Ale nigdy nie wspominał o nowym dziecku.

— Mała dziewczynka. To znaczy, Sam. Samantha... Och, jak ja to zrobię?

Niedługo powinnam odebrać ją ze szkoły.

— Z której szkoły?

— Thomas Ellias.

— W porządku, zadzwonię do szkoły i powiem im, żeby ją na chwilę zatrzymali. To nie potrwa długo... To znaczy... — Odwrócił się i zaczął schodzić po schodach. — Gdzie jest telefon? — zawołał przez ramię.

— W kuchni za drzwiami.

Włożyłam z powrotem dzinsy i sweter Chrisa, złapałam torebkę, a sukienka została na nie posłanym łóżku, przewrócona do połowy na lewą stronę, obok podkoszulki, w której sypiał Chris... Jezu, o dobry Boże, słodki Jezu... Co ty zrobiłaś?

Drewniane podeszwy moich sandałów zastukały po schodach, kiedy zbiegałam na dół, gdzie usłyszałam, jak Tom odkładał słuchawkę.

— Wszystko załatwione, zatrzymają ją do wpół do piątej. — Znów wyglądał na skrepowanego. — Czy wiesz, co chcesz zrobić? To znaczy, oni tam chcą wiedzieć. Co chcesz z nim zrobić?

— Nie pomyślałam o tym. Nie wiem. Może powinnam zadzwonić do jego matki... — „Gdzie ona, do diabła, mieszka...? Niech no pomyślę...

Chicago...? Nie... Detroit...? Nie... Denver. To było to. Poznałam ją kiedyś, kiedy wpadła odwiedzić Chrisa jadąc gdzieś indziej, po drodze.

Nie byli sobie zbyt bliscy. A ojciec Chrisa nie żył".

Zamówiłam międzymiastową.

— Poproszę Informację Telefoniczną w Denver.

— Przepraszam, ale może tam pani zadzwonić bezpośrednio. Proszę nakręcić, 303, potem 5, 5, 5...

— Czy może to pani, do cholery, za mnie zrobić? Mój mąż właśnie zginął w wypadku.

— Och, tak... Och, przepraszam. Proszę chwilę poczekać.

— Informacja. Jakie miasto? Czym mogę służyć?

— Tak. Denver. Helen Matthews. Nie znam adresu. Po chwili wróciła.

— Numer 663-7015. — Powtórzyłam za nią numer. Dlaczego mój głos był taki spokojny? Dlaczego brzmiał jak mój zwykły głos? 663-7015...

663-7015... A teraz nakręć to, powiedz tej miłej damie, no już, powiedz jej: Chris Nie Żyje. Tak właśnie, pani Matthews, nie żyje.. O mój Boże., przyciskałam raz po raz guzik telefonu. — Centrala?... Centrala?

— Tak, proszę pani. Czy chciałaby pani, żebym wykręciła dla pani ten numer?

— Tak. Proszę.

— Z przywołaniem? Czy bezpośrednia?

— Z przywołaniem. Nie, bezpośrednia... nie, och, wszystko jedno...

nieważne.

— Bardzo mi przykro, ale muszę wiedzieć jak.

— Och, cholera, proszę zamówić bezpośrednią. Helen Matthews, pani Helen Matthews.

Nakręciła i telefon zadzwonił dwa razy.

— Halo?

— Halo. Mam tu bezpośrednią rozmowę do pani Helen Matthews.

— Przy telefonie. — Mówiła trochę podobnie jak Chris.

— Proszę mówić.

— Halo... Jane?

— Nie, pani Matthews. Tu Gillian Forrester. Jestem przyjaciółką Chrisa.

Nie wiem, czy pani mnie pamięta. Poznałyśmy się rok temu w lecie, kiedy pani tu była... ja...

— Tak, pamiętam. Co słyhać? — Wydawała się zaskoczona.

— Dobrze, dziękuję. A co u pani?

O Chryste, nie mogłam tego wykrztusić. Popatrzyłam na Toma Bardi i zrozumiałam, jak musiał się czuć, kiedy do mnie dzwonił. Zacisnęłam oczy i usiadłam ściskając słuchawkę obiema rękami, żeby się nie trzęsła.

— Jeśli szuka pani Chrisa, to nie ma go tu. Jest w San Francisco. Jest pani tam? Obawiam się, że to bardzo złe połączenie.

Zgadza się i bynajmniej nie stanie się lepsze za chwilę.

— Ja też jestem w San Francisco... to znaczy... pani Matthews, Chris miał

wypadek. On... nie żyje... tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro... — O

Chryste, nie rozklejaj się teraz, nie rób jej tego. — Pani Matthews, przykro mi, że muszę o tym mówić, ale w szpitalu chcą wiedzieć, co zrobić... więc pomyślałam, że zadzwonię i zapytam panią co... — O Boże, ona płakała. Miła starsza pani, którą poznałam ubiegłego lata, płakała. —

Pani Matthews? Czy wszystko w porządku? — Idiotyczne pytanie, znów popatrzyłam na Toma. Wyglądał przez okno, odwrócony ode mnie plecami, ze zwieszoną głową.

— Tak, w porządku. — Opanowała się. — Nie wiem, co pani powiedzieć.

Jego ojciec jest pochowany w Nowym Meksyku, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, a jego brat w Waszyngtonie. Zginął w Wiet-namie. — O Boże, dlaczego musiało to na nią trafić? Chris opowiadał mi o swoim bracie.

— Czy chce pani, żebym przywiozła go do Denver?

— Nie, to nie ma sensu. Moja córka mieszka w Fresno. Myślę, że najlepiej załatwić to w San Francisco. Przyjadę tam. Tylko najpierw zadzwonię do jego siostry.

— Może pani mieszkać tu ze mną. W domu... — „Jego domu... naszym domu... o Jezu, co ona pomyśli o tym, że mieszkaliśmy razem?” Trochę za późno było, żeby się tym przejmować.

— Nie, zatrzymam się w hotelu z Jane, z moją córką.

— Odbiorę panią z lotniska. Proszę zadzwonić i powiedzieć mi, kiedy pani przylatuje.

— Nie trzeba, moja droga.

— Chętnie to zrobię... pani Matthews... Strasznie mi przykro... — I mój głos znów się załamał.

— Wiem, moja droga. — W jej głosie też były łzy. Skinęłam głową i obie odwiesiłyśmy słuchawki.

Tom Bardi przyglądał mi się, kiedy odkładałam telefon, po czym podał

mi filiżankę kawy.

— Chcesz coś mocniejszego? — Pokręciłam głową i wypłam łyk kawy.

Była zimna. — Musimy ruszać. — Skinęłam głową i ruszyłam do drzwi.

— Och, jeszcze tylko jeden telefon. Proszę...

Peg. Musiałam zadzwonić do Peg. Do kogo innego miałam się zwrócić?

Kto inny oglądał mnie przez te wszystkie lata płaczącą, rzygającą i umierającą? Peg. Nakręciłam jej bezpośredni numer w biurze.

— Proszę z panią Richards.

— Chwileczkę... Biuro pani Richards.

— Chciałabym z nią rozmawiać.

— Przykro mi, pani Richards jest zajęta.

— Proszę ją zawołać. Proszę powiedzieć, że dzwoni Gillian Forrester. Na pewno odbierze.

— Dobrze, zaraz zobaczę. Proszę poczekać.

Poczekaj na swoją dupę, paniusiu. Peg na pewno podejdzie. I podeszła.

— Gillian? Co się dzieje? Mam zebranie.

— Wiem Peg... on nie żyje. — I znów się załamałam.

— Kiedy?

— Dziś rano... wypadek... złamał kręgosłup... cholerne rusztowanie... —

Z trudem wydobywałam słowa z gardła.

— Przylecę wieczorem, samolotem o ósmej. Przynajmniej mogę spędzić z tobą weekend. Jak się czujesz?

— Źle.

— W porządku, siedź tam tylko i czekaj, aż ciotka Peg przyleci, a wtedy możesz się rozlecieć. Będę wieczorem. — „Policzymy, osiem i pięć to pierwsza nad ranem, odjąć trzy godziny różnicy czasu. Peg będzie tu o dziesiątej”. — I słuchaj, nie wyjeżdżaj po mnie. Wezmę taksówkę. Ten sam adres?

— Tak.

— Potrzebujesz czegoś?

— Tylko ciebie. Och, Peg, dziękuję. Nie zapomnę ci tego do końca życia.

— Muszę już iść. Trzymaj się. Słuchaj, masz tam jakieś librium czy coś takiego?

— Tak, ale nie chcę brać.

— Weź. Posłuchaj ciotki Peg i weź. — Aleja wiedziałam, że nie wezmę.

— Okay, dziękuję ci jeszcze raz... do widzenia.

— Do widzenia. — I odwiesiłyśmy słuchawki. Popatrzyłam na Toma Bardi, który wciąż stał w kuchni, ale

zaczynał się już denerwować.

— Dobrze, jedźmy.

Uspokoił się. Może sądził, że będę teraz dzwoniła do wszystkich znajomych, a on będzie się temu musiał przysłuchiwać.

Rozdział trzydziesty trzeci

Jechaliśmy do Oakland w milczeniu. Nie miałam nic do powiedzenia. I wdzięczna byłam Tomowi, że nie próbował nawiązać rozmowy. Tylko prowadził. Bardzo szybko. A ja wyglądałam przez okno, nie płacząc, nie myśląc, nawet nie czując niczego. Jechałam po prostu samochodem Chrisa z mężczyzną, który nazywał się Tom Bardi, i którego zobaczyłam dziś po raz pierwszy w życiu. Było

to dziwne, naprawdę dziwne, więc nie zastanawiałam się nad tym. Po prostu siedziałam. Samochód

skręcił nagle i zorientowałam się, że wjechaliśmy na parking przed szpitalem Najświętszej Marii w Oakland.

Wysiedliśmy z samochodu i Tom poprowadził mnie na ostry dyżur. W

środku czekała mała grupa osób, z długimi włosami i w dzinsach.

Wyglądali na naćpanych i trzymali się razem, tak jakby chcieli się ogrzać.

Jego zespół.

Tom podprowadził mnie do recepcji i powiedział coś dyżurnej pielęgniarce. Podniosła wzrok bez wyrazu i zapytała:

— Pani Matthews?

— Tak. — Skłamałam, bo uważałam, że nie poradziłaby sobie z prawdą, a wiedziałam, że ja nie poradziłabym sobie z wyjaśnianiem jej tego wszystkiego. I jakie to miało znaczenie?

— Bardzo proszę tędy.

Zaprowadziła mnie do małego pokoju, nad którego drzwiami zapalone było czerwone światło i tabliczka na drzwiach głosiła „Wstęp wzbroniony”. A w środku był Chris, ubrany tak jak rano; leżał

wyciągnięty na noszach i wyglądał tak spokojnie, tylko jeden policzek miał cały w piasku, ale nigdzie nie widać było nawet siniaków. Mylili się.

Nie umarł, po prostu spał. Otarłam piasek z jego twarzy i wygładziłam mu włosy. Pochyliłam się, żeby go pocałować, a straszne, ogromne bąble powietrza, które uwięzły mi w gardle, okropnie zagulgotały.

Przycisnęłam twarz do jego twarzy i objęłam go. Było to dziwne uczucie i jego skóra była dziwna w dotyku. Było to ciało Christophera Caldwellla Matthews. Nie był to już Chris.

Pielęgniarka stała w kącie przyglądając mi się, ale nic mnie to nie obchodziło. Zapomniałam o jej obecności. Podeszła do mnie wolno, wzięła mnie za łokieć, posuwając mnie bardzo fachowo w stronę drzwi.

Wciąż oglądałam się przez ramię na Chrisa, patrząc czy się nie poruszy, nie wstanie, nie otworzy oka i nie mrugnie. To był tylko jeden z tych obrzydliwych dowcipów, tak jak telefon Toma Bardi. ...Posłuchaj, siostrzo, on tylko robi pani dowcip... Trzymała mnie wciąż za łokieć i popychała korytarzem, z powrotem w stronę głównej lady recepcji.

— Czy mogłaby pani podpisać się tutaj?... I tu? — Podała mi długopis, podpisałam się dwa razy Gillian Forrester i odwróciłam, nie wiedząc dokąd teraz iść. Popatrzyłam na pielęgniarkę i zapytałam, co powinnam zrobić. — Czy dzwoniła już pani do zakładu pogrzebowego?

— Nie, jeszcze nie. — Jeszcze nawet nie ostygł.

— Po drugiej stronie holu jest budka telefoniczna. Może znajdzie pani coś w tej książce telefonicznej.

Właśnie tak, poszukaj w książce telefonicznej, niech twoje palce się tym zajmą... o Boże. Hobson... Hobson... to ten. George Hobson... „Złóż w nasze ręce bliskie ci osoby"... Znałam faceta, który robił ich kampanię reklamową. Zadzwoiłam.

— Tu Zakład Hobsona. —Miękkim głosem... Chryste.

— Moje nazwisko Forrester. Chcę porozmawiać z kimś o...

— Oczywiście, proszę chwilę poczekać.

— Tak? — Uderzył mnie w ucho głęboko modulowany głos.

Pomyślałam, że jego właściciel na pewno jest homoseksualistą i przekonałam się, że miałam rację, kiedy powitał mnie później w holu u Hobsona w bardzo obcisłym czarnym garniturze. Z uśmiechem przylepionym do twarzy. Opowiedziałam mu, o co chodzi. Powiedział, że nie ma problemu. Jeden z ich samochodów odbierze pana Matthews'a o trzeciej. Czy to mi odpowiada? Odpowiedziałam, że owszem, odpowiada.

— Czy mogłaby pani przyjść tu o wpół do czwartej, żeby dopełnić wszystkich formalności?

— Tak, w porządku.

— Jest pani siostrą zmarłego?

— Nie, jestem jego żoną.

— Przepraszam, usłyszałem Forrester. — I wyglądał jak jedne wielkie, obłudne przeprosiny.

— Dobrze pan słyszał, Forrester. Zawiadomię szpital, że odbiorą państwo pana Matthews'a o trzeciej.

Nic mnie nie obchodziło, co sobie myślał. Byłam żoną Chrisa, ze ślubem czy bez. Powiedziałam pielęgniarce w recepcji, że samochód od Hobsona zabierze Chrisa o trzeciej, a potem wróciłam, żeby powiedzieć o tym Tomowi.

— Czy chcesz wrócić teraz do miasta? Zawiozę cię. Ktoś może zabrać mój samochód.

— Nie. Poczekać. Ale ty możesz już wracać, jeśli chcesz. Nie ma sensu, żebyś tu ze mną zostawał.

— Zostanę. — Brzmiało to bardzo zdecydowanie. Byłam mu wdzięczna, więc nie zaprotestowałam.

— Chcesz się położyć, czy coś w tym rodzaju? — Nie, w porządku.

— Na pewno?

— Na pewno. Dziękuję.

Spróbowałam się do niego uśmiechnąć. Nie odpowiedział na mój uśmiech i podszedł do grupy ludzi, którzy ostatni widzieli Chrisa, i coś im po cichu powiedział. Wszyscy wstali jeden po drugim, popatrzyli na mnie szybko, a potem wymienili z Tomem uściski dłoni. Widziałam, jak dał

jednemu z nich kluczyki, a potem wszyscy wyszli. Cisi żałobnicy poszli sobie. — Tom, mogę pojechać z powrotem w samochodzie od Hobsona.

Chyba tak nawet wolę.

— Nie, nie możesz tego zrobić. Co by Chris o tym pomyślał? — Był to cios poniżej pasa i poddałam się.

— Okay.

— Chodź, po drugiej stronie ulicy jest jakiś bar. Kupię ci hamburgera.

— Nie mogę... — Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

— No to wypijesz Filiżankę kawy. Chodź.

Usiedliśmy, piliśmy kawę, paliliśmy i czas mijał, choć nie powiedzieliśmy do siebie więcej niż dziesięć słów. Ten przyjaciel Chrisa, którego nigdy przedtem nie widziałam, siedział teraz ze mną, najbliższy przyjaciel, jakiego miałam w tej chwili. Potrzebowałam go, trzymałam się go kurczowo, choć prawie się do niego nie odzywałam.

W końcu przyjechał samochód od Hobsona, długi brązowy samochód z kierowcą w liberii. Był to karawan. Karawan dla Chrisa. Wynieśli go na wąskich metalowych noszach, przykryli czymś, co wyglądało jak zielony brezent, i przywiązali do noszy. Wsunęli go na tył karawanu, zatrzasnęli drzwi, a kierowca odwrócił się do mnie i zapytał:

— Chce pani jechać ze mną, czy spotkamy się na miejscu?

— Pojedziemy za panem — powiedziałam, nie oglądając się na Toma.

Chciałam pojechać za Chrisem.

Podniosłam wzrok na Toma i zauważyłam, że ścisnęłam go za rękę przez cały czas, kiedy patrzyłam na to, jak Chrisa ładowano do samochodu.

Moje paznokcie wbijały się w jego dłoń, ale on nawet się nie odezwał.

Sądzę, że nie zauważył. Wsiedliśmy do samochodu Chrisa i Tom zapuścił

silnik...

— Uważaj na zapłon — powiedziałam. Słowa Chrisa... „uważaj na zapłon”... pierwszego dnia po moim powrocie... uważaj na zapłon...

zarzuciłam ramiona na szyję Toma Bardi i zaczęłam płakać, i szlochać, i łkać.

— Gotowi? — Chciał wiedzieć kierowca karawanu. Tom spojrzał na mnie, a ja skinęłam głową. Oparłam się na siedzeniu i żałowałam, że nie wzięłam librium, jak mi radziła Peg. Chociaż nie, chciałam przejść przez to o własnych siłach, bez librium. Ale dzięki Bogu za Toma Bardi.

Rozdział

trzydziesty czwarty

Hobsona zaprowadzono mnie do małego pokoju z eleganckimi meblami w stylu pseudo-Ludwik XV. Tom czekał na zewnątrz. Wszedł

mężczyzna, z którym przedtem rozmawiałam. Widziałam go już wcześniej w poczekalni.

— Nazywam się Ferrari. Pani Forrester, prawda?

— Tak.

— Proszę... kiedy będzie pogrzeb?

— Nie wiem jeszcze.

— Oczywiście. Umieścimy pana Matthewsą w naszym Pokoju Georgiańskiego Snu, który pokażę pani, kiedy przejrzy pani te dokumenty. Potem przedstawię pani naszą kosmetyczkę i pójdziemy na dół obejrzeć trumny. A potem nie będzie już pani musiała się o nic troszczyć. Zobaczymy, dziś jest poniedziałek, więc przypuszczam, że pogrzeb mógłby odbyć się w niedzielę albo na przykład w poniedziałek?

Współczujący krokodyli uśmiech i klepnięcie w rękę... „O Chryste, zabierz swoje pieprzone ręce”. Mówił do mnie zupełnie jak kierownik wycieczki jachtem po Morzu Karaibskim, cholera.

— Och tak, i pani Forrester, gdyby zechciała pani dostarczyć nam dziś wieczorem garnitur dla pana Matthewsą. Łącznie z butami. — Garnitur?

Nie byłam nawet pewna, czy Chris miał jakiś.

— Po co? — Moje pytanie najwyraźniej zaszokowało go w sposób zupełnie niewyobrażalny.

— Do złożenia w trumnie, — I znowu uśmiech połączony z wyrazem współczucia wobec mojej

głupoty.

— Do złożenia go? Och, w trumnie... nie, to nie będzie potrzebne. Chcę, żeby była zamknięta. Może mieć na sobie to, w co jest ubrany.

— Czy ma na sobie garnitur?

— Nie, panie Ferrari, nie ma na sobie garnituru. On nie posiada garnituru, a mnie się podoba to, w co jest ubrany. — Zaczęłam się odcianać i od razu poczułam się lepiej. — Muszę porozumieć się jeszcze co do szczegółów z jego matką. Przylatuje dziś wieczorem.

— Ze wschodu?

— Nie, z Denver.

„Ale niech się pan nie martwi, panie Ferrari, zapłacimy za to. Dostanie pan swoje pieniądze". To tego dotyczyły wszystkie dokumenty. A on uśmiechnął się do mnie, pewny, że matka pana Matthews'a zgodzi się z nim co do garnituru. Może się zgodzi. Ostatecznie była jego matką.

— Czy możemy pójść teraz na dół i obejrzeć trumny? Wyszliśmy z małego zamkniętego pokoiku i zobaczyłam, że

Tom wciąż tam siedzi. Dodawało otuchy to, że nadal tam czekał.

— To nie potrwa długo — powiedziałam, a Tom skinął głową.

Pan Ferrari wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej przygotował się na zaprezentowanie mi całego przedstawienia. Nie wiadomo dlaczego, w windzie uświadomiłam sobie nagle, jak ja musiałam wyglądać — w dżinsach, sandałach i starym swetrze Chrisa. Biedny pan Ferrari. Z czym to człowiek musi się męczyć w dzisiejszych czasach. Ale pomyślałam sobie, że może to nawet dobrze, że może rachunek nie będzie taki wysoki.

Nie wiedziałam, jaka była finansowa sytuacja pani Matthews i chociaż miałam sama dość oszczędności, żeby za to zapłacić, to nie zostałyby mi potem ani grosza. Pogrzeby pochłaniają często tysiące.

Pan Ferrari otworzył drzwi i ukazało się pomieszczenie pełne trumien ustawionych niczym samochody na wystawie, na platformach umieszczonych wokół pokoju. Z krzyżami i bez, z najróżniejszymi ozdobami i blachami, wyłożone jedwabiem, aksamitem albo czarne. Zauważyłam, że pan Ferrari przygotowuje się, żeby dać mi długi wykład. Niczym Najlepszy Sprzedawca Samochodów.

— Wezmę tę.

— Tę? -Tę.

— Bardzo proszę, ale czy nie życzyłaby sobie pani, żebym pokazał pani...

— Nie. Ile to kosztuje? Sprawdził na liście.

— Trzysta dwadzieścia pięć dolarów.

— Świetnie.

Odwróciłam się i wyszłam z pokoju, przyciskając guzik windy, zanim pan Ferrari miał czas na to, żeby odzyskać dech albo dołączyć do mnie.

— Pan Matthews będzie gotów o siódmej dziś wieczorem. Nie widziała pani jeszcze pokoju — zawołał za mną.

— Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku, panie Ferrari. —

Byłam wycieńczona i chciałam się stamtąd zaraz wydostać.

— Jest pani pewna co do garnituru? — wyrzał zza drzwi.

— Jestem pewna. Dziękuję panu. — Możliwie najbardziej dostojnie weszłam do windy, a Tom podążył za mną. Kiedy wyszliśmy, znowu na mnie popatrzył.

— Dobrze się czujesz?

— Znacznie lepiej. Chodź, pojedziemy po Sam. — I podałam mu adres szkoły. Było prawie wpół do piątej i na pewno zastanawiała się, co mogło się stać.

W szkole zastaliśmy Sam, która rysowała coś w pokoju jednej z nauczycielek i wyglądała na absolutnie szczęśliwą.

— Gdzie byłaś?

— Byłam zajęta. Chodźmy, kochanie. Czas do domu. Zabrała kurtkę i ruszyła do drzwi, trzymając w jednej ręce

wszystkie swoje rysunki zwinięte w rulon. Kiedy wyszła już na dobre z pokoju, nauczycielka podeszła do mnie zza biurka i uściśnęła mi dłoń.

— Tak mi przykro, pani Forrester.

— Dziękuję.

Musiałam zacząć się do tego przyzwyczajać. W ciągu najbliższych kilku dni usłyszę wiele „Bardzo mi przykro”.

Kiedy obie z Samanthą wyszłyśmy ze szkoły, Tom czekał w samochodzie.

— Kto to jest?

— Przyjacieli wujka Chrisa.

— Och tak. — W takim razie wszystko było w porządku. Przez całą drogę do domu Tom i Samantha rozmawiali ze sobą,

mogłam więc spokojnie pogрузić się w myślach. Zmęczenie sprawiało, że czułam się zupełnie otopiała.

— Tom, chciałabym się po drodze zatrzymać w kwiaciarni. Jest tu jedna na naszej ulicy. Masz jeszcze czas?

— Oczywiście.

— Po co chcesz kupować kwiaty, mamusiu? Mamy dość kwiatów w domu.

— Chcę komuś wysłać. — O Boże. Zaczęłam sobie uświadamiać, że będę musiała jej powiedzieć, ale co i jak nie miałam pojęcia. Ale będę musiała coś jej powiedzieć.

W kwiaciarni zamówiłam za dwieście dolarów różnokolorowe polne kwiaty, które miały być dostarczone do Hobsona na siódmą. Nie mogłam znieść myśli o białych albo łososiowych mieczykach, nie dla Chrisa.

Na dworze Sam i Tom łaskotali się nawzajem i zobaczywszy ich, posłałam im zmęczony uśmiech. Tom był niebywały. Zawiózł nas do domu i zapytał, czy chcę, żeby z nami został.

— Nie musisz. Wszystko w porządku. Ale mogę zaprosić cię na kolację.

— Nie. Pójdę do domu.

— Chcesz, żebym cię odwiozła?

— Nie. Mieszkam o kilka przecznic stąd. Pójdę pieszo. Zaparkuję ci samochód.

Stojąc przed domem patrzyłyśmy obie z Sam, jak parkował, a potem podszedł do nas wyglądając na równie zmęczonego jak ja. Zatrzymał się przed nami na chwilę, nie wiedząc co powiedzieć.

— Tom... nie wiem jak, ale... dziękuję... Byłeś niesłychanie... wspaniały.

— Łzy znów zaczęły dławić mnie w gardle.

— Ty też, Gillian, ty też.

Pochylił się i pocałował mnie w policzek, potargał włosy Sam i z opuszczoną głową odszedł ulicą. Myślę, że płakał, ale nie jestem pewna, bo ja też płakałam.

— Dlaczego płaczesz, mamusiu? Coś cię boli?

— Tak trochę.

— Zaraz się tobą zajmę i od razu się lepiej poczujesz.

— Dziękuję, kochanie.

Weszliśmy po schodach do pustego domu, trzymając się za ręce. Znowu same.

Kiedy Sam zjadła kolację, zadzwoniła pani Matthews. Powiedziała, że przyleci o dziewiątej i że nie muszę wyjeżdżać po nią na lotnisko.

Powiedziałam, że jednak wyjadę i zaczęłam się rozglądać za kimś, kto mógłby zostać z Sam. Zadzwoniłam do jedynej sąsiadki, jaką znałam, a ona chętnie się zgodziła. „Och, Gillian, słyszałam o tym w wiadomościach, tak bardzo mi przykro”. Tak przykro, tak przykro, znowu się zaczynało.

— Dziękuję pani Jaeger, dziękuję. — „W wiadomościach? Chryste”.

Sam była najgrzeczniejsza w świecie, wykąpała się, zjadła kolację i bez problemu poszła do łóżka. Zapytała raz o Chrisa i jakoś ją zbyłam. Nie chciałam, żeby połączyła jego odejście ze łzami i nieszczęściem, jakie będzie oglądała w ciągu kilku najbliższych dni. Powiem jej o tym, kiedy sama będę umiała sobie z tym poradzić. Kiedy to będzie? Nie wiem, teraz nie potrafiłam.

O ósmej przyszła pani Jaeger, a ja pojechałam na lotnisko po panią Matthews. Przed wyjściem przebrałam się i włożyłam coś prostego i czarnego. Moje dzinsy i sweter Chrisa zostały na naszym wciąż nie posłanym łóżku, razem z szarą sukienką.

Rozdział trzydziesty piąty

Stałam na lotnisku i czekałam, aż samolot wyląduje. Rozglądałam się dookoła zastanawiając się, która ze stojących obok osób mogła być Jane.

Nikt nie wyglądał tak, jak ją sobie wyobrażałam, więc przestałam o tym myśleć i wpatrzyłam się w światelka na płycie lotniska. Z pół tuzina samolotów przygotowywało się do odlotu, a inne lądowały. „Wylądował

samolot United Airlines, lot numer 402 z Denver. Pasażerowie wychodźcie będą wyjściem numer 3... Lot numer 402...” Była jedną z pierwszych osób, które się pojawiły, i od razu ją rozpoznałam — nieduża dama, która musiała być kiedyś bardzo ładna, z siwymi włosami, w porządnym czarnym kostiumie. Przeszła obok mnie rozglądając się. Nie rozpoznała mnie.

— Pani Matthews?

— Gillian?

— Tak.

— Dziękuję, że przyjechałaś, kochanie. Nie trzeba było. — I rozejrzała się dookoła, patrząc przez

moje ramię, podczas gdy ja tłumaczyłam jej, że wszystko było w porządku i mówiłam wszystko, co powinnam była powiedzieć.

— Nie widzę Jane. Powiedziała, że wyjdzie po mnie.

A kiedy odwróciłam się, żeby rozejrzeć się razem z nią, pomachała ręką.

Podeszła do nas wysoka dziewczyna... Był to

Chris w kobiecym wcieleniu. Doświadczałam najdziwniejszego uczucia patrząc na tę dziewczynę i widząc Chrisa, jego chód, jego sylwetkę, a kiedy podeszła bliżej, jego oczy. Dostałam prawie dreszczy, ale jednocześnie byłam zafascynowana, zahipnotyzowana zbliżającym się ku nam zjawiskiem. Podeszła prosto do matki i objęła ją bez słowa. A ja żałowałam, że przyszłam. Nie było dla nie wśród nich miejsca.

Potrzebowały siebie nawzajem, a ja byłam tam obca. Odwróciłam się, czując się niezręcznie i zastanawiając, co powinnam powiedzieć Jane.

„Przykro mi?” Nie, nie ja. Ode mnie tego nie usłyszy. Kiedy znów na nią spojrzałam, wciąż zdumiona ich podobieństwem, oderwała się od matki i zrobiła krok w moją stronę. I objęła mnie.

— Ja wiem, Gillian. Nie powiem ci, że mi przykro. Wiem, jak się musisz czuć. Chris pisał do mnie w zeszłym tygodniu.

— Pisał? Nic mi o tym nie mówił. — Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

— I nie powiedziałaby. Mamo, odbierzemy teraz twoje bagaże. Wszystkie trzy poszłyśmy powoli w stronę schodów do sekcji odbioru bagażu. Zabrałyśmy rzeczy pani Matthews i poszłam na parking po samochód.

— Przepraszam, że nie jest za duży. Chris... ja... nam się podobał. — I zapadła niezręczna cisza.

Po drodze do miasta niewiele rozmawiałyśmy. Niewiele było do powiedzenia. A potem, tak jakbyśmy wszystkie trzy doszły do wniosku, że powinnyśmy rozmawiać, zaczęłyśmy mówić jednocześnie, po czym wybuchnęłyśmy nerwowym śmiechem. Rozmawiałyśmy o San Francisco, o pogodzie w Denver, o locie, o wszystkim z wyjątkiem Chrisa i wypadku. — Kiedy się spodziewasz dziecka, Gillian? — To dopiero temat na pierwszą rozmowę. Zaczęła Jane. — Dopiero za dwa miesiące.

Ty masz troje, prawda? Potaknęła, a ja starałam się nie patrzeć na panią Matthews i miałam nadzieję, że nie zwróciła na to uwagi. Wśród naszych wyzwolonych przyjaciół zapominamy zazwyczaj, że wszyscy oni mają rodziców i wielki wyzwolony Christopher Matthews miał matkę, która wcale nie musiała uważać, że nieślubne dzieci to świetny pomysł. Chris też tak nie uważał, więc przypuszczałam, że jego matka musiała być wstrząśnięta. Poczułam, że mi się przyglądała i zaryzykowałam szybkie spojrzenie w jej kierunku. Poza wszystkim, spotkałam ją przecież tylko raz.

Patrzyła na mnie, też zdenerwowana, z lekkim uśmiechem w dużych, smutnych oczach.

— Mam nadzieję, że nie będziesz miała o to do mnie żalu, ale cieszę się.

Mój drugi syn także nie był żonaty, a Chris... — I głos jej załamał się.

Chciałam ją pocałować, ale nie mogłam tego zrobić, bo prowadziłam samochód, więc tylko popatrzyłam na nią i uśmiechnęłam się, tym razem naprawdę.

— Czy chce pani zatrzymać się... tam... po drodze?

— Nie, mam, poczekaj lepiej od jutra. Jedźmy prosto do hotelu.

— Nie. Chcę tam dziś pojechać, Jane. Chcę go zobaczyć... — I reszta słów znów uwięzła jej w gardle.

— Uhm... pani Matthews... powiedziałałam im... hm... hm...

powiedziałałam, żeby to zamknęli... Ale można to zrobić inaczej, jeśli pani woli... — „Inaczej... inaczej... Chris będzie tam leżał, taki nieruchomy”

— żeby wszyscy zobaczyli, zanim go pochowamy.

— Och. — Był to ledwie słyszalny dźwięk. — Czy on...? Czy był

bardzo...?

Przerwałam jej, nie chciałam tego dyszeć.

— Nie, wygląda... dobrze. — Chciałam powiedzieć „pięknie”, ale nie mogłam. Wygląda pięknie, ten śpiący chłopiec, któremu przyglądałam się tak często późno w nocy albo wcześniej rano. Zupełnie spokojny, dusza chłopca w ciele mężczyzny.

— Myślę, że Gillian miała rację, mam. Zostawmy to tak jak jest, — A pani Matthews skinęła tylko głową.

Potem rozmowa utknęła. Nic już nie było do powiedzenia, i wszystkie siedziałyśmy pogrążone we własnych myślach, dopóki nie dojechałyśmy do Hobsona. Wjechałam na parking i zatrzymałam samochód.

Wysiadłyśmy wszystkie, a ja poszłam przodem.

W recepcji siedziała dziewczyna o bladym (upiornym?) wyglądzie, a pan Ferrari rozmawiał w kącie z małą grupą ludzi. Spojrzał, kiedy weszłyśmy i skinął przelotnie głową z taką miną, jakby chciał wyrazić aprobatę dla mojej zmiany stroju. Cymbał. Podeszłam do dziewczyny w recepcji i mój głos znów zabrzmiał chrapliwie.

— Pan Matthews, Pokój Gregoriański. Którędy mamy pójść?

— Bardzo proszę tedy.

Poprowadziła nas korytarzem, mijając inne pomieszczenia, a ja starałam się nie patrzeć w otwarte drzwi, bo nie chciałam tego widzieć. Zatrzymała się przy ostatnich drzwiach z lewej strony i weszliśmy do środka. I tam to stało — pudło z ciemnego drewna, które wybrałam kilka godzin wcześniej, i kwiaty, które kupiłam na Sacramento Street. Wyglądały pięknie. Były czerwone, żółte i niebieskie, przybrane delikatną paprocią.

Świeże i ładne, a nie ciężkie i umarłe. Mozart i Debussy. Dokładnie tak jak chciałam.

Po obu stronach trumny stały ogromne świece w brązowych lichtarzach, a z przodu mały klęcznik. Pod ścianą dwie sofy i kilka krzeseł. Światło było przyćmione; wszystko wyglądało poważnie, jak w kościele. Było to zupełnie nieodpowiednie miejsce dla Chrisa. Zdawało mi się, że słyszę, jak mówi coś w rodzaju: „Och, odpieprz się, Gili, co to ma być, do cholery?” Ale tak miało być, a jego matka zdawała się aprobować poczynione przeze mnie przygotowania.

— Kwiaty są piękne, Gili. Czy to od ciebie?

Potaknęłam. Podeszła wprost do trumny i osunęła się na klęcznik, a Jane ścisnęła mnie za ramię i odsunęłyśmy się patrząc na nią, na kobietę, która straciła dwóch synów i męża. Wszystkich swoich mężczyzn.

Po chwili wstała i Jane zajęła jej miejsce, a pani Matthews usiadła na jednej z kanap, z opuszczonym wzrokiem. Nie miałam już odwagi na nią spojrzeć. Po prostu nie mogłam. Jane wstała i podeszła do mnie, podnosząc po drodze delikatnie matkę z kanapy.

— Chodź, mamó, to był trudny dzień. Powiedziałam w hotelu, że przyjedziemy koło dziesiątej.

Kiedy szliśmy korytarzem, zapytałam Jane, gdzie się zatrzymały. W „Sir Francis Drake”.

— Podrzucę was tam.

W powrotnej drodze Jane kontynuowała normalną rozmowę, poklepując matkę po ramieniu i od czasu do czasu obejmując ją.

— Pani Matthews, bardzo mi przykro, że muszę teraz o tym mówić, ale kiedy sądzi pani, że moglibyśmy zrobić... pogrzeb? — No. Wydusiłam to.

— Czy niedziela nie będzie za wcześnie?

— Nie. Nie sądzę. Myślę, że tak będzie nawet lepiej. Czy chce pani to zrobić w kościele? Przepraszam, że mówię o tym w ten sposób... tak wcześnie... ale oni chcą wiedzieć... to znaczy, u Hob-sona...

— Dranie. — To była Jane, bardzo w stylu Chrisa.

— Jane! Pracuj tylko, jak wszyscy.

Obie z Jane nic nie powiedziałyśmy, ale nasze uczucia były podobne, a słowo dranie trafnie je oddawało.

— Czy Chris często chodził do kościoła? — Auuc.

— Nie za często. — Lepiej trochę skłamać, niż powiedzieć „nigdy”.

— Ja należę do kościoła prezbiter! ańskiego, a jego ojciec był metodystą.

Nie sądzę, żeby Christopher wolał jedno czy drugie. Nigdy nie skłaniał

się szczególnie w żadną stronę. — Można to było tak nazwać. W pewnym sensie była to prawda. — Koło naszego domu jest miły kościół

prezbiteriański. Porozmawiam jutro z pastorem.

— Czy mogę z tobą pójść?

— Oczywiście, przepraszam. Nie miałam zamiaru wszystkiego przejmować, myślałam tylko...

— Gillian, jesteś cudowna. Nie martw się o to.

— Przyjadę po was jutro rano i pójdziemy tam wszystkie razem.

Wydawało mi się, że Jane na tylnym siedzeniu zgrzytała zębami.

Naprawdę była podobna do Chrisa. Kościelny pogrzeb dla Chrisa. Ale to nie było dla Chrisa. To było dla jego matki, dla nas. Tym są przecież pogrzeby, żałobna pieśń dla żywych, a nie uroczystość dla umarłych.

Przed hotelem znów się uścisnęłyśmy, po czym one zniknęły w recepcji, wysoka jasnowłosa dziewczyna, która miała chód Chrisa, i mała dama w czarnym kostiumie. Była tylko trochę niższa ode mnie, ale nie wiem czemu wydawała mi się maleńka, może dlatego że była matką Chrisa.

Spojrzałam na zegarek i zdecydowałam, że czas było wracać do Hobsona.

Tylko na chwilę. Żeby zostać sam na sam z Chrisem. Pani Jaeger na pewno nie będzie przeszkadzało, jeśli poczeka trochę dłużej. Zrozumie.

Znów zaparkowałam i weszłam, konstatuując z ulgą, że pan Ferrari już wyszedł. Błada dziewczyna wciąż siedziała przy biurku, pijąc kawę ze styropianowego kubka. Przypominało mi to kawy w „Woman's Life” i przeszłam korytarzem myśląc sobie „dla niej to jest tylko praca”, i nie mogłam przestać się zastanawiać, jak można chcieć pracować w takim miejscu. W redakcji tętniło ludźmi, kolarami, życiem.

Pracować w miejscu takim jak to nie było czymś wiele lepszym niż umrzeć samemu.

Dotarłam do pokoju Chrisa i weszłam powoli do środka. Usiadłam na jednym z krzeseł, oparłam się i zamknęłam oczy, odpoczywając i myśląc.

O drobnych sprawach i zdarzeniach, krótkich chwilach, słowach...

Piętnaście godzin wcześniej Chris zbiegł z tupotem po schodach naszego domu, a oto teraz siedziałam w tym cichym pokoju pełnym kolorowych kwiatów, a on tam leżał... Może, może, jeśli powstrzymam oddech, zamknę oczy i policzę do 712, wszystko to zniknie i obudzę się. Ale nie obudziłam się. Westchnęłam i otworzyłam oczy, i wszystko było tak samo, i tylko ja byłam bez tchu, a dziecko kopało mocniej, rozgniewane chwilową przerwą w dopływie tlenu.

Podeszłam powoli do klęcznika i uklęknęłam zwrócona w tę stronę, gdzie leżała głowa Chrisa, mimo że nie mogłam jej widzieć. Łzy płynęły mi powoli po twarzy, kapiąc na aksamitne obicie klęcznika. Chyba się modliłam, ale nie jestem pewna, a potem wstałam i wyszłam. Powoli, samotna, pragnąc poczuć, że Chris jest przy mnie, blisko. Powinno się przecież czuć coś takiego, ale ja tego nie czułam. Czułam, że Chris był

zamknięty w tym pudle, a ja zostałam sama.

Samochód Chrisa był jedynym, jaki jeszcze stał na parkingu Hobsona i włączyłam go, pamiętając o zapłonie. Jechałam do domu we mgle i dotarłam do Sacramento Street przed północą, trochę zaniepokojona z powodu pani Jaeger. Otworzyłam drzwi swoim kluczem i weszłam, zostawiając płaszcz na krześle w przedpokoju i kierując się do kuchni, gdzie spodziewałam się ją zastać. Tylko w kuchni paliło się jeszcze światło.

— Pani Jaeger?... Pani Jaeger?

Może Sam obudziła się, a ona poszła zobaczyć. Kiedy weszłam na schody, zobaczyłam, że w sypialni też paliło się światło, a w uchylonych drzwiach zobaczyłam Peg, która przygotowywała mi łóżko.

— Och, Peg, jesteś święta.

Oparłam się o drzwi i po prostu patrzyłam na nią.

— Ani słowa. Włóż do łóżka. Tutaj, siadaj. Pomogę ci.

— Och, Peg, musisz być wykończona. Według twojego czasu jest trzecia nad ranem.

— Twój czas jest gorszy, więc nie dyskutuj. Po to tu przyleciałam.

— O Boże, Peg, co ja zrobię, kiedy któregoś dnia dorosnę, a ciebie nie będzie przy mnie?

— Och, zamknij się. Żadnych takich.

— Co z panią Jaeger?

— Wyszła tuż przed twoim powrotem. Nie sądzę, żeby miała do mnie zaufanie, ale mówiłam tak dużo

i tak szybko, popychając ją jednocześnie do drzwi, że wyszła. Gdzie byłaś?

— Odebrałam panią Matthews z lotniska, a potem zawiozłam i ją do Hobsona, odwiozłam do hotelu i pojechałam... z powrotem do Hobsona.

— Z powrotem do Hobsona? Domyślam się, że Hobson to taki %

tutejszy Frank Campbell. Co ty się starasz zrobić? Wykończyć siebie i dziecko?

— Tak, to znaczy nie. To znaczy tak, Hobson to tutaj Campbell, a ja nie staram się wykończyć ani siebie, ani dziecka. Peg, ktoś musiał po nią wyjechać.

— Nie było nikogo innego?

— Siostra Chrisa, ale... Do diabła, chciałam to zrobić.

— No dobrze, A teraz podam ci gorącą czekoladę, czy coś podobnego. I przywiozłam ci z Nowego Jorku proszki.

— Jakie proszki?

— Na uspokojenie. Zadzwoiłam do twojego ginekologa i dal mi dla ciebie receptę.

— O Chryste, Peg...

— Wzięłaś dzisiaj jakieś Ubrium?

— No, właściwie... — Pokręciłam głową.

— Wiedziałam.

Rozejrzałam się po pokoju. Wszystko wyglądało tak, jak to zostawiłam, tylko porządniej i rzeczy z łóżka były zabrane. Nowa szara sukienka wisiała na wieszaku na drzwiach szafy.

— Peg... czy mogłabyś to schować, proszę cię? Nie chcę tego widzieć.

— Oczywiście. — I sukienka zniknęła w szafie.

— Pogrzeb jest w niedzielę, więc zdążysz z powrotem do pracy w poniedziałek.

— Wyrzucasz mnie, czy coś w tym rodzaju? Powiedziałam im, że wyjeżdżam na tydzień.

Peg... Peg... niesłychana Peg, która podtrzymywała mi głowę, kiedy się pierwszy raz w życiu upiłam, która zawsze, zawsze była przy mnie. I teraz też, w kilka godzin po moim telefonie, przyleciała trzy tysiące mil, żeby przy mnie być i słała mi łóżko w pięć minut po przyjeździe.

Traktowała mnie tak, jakbym była pacjentem, a ona pielęgniarką na nocnym dyżurze, sprowadzoną z Nowego Jorku. Tylko dla mnie. Była to przyjaźń, jakiej Chris nie mógł zrozumieć, ale ja

dziękowałam Bogu za Peg. Na milion osób trafiała się jedna taka jak ona, a ja miałam dość szczęścia, żeby chodzić z nią do szkoły.

Podawała mi proszek i gorącą czekoladę, a ja siedziałam myśląc o Chrisie u Hobsona.

— Peg...

— Spróbuj nic nie mówić. Powiedz mi tylko, gdzie chcesz, żebym spała.

Czy mogę spać w pokoju Sam?

— Śpij tutaj, ja będę spała u Sam.

— Nie ma mowy. Jeśli tylko postawisz nogę na podłodze, dostaniesz w nos jeden z moich światowej sławy lewych sierpowych!

— Masz na myśli ten, przez który o mało nie wyrzucili cię ze szkoły?

— Dokładnie. —I zachichotałyśmy.

— Peg?

— Tak?

— Wiesz... ja... ummm...

— Wiem...

Zgasiła światło i zaczęłam zasypiać, a ona zabrała pusty kubek po czekoladzie. Zdawała się znikać i przez minutę starałam się nie spać, myśląc że ktoś podobny do Peg Richards stoi nade mną. Ale przecież to nie było możliwe. Peg była w Nowym Jorku... To musi być Chris...

Muszę pamiętać, żeby mu o tym rano powiedzieć. Na pewno uzna to za zabawne...

Rozdział

trzydziesty szósty

Promienie słońca wpadały do pokoju, a z dołu słychać było czyjeś głosy...

Mój Boże... która to godzina? Za piętnaście dwunasta. Wskoczyłam z łóżka i stanęłam u szczytu schodów. — Chris?... Sam?... Dlaczego pozwoliliście mi tak długo spać? Dziś jest... Och nie, o Boże, nie...

opadłam na szczyt schodów i usiadłam tam z twarzą ukrytą w dłoniach.

Peg wbiegła na górę razem z Sam, podniosła mnie delikatnie i zaprowadziła z powrotem do sypialni.

— Co się stało mamusi, ciociu Peg?

— Jest bardzo zmęczona, Sam. Amoże byś tak zeszła na dół i jak duża dziewczynka wstawiła naczynia do zlewu? Jesteś bardzo grzeczna.

Sam stuknęła obcasami schodząc na dół. Peg posadziła mnie na brzegu łóżka. Usiadła obok obejmując mnie ramieniem, a ja zaczęłam szlochać i drzeć. Och, Peg... Och. Siedziałyśmy tak, dopóki nie wróciła Sam, wyglądając na zmieszaną i trochę zaniepokojoną. Popatrzyłam na nią i spróbowałam się do niej słabo uśmiechnąć, ale tylko jeszcze bardziej się rozpłakałam.

— Och, Peg... Nie mogę się opanować... Nie mogę...

— Już dobrze, Gili. Wszystko będzie dobrze. Umyj sobie teraz twarz, dobrze?

— Miałam zadzwonić do pani Matthews. Musimy iść do pastora.

— Dzwoniła Jane. Będą tu obie z matką o pierwszej.

— Pojadę po nie.

— Nie, mogą wziąć taksówkę. Przestań odstawiać bohaterkę. To egoizm, Gili. Pomyśl o dziecku. Kochałaś go, to teraz zajmij się porządnie jego dzieckiem. — Były to dość ostre słowa, ale podziały na mnie jak wiadro zimnej wody. Peg miała rację.

— Peg... nie będę brała więcej proszków, proszę cię... dobrze?

— Zobaczymy. Posłuchaj, było bardzo dużo telefonów. Jakiś Tom Bardi chciał wiedzieć, czy mógłby w czymś pomóc. Powiedziałam, że damy mu znać. I Hilary Price, i Gordon Hartę... i... poczekaj, och, John Templeton... i...

— Skąd oni wiedzieli? — Spojrzałam na Peg i domyśliłam się. —

Zadzwoiłaś do nich?

— Tylko do Gordona i do Johna Templetona. Zanim wyjechałam. I twoja matka dzwoniła. Myślę, że to Gordon do niej zadzwonił.

— Nie chcę z nikim z nich rozmawiać... proszę. — Widziałam, że Peg mi się przygląda. — Muszę zadzwonić do pastora. Gdzie, u diabła, jest książka telefoniczna?

Zaczęłam gramolić się pod łóżko, kiedy zadzwonił telefon. Porządnie się przestraszyłam, bo zadzwonił mi wprost nad uchem.

— Odbierz to.

Peg odebrała i na chwilę zamilkła, słuchając.

— Muszę sprawdzić, czy jest. — Popatrzyła na mnie, a ja potrzęsłam gwałtownie głową w obie strony i machnęłam ręką... nie... nie... nie mogę... Przykryła słuchawkę dłonią i szepnęła. — To Gordon. Chcesz z nim rozmawiać? — Zaczęłam kręcić głową, a potem popatrzyłam przez chwilę na Peg i sięgnęłam po słuchawkę. Podała mi ją i wyprowadziła Sam z pokoju, zamykając drzwi.

— Halo... Tak, to ja... Gordon?... Halo... dziękuję za telefon... Peg powiedziała mi, że... Co?

— Powiedziałem, że jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, to chętnie przyjadę na kilka dni.

— Nie... nie... Gordon, dziękuję, ale lepiej nie przyjeżdżaj. Nie potrafiłabym... nie, nie sędzę, że to dobry pomysł.

— Jak się czujesz, Gillian?

— Nie wiem... Nie wiem. Dziś miał być nasz... — I znowu zaczęłam płakać, a Gordon próbował coś powiedzieć.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Tak mi przykro, Gili. — Tym razem słyszałam to od Gordona: „Tak mi przykro”.

— Wiem, że ci przykro.

— Gillian, być może za wcześnie jeszcze, żebyś się nad tym zastanawiała, ale może wróciłabyś z Peg do Nowego Jorku? Tam nie ma nikogo, kto mógłby się tobą zająć.

— Nie. Zostaję. — Była to najbardziej zdecydowana rzecz, jaką powiedziałam od dwóch dni, z wyjątkiem mojej szybkiej wymiany słów z panem Ferrari, a ta sprawa była znacznie ważniejsza niż to, czy Chris będzie miał na sobie garnitur. Nikt mnie stąd nie wyrwie. Nie teraz.

Nigdy. NIE!

— No cóż, nie odrzucaj tego jeszcze całkowicie. Jesteś pewna, że nie mogę ci w niczym pomóc?

— Nie... tak... Dam ci znać w razie czego. Nie mam już nic do zrobienia.

To jest... — I dalej płakałam. — Nie mogę rozmawiać... Dziękuję, że zadzwoniłeś... Dziękuję za wszystko.

— Gillian, wszyscy jesteśmy z tobą. Proszę, pamiętaj o tym. Skinęłam znowu głową, połknęłam kolejne „dziękuję” i odłożyłam słuchawkę, mimo że on jeszcze się nie rozłączył.

Zadzwoniłam do pastora i kiedy przyjechały Jane i pani Matthews, poszłyśmy tam i wszystko z nim ustaliłyśmy. Pogrzeb trzeba było urządzić o drugiej trzydzieści. Nie mogli zrobić tego wcześniej, ze względu na niedzielne nabożeństwo. I przypuszczam, że musiał jeszcze zjeść obiad, czy coś podobnego. Przez rozmowę z nim my z kolei nie zjadłyśmy obiadu i stałyśmy teraz małą grupką przed kościołem zastanawiając się, co robić.

— Wracajmy do domu.

— Chciałabym wrócić na chwilę do Hobsona, Gillian — powiedziała pani Matthews. Jane i Peg nie odezwały się, a ja zaoferowałam, że pójdę po samochód. Szliśmy powoli w stronę domu, Jane i Peg z tyłu, rozmawiając po cichu, a pani Matthews i ja omawiałyśmy fragmenty z Biblii wybrane na pogrzeb. Smutek i wspólne plany połączyły nas ze sobą. A potem może dziecko. Będzie jej wnukiem i może będzie je kochała. Może będzie podobne do Chrisa.

Kiedy podeszłyśmy do domu, Sam zobaczyła nas przez okno i pomachały do nas obie z panią Jaeger. Widziałam, jak Sam wdała się z nią w gorącą dyskusję i domyśliłam się, że chciała wyjść.

— Chodźmy wszystkie do samochodu, w przeciwnym razie Sam zdenerwuje się i też będzie chciała jechać z nami.

Wszystkie pomachałyśmy i wsiadłyśmy równie szybko, jak była to w stanie zrobić kobieta w ciąży i starsza pani.

W drodze do Hobsona nikt się nie odezwał i oto znów parkowałam na tym samym miejscu na ich parkingu. Weszliśmy do środka, wciąż milcząc i poszliśmy znaną już drogą do pokoju, w którym leżał Chris.

Spodziewałam się, że będzie tam pusto, dokładnie tak jak wtedy, kiedy wczoraj stamtąd odchodziłam, ale zastałyśmy tam Toma Bardi i całą ekipę filmową. Stali wszyscy dookoła, poważni i podpisywali się w biało-złotej księdze, którą Hobson wyłożył, żeby pokazać, że wywiązuje się ze swoich „obowiązków”.

Dokonano prezentacji i zaczęło się przestępowanie z nogi na nogę, bo nikt nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili wszyscy wyszli, niektórzy odwracali się jeszcze spoglądając na mnie i widziałam, że jedna z dziewcząt płakała, a jakiś chłopiec obejmował ją i prowadził do wyjścia.

Czy dobrze znała Chrisa? Czy też była w nim zakochana? Spała z nim?

Było jej mnie żal? Moja ciekawość budziła we mnie poczucie winy.

Tom został jeszcze kilka minut, żeby ze mną porozmawiać.

— Napisali o tym rano w gazetach.

— Co napisali? — Chciałam usłyszeć coś miłego.

— Tylko krótka notatka, na jedenastej stronie, nawet nie nekrolog, czy coś w tym rodzaju.

— Słyszałam, że mówili też o tym wczoraj wieczorem w „Wiadomościach”. — Tak... — Skinął głową i wyszedł.

Podeszłam do małego spisu przychodzących, żeby zobaczyć, jak się nazywali, zastanawiałam się, kim była ta dziewczyna. Było tam wiele nazwisk. Tak wiele zupełnie mi nie znanych. Żałowałam, że nie

przysłałam tu wcześniej. I nagle mój wzrok zatrzymał się w połowie listy... To tutaj. Dziesiąte od dołu. Marilyn Lee, pochyłym, eleganckim pismem. Marilyn Lee. Też musi się podobnie czuć. Biedna Marilyn. Miałam nadzieję, że mogła tu spędzić kilka minut sama. Nasza rywalizacja już się skończyła. Dwie wdowy stały ramię przy ramieniu.

— Od kogo są te kwiaty, Gillian?

— Kwiaty?

Jakie kwiaty? Rozejrzałam się dookoła i zdałam sobie sprawę, że w pokoju stały nie tylko moje polne kwiaty, było tam przynajmniej tuzin innych wiązanek, jedne ładne, inne żałobne i groteskowe. Zdziwiłam się.

Zauważyłam na stole stertę kart i telegramów i zrozumiałam, że była to jedna z usług świadczonych przez Hobsona. Żółte kartki opisywały każdą z wiązanek i informowały, kto ją przysłał, a karta z wyrazami współczucia przymocowana była z tyłu. Białe chryzantemy od jakiejś agencji filmowej, której nazwy nie rozpoznałam. Białe i żółte róże: Hilary Price. Mieszane kwiaty na podstawce: John Templeton i zespół.

Wiązanka konwalii: Gordon Hartę... Gordon... i jeszcze inni, których nazwiska nic mi nie mówiły. Nasi przyjaciele, głównie moi przyjaciele.

Odwróciłam się do Peg i znowu zaczęłam płakać. Biedna pani Matthews, na pewno nie było jej od tego lżej.

Siedziałyśmy tam przez parę godzin, a pojedynczy ludzie wchodzili i wychodzili przesyłając nam ukłony, jedna czy dwie osoby uściśniły dłoń pani Matthews i wymruczały to samo: „Przykro mi” jeszcze raz i jeszcze raz. Jak często już to słyszała? Dla swojego męża, dla swojego drugiego chłopca i teraz dla Chrisa. Pod koniec dnia wszedł porządnie wyglądający mężczyzna w ciemnym garniturze i przez chwilę myślałam, że to jeden z pracowników Hobsona. Tak poważnie i stosownie wyglądał. Ale pani Matthews wstała i powiedziała: „Gillian, to jest mój zięć Don Lindquist”.

Wymieniliśmy uścisk dłoni, a on pocałował panią Matthews, a potem otoczył Jane ramieniem. Powiedziałam: „Miło mi poznać” i przedstawiłam mu Peg, po czym odszedł od nas i stanął z opuszczoną głową obok miejsca, gdzie leżał Chris. Kiedy wrócił do naszej małej grupki, zaproponował, że zabierze nas wszystkie do domu, a wieczorem na kolację. Wymówiłam się i Peg zabiła mnie spojrzeniem, ale ja po prostu nie byłam w stanie tego zrobić.

— Przyjechałem samochodem, bo może się przydać.

— Och.

Zmartwiłam się trochę, że nie będę już woziła Janc i jej matki.

Pozbawiono mnie jednego z moich obowiązków, jednej z rzeczy, które sprawiały, że byłam zajęta i pomagały mi pozostać przy zdrowych zmysłach... Och. Kiedy odeszli, Peg popatrzyła na mnie i wstała.

— No dobra, mała, idziesz do domu.

— Nie, nie idę — powiedziałam wyzywająco. — Nigdzie nie idę. Ty idź

do domu, do Sam. Jest już późno, a ostatnie dwa dni porządnie namieszały jej w głowie. Powiedz jej, że ja wrócę później.

— O to właśnie chodzi, Gillian. To, że pójdę do niej do domu, nie

„odmiesza” jej w głowie. Ty też idziesz ze mną. Możesz tu wrócić później, jeśli chcesz. — Dobra, stara Peg, która dawała mi ucziwego kuksańca w starym stylu. Hmm. Miała rację. Wstałam, włożyłam płaszcz i wyszłam razem z nią, rzucając spojrzenie na trumnę Chrisa „jeszcze ten jeden raz”.

— Gdzie byłaś przez cały dzień? Nikt się ze mną nie bawi. Tylko stara, gruba pani Jaeger. Nie lubię pani Jaeger. — Sam była wściekła, czuła się opuszczona. — I gdzie jest wujek Chris? — Na niego też była zła.

Wszyscy ją opuściliśmy. Zaczęła płakać. Wzięłam ją w ramiona i kołysałam tam i z powrotem, czerpiąc z tego tyleż pocieszenia, ile sama jej dawałam. — A może się razem wykapiemy? — Wyraźnie się rozpogodziła, natychmiast zapominając o Chrisie i pędem pobiegła po schodach. Peg powiedziała, że przygotowuje kolację, więc i ja poszłam na górę, odczuwając ulgę, że nie musiałam mówić jej nic więcej o Chrisie i myśląc, że gorąca kąpiel mnie też dobrze zrobi. Znowu czułam się bardzo ociężała i przez cały dzień miałam lekkie skurcze w plecach. Dziecko opuściło się nisko i kiedy wchodziłam po schodach, wydało mi się bardzo ciężkie. Sam przy kolacji w świetnym humorze i wszystkie trzy śmiałyśmy się, chichotałyśmy i opowiadałyśmy głupie żarty, żeby ją zabawić. I siebie nawzajem. Śmiałam się ze wszystkiego, aż do przesady, wszystko wydawało się zabawne. Była to prawdziwa ulga znaleźć się z dała od Hobsona, z dała od ciemnego drewnianego pudła, z dała od żółtych kartek z kondolencjami, ciężkiego zapachu kwiatów, pani Matthews i Jane, i... wszystkiego tego razem. I nagle dowcip o ważącym tonę kanarku znowu wydawał mi się niesłychanie zabawny i razem z Sam i Peg śmiałyśmy się tak, że aż łzy płynęły nam po twarzach.

Położyłyśmy Sam do łóżka i wyszłyśmy na korytarz.

— Peg...

— Nie.

Popatrzyłyśmy przez chwilę na siebie z wyzwaniem w oku i na moment prawie ją znenawidziłam. Nie ma prawa powstrzymywać mnie od powrotu tam.

— Nie wrócisz tam, Gillian, nie wrócisz.

— Owszem, wrócę.

A ona stała pomiędzy mną a schodami i zastanawiałam się, czy wymierzy mi w końcu jednego ze

swoich słynnych lewych sierpowych. Tak głupio wyglądałyśmy stojąc tam obie, że znów wybuchnęłam śmiechem i zataczałyśmy się naraz zupełnie tak jak wtedy, kiedy odkręciłyśmy deskę klozetową w ubikacji panny McFarlan, a ona wpadła do środka i słyszałyśmy jej wrzaski uciekając korytarzem, a potem zatrzymując się bez tchu przy tylnych schodach. Skręcałyśmy się wtedy ze śmiechu zupełnie tak jak teraz.

— Co jest takie śmieszne? — Sam pojawiła się między nami.

— Wracaj do łóżka, młoda damo.

Peg zapędziła ją z powrotem, a ja wzięłam płaszcz i zbiegłam ze schodów. Kiedy Peg znów się pojawiła, byłam już przy drzwiach wyjściowych, trzymając w ręce kluczyki od samochodu.

— Zobaczymy się później, Peg.

— Okay, ale jeśli nie wrócisz do jedenastej, to wzywam policję.

— Wrócę.

Zamykając drzwi przesłałam jej pocałunek, po czym znów wyszłam w mgłę. Zewsząd słychać było przeciwmgielne klaksony i przez chwilę siedziałam w samochodzie przysłuchując się im.

Rozdział

trzydziesty siódmy

U Hobsona ta sama blada dziewczyna w tej samej sukience piła tę samą kawę i czytała gazetę. Przynajmniej potrafiła czytać... i coś mi się przypomniało. — Czy mogłabym to na chwilę zobaczyć? Podniosła wzrok ze spojrzeniem zaskoczonego królika. Nikt nie pytał jej nigdy o nic innego niż: „Którędy do pani Jones?” albo: „Gdzie jest pokój Greckiej Groty?” Podała mi gazetę, a ja otworzyłam ją na stronie jedenastej. Gdzie to jest, u diabła? Aż wreszcie znalazłam małą notatkę u dołu strony: „Wczoraj w Safford Field w Oakland Chritopher Caldwell Matthews, lat 33, zamieszkały 2629 Sacramento Street, poniósł śmierć na skutek upadku z rusztowania podczas kręcenia filmu dokumentalnego.

Przewieziono go natychmiast do szpitala Najświętszej Marii w Oakland, gdzie nastąpiła śmierć spowodowana uszkodzeniem kręgosłupa". To było wszystko. Udało im się wszystko upchnąć. A ludzie przeczytają to i pomyślą: „Szkoda” albo „Zwariowani hippisi”, albo „Z tymi z filmu nigdy nie wiadomo”, albo... och, do cholery. Oddałam jej gazetę, a ona wciąż wyglądała na zdziwioną. Uśmiechnęłam się do niej, ale tego było dla niej za wiele. Tego nie było w podręczniku Hobsona.

Poszłam do pokoju Chrisa, czując się tak jakbym robiła to przez całe moje życie, jakbym odwiedzała starą ciotkę w domu starców.

Miałam wrażenie, że Chris zawsze tu był, a ja zawsze chodziłam do Hobsona, żeby go zobaczyć. Miałam dokąd chodzić. Ale to był zmarły Chris. Żywy Chris żył po swojej stronie naszego zmiętego łóżka, w kapciach, które stały w kącie pokoju, w zużytej szczoteczce do zębów, leżącej wciąż jeszcze

na umywalce, w studio, do którego nie byłam w stanie teraz wejść... Było coś chorego w moim czepianiu się tego zmarłego Chrisa, ale wtedy wydawał mi się bardziej żywy niż żywy Chris. Żywy Chris miał do mnie wracać w szybkich wspomnieniach, w błyskach kiedy zmywałam naczynia, ale zdawało mi się, że słyszałam jak zamyka drzwi na górze. Ten Chris pozostanie ze mną na zawsze, ale chwilowo przyćmiony był przez Chrisa, który podobno leżał w tym pudle, odwiedzany przez ludzi, którzy wpisywali się na listę.

Wróciłam do Pokoju Georgiańskiego Snu i zajrzałam do spisu, żeby zobaczyć, kto tam jeszcze był. Na liście pojawiły się dwa nowe nazwiska i zastanawiałam się, czy Marilyn wracała tu jeszcze. Zdjęłam płaszcz i zaczęłam zbierać płatki kwiatów, które opadły w ciągu ostatnich kilku godzin. Nie chciałam, żeby w pokoju był bałagan. „Nie życzylibyśmy sobie tego”. I nagle podskoczyłam, uświadamiając sobie, że ktoś jeszcze był w pokoju. Odwróciłam się, czując się tak jakby stał za mną duch. To był Tom Bardi, który siedział spokojnie w kącie, paląc papierosa.

— Cześć.

— Cześć.

I pograżyliśmy się w odpowiadającej nam obojgu ciszy. Chciałam być z Chrisem sama. Ale lepiej było mieć tam Toma. Mając go w pokoju siedziałam tam po prostu i patrzyłam, pokonując natrętne pragnienie, żeby podejść do tego pudła i sprawdzić, czy Chris rzeczywiście był w środku. Siedzieliśmy tak i siedzieliśmy, i bez końca paliliśmy. Nikt nie przyszedł, nikt nie przeszedł obok, nic się nie poruszyło.

— Jest wpół do dwunastej. Nie chcesz jechać do domu, Gili?

— Nie... ja... zostanę tu dziś na noc. Może to brzmi dziwnie, ale to taka tradycja... moja rodzina... chcę tu zostać.

— Peg powiedziała mi, że przypuszczalnie będziesz chciała zostać.

— Peg? Kiedy? Dzwoniła do ciebie? — Wszystko zaczynało być jasne.

Powiedział „nie” trochę za szybko i zbyt energicznie pokręcił głową.

Wiedziałam, że kłamał. Peg dzwoniła i to dlatego Tom Bardi siedział tu, kiedy przyszedłam. Musiał wskoczyć do samochodu i popędzić prosto tutaj, żeby już siedzieć w tym kącie, kiedy przyjechałam. Peg nade mną czuwała. I Tom też. Co ja bym, u licha, bez nich zrobiła? Miałabym im za złe ich wspaniałomyślność, gdyby nie to, że potrzebowałam jej... Druga...

trzecia... piąta...

— Tom?

Zasnął oparty w kącie kanapy. Chciałam mu powiedzieć, że mam zamiar coś zrobić i że może wyjść, jeśli chce, ale ja muszę to zrobić. Chciałam otworzyć pudło i mieć zupełną pewność, że to jest Chris i ma na sobie swoje robocze ubranie, że nie wcisnęli go, mimo wszystko, w garnitur.

Podeszłam na palcach do ciemnego drewnianego pudła, podniosłam wiązaną róż, którą zamówiła jego matka, i cofnęłam się, wstrzymując oddech. Było to coś strasznego, ale musiałam to zrobić. Teraz albo nigdy.

Jutro będzie za późno. Wrócą Matthew-sowie, którzy byliby przerażeni, a poza tym będzie należał do nich wszystkich, do pastora i do ludzi w kościele. Dziś w nocy był jeszcze mój. Wciąż jeszcze Chris. Nie

„Christopher Caldwell Matthews, lat 33, zamieszkały...” A ja wciąż jeszcze byłam Gili. Nie „zebraliśmy się tu szczerze umiłowani”.

Dlaczego używają tych słów tylko przy ślubach i pogrzebach? Szczerze umiłowani... przez kogo? Boga? Skoro tak bardzo mnie kochał, jak mógł

mi to zrobić? Przypomniałam sobie słowa Gordona: „Vaya eon Dios”.

Widocznie Dios coś gdzieś pomylił. W ubiegły piątek.

Stojąc tam obejrzałam się na Toma, który wciąż spał... okay, ruszam.

Ozdobny klucz tkwił w zamku w połowie trumny. Przekręcił się łatwo i spróbowałam podnieść wieko. Było cholernie ciężkie. Ale podniosłam je i zostało w górze, ze swoim szarym aksamitem. Spojrzałam w głąb, a tam leżał Chris... Chris... wyglądający dokładnie tak jak w piątek w szpitalu, tyle że oczyścili mu twarz z piasku. I jeszcze coś było inaczej, coś innego... jego włosy! Uczesali mu włosy zupełnie nie tak jak trzeba.

Poszłam po torebkę,

wyjęłam grzebień i uczesałam go tak, jak on to zawsze robił. Włosy opuszczone na uszy i trochę potargane z przodu. Pochyliłam się i pocałowałam loki nad jego czołem, tak jak robię to z Sam, kiedy ją czeszę. Spróbowałam wziąć go za rękę, ale była sztywna. Jak u woskowej lalki. Wyglądał tak blado. Oparłam się na klęczniku i patrzyłam na niego, pewna, że zobaczę, jak poruszy się albo odetchnie. Siedziałam i patrzyłam, a w końcu wstałam i objęłam go ramionami. Było to takie dziwne uczucie, jego ciało nie odpowiadało, nie ugięło się już, jego giętkie ciało o delikatnej skórze. Wpadły promienie światła, dotknęły jego twarzy i był to ten sam Chris, który tyle razy leżał obok mnie w łóżku. Śpiący mężczyzna-chłopiec, któremu przyglądałam się przedtem w tyle ranków, kiedy noc powoli szarzała. Moje łzy spadły na jego ręce, koszulę i spłynęły mu po szyi. Dobre łzy. Nie urywany szloch ubiegłych dwóch dni. Płakałam nad Chrisem, nie nad sobą. Pocałowałam jego policzki, powieki i ręce, tak dziwnie złożone na jego piersi. Położyłam obok niego mały biały kwiatek i zdjęłam mu z szyi złoty łańcuszek. Może było to wbrew jakimś przepisom. Ale zawsze go nosił i wiedziałam, że nie miałby nic przeciw temu, żebym go sobie wzięła. Było to jak ślubna obrączka... na zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Zamykając wieko odwróciłam wzrok. Nie chciałam widzieć, jak znika pod nim jego twarz.

Obejrzałam się na Toma śpiącego na kanapie i usiadłam na jednym z foteli. Nadchodził ranek, wciąż jeszcze szary, a my siedzieliśmy tam we troje, Tom, Chris i ja. Byłam zadowolona z tego, że to

zrobiłam, że stanęłam wobec śmierci, dotknęłam jej i pocałowałam. Pochowałam w tym pudle zmarłego Chrisa, powiedziałam zmarłemu Chrisowi do widzenia, i Chris, który żył, mógł powrócić do życia. Nigdy już nie zobaczę jego ciała ani nie dotknę twarzy, ale będę widziała uśmiech, słyszała śmiech, pamiętała okrzyki i widziała jego twarz, kiedy rano wstanę i usłyszę jakiś znajomy dźwięk. Chris wrócił do mnie i zostanie przy mnie na zawsze. Oparłam głowę i zasnęłam.

Ktoś mną potrząsał i ze zdumieniem spojrzałam na twarz Toma Bardi, nie pamiętając gdzie jestem.
— Chcesz kawy?

— Tak, która godzina?

— Wpół do dziewiątej. Musiałaś długo spać.

Wrócił z dwiema kawami parującymi w styropianowych kubkach.

Piliśmy je i rozmawialiśmy o niczym. Pokój przestał teraz wyglądać tak strasznie, kiedy światło słoneczne zaczynało wpadać przez okna.

Kiedy skończyliśmy kawę, przyjechała pani Matthews z Jane i Donem.

Wszyscy wyglądali bardzo porządnie i elegancko, pani Matthews w nowym czarnym kostiumie, Jane w granatowej płaszczowej sukience i Don w tym samym ciemnym garniturze. Tom powiedział, że odwiezie mnie do domu, ale oboje mieliśmy tam samochody, więc pustymi ulicami pojechaliśmy jedno za drugim na zachód miasta. Wciąż było jeszcze za wcześnie na jakikolwiek niedzielny ruch uliczny. Pani Matthews powiedziała mi, że spotkamy się w kościele, więc nie musiałam już wracać i byłam zadowolona, że mogę spędzić te kilka godzin w domu.

Powiedziałam do widzenia Chrisowi i Hobsonowi i zastanowiłam się, kto będzie leżał nazajutrz w Pokoju Georgjańskiego Snu. Nigdy go nie zapomnę. Po latach jeszcze, przechodząc ulicą, będę spoglądała przez okno na ten korytarz, zastanawiając się kto leży teraz w Pokoju Georgjańskiego Snu.

Kiedy zatrzymałam się przed naszym domem, Tom pomachał mi ręką i odjechał. Chciałam zaprosić go na filiżankę kawy, ale mogło być i tak.

Peg i Sam jadły śniadanie i ja też napiłam się kawy, czując się bardziej zmęczona niż kiedykolwiek od piątku, ale zarazem spokojniejsza, o wiele spokojniejsza. Po śniadaniu poszłam na górę i położyłam się na łóżku, ale nie spałam, tylko leżałam, wdzięczna, że Peg i Sam były z dala ode mnie, w ogrodzie. Dzisiaj chciałam być sama.

O pierwszej trzydzięści Peg przyszła sprawdzić, jak się czuję i wsadziła głowę przez drzwi.

— Masz jeszcze około pół godziny — powiedziała.

Przypomniało mi to, jak Peg była druhną na moim ślubie. Marudziła, wymyślała i narzekała, że musi nosić „ten idiotyczny welon, który oczywiście musiałaś wymyślić, Gili, ty dziwko”, ale w końcu była prawdziwym wodzirejem i ogromnie przejętą druhną.

Z wyjątkiem incydentu, gdy przypaliła welon na samym przodzie, bo postanowiła zapalić papierosa w chwili, kiedy mieliśmy już ruszać wzdłuż kościelnej nawy.

Uczesałam się i przygotowałam, z wyjątkiem sukienki. Nie zdecydowałam jeszcze, co włożyć. Czarna sukienka, którą nosiłam w Nowym Jorku, wyglądała na znoszoną, a mój płaszcz z tweedu nie był

dostatecznie ciemny. Granatowa sukienka była za ciasna, a szara miała z przodu wielką plamę po jajku — dziękuję, Samantha — i zapomniałam oddać ją po przyjeździe do pralni chemicznej. Zostawała mi tylko „ślubna sukienka”, jasnoszara sukienka, której Chris nawet nie widział, i która wisiała w głębi szafy, gdzie Peg powiesiła ją na moje życzenie w wieczór swojego przyjazdu.

W dwadzieścia minut później stałam przed lustrem mając na sobie sukienkę i płaszcz, czarne pantofle, perły mojej babki i włosy zwinięte w porządną węzeł nisko na karku. Wyglądałam dokładnie tak, jak zamierzałam wyglądać w dniu mojego ślubu z Chrisem. Teraz było o dzień i całe życie za późno na ślub. Podniosłam rękę do kołnierzyka sukienki i dotknęłam złotego łańcuszka, który tego ranka zdjęłam z szyi Chrisa... za późno... o wiele, wiele za późno.

Rozdział trzydziesty ósmy

Pani Matthews i Lindquistowie czekali w biurze pastora na tyłach kościoła. Spotkaliśmy się tam ubrani na ciemno, wszyscy eleganccy, każdy pogrążony we własnych myślach. Przez chwilę porozmawialiśmy z pastorem, po czym on wyszedł, a my usłyszeliśmy muzykę, która rozległa się cicho w tle. Zupełnie zapomniałam porozmawiać z organistą i teraz nie rozpoznawałam, co grał. Brzmiało to bardzo słodko i smutnie.

Poszliśmy więc do kościoła i wsunęłam się do pierwszego rzędu razem z rodziną Chrisa. Peg i Tom Bardi usiedli tuż za nami i obejrzałam się, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć. Wyciągnęłam dłoń, a ona uścisnęła ją i wtedy zauważyłam, że w kościele było jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt osób, które siedziały tu i ówdzie. Nie było to chyba wiele, nic w porównaniu z pompatycznym pogrzebem, który urządziliśmy mojej babce, ale było to sporo osób jak na Chrisa, jak na mężczyznę, który mało z kim się właściwie widywał. Mój wzrok zatrzymał się na dziewczynie w czarnej sukience i woalce, która stała z lewej strony, i odwróciłam się jeszcze raz, domyślając się kogo zobaczyłam. To była Marilyn. Nasze oczy spotkały się i przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, bez żadnego prawdziwego porozumienia, bez tej więzi jaka łączyła mnie z rodziną Chrisa. Ale rozumiałyśmy się lepiej niż rodzina Chrisa była w stanie zrozumieć którąkolwiek z nas. Obie byłyśmy teraz same. Chris odszedł. I odwróciłam się, żeby spojrzeć na pastora.

Chris leżał w trumnie pokrytej kwiatami, które ułożone były z przodu i na środku.

— Szczerze umiłowani... aby odpoczywał w pokoju. Amen.

Staliśmy w bezgłośnej modlitwie, organy grały coś, co brzmiało jak Bach, a ja żałowałam, że nie poprosiłam o Ravela. Karawaniarze od Hobsona wyprowadzali trumnę wzdłuż nawy, a pani Matthews wyszła wsparta na ramieniu Dona i poszła za nimi powoli, wydając się jeszcze mniejsza niż poprzednio. Potem ruszyła Jane, a ja o krok za nią, zastanawiając się czy Marilyn pójdzie teraz za mną. Wydawało się, że wszyscy nas obserwowali, podążając za nami wzrokiem i usłyszałam kilka

pociągnąć nosem i głośny szloch. Oni mogli to robić, my nie byliśmy w stanie.

Wiedziała, że Marylin nie szlochała. Tylko ludzie, którzy znali

„zmarłego” najslabiej, potrafią tak szlochać.

Na dworze wsiedliśmy do brązowej limuzyny Hobsona, która stała za karawanem. Zobaczyłam, że Peg wsiadła do samochodu Toma Bardi i procesja ruszyła wzdłuż Sacramento, a potem autostradą do Dały City, które specjalizuje się w używanych samochodach i cmentarzach.

Jane i Don rozmawiali po drodze, pani Matthews i ja nie odzywałyśmy się. Siedziałyśmy obok siebie, ona z opuszczonym wzrokiem, a ja wyglądając przez okno i uświadamiając sobie, że była to ta sama trasa, którą przejeżdżaliśmy w drodze z lotniska, kiedy przed tygodniem przyleciałyśmy z Sam z Nowego Jorku. Pożyczona furgonetka volkswagena i brązowa limuzyna. Odległe do siebie o tysiąc światów i tylko o jeden krótki tydzień.

Na cmentarzu znów pokazał się pastor i podeszliśmy w stronę grobu —

my czworo, za nami Peg i Tom, pięć nie znanych mi osób... i Marilyn. Z

początku nie zauważyłam jej. Stała trochę z boku, wyglądając pięknie i tragicznie, woalka rzucała szary cień na jej twarz sprawiając, że oczy wydawały się jeszcze większe, czarna sukienka była znakomicie skrojona. Miała w sobie cudowny wdzięk i przypuszczam, że także pewien styl. Ze sposobu, w jaki tam stała, biła też jakaś duma. Godność.

Stała tam taka samotna,

a przecież przyszła tam dla Chrisa, pomimo nas wszystkich. Patrzyła wprost na mnie, nie okazując śladu żadnych uczuć. Była tam. Z Chrisem.

Jak my. Podziwiałam ją za to, że przyszła i za to jak tam stała.

Przypuszczam, że na jej miejscu zrobiłabym to samo. Ale byłabym zmieszana albo zdenerwowana. Nic podobnego nie było widać po Marilyn.

Opuściliśmy głowy, a pastor zmówił modlitwę. A potem cisza. Aż podskoczyłam, kiedy jego głos zagrzmiał: „Christopher Caldwell Matthews, powierzamy cię tej ziemi i składamy w ręce Pana Naszego”. A ja dodałam cicho: „Vaya eon Dios”.

Wróciliśmy do swoich samochodów, a kiedy odjeżdżaliśmy, odwróciłam się i zobaczyłam, że Marilyn wciąż tam stoi, wyprostowana, dumna i samotna, wdowa w czarnej woalce.

Rozdział

trzydziesty dziewiąty

Lindquistowi wyjechali z San Francisco zaraz po pogrzebie, zabierając ze sobą panią Matthews.

Miała zostać na jakiś czas we Fresno. Obiecałam, że zadzwonię, kiedy dziecko się urodzi, i pojechali. Kiedy odwieźli mnie do domu, zobaczyłam, że stoi tam samochód Toma Bardi. W środku on, Peg i Sam pogrążeni byli w rozmowie, którą przerwali na mój widok.

— Cześć, mamusiu. Gdzie jest wujek Crits?

Był to żałosny jęk, a dwoje wielkich oczu patrzyło na mnie żądając tym razem odpowiedzi. Teraz albo nigdy. Wzięłam głęboki oddech.

— Sam, usiądźmy na chwilę.

— Czy on odszedł jak mój prawdziwy tata?

— Nie. Nie odszedł.

Nie chciałam, żeby myślała, że życie składało się z szeregu mężczyzn, którzy odchodzili i wracali od czasu do czasu z wizytą. Może i było tak, ale nie Chris, nie tym razem.

— Sam, czy pamiętasz, jak babcia Jean poszła do Nieba?

— Masz na myśli mamę taty?

— Tak. — Zauważyłam, że Peg i Tom wstali i po cichu wyszli do kuchni, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi. Zdawało mi się, że Peg płakała, ale nie byłam pewna. Patrzyłam na Sam. Musiałam widzieć to dziecko, naprawdę je widzieć i powiedzieć jej coś, co mogłaby zabrać ze sobą na zawsze, coś o Chrisie.

— Wiesz, kochanie... czasami Bóg kocha ludzi szczególnie mocno i uważa, że zrobili wszystko, co do nich należało, i wtedy zabiera ich do siebie, do Nieba.

— Czy on wszystkich tak bardzo kocha?

— Tak, kocha wszystkich, ale niektórym ludziom pozwala tu zostać bardzo długo. A innych zabiera do siebie nieco wcześniej.

— Mamusiu... czy on ciebie też tak bardzo kocha? — Jej broda zaczęła drżeć.

— Sam, kochanie, mnie nic się nie stanie. — Widziałam, w którą stronę pobiegły jej myśli. — Ale potrzebował wujka Chrisa, żeby mu w czymś pomógł. Więc teraz wujek Chris jest w Niebie, z Bogiem i z babcią Jean.

— Czy przyjdzie kiedyś nas odwiedzić?

— Nie tak jak to rozumiesz, Sam. Ale zawsze kiedy o nim pomyślisz, to będzie tak jak wizyta. Kiedy będziesz myślała o wujku Chrisie, wtedy zawsze z tobą będzie. Możemy o nim mówić i myśleć, i dalej go kochać.

To właśnie znaczy zawsze.

— Ale ja chce, żeby on był z nami. — To spojrzenie... Och, Boże... to spojrzenie. — Ja też, ale stało się tak, jak chciał Bóg. Będzie nam go bardzo brak, ale mamy siebie nawzajem. A ja cię bardzo, bardzo kocham.

— Sam rzuciła mi się w ramiona i obie rozplakałyśmy się. — Nie bądź

smutna, Sam. Wujek Chris nie chciałby, żebyś była smutna. On nie jest smutny, nic go nie boli i wciąż nas kocha...

Siedziałyśmy tak kołysząc się, jej łzy mieszały się z moimi, a jej małe paluszki ścisnęły moją dłoń, nie chcąc jej za żadne skarby wypuścić.

Kołysałyśmy się i kołysałyśmy, a kiedy znieruchomiała, spojrzałam na nią i zobaczyłam, że zasnęła. Moja mała dzika Indianka, która w ubiegłym tygodniu położyła trzy dżdżownice na dłoni Chrisa Matthews, teraz musiała pogodzić się z tym, że odszedł. Siedziałam patrząc na nią w ciemniejącym pokoju, po czym położyłam ją na poduszkach sofy, z twarzą wciąż jeszcze mokrą od łez. Wstałam i wyszłam popatrzeć na ogród i głęboko odetchnąć, a potem poszłam poszukać Toma i Peg.

Wciąż jeszcze siedzieli w kuchni, z zaczerwienionymi oczyma.

Popatrzyli na mnie, zmieszani, a Peg zapytała:

— Może się napijesz?

— Nie sędzę, żeby mi to pomogło.

— Gdzie ona jest?

— Śpi na kanapie. Nie będę jej budzić na kolację. Ona też miała parę ciężkich dni. Mam nadzieję, że prześpi do rana.

— Chcesz, żebym ja zaniósł do łóżka?

— Dziękuję, Tom. To dobry pomysł. Ja chyba też się położę. Mam dość.

Ledwie mogłam wejść po schodach. Tom szedł z przodu, a Sam zwisała mu z ramion jak szmaciana lalka. Peg szła za mną. O mało nie poprosiłam jej, żeby mnie popchnęła, tak odległy wydawał mi się koniec schodów.

Położyłam się na łóżku na plecach, wciąż jeszcze w szarej sukience i leżałam tak, a Peg zasuwawała rolety i gasiła światła, po czym zasnęłam równie nagle i głęboko jak Sam.

Ktoś *wbijal* we mnie nóż, starał się mnie zamordować, okładał mnie pięściami. Rozdzierali mi plecy, rozpruwali brzuch, wrywali wszystkie mięśnie... Mój Boże, pomóż mi, pomóżcie mi, proszę... Starałam się obudzić, żeby pozbyć się bólu, uciec od złego snu. Obudziłam się bezwładna i

wycieńczona. Spojrzałam na zegarek przy łóżku. Kiedy podniosłam głowę, ten sam ból schwycił mnie znowu, rozrywając plecy i sięgając poprzez brzuch niczym ręce, które starały się wydrzeć mi wnętrzności. Znow zaczęłam krzyczeć i weszła Peg, a ja próbowałam złapać oddech, bo ból znow ustąpił.

— Gili? Czy coś się stało? Słyszałam jak... Chryste, wyglądasz strasznie.

— Nie czuję się najlepiej.

Spróbowałam usiąść i ból znow mnie rozdarł, sprawiając, że chwyciłam kurczowo za prześcieradło i wykrzywiłam się, żeby nie zacząć krzyczeć.

— Nie ruszaj się. Zadzwońię po lekarza. Jak się nazywa?

— Morse. Numer jest w notesie w kuchni... Powiedz mu... Zdaje mi się, że rodzę... Powiedz mu... — i rozdarł mną nowy atak bólu. Leżałam w łóżku, starając się nie popaść w panikę, przetrzymać bóle i czekałam na powrót Peg.

— Powiedział, żeby cię zaraz zawieźć do szpitala. Czy dojdiesz do samochodu?

Spróbowałam wstać, ale nie mogłam nawet usiąść, a kiedy przekręciłam się na brzeg łóżka, zobaczyłyśmy, że tam, gdzie przedtem leżałam, była plama krwi.

— O mój Boże... O Jezu, Peg...

— Staraj się uspokoić, Gili. Zadzwońiłam po Toma, zaraz tu będzie, żeby zostać z Sam. Zaniesie cię na dół do samochodu.

Położyłam się z powrotem, czując taki ból, że nie byłam w stanie się odezwać. Peg zamazywała się i znikwała, po czym znow się pojawiała, a ból uderzał we mnie, łapiąc i unosząc ze sobą i rzucając na coś, co przypominało ostre skały. Chciałam trzymać Peg za rękę, ale nie potrafiłam leżeć dostatecznie spokojnie. Wtedy zobaczyłam w drzwiach Toma Bardi. Stał nade mną, uniósł mnie z łóżka razem z przykryciem i zaniósł do samochodu Chrisa. Zobaczyłam, jak Tom i Peg wymienili spojrzenia i chyba musiałam wtedy zemdleć, bo kiedy znow otworzyłam oczy, paliło się nade mną tysiąc świateł, było dużo hałasu i ludzi, szcęk metalu, i czułam się lekka, zupełnie jakbym unosiła się ponad tymi światłami. ponad ludźmi, zawieszona między dwoma światłami.

Unosiłam się tak przez chwilę, a potem... o Boże... o mój Boże...

rozrywali mnie... zabijali mnie... o Boże... Chris... Peg... Proszę, powiedz im, żeby przestali... Nie mogę tego wytrzymać, nie mogę, nie mogę... nie mogę... i wszystko stało się czarne.

Obudziłam się w jakimś dziwnym pokoju, czując się tak, jakbym miała zwymiotować. Rozejrzałam się i zobaczyłam Peg, a potem znow wszystko zniknęło. Wracało i nikło. Gdzieś tam, w innym świecie, jakaś kobieta leżała w łóżku, robiono jej transfuzje i kroplówki i działy się z nią różne rzeczy. Widziałam to wszystko wyraźnie, ale nie wiedziałam, kim ona jest. Zastanawiałam się, ale nie na tyle, żeby zapytać. Byłam zbyt zmęczona... taka zmęczona.

O Jezu, ależ mnie boli w środku.

— Peg?... co się stało? — Odwróciłam się, żeby się do niej odezwać...

mój brzuch... jest płaski... dziecko... — Peg... Peg... dziecko? — Ale już wiedziałam. Wiedziałam, co się stało. Dziecko nie żyło.

— Połóż się z powrotem, Gillian, nie było cię tu przez dłuższy czas.

— Nie obchodzi mnie to. — Wstrząsnął mną szloch i wszystko jeszcze bardziej zaboląło. Po chwili zapytałam, która była godzina.

— Druga.

— Po południu?... Jezu...

— Tak, Gili... i... dziś jest wtorek...

— Wtorek?... O mój Boże.

Pielęgniarki przychodziły i wychodziły, a czas mijał. Nie było dokąd się śpieszyć ani o czym myśleć. Sam była w domu z Peg i panią Jeager, a Chris i dziecko odeszli. Nic już nie miało znaczenia. Nic i nikt. Ani Chris, ani dziecko, ani Sam, ani ja. Nic.

Peg najwidoczniej znów do wszystkich zadzwoniła, nadeszły kwiaty od Hilary, Gordona i „Johna Templetona i zespołu”. Wyglądało to jak powtórzenie pogrzebu. Tylko że tym razem nie byłam tak wzruszona. Nic mnie to nie obchodziło.

Odkryłam także, że do szpitalnej praktyki należy kładzenie kobiet, które właśnie straciły dzieci, na oddziale położniczym. Jest to jedna z psychologicznie najbardziej nieludzkich praktyk współczesnej medycyny, ale tak właśnie jest. Leżysz tam i widzisz, jak przewożą dzieci korytarzem, słyszysz ich płacz. I miałabyś ochotę umrzeć.

Poinformowano mnie, ile dziecko ważyło, jaki był długi, jaką miał grupę krwi, i jak długo żył. Siedem godzin i dwadzieścia trzy minuty. A ja nawet nie zdążyłam go zobaczyć. To był chłopiec.

Pod koniec tygodnia czułam się już lepiej i pozwolili mi wrócić w niedzielę do domu. I tak musiałam wracać. Peg powinna już wyjechać.

— Zostaję jeszcze na tydzień.

— Nie, nie zostajesz. Byłaś tu już dostatecznie długo, zajmując się mną i moimi ciągłymi nieszczęściami.

— Przestań urządzać przedstawienie. Zostaję.

— Posłuchaj, Peg, zadzwonię do agencji i załatwię dziewczynę do dziecka. Kazali mi siedzieć na

dupie jeszcze przez trzy tygodnie. Nie masz chyba zamiaru zostawać tu tak długo, prawda?

Peg zawahała się i poszłyśmy na kompromis. Miała zostać jeszcze do następnej środy.

W niedzielę wróciłam do domu. Wypisano mnie razem z pół-tuzinem dziewcząt o promiennych spojrzeniach, trzymających w objęciach niemowlęta zawinięta w kocyki o pastelowych kolorach. Kiedy Peg przyjechała po mnie, wydarłam pielęgniarce moją torbę z rzeczami, wsiadłam do samochodu i jedyne, co mogłam z siebie wydusić, to było:

„Chodź, Peg. Jedźmy stąd w cholerę”. Nacisnęła gaz i pojechałyśmy na Sacramento Street.

W domu wszystko było w idealnym porządku. Nadkobieca wydajność Peg Richards widoczna była wszędzie. Sam czekała na mnie w drzwiach z małym bukietem kwiatków zebranych w ogródku. Jak dobrze było znów przy niej być. Czułam się winna, bo tak mało myślałam o niej podczas pobytu w szpitalu. Prawie przestałam się o nią troszczyć. I oto była tu, moja słodka Sam.

Peg zapędziła mnie na górę, położyła do łóżka, przyniosła mi filiżankę herbaty i poczułam się jak królowa. Chora królowa, ale zawsze królowa.

Nie miałam absolutnie nic innego do roboty, jak tylko leżeć tu i pozwalać się obsługiwać. Czułam się wciąż bardzo słaba i bardzo miło było mieć Peg, która wszystko za mnie robiła. Po moim powrocie do domu telefon zadzwonił dwa razy. Raz była to pani Matthews, a potem Gordon. Peg za każdym razem spoglądała na mnie, a ja kręciłam głową. Jeszcze nie.

Wszyscy wiedzieli. To wystarczało. Nie miałam nic do dodania. Pani Matthews powiedziałyby mi tylko jak jej przykro, a mnie i bez tego było dostatecznie smutno, także dlatego że powiększyłam jej smutek. Gordon chciałby przyjechać albo żeby ja wróciła do Nowego Jorku, ale ja nie chciałam tego słuchać. Wybrałam dzinsy i stokrotki... i nadal ich właśnie pragnęłam. Nie chciałam słuchać o Nowym Jorku ani o redakcji, ani o niczym innym. Wszystko to było poza mną, niezależnie od tego co się stało. Przejrzałam pocztę i zobaczyłam, że Gordon przysłał zdjęcie, na którym staliśmy wszyscy troje na tle rollsa. Spojrzałam na nie przelotnie i rzuciłam je na stolik przy łóżku. Peg przyglądała mi się. — To było tak dawno temu, Peg. Skinęła głową i włożyła zdjęcie z powrotem do koperty.

Pod jednym tylko względem pobyt w szpitalu okazał się dla mnie dobry: wprowadził trochę większy dystans między mną a brutalną rzeczywistością, która tak nagle mnie uderzyła. Przez krótką chwilę nie musiałam chodzić po domu, patrzeć na wszystkie rzeczy, dotykać ich, przypominać sobie. Nie od razu. Teraz powinnam odpocząć.

Następne kilka dni upłynęło szybko, a w środę Peg odjechała wśród uścisków, pożegnań i podziękowań, które nie wiadomo było nawet jak zacząć, oraz obietnic, że będziemy dzwonić i pisać. Powiedziała nawet, że przyjedzie wiosną na tydzień. Tom Bardi zabrał ją na lotnisko, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy było w tym coś więcej niż tylko chęć przyjscia mi z pomocą. Ich wspólnie spędzone półtora tygodnia wytworzyło między nimi więź, jaka powstaje podczas morskich podróży.

Zostali wyłączeni ze swoich własnych światów i rzuceni we wspólny los, nie na przyjemną przejażdżkę, lecz by wziąć udział w serii nieszczęść.

Utworzyli wokół mnie krąg, w który sami zostali wciągnięci. Być może, jak się to zdarza po morskiej podróży, kiedy spotkają się ponownie, odkrywają, że nic ich nie łączy. Jeśli się spotkają. Peg nic mi nie powiedziała przed wyjazdem, więc pozostawiona byłam własnym domysłem.

Tom należał do świata Chrisa i swoją bezpośredniością i zdrowym rozsądkiem bardzo go przypominał. Był jednak mniej skomplikowany niż Chris i wydawał się łagodniejszy; nie miał tej bezwzględnej szczerości Chrisa. Ani też jego iskry. Ale podejrzewałam, że dzięki temu życie z nim mogło być łatwiejsze. Nie był też specjalnie wymowny. A zanim Peg wyjechała, zauważyłam, że patrzył na nią niemal z lękiem. Innymi słowy miałam o czym myśleć.

W tym czasie przyjełam już dziewczynę do pomocy. Sypiała w pokoju Sam i cała rutyna powróciła na miejsce, podczas gdy ja odzyskiwałam siły, a i psychiczny ból zaczynał częściowo cichnąć. Tak jak powiedziałam to Sam, Chris zawsze był z nami. Rozmawialiśmy o nim, wspomnienie jego twarzy rozjaśniało moje dni, a sny pełne były dźwięku jego głosu. Spałam bardzo dużo, za dużo. Była to łatwa ucieczka, we śnie zawsze pojawiał się Chris. Zawsze czekał, aż zasnę, gotów wyciągnąć dłoń i przyciągnąć mnie na swoją stronę, z dala od pustego domu... i prawdy.

Rozdział czterdziesty

W marcu dowiedziałam się z listu Johna Templetona, że Julie Wintraub pogrążyła się w śpiączce na prawie trzy tygodnie, a potem cicho umarła, nie odzyskując świadomości. Był to uśmiech losu, bo jej ostatnie przytomne dni pełne były niewymownego cierpienia. Zamykało to pewien rozdział w moim życiu. Chris, dziecko, Julie. Wszyscy odeszli.

Moje życie zaczynało wypełniać się duchami. Byłam już z powrotem na nogach i spędzałam dużo czasu w domu, trochę malując, siedząc z Samanthą i pozwalając, by czas upływał wolno, niczym nie wypełniony.

Odzyskałam trochę utraconej wagi, a od spacerów z Sam nabrałam zdrowego wyglądu.

Tom Bardi często wpadał, przynosił drobne prezenty dla Sam, od czasu do czasu jadł z nam kolację. Nie mówił wiele, ale jego obecność zawsze była miła i obie z Sam cieszyłyśmy się z jego wizyt. Prawie nigdy nie wspominał o Peg, ale kiedy tylko ja to robiłam, zdawał się wyprostowywać na swoim krześle i uważnie słuchać każdego mojego słowa. Miło było na to patrzeć i zastanawiałam się, czy Peg o tym wiedziała albo raczej czy oboje o tym wiedzieli i tylko ja dowiadywałam się ostatnia. Pewnego dnia nie mogłam się powstrzymać.

— Czy miałeś jakieś wiadomości od Peg, Tom?

— Nie. — i zarumienił się.

— Dlaczego do niej czasem nie zadzwonisz?

— Zadzwonić do niej?

Wyglądał na tak zaszokowanego, że zmieniłam temat. Byli oboje dorośli; Peg to jedna z najbardziej bezpośrednich osób, jakie znałam, a Tom wyglądał na kogoś, kto potrafi sam się o siebie troszczyć,

więc postanowiłam powściągnąć język i zająć się własnymi sprawami.

Gordon odezwał się dwukrotnie przed wyjazdem do Francji, namawiał

mnie, żebym zaczęła wreszcie myśleć o sobie i o nim i wyjechała raz z nim. Ale ja nie chciałam opuścić San Francisco. Ani Chrisa.

Nie zaczęłam jeszcze uprzątać rzeczy Chrisa, a już czułam się samotna.

Otwierałam jego szafę, patrzyłam na buty, džinsy i swetry, jego zapach otaczał mnie ramionami i wydawało się, jakby Chris wyszedł tylko gdzieś na chwilę. Jego pracownia pozostała nietknięta. Weszłam tam tylko raz chcąc poszukać jakichś dokumentów. Stawała się swego rodzaju świątynią.

Pisywałam regularnie do Peg i opowiadałam jej, co robiłyśmy, a ona od czasu do czasu odpowiadała. Wiedziałam, że była już zmęczona swoją pracą, a raz napomknęła nawet, że być może przyjedzie. Ale potem nigdy o tym nie wspominała. Wiedziała, że moje drzwi były dla niej zawsze otwarte i miałam nadzieję, że jednak się pojawi. Zaczęła popychać mnie w listach: „...Powinnaś widywać się z jakimiś mężczyznami... Powinnaś znaleźć pracę... Powinnaś pojechać w podróż...” Nigdy jednak nie proponowała, żebym wróciła do Nowego Jorku. Wiedziała, że nie przekonałby mnie.

Szkoła Sam skończyła się pod koniec maja i pewnego dnia siedząc z nią przy śniadaniu pomyślałam, że minęło już pięć miesięcy od śmierci Chrisa. W pewnym sensie wydawało się, że żyłyśmy tak z Sam od zawsze, a z drugiej strony miałam wrażenie, jakby wyszedł stąd tego samego ranka. Staralam się, żeby tak było, utrzymywałam go przy życiu, żeby samej tym żyć, trzymać się go.

Byłam samotna, ale innym rodzajem samotności niż wtedy, kiedy wróciłam do Nowego Jorku. Wtedy było to okrutne, dokuczliwe i męczące uczucie, pełne niepokoju i alternatyw, i stałej frustracji, nawet jeśli sobie tego wówczas nie uświadamiałam. Był

to czas pełen gniewu. Wiosna po śmierci Chrisa nie miała w sobie gniewu, nie miała z tamtymi dniami nic wspólnego poza tym, że byłam sama. Było w niej coś nieodwracalnego i ciche pogodzenie z losem. Mój statek zapuścił kotwicę i nie miałam dokąd pójść. Nie chciałam donikąd iść, chciałam zostać tu, gdzie byłam. Więcej malowałam, bardzo dużo czytałam i stawałam się coraz bardziej introspektywna. Było to jak przeistaczanie się w mniszkę. I trochę jak w ciemnym tunelu; szłam nim, a kiedy dojdę do końca... jeśli dojdę do końca... to zobaczymy.

W czerwcu Sam miała pojechać do swojego ojca, a ja zastanawiałam się, czy nie pojechać w góry nad jezioro Tahoe. Chciałam odpocząć, ale nie byłam pewna, czy chcę wyjeżdżać. Czułam się szczęśliwa w domu, otoczona rzeczami Chrisa. Szczęśliwa, śpiąc w jego łóżku, w jego swetrach i koszulach. W końcu wyszłam za niego za męża. Ale wyszłam za męża za zmarłego mężczyznę i teraz dryfowałam razem z nim. Byłam prawie równie martwa jak on.

— Sam, dzwonek do drzwi. Bądź dużą dziewczynką i otwórz, bo jestem na górze. Tylko najpierw zapytaj kto to.

Tom Bardi wbiegł już po schodach przeskakując po dwa stopnie, po czym wpadł do pokoju.

— Peg przyjeżdża!

— Kiedy?

— Jutro. — Uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Przyjeżdża? Jesteś pewien? Skąd wiesz? — Wydawało mi się śmieszne, że ja nic o tym nie wiedziałam.

— Właśnie do mnie dzwoniła.

Spojrzał na mnie zirytowany, jak mogłam mieć wątpliwości. Tak jakby moje pytania mogły sprawić, żeby to się nie stało. Nie słyszałam o tym nic poza mglistymi aluzjami w jej ostatnim liście. To bardzo dziwne.

— Przylatuje jutro rano. Wcześniej. Jadę po nią na lotnisko.

Miałam ochotę zapytać, czy nie mogłabym też pojechać. Ostatecznie to ja znałam Peg przez całe życie, a wyjeżdżał po nią jakiś obcy facet. Ale nic nie powiedziałam. Może Peg wolała, żeby właśnie tak było. Zadzwoiła do niego, a nie do mnie. Zaterkotał telefon. To była Peg.

— Przyjeżdżam jutro.

— Wiem.

— Och.

— Tom stoi tu obok mnie.

— Pozdrów go ode mnie. Czy mogę znów u ciebie mieszkać? — I moje podejrzania odpłynęły. Albo prawie.

— Oczywiście. Wspaniale. Jak długo będziesz mogła zostać?

— Tydzień, może dwa, może trzy. Zobaczę. Mam trzy tygodnie, ale w powrotnej drodze powinnam odwiedzić mamę, naprawdę.

— Wspaniale. Tom powiedział, że po ciebie wyjedzie. Wpadnij potem.

Albo... sama zobaczysz. Do jutra. Peg, nie mogę się doczekać!

Pożegnałyśmy się i odłożyłyśmy słuchawki.

— Czy chciała ze mną rozmawiać?

— Musiała się śpieszyć. Będzie tu jutro, Tom.

Wyglądał jak mały chłopiec, patrzył tak samo jak Chris, jak Samantha.

Zbiegł potem po schodach i zniknął, a następnym razem zobaczyłam go stojącego za Peg przed moim domem i wyglądał tak, jakby znalazł

kopalnię złota na samym skraju tęczy. Peg rzuciła mi się w ramiona, śmiałyśmy się, piszczałyśmy i obejmowałyśmy, a Sam przyłączyła się do nas. Było to prawdziwe powitanie w domu.

— Witaj z powrotem. Tęskniłyśmy za tobą.

— No, widzę, że nic się tu nie zmieniło. Och, jak miło być z powrotem.

Tom zaniósł jej rzeczy do pokoju Sam i zniknął. Zjedliśmy razem obiad, a potem posiedzieliśmy trochę, po czym oni poszli na spacer, mówiąc, że być może pójdą też do kina. Położyłam się wcześniej i nie słyszałam, kiedy Peg wróciła.

Następnego ranka zeszła na śniadanie i miała na twarzy tę poważną minę, która oznaczała, że miała zamiar „porozmawiać ze mną”. Mama Peg.

Czas na kazanie. Uzbroiłam się w kubek kawy i uśmiech. Naprawdę brakowało mi Peg.

— Gillian. — Jej głos zabrzmiał bardzo stanowczo.

— Tak, Peg? Czy mam się do ciebie zwracać „Margaret”? Dziś rano brzmisz jak Margaret. — Ale ona nie odpowiedziała na mój uśmiech.

— Gdzie jest Sam?

— Wyszła z przyjaciółmi. Dlaczego?

— Bo muszę z tobą porozmawiać, a nie chciałam, żeby Sam słuchała. Gill, kiedy wczoraj powiedziałam, że wszystko tu wygląda tak samo, nie przypuszczałam nawet do jakiego stopnia to prawda. Jezu, Gili, wciąż pełno tu wszędzie jego rzeczy. Jego papiery, jego ubrania, jego koszule, jego szczotka do zębów. Co ty, do cholery, postanowiłaś ze sobą zrobić? Masz dwadzieścia dziewięć lat. On umarł. Ale nie ty. Założę się, że nawet nie dotknęłaś jego pracowni. No co? Dotknęłaś?

Chryste, uderzyła poniżej pasa. Była to prawda, ale jak ona mogła to zrozumieć? Jak mogła choćby zacząć rozumieć? Peg miała gorące serce i ciekawe życie, ale nigdy nie była mężatką, nigdy nie miała dzieci, nigdy nie straciła ukochanego mężczyzny ani jego dziecka. Nie mogła zrozumieć.

— Peg, ty nic nie rozumiesz.

— Rozumiem. Rozumiem znacznie lepiej, niż ci się wydaje, nawet lepiej niż ty rozumiesz. Widzę to lepiej niż ty sama. I Tom mówi to samo.

Mówi, że nosisz jego ubrania i mówisz o nim tak, jakby wciąż tu był. Nic nie robisz, nie wychodzisz.

Jezu, Gili, to przerażające.

— To nie jest przerażające. Tak właśnie chcę żyć. Mówisz tak, jakbym się, u diabła, włóczyła w jego ubraniach po mieście. Odpieprz się ode mnie, dobrze? — Zaczęłam się złościć, bo nie podobała mi się prawda zawarta w tym, co powiedziała. Nie miała prawa.

— Nie mam prawa mówić tak do ciebie... a właściwie owszem, mam.

Kocham cię, Gili. Nie mogę patrzeć na to, co ze sobą robisz. Popelniałaś różne szaleństwa i zawsze byłam przy tobie. Wróciłaś do Nowego Jorku, żeby tam mieć jego dziecko i nie powiedziałam słowa, bo pomyślałam, że możesz masz raję. Sama nie zrobiłabym tego, ale mogłam to przynajmniej zrozumieć. Ale to... to jest co innego, to jest chore. Proszę cię, zrozum to, proszę, Gili, zobacz, co ty robisz ze sobą... i z Sam.

Pomyśl, do cholery, jaki to wszystko ma na nią wpływ.

I znowu wiedziałam, że miała rację i nie patrząc na nią szykowałam się, żeby jej odparować.

W końcu podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Peg płacze. Nade mną, nad Samanthą i może nawet nad Chrisem. Kiedy zobaczyłam, że płacze, mnie też łzy napłynęły do oczu, położyłam głowę na stole i rozplakałam się, a wszystkie te miesiące spokoju poszły w pięć

minut do diabła. Bo nigdy się naprawdę nie przystosowałam. Byłam spokojna, bo żyłam we śnie i nigdy nie pogodziłam się z prawdą. Może pogodziłabym się ze stratą Chrisa, gdybym miała dziecko, ale kiedy dziecko umarło, nic mi już nie pozostało. Nic prawdziwego. Więc stworzyłam sobie własny świat marzeń i trzymałam się Chrisa. W ciągu tych dziesięciu minut skorupa, jaką wokół siebie zbudowałam, otworzyła się z traskiem, a ja siedziałam tam naga i bezradna, krwawiąc, wystawiona na prawdę wszystkich tych rzeczy, przed którymi kryłam się w ciągu ubiegłych miesięcy. Musiałam zaakceptować prawdę. Chris nie żył.

Peg pozwoliła mi siedzieć tak i wypłakać się, a sama poruszała się cicho po kuchni. Tylko raz położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała:

„Przykro mi, Gili”, a ja zdołałam wyszlochać: „Daj spokój”. Bo miała rację i słusznie mi o tym powiedziała. To ja się myliłam. Okropnie, strasznie się myliłam, a przy tym wyrządzałam ogromną krzywdę Samancie.

— Pomożesz mi, Peg?

— Jak, kochanie?

— Pomożesz mi przejrzeć jego rzeczy? Potaknęła.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Zaraz?

— Zaraz. Jeśli nie zrobię tego teraz, to może nigdy nie zrobię. Może już zawsze będę żyła w tej pajęczynie, w którą się osunęłam.

— Okay. Chodźmy.

I przez następne kilka godzin siedziałyśmy i sortowałyśmy, układałyśmy i dzieliłyśmy. Czułam się tak, jakbyśmy to robiły nazajutrz po pogrzebie; nie było żadnej różnicy. Ból był taki sam. Nienaruszony.

Zrobiłam małą paczkę dla pani Matthews, rzeczy które przypuszczałam, że chciałyby mieć.] inną, też niedużą, dla Jane. Zatrzymałam kilka rzeczy dla siebie, takich których nie umiałam się wyrzec, rzeczy w których był

Chris. Ale tym razem włożyłam je do pudełka. Będę je miała, nie muszę trzymać się ich kurczowo i wachać ich co noc. Będę wiedziała, że tu są.

Resztę rzeczy

ułożyłyśmy w wielkich stertach w szafie na dole, gotowych do oddania na cele dobroczynne.

Pod koniec dnia, kiedy spodziewałam się powrotu Sam, przerwałyśmy. I tak nic już nie było do zrobienia na dwóch dolnych piętrach.

Uporządkowałyśmy je.

— Jutro pracownia.

— Chcesz, żeby Tom nam pomógł?

— Tak.

Następnego dnia w trójkę przejrzelśmy całe studio, sortując i dzieląc.

Wiele rzeczy dałam Tomowi. Były to narzędzia jego pracy i mogły mu się przydać. Pracowałyśmy jak maszyny przez cały dzień i o 6:07 po południu nie było już pracowni. Ziemskie dobra Christophera Caldwell Matthews'a zostały podzielone i rozdysponowane. Koniec ery.

Rozdział

czterdziesty pierwszy

Kończył się drugi tydzień pobytu Peg u mnie, a ona nie wspominała o wyjeździe. Nie chciałam poruszać tego tematu, żeby nie pomyślała, że próbuje ją wypchnąć. Spędzała wiele czasu z Tomem i niewiele ją widywałam, ale wyglądała na szczęśliwą i zdawało się, że dobrze się czuła w San Francisco. Sam i ja cieszyłyśmy się ostatnimi wspólnie spędzonymi dniami przed jej odjazdem na

miesiąc do ojca. Zaczęłam zastanawiać się nad znalezieniem pracy. Wizyta Peg jak zwykle wywierała swój efekt. Pewnego ranka siedziałam właśnie zamyślona nad ogłoszeniami o pracy, kiedy weszła Peg i stanęła w drzwiach znów z tą samą miną: „Muszę z tobą porozmawiać”.

— No już, przestań wyglądać tak oficjalnie. Chodź tu i usiądź. Nie krzycz na mnie. Byłam grzeczna. Sprawdzam nawet w gazecie ogłoszenia o pracy.

— Chryste... aż tak wyglądam? — I roześmiała się.

— Owszem, wyglądasz. Co się dzieje?

— No więc... Mamy z Tomem zamiar się pobrać. — I usiadła, wyglądając tak jakby zabrakło jej tchu.

— Peg!... Och! — Podskoczyłam i uścisnęłam ją. — Kiedy?

— Jutro.

— Masz wszystkie papiery? — To samo pytanie zadałam nie tak dawno temu Chrisowi.

— Tak.

— No doprawdy! Nie mogłaś mi czegoś powiedzieć?

— Sama nie wiedziałam. Uczciwie, Gili, nie byłam pewna. Miałam takie uczucie, kiedy wróciłam do Nowego Jorku, ale Tom się nie odzywał i nie byłam pewna czy on też... i... o cholera.

— O Chryste, Peg, nie mogę w to uwierzyć. Bajki jednak istnieją... dla niektórych ludzi. — I obie odwróciłyśmy wzrok, wiedząc, że jej sen zaczął się od mojego koszmaru.

Tom zadzwonił do drzwi, pocałowałam go więc i powiedziałam: „Moje gratulacje!”, a on straszliwie się zarumienił.

— Powiedziała ci?

— O czym miała mi powiedzieć? — Zaczerwienił się jeszcze bardziej, a my z Peg wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Ona cię podpuszcza, kochanie, powiedziałam jej. — Uspokoił się.

Thomas Hugo Bardi i Margaret Allison Richards zawarli ślub następnego dnia w Urzędzie Miejskim, razem z innym ludźmi, którzy wyglądali tak samo staro i śmiesznie jak ci, którzy byli tam, kiedy pojechaliśmy z Chrisem po nasze dokumenty, dokumenty, które wciąż jeszcze miałam.

Obie z Samanthą byłyśmy, razem z przyjacielem Toma, świadkami tego wydarzenia, a potem wszyscy pojechaliśmy do Sausalito na obiad.

Po obiedzie Tom zabrał rzeczy Peg ode mnie z domu i przeprowadził ją do siebie na miodowy miesiąc. Kiedy wyszli, nie mogłam się powstrzymać od myśli, jak odległe było to od marzeń, które miałyśmy w szkole jako małe dziewczynki. Peg zawsze się zaklinała, że da się porwać jakimś zawodowemu kowbojowi, czy coś w tym rodzaju. Żadne z naszych marzeń nie przypominało takiej rzeczywistości. Ale tak jest lepiej, pomyślałam sobie. Miała szczęście. Na pewno im się uda.

Zastanawiałam się, czy matka Peg już o tym wiedziała. Wspaniała pani Richards, która równie mało przypominała Peg co musztarda kawior. Na pewno będzie miała parę słów do powiedzenia na ten temat.

Następnego dnia około południa przyszli do mnie na obiad i gawędzili z Sam siedząc przy stole w kuchni, tak jakby byli małżeństwem przynajmniej od siedmiu lat.

— Co masz zamiar zrobić ze swoimi rzeczami w Nowym Jorku?

— Och, jedna z dziewcząt z pracy powiedziała, że spakuje mi wszystko i przyśle. Nie mam znowu tak wiele. A resztę może sobie zostawić, weźmie po mnie mieszkanie. — Co przypominało mi, że w przyszłym miesiącu wygasła umowa o wynajmie domu Chrisa i powinnam podpisać nową. — W biurze wszyscy byli naprawdę mili.

Powiedzieli, że domyślali się, że coś takiego wydarzy się wcześniej czy później. I w prezencie ślubnym zaproponowali mi pracę w naszej filii w Oakland.

— Będziesz dojeżdżała?

— Za taką cenę, oczywiście, że tak!

— Co powiedziała twoja matka? Zapomniałam cię o to spytać poprzedniego dnia.

— Nic wartego powtórzenia, ale przejdzie jej. Siedzieliśmy rozmawiając przez chwilę o głupstwach, a ja

myślałam o tym, jaki miły widok przedstawiali razem. Sprawilo to, że znowu zatęskniłam za Chrisem. Wszystko było ze sobą tak ściśle związane. Ich widok był dla mnie bolesny, chociaż nigdy nie przyznałabym się do tego Peg. Ale myślę, że ona i tak wiedziała.

— Gillian? — Tak.

— Dlaczego gdzieś nie pojedziesz, czy coś w tym rodzaju? I wiesz, pomyślałam sobie, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś się przeprowadziła do mniejszego mieszkania.

— No wiesz, Peg, poczekaj chwilę. Daj mi spokój. Posprzątałam swój dom zgodnie z twoją radą, ale niech ci to nie uderza do głowy. Na tym koniec. Po prostu odczep się. Dlaczego nie zaczniesz się czepiać Toma, pomusztruj go trochę, pokaż mu, jak się zachowuje prawdziwa żona.

— Nie irytuj się tak od razu. Mówię poważnie. Mogłabyś przynajmniej wyjechać. Nie masz jeszcze pracy, a Sam wyjeżdża. Dlaczego nie pojedziesz gdzieś na Hawaje?

— Bo nie lubię Hawajów. Byłam tam z Richardem, zanim Sam się urodziła, i przez cały czas lało jak z cebra.

— No to pojedź gdzie indziej.

— Pomyślę o tym. — Ale naprawdę wcale nie miałam zamiaru.

Uporządkowanie domu to była jedna sprawa, wyjazd to zupełnie inna.

Tom i Peg wstali, żeby wyjść i powiedzieli, że przyjdą znowu następnego dnia albo może za dwa dni.

— Słuchajcie, to wasz miesiąc miodowy. Nie musicie mnie tu nianczyć.

— Ależ skąd, my po prostu lubimy kawę — odezwał się Tom poklepując mnie po ramieniu i wyszli.

Myślę, że uważali, iż powinni się mną opiekować. Wdzięczna byłam im za to. A może postępowali tak dlatego, że dzięki mnie się poznali?

Cokolwiek to było, miło było mieć ich obok i przyjemnie było na nich patrzeć. Tyle tylko, że budzili we mnie uczucie osamotnienia, kiedy patrzyłam, jak wychodzili albo jak patrzyli na siebie w ten szczególny sposób, albo jak trzymali się za ręce, kiedy myśleli, że tego nie widziałam. Chris odszedł już tak dawno temu.

Rozdział

czterdziesty drugi

Dostałam list od Gordona, w którym pisał mi, jak dobrze wszystko mu się układało i jak bardzo podobało mu się w Eze, Planował wystawę w Paryżu późną jesienią, jeśli wszystko dobrze pójdzie i będzie pracował w tym samym tempie. Urządził się, wynajął mały domek z niebywałym widokiem i górnym światłem, i uczył się grać w bile. Proponował, żebym wpadła odwiedzić go na parę dni, jeśli będę latem w Europie, albo żebym spędziła z nim cały miesiąc, jeśli mnie to „pociąga”, ale z jego tonu wywnioskowałam, że spodziewał się mojej odmowy. Nie widziałam go całe miesiące, które zdawały się latami. Czułam się o tyle starsza i inna.

Nie mądrzejsza, tylko trochę bardziej zmęczona i tak inna.

Pakowałam właśnie rzeczy Sam na wyjazd z Richardem i myślałam o tym, jak miło będzie mieć tu Peg i Toma. Nie będzie aż tak samotnie.

Dom bez Sam będzie taki pusty, ale lepiej było tak, niż gdyby miała dojeżdżać na weekendy albo gdyby jej ojciec mieszkał niedaleko i wprowadził tym zamęt w jej życie. Zastanawiałam się, czy kiedy dorośnie, będzie miała to samo poczucie obcości wobec swojego ojca, które ja odczuwałam wobec mojego. Może musimy zapłacić tę cenę.

Albo może jest to cena, którą płacą niektórzy ojcowie.

Zadzwoił telefon... pewnie Peg.

— Halo?

— Allo? Allo? Oui?... Allo?

— Tak, jestem tu... Halo. — Okropne połączenie; dźwięk był taki, jakby jakieś krasnale miażdżyły kamienie w kopalni węgla.

— Madame Foe-ress-taire, s'il vous plait. Nous avons un appel de la part de Monsieur Ahrte. — I to „ahrte" zagruchało w gardle telefonistki, przypominając mi nauczycielki francuskiego w szkole.

— Cest elle-meme. — To ja.

— Gillian?

— Tak. Gordon, co ty, u diabła, wyprawiasz, żeby dzwonić do mnie z tak daleka? Widocznie się tam wzbogaciłeś.

— Siedzę właśnie przed najwspanialszym zachodem słońca, jaki kiedykolwiek widziałam. Musiałem do ciebie zadzwonić. Chcę, żebyś przyjechała.

— Na zachód słońca? Myślę, że mogę się bez tego obejść. Przesadzasz.

To bardzo daleko, Gordon. Chcę tu zostać przez jakiś czas.

— Dlaczego nie chcesz przyjechać? I przywieź Sam. Będzie jej tu cudownie.

— Jej ojciec zabiera ją stąd za dwa dni. Jest już przygotowana na całe lato, a przynajmniej na miesiąc. A ja zostanę tu i zajmę się domem.

— Dla kogo? — Dla siebie.

— Gillian, proszę. Nie odpowiadaj mi teraz, pomyśl o tym, proszę.

— Dobrze, pomyślę o tym.

— Nie, nie pomyślisz, już to widzę. — Miał rację.

— Naprawdę, pomyślę. Napiszę do ciebie i dam ci znać, co postanowiłam. — Napiszę i powiem ci „nie".

— Nie, jeśli napiszesz, to będzie znaczyło, że nie przyjeżdżasz.

Zadzwonię do ciebie za kilka dni. Z Los Angeles jest bezpośredni lot do Nicei. Mógłbym cię tam odebrać.

— Chryste. Ostatnio byłam tam jako dziecko.

— No więc najwyższy czas, żebyś wróciła... proszę. — W jego głosie znów zabrzmiał ten proszący ton.

— No dobrze, pomyślę o tym. A co poza tym słyszać?

— Cudownie. Jestem tu szczęśliwy. Miałaś rację.

Przynajmniej komuś się przydałam. Ale to nie było fair. To nie była niczyja wina, że Chris spadł z rusztowania.

— Jak się ma Greg?

— Był tu podczas wiosennych wakacji. Bardzo mu się podobało i powiedział, że przyjedzie w lipcu.

— W głosie Gordona zabrzmiała jakaś nowa nuta. Słyszałam ją pomimo tych krasnali, które rąbały w nasze transoceaniczne połączenie telefoniczne.

— Słuchaj, to cię będzie kosztowało majątek. Do szybkiego usłyszenia.

— Pomyśl o tym, Gili... jesteś mi potrzebna.

— Do widzenia.

— Do widzenia... zadzwonię do ciebie pod koniec tygodnia. Jesteś mi potrzebna... jesteś mi potrzebna... Ile to już minęło czasu, odkąd nie powiedział mi tego żaden mężczyzna? Miesiące?

Dłużej? Czy Chris potrzebował mnie kiedykolwiek, czy też po prostu mnie pragnął? Gordonowi też przedtem nie byłam potrzebna. Może dopiero pod koniec. Jak dawno nie potrzebował mnie żaden mężczyzna?

Nigdy?... Jesteś mi potrzebna...

Zadzwoniłam do Peg, żeby jej powiedzieć, a ona zareagowała natychmiast. „Jedź!” Był to rozkaz. Wiedziałam, że to powie. Po co do niej zadzwoniłam? Żeby to od niej usłyszeć? Żeby mi powiedziała „Jedź!”

— Nie bądź głupia. Tylko tego mi potrzeba, żeby jechać na południe Francji i komplikować sobie życie z Gordonem.

— Komplikować? Co tu jest skomplikowane? Dawniej jakoś uważałaś, że był zupełnie dobry. Masz coś lepszego, o czym nie wiem? Do cholery, Gillian. Ja skorzystałabym z okazji.

— Nie dopuść, żeby Tom to usłyszał.

— Dobrze, już dobrze, ale jeśli nie pojedziesz... kochanie, to kompletna z ciebie idiotka. — I odłożyłyśmy słuchawki równie zirytowane jedna na drugą. Byłam zła na Peg i na siebie za to, że do niej zadzwoniłam. Teraz przez kilka następnych dni będę musiała wysłuchiwać jej namawiania, a potem wymyślania mi, że nie pojechałam.

Sam odjechała z Richardem. Polecieli do Londynu. Zanim odjechali, popatrzył na mnie i myślałem, że zrobiło mu się żal. „Przykro mi, że musiało ci się to przydarzyć, Gili”, a znał tylko połowę tego wszystkiego.

— Dziękuję. Mnie też. Ale dajemy sobie radę. Sam lubi San Francisco. —

Byle tylko zmienić temat.

— Nie jeździsz już teraz do Europy. Może przyleciałabyś w lecie odebrać Sam? Miałabyś okazję znowu się tam powłóczyć.

— I odnaleźć swoją młodość?

— Nie powiedziałem tego.

— Nie, ale dziękuję, że pomyślałeś. Zastanowię się. —Wszyscy namawiali mnie w tym sezonie na Europę.

Powiedziałam Sam, że do niej zadzwonię, a ona miała łzy w oczach, kiedy odjeżdżali. Przypomniałam sobie z mojego dzieciństwa dokładnie to samo uczucie i moje serce rozdzierało się, kiedy oni odjeżdżali, a ja stałam na schodach machając.

Siedziałam w domu. wsłuchując się w ciszę, spoglądając na zabawki, które zostawiła mi w salonie, i zastanawiając się, jak ludzie mogą żyć bez dzieci.

Znowu zadzwonił telefon. Miałam nadzieję, że to Peg. Miło byłoby, gdyby wpadli i napełnili to miejsce życiem i swoimi głosami.

— Allo? — O Chryste. Znowu Gordon. A ja się nawet porządnie nie zastanowiłam. Jeszcze nie. Potrzebowałam czasu. Proszę, trochę czasu.

Jeszcze nie... zawsze jeszcze nie.

— Gillian? Jaki jest wyrok? Ale zanim mi odpowiesz, chciałbym, żebyś wiedziała, że rozumiem, jeśli nie przyjedziesz. Chcę, żebyś tu była, ale rozumiem. Nie mam prawa...

— Przyjeżdżam. — O mało nie spadłam z krzesła, tak zaskoczyły mnie samą te słowa.

— Przyjeżdżasz? — Nie tylko ja byłam zaskoczona.

— Tak. Zdecydowałam się. Właśnie w tej chwili. — Wciąż byłam zdumiona. — Kiedy przyjeżdżasz?

— Nie wiem. Naprawdę nie myślałam o tym aż do teraz. Kiedy jest następny lot?

— Jutro.

— Za wcześniej.

— Dobrze. Następny jest za tydzień od jutra. Powinnaś mieć dość czasu, żeby się spakować. Kiedy wyjeżdża Sam?

— Właśnie wyjechała, osiem minut temu.

— Dobrze, wyjadę po ciebie do Nicei, za tydzień od jutra. Będę na lotnisku. I Gillian.. kochanie... dziękuję. Spodoba ci się tutaj, naprawdę ci się spodoba... Dziękuję.

Wymruczałam coś w odpowiedzi i odłożyliśmy słuchawki. Co ja, u diabła, zrobiłam? Dałam sobie wakacje, nic więcej. Och tak, o wiele więcej. Wyciągnęłam dłoń i pozwoliłam sobie być komuś znowu potrzebną, bo i ja potrzebowałam Gordona. To było cudowne uczucie.

Chris... Chris... kochany, przepraszam... ale idąc po schodach na górę przypomniałam sobie Chrisa. I Marilyn. Prawdziwego Chrisa.

Zrozumiałby. Naprawdę by zrozumiał.

— Peg? Jadę. Właśnie rozmawiała z Gordonem. Wyjeżdżam za tydzień od jutra.

— Alleluja! Zaraz przyjedziemy.

I przyszli, z butelką hiszpańskiego wina, którą skończyliśmy w ciągu godziny, pośród szalonych śmiechów i klepania się po plecach. Byli ze mnie „dumni”. Zbyt dumni. Czułam się tak, jakbym zdradzała Chrisa i w spokojniejszej chwili wyszłam do kuchni, żeby przynieść więcej lodu. I uciec od nich.

Tom stanął za mną i spoglądał, kiedy wyjmowałam lód z foremek.

Starałam się nie rozplakać i nie obejrzeć na niego, a on wziął mnie za ramię i wyciągnął mnie z mojej kryjówki przy lodówce.

— Gillian. On by tego chciał. Podobałoby mu się to, co robisz.

— Wiem. Ale nie umiem się opanować. Muszę... musiałam.

— Wiem o tym. Ale teraz musisz przestać. Kochaj go, Gillian, pamiętaj o nim, pamiętaj takiego, jaki był. Ale nie zamieniaj go w ducha. Nie był

taki. I ty nie jesteś taką kobietą. Pamiętaj o nim. Wszyscy będziemy. I może nie pokochasz już nikogo tak bardzo, jak kochałaś jego, ale pewien jestem, że żywego nie kochałaś tak bardzo jak teraz, kiedy umarł.

To była prawda, to była prawda. Miałam wątpliwości i złe chwile. Ale kochałam go i poprzez płynące po policzkach łzy podniosłam na Toma wzrok i powiedziałam u wyzwaniem:

— Kochałam go.

— Wiem, że kochałaś. Ale bądź dzielna, Gili. Nie gódź się tylko na połowę. Nigdy tego nie robiłaś i on też nie. — Przytuliłam się do Toma i rozplakałam się. Wszystko będzie prawie skończone... nie gódź się na połowę... odejdz, idź do przodu, ruszaj, wyciągnij rękę... żeby znowu kochać... bądź dostatecznie dzielna... żeby pojechać do Eze...

dostatecznie dzielna dla Gordona. Dostatecznie dzielna dla Chrisa.

Kiedy wyszliśmy z kuchni, Peg popatrzyła na nas i powiedziała:

— Całowaliście się w kuchni, ha? Posłuchaj, Gili, przykro mi, że muszę cię o to prosić, ale czy nie moglibyśmy wypożyczyć twojego domu, kiedy cię nie będzie? Musimy oddać mieszkanie Toma. Jest za małe i doprowadza mnie do pasji. Umowa kończy się w tym miesiącu i powinniśmy niedługo znaleźć coś innego.

— Oczywiście! Nie musisz mnie nawet prosić. Możecie się jutro wprowadzić. Miło będzie pomyśleć, że kiedy mnie tu nie będzie, będą tu mieszkać ludzie. Żywi ludzie. Szczęśliwi ludzie. Nasi przyjaciele w domu Chrisa.

— No, myślę, że możemy poczekać jeszcze tydzień. Tydzień później Tom i Peg odwieźli mnie do Los Angeles.

Upierałam się, że mogę tam polecieć i po prostu przesiąść się z samolotu do samolotu, ale oni chcieli odwiedzić rodziców Toma i zobaczyć, jak odlatuję.

— Skąd mogę być pewna, że nie przesiedzisz całego lata w Disneylandzie, a potem powiesz nam, że byłaś we Francji?

— Nie wierzysz mi?

— Nie. — I wyglądała tak, jakby naprawdę mogła tak myśleć. Jazda była przyjemna. Zmienialiśmy się przy kierownicy i podróż szybko minęła.

„Samolot Pan American, lot numer 115, odlot z wyjścia numer 43... po raz ostatni wzywamy wszystkich pasażerów odlatujących do Nicei we Francji, lotem Pan American"...

— To już.

— Taak. — Staliśmy wszyscy zdenerwowani, nie wiedząc, co powiedzieć. To samo uczucie jakie mieliśmy u Hobsona. Boże, jak ja nienawidzę pożegnań.

— Trzymaj się, Peg... Napiszę... Tom... — A on uścisnął mnie w wielkich niedźwiedzych objęciach, po czym przekazał mnie Peg, która też mnie uścisnęła, wyglądając na poruszoną.

— A teraz ładuj się na ten cholerny samolot, póki się na dobre nie rozkleję, no, ruszaj się, do cholery. — To była moja stara Peg.

— Do widzenia, wy dwoje.

Tom przesłał mi jeden ze swoich uśmiechów chłopca-mężczyzny.

— Zajmiemy się domem. I daj nam znać, kiedy wracasz, żebyśmy mogli posprzątać.

Skinęłam głową, oni pomachali i poszłam do wyjścia numer 115.

Obejrzałam się, a oni wciąż tam byli, patrząc na mnie i trzymając się za ręce.

Rozdział

czterdziesty trzeci

Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, toteż samolot był wypełniony mniej niż w połowie. To długi lot i większość ludzi woli go sobie przerwać postojem w Nowym Jorku. Pasażerowie wyglądali przeważnie na Europejczyków. Siedziałam sama, mając dla siebie trzy miejsca, naprzeciw mężczyzny, który także podróżował sam i który zdecydowanie wyglądał na Amerykanina. Popatrzył na mnie kilka razy i pomyślałam, że może chcieć nawiązać rozmowę, toteż odwróciłam wzrok.

Spałam przez większą część podróży, patrzyłam w dół na chmury i myślałam o Peg, i o tym jak daleko razem doszliśmy. I Tom. Stał się dla mnie tak cholernie dobrym przyjacielem i wydawało się bardzo na miejscu, że oboje z Peg byli teraz razem. Kto by w to uwierzył przed rokiem? Kto uwierzyłby w cokolwiek na rok przedtem, nim się to wszystko stało?

— Przepraszam, ale czy pani jest Lillian Forrest? Wydaje mi się, że poznaliśmy się w Nowym Jorku?
— odezwał się mężczyzna z przeciwka.

Miałam ochotę powiedzieć, „Nie, nie, nazywam się Jane Jones”.

— Gillian Forrester. Był pan blisko.

Znów się odwróciłam, mając nadzieję, że zadowolili się ustaleniem, kim jestem. Nie poprosiłam go o podobną informację z obawy, że zachęci go to do dalszej rozmowy.

— Nie uwierzysz, ale spotkałem cię na przyjęciu, które wydawałaś, och, musiało to być w październiku ubiegłego roku. W Nowym Jorku. Świetne przyjęcie!

— Dziękuję.

— Pracowałem wtedy w banku w Nowym Jorku i ta dziewczyna mówi:

„Jestem zaproszona na rewelacyjne przyjęcie, to znaczy, ta dziewczyna naprawdę wie, jak je urządzać”. I miała rację. Świetnie przyjęcie! Nie uwierzysz, ale potem ona wyszła za mąż, a mnie przenieśli do Los Angeles, a moja siostra miała bliźnięta. Mam na myśli, wszystko to od ostatniej jesieni. — I popatrzył na mnie tak, jakbym rzeczywiście nie powinna w to wierzyć.

— Dziękuję, to znaczy za opinię o przyjęciu. Wygląda na to, że miałaś pracowity rok. — I skrzywiłam się myśląc, że zachęciłam go, żeby się nad tym rozwiódł.

— Taak. Czasami siadam tak i myślę: „I kto by to pomyślał, przed rokiem byłem sobie w Los Angeles”. Mam na myśli to, że jest to zupełnie nowy świat. Zupełnie nowe życie.

— Mmmm... Wiem, co masz na myśli. Kto by w to uwierzył? — I znów się odwróciłam, żeby popatrzeć przez okno na chmury.

— Wiesz co, Lillian, inaczej wyglądasz. Prawie cię nie poznałem, tyle że ja nigdy nie zapominam twarzy. — Wpatrywał się we mnie przez chwilę.

— Taak, zmieniłaś się. Jakoś inaczej wyglądasz. Nie starzej, po prostu inaczej. — Racja, bracie, „inaczej”, ale i starzej; w porządku, mogłeś to powiedzieć, bo, kochasiu, zapracowałam na to.

Odwróciłam się po raz ostatni i spałam przez resztę lotu do Nicei.

„Veuillez attacher votre ceinture de surete, et de ne pas... — proszę zapiąć... Lądujemy w Nicei za mniej więcej piętnaście minut; według lokalnego czasu jest trzecia trzydzieści pięć, temperatura 78 stopni Fahrenheita. Dziękujemy państwu za skorzystanie z usług Pan American.

Mamy nadzieję, że podróż była przyjemna i życzymy państwu miłego pobytu w Nicei. Jeśli mieliby państwo ochotę zarezerwować bilety na podróż powrotną, prosimy zwrócić się do

naszego agenta w głównym holu budynku przylotów. Dziękujemy i do zobaczenia... Masdames et Messieurs, nous atlons atterir a Nice dans...

Merci et au revoir".

Samolot wylądował nierówno na lotnisku i podjechał do budynku przylotów zatrzymując się dostatecznie daleko, tak by można tuż obok ustawić korytarz do wyjścia. Zeszłam po schodach i rozejrzałam się. Ani śladu Gordona. Przypomniałam sobie o cle. Zapewne będzie czekał po drugiej stronie. Byłam zdumiewająco spokojna, tylko trochę zirytowana tym, że nie miałam nawet czasu, żeby przed lądowaniem porządnie się uczesać. Spałam do ostatniej chwili i musiałam dokonywać wszystkich poprawek siedząc na swoim miejscu. Czułam się potargana; to była długa podróż.

Celnik, który wyglądał na przybysza z Afryki Północnej, podstemplował mój paszport i torby obrzucając je jednym przelotnym spojrzeniem.

Amerykański paszport. Abrakadabra, jak magia. Nienawidzą cię, ale przynajmniej nie rozpruwają ci bagażu. Nie tak jak w Stanach.

— Do zobaczenia, Lillian... może się gdzieś spotkamy — pożegnał mnie znajomy z samolotu.

Dalej nie widać Gordona. Może ugrzązł w korku, może. Ale co jeśli?...

Och, nie jeszcze to. Och, proszę Cię, Boże, nie rób mi tego. Nie możesz mnie aż tak bardzo nienawidzić... Nie, och nie... I kiedy zaczynałam już wpadać w panikę, podniosłam wzrok, a on tam był. Wyższy niż w moich wspomnieniach, chudszy, jego broda wydawała się gęstsza, oczy bardziej błękitne na opalonej twarzy. Stał tam niezdecydowany, tak jakby zastanawiał się, czy rzeczywiście ma podejść i przywitać mnie.

Wszystkie minione miesiące stały między nami, ich historia była w jego oczach i wiedziałam, że była także i w moich. I staliśmy tam tak oboje.

— Proszę uważać na schody, madame, trzeba zrobić bardzo duży krok.

Proszę uważać na schody, sir.

W przejściu odprawy celnej były dwa duże stopnie i strażnik ostrzegał

nadchodzących turystów. Ma pan rację, muszę zrobić bardzo duży krok, monsieur. I słowa Toma zadźwięczały mi

w uszach: „Bądź odważna, Gili. Nie zgadzaj się na połowiczne rozwiązania...” Zeszłam powoli, ostrożnie, z zastanowieniem, spoglądając w dół, żeby mieć pewność, gdzie stawiam stopy. Zawsze patrz, gdzie stawiasz stopy. Patrzę na te stopnie... jeden... dwa... i znalazłam się obok niego.

Patrzył na mnie przez nie kończącą się chwilę, wątpiąc, tak jakby nie śmiał uwierzyć. Przyciągnął mnie do siebie powoli i trzymał teraz delikatnie w ramionach.

— Wróciłam — wyszeptałam w jego ramię. Zamknął oczy i przyciągnął

mnie bliżej.

— Teraz wiem. Myślałem, że ciebie też straciłem. Patrzyliśmy na siebie i wszystkie minione lata odbijały się

w naszych oczach — ludzie, którymi byliśmy, których kochaliśmy, ludzie, których w różny sposób utraciliśmy... jego żona... mój mąż...

Juanita... Greg... Chris... wszyscy oni stali wokół nas i patrzyli, jak trzymając się za ręce odchodzimy, wracamy do domu.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)